



J O B A K E R

D W O R E K
L O N G B O U R N

Duma i uprzedzenie to dopiero początek opowieści...



DWOREK LONGBOURN

JO BAKER

DWOREK LONGBOURN



Przekład

Agnieszka Brodzik



*Dla Claire, z podziękowaniami za jej cierpliwość,
wrozumiałość i poświęconą mi uwagę*

*Jakaż pochwała może mieć większą wartość
nad pochwałę inteligentnej służby.*

Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*

CZĘŚĆ PIERWSZA



Rozdział I

Kamerdyner... Pani Hill i dwie pokojówki...

Noszenie ubrań jest zgoła niemożliwe bez ich prania, zupełnie tak, jak chodzenie w negliżu, przynajmniej w Hertfordshire, a już z pewnością we wrześniu. Dnia opierunku nie dało się uniknąć, ale cotygodniowe czyszczenie zgromadzonych w domu strojów stanowiło dla Sary prawdziwe utrapienie.

Kiedy o czwartej trzydziści nad ranem rozpoczęła pracę, powietrze było rześkie. Chłód żelaznego uchwytu pompy przenikał nawet przez mitenki, a odmrożenia piekły, kiedy dziewczyna wytrwale tłoczyła wodę z podziemnej ciemności do czekającego na wypełnienie wiadra. Miała przed sobą długi dzień, a to był dopiero początek.

Wszystko inne trwało niemal w bezruchu. Owce spały wtulone w siebie na zboczu pagórka; ptaki w żywopłotach nastroszyły piórka puszyste jak dmuchawce; w lesie opadłe liście szeleściły pod stópkami jeża; w strumieniu odbijało się światło gwiazd, błyszcząc przy kamieniach. Dalej, w stodole, z krowich pysków wydostawał się słodki dech, w chlewie maciora zadrzała, a wraz z nią przytulone do jej brzucha prosiaczki. Pani Hill i jej mąż, wysoko na ich ciasnym stryszku, spali snem okrutnie znużonych; dwa piętra niżej, w głównej sypialni, skryci pod pościelą państwo Bennetowie przypominali dwa garby na dziedzińcu kościoła. Ich córki, we własnych łóżkach, śniły o tym, o czym zwykle śnią młode panienki. A nad tym wszystkim błyszczały gwiazdy; ich mroźny blask padał na dachówki i wyłożone kamieniem podwórko, i zarośla, i mały dziki zakątek z boku trawnika, i zbite w gromadkę bażanty, a także na Sarę, jedną z dwóch pokojówek w

Longbourn, która właśnie pompowała wodę do wiadra, a potem, boleśnie podrażnionymi już rękami, odstawiła je na bok, by napełnić kolejne.

Na wschodzie niebo nad wzgórzami bledło, zmieniając barwę na przeczyste indygo. Unosząc wzrok i wydmuchując obłoczki pary, Sara, z dłońmi schowanymi pod pachy, pomyślała o dzikich ostępach za horyzontem, gdzie już nastał ranek, a także o tym, że kiedy jej dzień dobiegnie końca, gdzieś tam słońce nadal będzie świecić, na Barbadosie albo Jamajce, gdzie czarnoskórzy ludzie pracowali półnago, a także w Amerykach, gdzie Indianie nie mieli na sobie prawie żadnych ubrań i w związku z tym niewiele trzeba było prac, więc Sara kiedyś tam pojedzie i nigdy już nie będzie musiała czyścić czyjejs bielizny.

Ponieważ – pomyślała, przyczepiając wiadra do nosidła, schylając się pod nie i potem prostując chwiejnie – nikt nie powinien zajmować się cudzymi brudami. Młode panienki mogą do woli udawać, że pod swoimi sukniemi są gładkie i nieskazitelne niczym alabastrowe posągi, ale kiedy zrzucają z siebie zabrudzone stroje na podłogę sypialni, żeby ktoś je zabrał i wyprał, okazują się słabymi, przeciekającymi, cielesnymi stworzeniami; takimi, jakimi są naprawdę. Być może dlatego polecenia wydawały jej jedynie znad robótki albo książki: Sara spierała ich pot, ich plamy, ich krew miesięczną; wiedziała, że żadne z nich niebiańskie istoty – i dlatego panienki nie mogły jej spojrzeć w oczy.

Wiadra zsunęły się, gdy Sara niepewnym krokiem przemierzała podwórze; już prawie dotarła do drzwi komórki przy kuchni, kiedy potknęła się i straciła równowagę. Czas jakby zwolnił i dziewczyna ujrzała, jak kubły lecą w powietrze i spadają z nosidła, wylewając całą wodę i tym samym niwecząc jej wysiłki. Pomyślała jeszcze o czekającym ją bólu; kiedy wiadra wylądowały na ziemi, strasząc gawrony kryjące się w koronach buków, Sara uderzyła mocno o kamienny chodnik. Jej nos potwierdził to, co podpowiadał umysł: poślizgnęła się na odchodach wieprzka. Wczoraj wypuszczono maciorę, a prosięta podreptały za matką, i nikt nie zdążył jeszcze po nich posprzątać; wszystkim brakło

czasu. Jeden dzień pracy płynnie przechodził w drugi i nigdy nie dało się powiedzieć, że oto nadszedł koniec krzątania. Ta tylko przedłużała się, nabierała tempa albo czekała na swoją kolej, a człowiek tylko się rano o nią potykał.

Po śniadaniu Lydia usiadła przy kuchennym palenisku, z nogami pod sobą, i sączyła słodkie mleko, mówiąc:

– Nie zdaje sobie pani sprawy, pani Hill, jakie to szczęście: móc się tu chować. Nad wyraz tu ciepło i przyjemnie.

– Skoro tak panienka uważa.

– Ależ oczywiście! Może pani robić, co się pani żywnie podoba, i nikt pani tu nie podgląda. Na Boga! Jeśli będę zmuszona jeszcze raz wysłuchać kazania Jane... A przecież chodziło mi wyłącznie o odrobinę swobody!

W pomieszczeniu obok, położonej kilka stopni niżej komórce, Sara pochylała się nad tarką, próbując wywabić płamę z rąbka halki. Kiedy dziewczyna zabrała ubranie z podłogi sypialni panienek, miało dobre pięć centymetrów błota od dołu i już całą noc moczyło się w ługu; mydło nie potrafiło sprostać zadaniu, za to wżerało się w skórę dłoni, i tak już popękana, spierzchnięta i odmrożona, wywołując piekielne pieczenie. Sara często myślała, że gdyby Elizabeth sama prała swoje halki, z pewnością ostrożniej by się z nimi obchodziła.

Z kotła unosiła się para, gdyż w środku gotowała się kolejna porcja prania; po zamglonym oknie na wprost spływały krople. Sara zeszła zgrabnie z desek przy wanienkach na deski przy kotle, mijając mętną kałużę na kamiennej podłodze. Umieściła halkę w szarej, wrzącej wodzie, uniosła kij i dźgnęła tkaninę, żeby wypuścić powietrze, a potem nim zamieszać. Mówiono jej – a więc musi w to wierzyć – że halka ma być jak najbielsza, nawet jeśli za chwilę znowu zostanie ubłocona. Polly po łokcie zanurzyła ręce w zimnej wodzie, płuczac krawaty pana Benneta, a potem unosiła je jeden po drugim, by zamoczyć w misce z ryżowym krochmalem.

– Jak myślisz, Saro, ile jeszcze zostało?

Sara rozejrzała się dokoła po kubłach z kąpiącą się bielizną,

po stertach mokrych ubrań na różnych etapach prania. W niektórych domach na dzień opierunku najmowano dodatkową pomoc. Nie tutaj jednak, o nie! W Longbourn sami prali własne brudy.

– Są jeszcze prześcieradła, poszewki i nasza bielizna...

Polly wytarła ręce o fartuch i zaczęła liczyć sterty na palcach. Nagle zauważyła, jak zadziwiająco różową ma skórę. Zmarszczyła czoło i przyjrzała się swoim dłoniom, jakby nie do niej należały.

Musiała stracić w nich czucie, przynajmniej na jakiś czas.

– A oprócz tego jeszcze kawałki płótna – dodała Sara.

Właśnie nadszedł ten nieszczęsny czas w miesiącu, kiedy wszystkie kobiety w domu najpierw bardziej niż zwykle cierpiały na porywczosć charakteru, niezdarność i skłonność do wzruszeń, zaś później przychodziło krwawienie. Płótno moczyło się w oddzielnej wanience, nieprzyjemnie pachnąc rzeźnikiem; zostanie wygotowane na końcu, w mętnej wodzie kotła, tuż przed jego opróżnieniem.

– Zdaje się, że zostało nam jeszcze pięć stosów.

Sara westchnęła i zaczęła skubać szew pod ramieniem. Pot zdążył już przeniknąć przez materiał sukni, co okrutnie było dziewczynie nie w smak. Kolor popeliny, z której zrobiono strój, pani Hill zawsze nazywała *Eau de Nil*[1], chociaż Sarze przywodził na myśl żółć, więc myślała o nim raczej jako *Eau de Bile*. Nieprzyjemna barwa sama w sobie nie miała znaczenia, ponieważ nikt jej nie oglądał, ale krój był już problematyczny. Suknię uszyto dla Mary, której miękkie jak ciasto ręce miały wyszywać albo grać na klawikordzie. Kroju nie zaplanowano z myślą o prawdziwej pracy i silnych mięśniach, a Sara założyła ów strój wyłącznie ze względu na to, że ten drugi, z plecionej tkaniny mysiego koloru, w kilku miejscach musiał zostać zaprany i teraz wisiał na sznurku, by wywietrzała z niego świńska woń.

– Teraz wrzuc do kotła koszule – powiedziała. – Pomieszaj chwilę, a ja wezmę się za szorowanie.

Oszczędź swoje drobne rączki, pomyślała jednocześnie Sara, chociaż jej własne były już poranione. Odsunęła się od kotła i

przesunęła na deski przy wanienkach, schodząc Polly z drogi. Potem szczypcami wyciągnęła z krochmalu krawat i patrzyła, jak ocieka galaretowatą mazią.

Polly, tłukąc kijem w kotle, skubała dolną wargę spiłowanymi paznokciami. Wciąż miała zaczerwienione oczy i pociągała nosem – wcześniej pani Hill zbeształa ją za zły stan podwórza. Nad ranem musiała rozpalić ogień i przynieść wodę, następnie przyszedł czas na niedzielny obiad; później wszyscy zjedli, zrobiło się ciemno; i kto w świetle gwiazd zdołałby sprzątnąć świńskie placki? I czyż nie brakło wtedy szufelek? Przez cały ten piasek paznokcie Polly znajdowały się w opłakanym stanie. Zresztą czyż winny nie jest ten, kto pozwolił, by zasuwa przy furtce się poluzowała, dzięki czemu jedno szturchnięcie pyskiem wystarczyło na jej otwarcie? Czyż za upadek i zmarnowanie wysiłków Sary powinna odpowiadać nie biedna Polly – rozejrzała się i zniżyła głos, żeby stary jej nie usłyszał – ale sam pan Hill, który zajmował się wieprzami? Czy to nie on powinien po nich posprzątać? Na co im ten stary łachmaniarz? Gdzie był, gdy go potrzebowano? Czyż nie powtarza się ciągle, że przydałaby im się jeszcze jedna para rąk?

Sara kiwnęła pojednawczo głową i wydała pełen współczucia pomruk, chociaż przestała słuchać już jakiś czas temu.

Kiedy zegar w holu zatoczył pełne koło i wybił czwartą, pan i pani Hill, jak w każdy dzień opierunku, serwowali rodzinie w jadalni zimny obiad – resztki pieczystego z niedzieli – podczas gdy dwie pokojówki wieszaly pranie na padoku, a wilgotne tkaniny parowały na popołudniowym chłodzie. Jeden z bąbli Sary pękł w trakcie pracy i teraz się z niego sączyło; dziewczyna uniosła dłoń do ust i wysssała krew, żeby nie poplamić ubrań. Przez chwilę jej uwagę pochłaniały różne wrażenia – gorący język na zimnej skórze, piekąca rana, słona krew, ciepłe usta – więc nie zwracała uwagi na to, co działo się przed jej oczami, a zatem mogła się mylić... Lecz zdawało jej się, że ujrzała ruch na drodze wiodącej przez wzgórze. Droga ta łączyła trakt wiodący do Londynu z posiadłością Longbourn, a dalej z nową roгатką w Meryton.

– Spójrz, Polly! Widzisz to, co ja?

Polly wyjęła klamerkę z buzi i przyczepiła nią trzymaną przez siebie koszulę do sznurka, a potem odwróciła się i spojrzała.

Droga biegła między dwoma starymi żywopłotami; prowadzano tamtędy stada bydła i ptactwo z północy. Dawało się stąd wtedy słyszeć zwierzęta, zanim ukazywały się oczom: niskie muczenie krów, gniewne krzyki gęsi, żrebaki wołające za utraconymi matkami. A kiedy zwierzęta i poganiacze mijali dom, zupełnie jakby śnieg padał, pokrywając wszystko dokoła; po chwili zaś ludzie i poganiacze znikali tak nagle, jak się pojawili.

– Nikogo nie widzę, Saro.

– Och, ależ spójrz...

Jedyny ruch teraz powodowały ptaki, skaczące po gałązkach żywopłotu w poszukiwaniu jagód. Polly odwróciła się, zaszurała stopą po ziemi, podrzucając do góry kamyk; Sara jeszcze przez chwilę wpatrywała się w drogę. Na krzewach gęsto było od suchych bukowych liści koloru herbaty, ostrokrzew wydawał się niemal czarny w słońcu, wiszącym nisko na widnokręgu, a gałęzie leszczyny sterczały nagie tam, gdzie je niedawno przycięto.

– Niczego nie widzę.

– Ale ktoś tam był.

– Cóż, teraz go już nie ma.

Jakby chcąc w ten sposób coś udowodnić, Polly podniosła kamień i rzuciła nim. Chociaż nie doleciał do drogi, zdawał się przesądzać sprawę.

– Och, to nieistotne.

Z jedną klamerką w dłoni i drugą w zębach, Sara przyczepiała kolejną suknię, wciąż spoglądając w tamtym kierunku – może światło splatało jej figła, może to przez mgłę w nisko wiszącym nad ziemią jesiennym słońcu, może Polly jednak miała rację? – a potem zawahała się i skryła dłonią oczy przed promieniami. Znowu go zobaczyła, tym razem dalej; mijał właśnie fragment przyciętego żywopłotu. Oto i on. Niewątpliwie miała do czynienia z mężczyzną: widziała szarość i czerń, długie kroki człowieka przyzwyczajonego do sporych odległości.

Sara wyciągnęła klamerkę z ust i wskazała ręką na przybysza.

– Tam, Polly! Czy teraz go widzisz? Handlarz, jak nic.

Polly cmoknęła i przewróciła oczami, lecz odwróciła się, by spojrzeć.

I znowu zniknął, kryjąc się za gęstą tarniną. Jednak teraz coś innego zwróciło uwagę Sary. Niemal to słyszała: najcichszy z dźwięków, jakby ten mężczyzna – wędrowny sprzedawca, jako żywo, z drewnianym kijem do liczenia, a także torbą pełną drobiazgów i gałganków – pogwizdywał pod nosem. Brzmiał przy tym cicho i przedziwnie, jakby z zupełnie innego świata.

– Słyszysz to, Pol? – Sara uciszyła towarzyszkę, unosząc zaczerwienioną rękę.

Polly odwróciła się i spojrzała na nią groźnie.

– Nie zwracaj się tak do mnie. Wiesz, że za tym nie przepadam.

– Ciii!

Polly tupnęła.

– Gdyby nie panienska Mary, nikt by nie musiał mówić na mnie „Polly”.

– Polly, błagam!

– Tylko dlatego, że z niej panienska, a ze mnie nie, ona może być Mary, a ja zostałam Polly, chociaż na chrzcie mi też dano Mary!

Sara syknęła i wciąż spoglądając na drogę, machnęła ręką, żeby uciszyć dziewczynę. Wybuchowy charakter Polly był jej już dobrze znany, ale oto przecież jej oczom ukazywało się coś nowego: mężczyzna wędrujący z torbą na plecach i piosenką na ustach. Kiedy młode panienki przejrzą już jego towary, zejdzie na dół do kuchni, żeby sprzedać służącym tańsze drobiazgi. Ach, gdybyż miała coś ładnego! Nedorzecznie było marzyć o założeniu czegoś do szarej sukni, w brzydocie bowiem dorównywała *Eau de Bile*. Lecz książeczki i śpiewniki, wstążki i guziki, a do tego bransoletki z blachy cynowej, które po dwóch tygodniach barwiły skórę na zielono – och, jakież niebywałe szczęście przynosił ten

człowiek do tego cichego, niezmiennego i nieuczęszczanego miejsca!

Droga znikąca za domem i nie dało się już ani zobaczyć, ani usłyszeć żadnego piechura, więc Sara skończyła przypinać suknię, strząsnęła wodę z następnej i również ją powiesiła. Zbyt prędko, a więc niezgrabnie.

– Pośpiesz się, Polly! Robota czeka.

Lecz Polly pobiegła gwałtownie przez padok, żeby nachylić się przy ścianie i zawołać na konie pasące się ze swobodą na wybiegu. Sara ujrzała, jak ręka Polly wędruje do kieszeni fartucha i karmi zwierzęta owocami strąconymi przez wiatr; przez chwilę głaskała je po pyskach, podczas gdy Sara wytrwale pracowała. Potem Polly wspięła się na niski murek i poczęła machać nogami, z pochyloną głową i mrużąc oczy w wiszącym nisko słońcu. Sara pomyślała sobie, że ta dziewczyna często zachowuje się, jakby jakieś duszki szeptały jej coś do ucha.

Tak zrobiło się jej żal Polly! Dzień opierunku był naprawdę ciężki dla kogoś, kto jeszcze nie dorósł i nie pogodził się ze swoimi obowiązkami. Sara dokończyła pracę sama, pozwalając drugiej pokojówce odejść bez uprzedniej reprimendy, aby mogła udać się tam, gdzie zechce, rzucać gałązki do strumienia czy zbierać bukowe orzechy.

Kiedy zabrała z padoku ostatni pusty kosz, zapadał już zmrok, a podwórze wciąż nie zostało uprzątnięte. Sara złała kamienie mydlinami.

Pani Hill cierpiała na humory, które przychodziły zawsze w dzień opierunku; od rana była na łasce dzwonek: Bennetowie nie zważali szczególnie na to, że brakło jej pomocy, skoro pokojówki zajęły się praniem.

Kiedy Sara, z piekącymi dłońmi, obolałymi plecami i zeszywniałymi z przepracowania ramionami, skończyła wreszcie porządkowanie komórki, pani Hill właśnie szykowała stół do obiadu dla służby. Postawiła talerz zimnej galarety i spojrzała groźnie na Sarę, jakby chciała jej powiedzieć: „Patrz, czego się możesz spodziewać, gdy mnie opuszczasz; jako jedyna ponosisz za

to winę”. Marynowany salceson miał barwę poszarzałego rózu i wielce się przydawał, gdy brakło czasu na gotowanie. Sara przyjrzała mu się z niesmakiem.

Do środka wszedł pan Hill. Za jego plecami, na podwórzu, wzrok Sary napotkał jednego z pracowników z sąsiedniej farmy, który poprawił chustkę i uniósł rękę w pozdrowieniu. Pan Hill tylko skinął głową i zamknął drzwi. Wytarł dłonie o spodnie, a językiem przesunął po sprawiającym mu jakiś kłopot zębie. Wreszcie usiadł i oparł się chwiejnie o stół, podczas gdy pani Hill kroїła chleb.

Sara wślizgnęła się do spizarni, skąd zabrała garnek z musztardą i kamienny słoć z marynowanymi orzechami włoskimi, a potem zaniósła przyprawy do kuchni i postawiła obok soli i pieprzu. Wracało jej czucie w palcach i odmrożenia zaczynały dokuczać; poczęła więc je drapać, ocierając grzbiet jednej dłoni o drugą. Pani Hill zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Sara usiadła na rękach, co przyniosło jej pewną ulgę. Gospodyni miała rację: drapanie tylko okrutnie zaogni rany... Ale trudno było się powstrzymać.

Polly wróciła z podwórza, wpuszczając chmurę świeżego powietrza, z różowymi policzkami i niewinnym wzrokiem, jakby jej zdaniem pracowała cały dzień tak wytrwale, jak tylko można było od niej wymagać. Usiadła przy stole, chwyciła swój nóż i łyżkę, a potem odłożyła je z powrotem, kiedy pan Hill wymownie skinął siwą głową na swe złączone dłonie. Sara i pani Hill również złożyły ręce i razem z nim poczęły szeptać modlitwę. Kiedy pan Hill skończył, dało się słyszeć już tylko brzęk sztućców, pod którymi salceson drżał i falował.

– Poszedł na górę, pani Hill? – zapytała Sara.

Gospodyni nawet nie uniosła wzroku.

– Mhm?

– Handlarz. Jest na górze z panienkami? Spodziewałam się zobaczyć go już na dole.

Pani Hill zmarszczyła niecierpliwie brwi i nałożyła porcję galaretki na talerz męża, a potem kolejną dla Sary.

– Słucham?
– Zdawało jej się, że widzi wędrownego handlarza –
wyjaśniła Polly.

– Naprawdę go widziałam!
– Nieprawda. Po prostu chciałaś go zobaczyć.

Pan Hill spojrział znad talerza, zwracając swe blade oczy raz ku jednej, raz ku drugiej pokojówce. Sara ucichła i zaczęła grzebać widelcem w marynowanym salcesonie. Polly uznała to za zwycięstwo i cała się rozpromieniła. Pan Hill ponownie utkwiał wzrok w talerzu.

– Państwo nie mają żadnych gości – stwierdziła pani Hill. –
A przynajmniej od czasu wizyty pani Long dziś rano.

– Zdawało mi się, że widziałam mężczyznę idącego drogą w
stronę domu.

– Z pewnością chodziło o pomoc na farmie.

Pan Hill podniósł galaretę do ust. Jego szczęka pracowała jak u krowy, żeby jak najlepiej wykorzystała już zęby. Sara starała się tego nie zauważać; tę sztuczkę powtarzała przy każdym posiłku. Chciała powiedzieć, że nie, że to nie mógł być pomocnik z farmy. Widziała go. I słyszała jego cichą, nieznaną melodię. Nie mieściło jej się w głowie, że mogłaby oglądać jednego z tych wychudzonych wałkoni albo powłóczących nogami starców, których spotykało się siedzących na przełazach, z fajkami w bezzębnych ustach.

Miała jednak tyle rozsądku, by nie protestować w obliczu milczenia pana Hilla, humorów pani Hill i przekornego charakteru Polly. Lecz gospodyni, widząc jej rozczarowanie, złagodniała; wyciągnęła rękę i poprawiła pokojówce wystający spod czepka kosmyk.

– Jedz obiad, duszko.

Uśmiech Sary pojawił się i zaraz znikł. Odcięła plasterek salcesonu, posmarowała go musztardą i chrzanem, skropiła czarnym masłem[2], na wierzch dokładając marynowany orzech, a potem wszystko wsunęła do ust. Zaczęła przeżuwać. Danie było miękkie i galaretowate, z rozpuszczającymi się kawałkami

móżdżka, długimi paskami policzków i niespodziewanie chrupkami drobinami. Przełknęła i popiła kęs potężnym łykiem piwa. Jediną zaletą dzisiejszego dnia było to, że niedługo dobiegnie końca.

Po obiedzie razem z Polly i panią Hill siedziały w ciszy, zbyt zmęczone, by oddać się rozmowie, i podawały sobie garnek z gęsim sadłem. Sara wygrzebała białawą grudkę i rozgniotła ją między palcami. Wmasowała tłuszcz w piekące dłonie, a potem rozprostowała palce i zgięła je na powrót. Chociaż wciąż bolały, skórze wróciła jędrność i przestała pękać.

Pan Hill z dobroci serca pozmywał po obiedzie. Z komórki dobiegały odgłosy chlapania wody, szczękania i szorowania. Pani Hill skrzywiła się, rozmyślając z niepokojem o porcelanie.

Później w bibliotece zabrzączał dzwonek, gdy pan B. zażyczył sobie kawałek ciasta do wina Madeira, budząc przy tym pana Hilla, który z marsową miną ruszył na górę. Jakąś godzinę później jego żona zabrała talerz z okruchami i brudny kieliszek, a Sara uprzątnęła po kolacji panienek, znosząc naczynia na błyszczącej tacy. I to wszystko. Podczas opierunku brudna porcelana może czekać na wodę do następnego dnia. W te dni Sara cierpi też na brak uwagi, niezbędnej do lektury ostatniej pożyczonej od pana B. książki. Zamiast tego sięga po stary numer gazety i czyta na głos, ze względu na panią Hill, wieści sprzed trzech dni, z papieru miękkiego od składania i rozkładania, druku rozmazanego przez tłuste paluchy. Dziewczyna czyta cicho – żeby nie przeszkadzać pogrążonemu we śnie dziecku i zmęczonemu staruszkowi – o nowej nadziei na prędkie zwycięstwo w Hiszpanii i o Napoleonie, który został zmuszony do kroku w tył i wkrótce wojsko zacznie deptać mu po piętach, co sprawia, że Sarze wojna wydaje się czymś na kształt tańca, w którym generałowie łapią się za ręce i kręcą dokoła.

A potem dało się słyszeć jakiś hałas. Sara opuściła gazetę.

– Słyszała to pani?

– Hmm? – zapytała pani Hill, już na krawędzi snu. –

Słucham?

– Jakiś hałas na zewnątrz. Nie wiem co.

Wtedy ich uszu dobiegło ciche rżenie, a po chwili odgłosy niespokojnych koni, obijających się o ściany boksów.

– Zdaje się, że ktoś tam jest. – Sara odłożyła gazetę i podniosła główkę śpiącej Polly ze swoich kolan.

– To nic takiego – stwierdziła pani Hill.

Polly wyprostowała się, wciąż w trzech czwartych pogrążona we śnie. Pan Hill mruknął, zamrugał, a potem nagle się podniósł, pocierając brodę.

– Cóż to?

– Zdawało mi się, że coś słyszałam.

Przez chwilę wszyscy nasłuchiwali.

– To z pewnością Cyganie... – zaczęła Sara.

– Czego by tu chcieli Cyganie? – zdziwił się pan Hill.

– Cóż, koni zapewne.

– Cyganie znają się na koniach, nie zdobyliby się na to.

Znowu nasłuchiwali. Polly oparła głowę o ramię Sary, zamykając oczy.

– To pewnie szczur – uznała pani Hill. – Kot się nim zajmie.

Sara pokiwała głową, ale wciąż bacznie słuchała. Oddech Polly na powrót się wyrównał, a ciało straciło całe napięcie.

– Dobrze – stwierdziła Sara. – W takim razie: do łóżka.

Kiedy dziewczyna wyplątała tasiemki z gorsetu, światło księżycy sączyło się spod cienkiego splotu zasłon. Rozsunęła je, ubrana w samą koszulę, i wyjrzała na podwórze, na żółty księżyc w pełni, wiszący nad stajniami. Wszystko było widać wyraźnie, niemal jak za dnia. Budynki stały pogrążone w ciszy, w oknach mrok; ani śladu ruchu. Z pewnością żadnych Cyganów ani nawet czmychającego szczura.

A może to handlarz? Może skrył się tam na noc, by uciec o świcie, zanim ktokolwiek się zorientuje? Ruszy na rynek albo do miasta, żeby napełnić pustą torbę. Ach, cóż to za szczególne życie: nigdy nie zatrzymywać się dłużej niż wedle chęci, wędrować po wąskich ścieżkach i szerokich miejskich drogach, może nawet aż do samego morza! Jutro, kto wie, może dotrze do Stevenage albo i

Londynu.

Płomień świecy migotał w przeciągu. Sara zgasła ją, opuściła zasłony i położyła się do łóżka, czując ciepło śpiącej Polly. Leżała, spoglądając na skryte za kotarą okno: nie zmruży nawet oka, nie tej nocy. Nie miała co do tego wątpliwości. W końcu księżyc świecił jasno, a handlarz wciąż mógł się chować na podwórzu. Jednak wkrótce, gdy zegar wybijał już jedenastą, młoda i zmęczona ciężką pracą od czwartej rano dziewczyna oddychała cicho, pogrążona we śnie.



-
- [1] Pochodząca z francuskiego nazwa koloru bladozielonożółtego. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.
[2] Sos z przyrumienionego masła, octu i soku z cytryny.

Rozdział II

Wszystko co ma jakikolwiek związek

z przewrotnością, jest godne potępienia.

Mieli szczęście, że udało im się go zatrudnić. Właśnie to powiedział pan B., składając gazetę, by odłożyć ją na bok. W czasie, gdy w Hiszpanii trwała wojna i tak wielu młodzieńców szło do marynarki, zwyczajnie brakowało mężczyzn.

– Brakuje mężczyzn? – powtórzyła Lydia, z niepokojem przyglądając się twarzom sióstr: Czyż może być to prawdą? W Anglii brakowało mężczyzn?

Jej ojciec wznosił oczy do nieba; tymczasem Sara spojrzała na panią Hill ze zdumieniem: nowy służący! I to mężczyzna! Dlaczego nie wspomniała o tym wcześniej? Pani Hill, przyciskając dzbanek z kawą do brzucha, odpowiedziała równie zdumionym spojrzeniem i pokręciła głową: ciii! Nic nie wiem, a tobie nie wolno powiedzieć choćby słowa! Dlatego Sara tylko skinęła nieznacznie głową, zasznurowała usta i na powrót skupiła uwagę na stole, posłusznie podając półmisek zimnej szynki. Wszystko wyjaśni się w swoim czasie, teraz lepiej nie zadawać pytań. Właściwie to nie wolno jej było mówić w ogóle, o ile nikt nie zwrócił się do niej bezpośrednio. Zamiast tego należało udawać głuchą jak pień i niezdolną do formułowania własnych opinii.

Pani Mary sięgnęła po szpikulec i nadziała nań kawałek szynki.

– Tatusz nie ma na myśli twoich adoratorów, Lydio. Prawda, tatusiu?

Przesuwając się tak, by pani Hill mogła nalać mu kawy, pan B. odpowiedział, że w istocie nie o nich mu chodziło: tych wydawało się pod dostatkiem. Jednak pracowników faktycznie brakowało i dlatego też przystał na tę propozycję od razu – mówiąc to, zerknął skruszony na panią Hill, która minęła go i zaczęła nalewać kawy jego małżonce – chociaż daleko jeszcze do świętego Michała, a wtedy to zwyczajowo zatrudnia się i zwalnia służących.

– Nie ma pani nic przeciwko temu pośpiechowi, pani Hill?

– Rzeczywiście miło to słyszeć, proszę pana, jeśli to porządny człowiek.

– Nie mam co do tego wątpliwości, pani Hill.

– Któż to, tatusiu? Pochodzi ze wsi? Znamy jego rodzinę?

Pan B. uniósł filiżankę, a następnie odrzekł:

– To uczciwy młody człowiek z dobrej rodziny. Mam o nim jak najlepsze zdanie.

– A ja jestem rada, że będzie nas woził miły młodzieniec – oznajmiła Lydia – bo kiedy pan Hill siedzi na powozie, zawsze wydaje się trenowaną małpką, którą żeśmy ogoliły i odziały w kapelusz.

Pani Hill odsunęła się od stołu i odstawiła dzbanek z kawą na bufet.

– Lydio! – wykrzyknęły jednocześnie Jane i Elizabeth.

– Cóż takiego powiedziałam? Przecież to prawda. Wygląda jak ta, którą siostra pani Long zabrała ze sobą z Londynu.

Pani Hill spojrzała w dół na talerz z błękitnym motywem, pusty, choć umazany jajkiem. Troje maleńkich ludzi nadal przechodziło przez maleńki mostek, a maleńka łódka płynęła po porcelanowym morzu jak skorek; nic tam się nie zmieniało, trwał niczym niezmacony spokój. Panienska Lydia nie chciała nikomu sprawić przykrości, jak zawsze. A jej słowa, choć nieprzemyślane, były prawdziwe: panienski przyjmą zmianę z radością. Pan Hill nagle stał się bardzo stary. Ostatnia zima dała mu się we znaki: długie podróże, długie noce, gdy panienski tańczyły albo grały w karty... Pan Hill przemarzał do szpiku kości i po powrocie całe

godziny drżał przy kominku, ciężko dysząc. Zbliżające się przyjęcia i bale tegorocznej zimy mogłyby go całkiem wykończyć. Miły młodzieniec, który zajmie się powozem i otoczeniem domu, przyniesie korzyść wszystkim.

Kiedy pani Bennet usłyszała wieści, zaczęła opowiadać mężowi i córkom, jak to najlepsze domy zatrudniają wyłącznie mężczyzn do obsługi rodziny i gości, ponieważ wszyscy doskonale wiedzą, że są najdrożsi, dlatego że ich silne ręce potrzebne są do pracy na roli i na wojnie. Gdy wieść się rozniesie, że u Bennetów teraz otwiera drzwi i służy przy stole bystry młodzieniec, w sąsiedztwie nie będzie się mówić o niczym innym.

– Niewątpliwie nasze córki będą ci niezmiernie wdzięczne, drogi mężu, za tę szczególną dla nas łaskę. Jesteś taki uprzejmy! A jakże się ten młody człowiek zowie?

– Ma na imię James – wyjaśnił pan Bennet. – Nazwisko zaś bardzo pospolite. Zwą go Smith.

– James Smith.

Słowa te, niewiele głośniejsze od szeptu, wymówiła pani Hill. Jane upiła łyk kawy z filiżanki; Elizabeth uniosła brwi, ale nie odwróciła wzroku od talerza. Pani B. spojrzała prosto na swoją gospodynię.

Sara zauważyła, jak na szyi pani Hill pojawia się rumieniec. Jakże przedziwna to chwila, w której gospodyni się zapomniała! A potem pan B. przełknął i chrząknął, przerywając ciszę.

– Jak już mówiłem, to dość częste nazwisko. Musiałem działać z pewnym pośpiechem, żeby mnie nikt nie ubiegł, dlatego nie została pani poinformowana wcześniej, pani Hill. W innym wypadku skonsultowałbym się z panią przed podjęciem decyzji.

Zaróżowiona gospodyni pokiwała głową.

– A ponieważ stryszek okupowany jest przez panią, pani małżonka i pokojówki, powiedziałem mu, by spał nad boksami koni. Pozostałe kwestie, związane z prowadzeniem domu, pozostawiam pani.

– Dziękuję, proszę pana – szepnęła.

– Cóż. – Pan B. wyprostował gazetę i wrócił do lektury. – To

wszystko w takim razie. Cieszę się, że sprawa załatwiona.

– Oczywiście – powiedziała pani B. – Czyż nie powtarza pani ciągle, że potrzebuje jeszcze jednej pary rąk do pracy? Czyż nie będzie to dla pani ulga? O, z pewnością będzie to ulga dla was wszystkich.

Pani domu wskazała na Sarę machnięciem swej pulchnej dłoni, a potem zwróciła ją ku dalszym obszarom domu, mając na myśli resztę służących: pana Hilla siedzącego w kuchni i Polly, która w tej chwili schodziła na dół z mokrymi ręcznikami i marsową miną.

– Niewątpliwie bardzo jesteście panu Bennetowi wdzięczni za jego wspaniałomyślność.

– Dziękujemy, proszę pana – powiedziała Sara.

Słowa te, choć wypowiedziane cicho, sprawiły, że spojrzała na nią pani Hill; przez chwilę patrzyły sobie w oczy.

– Dziękujemy, proszę pana – powtórzyła gospodyni.

Pani Bennet dołożyła kolejną łyżeczkę dżemu na kawałek posmarowanej masłem bułeczki, a potem włożyła ją do ust i przeżuła dwukrotnie. Odezwała się z pełną buzią:

– To wszystko, pani Hill.

Pan B. uniósł wzrok znad gazety i zerknął na swoją żonę, a potem na gospodynię.

– Tak, dziękujemy, pani Hill – powiedział. – W tej chwili to już wszystko.



Rozdział III

Po ślubie pana Benneta liczenie się z pieniędzmi

uważane było za rzecz niepotrzebną...

Sara zniosła nocnik z pokoju państwa Bennetów, przechodząc na ukos przez podest w stronę wąskich, tylnych schodów, zachowując przy tym ostrożność i odwracając głowę od trzymanego przedmiotu. Dzięki Bogu, miała do czynienia tylko z płynnymi nocnymi nieczystościami, a nie strasznymi grudami.

Pogoda od rana nie dopisywała, a zatrzymane przez ulewę panienki napełniały dom zgiełkiem. Z piętra dochodziły odgłosy ćwiczącej grę na klawikordzie Mary – dla niewprawnego ucha Sary brzmiało to raczej przyjemnie: dużo nut następujących po sobie szybko, a przy tym większość wydawała się prawidłowa – śmiech Lydii, dudnienie kroków, a potem gniewny krzyk Kitty – za dużo ludzi w domu! Po prostu za dużo! – a następnie prośby Elizabeth o spokój i pojednawczy ton Jane, po którym, przynajmniej na chwilę, zapanowała cisza. Jane jak zwykle łagodziła wszelkie waśnie; dziewczyna naprawdę miała gołębie serce.

Sara zeszła na parter i minęła otwarte drzwi na korytarz, gdzie usłyszała dochodzący z biblioteki cichy pomruk pana B. Często mówił sam do siebie albo do swojej książki. Tylko w ten sposób, jak twierdził, mógł w tym domu przeprowadzić rozmowę na poziomie.

Tuż za progiem Sara zatrzymała się w pół kroku: do jej uszu dobiegł inny głos. Zupełnie jakby książka, do której pan

przemawiał, nagle odpowiedziała. Głos należał do kobiety i był przyciszony, dlatego Sara nie mogła rozróżnić słów, ale z miejsca rozpoznała ich autorkę – panią Hill, która nie przestawała mówić.

Dziewczyna cofnęła się o krok i spojrzała na korytarz. Drzwi do biblioteki były zamknięte. Błyszczące drewno, wypolerowana mosiężna gałka: wszystko znajdowało się na swoim miejscu i wyglądało jak zawsze. A jednak drzwi wydawały się wyjątkowo ostentacyjnie zamknięte.

Nocnik zaczął ciążyć jej w rękach. Sara usłyszała szumiący na zewnątrz deszcz, przeciekające rynny i panią Hill, która wciąż mówiła cicho, nagłaco, natarczywie, choć słowa przekornie pozostawały niejasne. Podśluchiwanie uznawano za ciężki grzech; pani Hill podkreślała to wyraźnie, przyuczając Sarę i Polly, jednak teraz zaintrygowana dziewczyna nie mogła już wytrzymać z ciekawości. W końcu odstawiła nocnik na gołe deski, cichutko wyślizgnęła się z przejścia dla służby i zaczęła skradać się wzdłuż głównego korytarza, wstrzymując oddech.

Nasłuchiwała, przyciskając dłoń do chłodnego drewna drzwi biblioteki. Mimo to nadal nie potrafiła rozróżnić słów; wiedziała jedynie, że prowadzi się tam rozmowę, więc to nie było prawdziwe podśluchiwanie, prawda? Pani Hill wciąż mówiła i mówiła, a im dłużej mówiła, tym dziwniejszy wydawał się sam fakt, że wciąż mówi. Pan B. chętnie pożyczy książkę, ale nie chce wysłuchiwać opinii o niej. Podziękuje za wykonaną pracę, ale nawet nie spojrzy w oczy. Dlaczego pani Hill miała mu tak wiele do powiedzenia, a – co wydawało się szczególnie niepojęte – pan B. jeszcze jej nie przerwał?

I nagle coś się zmieniło. Trzy słowa pana Benneta padły z hukiem, niczym ciężkie kamienie: „Może pani odejść”, jak domyślała się Sara. Pomknęła na palcach z powrotem, wślizgując się przez otwarte drzwi dla służby. Z tłukącym się w piersi sercem kucnęła, by podnieść nocnik, a później obejrzała się w stronę, z której przyszła. Jednak pani Hill się nie pojawiła. To, co zaszło w bibliotece, przywodziło na myśl popsute piwo imbirowe – chwilę, kiedy korek butelki puszczał, a ze środka uciekała pieniąca się

zawartość, aż rozlało się to, co rozlać się miało: potok słów pani Hill. Sara szerzej otworzyła oczy. Jak mogła mówić z takim gniewem? Jak mogła się na to ważyć?

Właśnie wtedy – Sara musiała zacisnąć mocniej dłonie, bo omal nie upuściła nocnika – pan Bennet zamiast zwyczajnie odesłać panią Hill, zaczął mówić głośniejszym głosem, a potem doszło do jakiegoś zamieszania, głosy najpierw stały się bardziej piskliwe i donośne, by nagle ucichnąć i ustąpić nerwowym szeptom, które miały równie gwałtowny koniec – zostały ucięte niczym kawałek sznurka. Sara usłyszała dudnienie kroków, a potem szelest i odgłos przekręcanego gałka. Dziewczyna zdążyła już jednak uciec przez boczne drzwi i właśnie je za sobą zamykała, by stawić czoła deszczowi. Nie widziała, jak pani Hill wychodzi z biblioteki, zatrzaskuje za sobą drzwi i stoi przez chwilę w miejscu, by się uspokoić; jej pierś gwałtownie unosiła się i opadała, walcząc z ciasnym gorsetem.

Kiedy Sara oddalała się od domu, do jej uszu wciąż dobiegały ćwiczenia muzyczne Mary i kolejna sprzeczka między Kitty a Lydią; chwilę później Jane i Lizzy raz jeszcze interweniowały. Sara w ulewnym deszczu przeszła po żwirze i otworzyła drzwi do wychodka, a potem, czując smród, wychyliła się, żeby wylać zawartość nocnika do jednej z dziur, do obrzydliwego dołu znajdującego się poniżej. Wszystko było takie jak zawsze, a jednak w jakiś sposób inne.

Siedmioletnia Sara, samiuteńka na świecie i ze złamanym sercem, zamrugła, patrząc w górę na panią Hill: silną kobietę w czystym fartuchu, białym czepku i z ogromną kuchnią. Gospodyni popędzała nadzorcę parafialnego, a potem zatrzasnęła za nim drzwi i powiedziała, że to lis, który musi pilnować swoich kur. Następnie postawiła przy stole taboret dla Sary, wyjęła piękną, porcelanową miseczkę z niebieskim brzegiem, wypełnioną chlebem maczanym w mleku, i posypała wierzch odrobiną cukru. Usiadła, przyglądając się, jak Sara je. Cała nieśmiałość uleciała i sierota prosto z przytułku opróżniła naczynie migiem. Dlatego też pani Hill, cmokając i kręcąc głową nad niegodziwością, jaką było

głodzenie tych biednych dzieci, sięgnęła po miskę i ponownie napełniła ją smacznym chlebem i słodkim, gęstym mlekiem, a potem postawiła ją przed Sarą i raz jeszcze zeskrobała na wierzchu trochę cukru.

I właśnie za tę drugą miskę z chlebem i mlekiem, posypane cukrem, a także za całą serdeczność, jaką okazała później jej i Polly (z oczami jak spodki i głodnej, zupełnie jak wówczas Sara), pani Hill zasługiwała na coś więcej.

Nieważne, czy to grzech, czy nie. Sara wiedziała, że nigdy już nie będzie podsłuchiwać. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć.



Rozdział IV

Wejście lokaja z bilecikiem...

Z zamyślenia wyrwały Sarę odgłosy przesuwanych mebli, skrzypiącego na kamieniach drewna i towarzyszącego temu wszystkiemu pogwizdywania. Deszcz już ustał, a nowy służący opróżniał poddasze stajni. Melodia wydawała się znajoma, ale nie potrafiła jej rozpoznać. Rozpraszała ją niczym latająca wokół głowy ćma.

Jej zadanie nie wymagało zresztą szczególnej uwagi. Stała właśnie przy łupkowym zlewie w komórce z rękami zanurzonymi po łokcie; nad główną wanienką unosiła się para, z kranu kapało, a woda do zmywania stała się szara, zimna i tłusta. Polly wytarła już cały stos talerzy i poszła z nimi do kuchni; Sara słyszała, jak dziewczynka przystawia taboret, potem wspina się na niego, żeby sięgnąć do półki i odłożyć naczynia. I przez cały ten czas Sara potrafiła myśleć tylko o służącym na podwórzu.

Niewielkie miała doświadczenie z mężczyznami. Jeśli chodzi o pana Hilla, to trzymała się od niego z dala: był stary i zmęczony, a do tego w żaden sposób nie potrafił jej zainteresować. Z panem B. również mało miała do czynienia, jego obecność bowiem ograniczała się do sfery fizycznej. Sara nie zbliżała się do pracowników farmy; uprzejmiej było ignorować ich całkowicie – wystarczyło któregoś z nich pozdrowić, by zaraz oblał się rumieńcem, zaczął mamrotać coś pod nosem i wycierać dłonie o portki, patrząc daleko na pola, jakby dojrzał na horyzoncie rzecz niezmiernie interesującą.

Patelnia do jajek opadła na dno. Sara obserwowała, jak tłuszcz bieli się i unosi. Jane doskonale radziła sobie z

mężczyznami – z *dzentelmenami*. Jeden z nich nawet napisał dla niej kilka wierszy. Jak skłonić mężczyznę do czegoś takiego?

Cóż, Jane potrafiła ładnie usiąść i się uśmiechnąć, słuchała z pochyłoną nieznacznie głową, odpowiadała uprzejmie i zawsze wydawała się zadowolona z rozmowy, a kiedy ktoś poprosił ją do tańca, nie odmawiała. Jednak Jane była niezwykle urocza – właściwie nawet piękna – i miała do czynienia z *dzentelmenami*. Zwyczajna dziewczyna, pomyślała Sara, taka jak ona, wiele by ryzykowała, prezentując tego rodzaju podejście – prostowanie się, uśmiechy, pochylenie głowy – przy zwyczajnym mężczyźnie. Tylko dzentelmen dysponował czasem niezbędnym do tego, by na wydobywanie kobiety z jej własnej skorupy poświęcić długie godziny.

Sara spojrzała na swoje obolałe, spierzchnięte palce i beładnie zwisające fałdy spódnicy w kolorze żółci. Uniosła dłonie, by je powąchać: tłuszcz, cebula i mydło kuchenne. Właśnie taki zapach zawsze jej towarzyszył, o ile nie jeszcze gorszy. Sara wątpiła, by miała w sobie choć trochę uroku; wręcz przeciwnie.

Podniosła rondel od szynki i zanurzyła go w wodzie. Pojawiły się bąbelki; powędrowały wzdłuż miedzianych boków.

– Te już gotowe? – zapytała Polly.

– Tak, możesz je zabrać.

Elizabeth była inna, bardziej żywa w kontakcie z mężczyznami. Sara zaobserwowała to w czasie obiadów i kolacji połączonych z grą w karty, kiedy rozdawała kanapki z anchois. Elizabeth nigdy nie brakowało tego, jak oni to nazywają, dowcipu. Mówiła z błyszczącymi oczami, szybko i uroczo, przyprawiając młodzieńców o rumieńce i jąkanie, a w starszych wywołując żal, że nie są o połowę młodszy i nie mają choć trochę bardziej błyskotliwego umysłu.

Sara obgryzła resztkę paznokcia. Wszystko to było dla niej nieosiągalne.

Lydię i Kitty – Sara tylko czasami, wysiłkiem woli, uznawała je za oddzielne byty, zamiast tego chętnie widziałyby je jako podwójne stworzenie z czterema parami członków, dwiema

głowami, owinięte w sukienki i wstążki – Kitty i Lydię zawsze otaczali mężczyźni. Tu odrzuciły loczek, tam spojrzały prosto w oczy; wcale nietrudno było je naśladować – i Sara naśladowała je teraz, gdy nikt jej nie widział. Rzucały się na każdego kawalera, na którego natrafiały, czemu sprzyjały hałaśliwe wieczorki z kartami i tańce. Ich podejście wymagało tylko entuzjazmu, odwagi i poczucia własnej wartości. Ale czy czemukolwiek służyło? Żaden mężczyzna, dżentelmen czy też nie, nie związałby się chętnie z kobietą, która flirtowała z każdym, kto jej się napatoczył.

Sara podniosła miedziany ronderek na mleko, przechyliła go i patrzyła, jak jej odbicie wiję się po ścianie: szeroka głowa, zwężające się ciało; wybrzuszone ciało, skurczona głowa. Przysunęła naczynie bliżej i przyjrzała się sobie. Niewiele przyjdzie z robienia z siebie widowiska, kiedy się wygląda jak wymięty gałganek.

Nie mogła też wzorować się na Mary, wciąż jeszcze nieopierzonym pisklęciu.

W takim razie państwo B. Małżeńska miłość... ale na nic jej się zda ów wzór. Pani ani trochę nie rozumie swojego męża: upiera się przy bezpośrednim sporze, podczas gdy wszyscy inni wiedzą, że w jego przypadku lepiej obrać bardziej okrężną drogę.

Jeśli już ma zrozumieć zależności między płciami, lepiej za wzór obrać Hillów. Pani Hill odnosiła się do męża ze spokojem i łagodnością, a pan Hill zawsze darzył małżonkę poważaniem, polegając na niej we wszelkich kwestiach materialnych, a oprócz tego wymagał od innych okazywania jej szacunku. Często złośliwie złościli na Sarę, ale nigdy na siebie nawzajem. Może tak to właśnie wygląda, gdy się jest małżeństwem od wieków: tafla jeziora zastyga w bezruchu i braku namiętności.

Sara zdała sobie sprawę, że została sama, zupełnie pozbawiona wzoru do naśladowania.

Najlepszym wyjściem, jakie przyszło jej do głowy – i zarazem przyjemnie prostym – było okazywanie odpowiednich manier. Być uprzejmą, grzeczną i serdeczną; naturalna grzeczność zawsze uważana jest za najlepszą – tak usłyszała raz z ust panienki

Elizabeth.

Dlatego powie „Dzień dobry”. To powinien być dobry początek.

Wytarła zaparowane okno i wyjrzała. Po ulewie słońce wisiało nisko i świeciło złociście, odbijając się od mokrych kamieni. Wtedy go zauważyła. Był średniego wzrostu i żyłasty, a w pracy poruszał się z przyjemną dla oka żywotnością. Jego koszula, jak się wydawało Sarze, kiedyś była biała, ale teraz poszarzała od długiego noszenia. Długie ciemne włosy miał związane w kucyk. Na wszystko to Sara patrzyła z rosnącą przyjemnością.

– Polly! – zawołała. – Polly, chodź, zobacz.

Polly zeszła po schodach z kuchni, wycierając ręce. Obie oparły się o zlew i wyjrzały przez okno w miejscu, z którego Sara pozbyła się pary.

– O mój...

Sara objęła Polly w pasie. Dziewczynka położyła głowę na jej ramieniu.

– Tę jedną rzecz – pokazała Sara – od tej pory będziemy miały z głowy.

Patrzyły z cichym zadowoleniem, jak nowy służący zamiatał podwórze.

Kiedy Sara – poprawiwszy czepek, poszczypawszy się w policzki i otarłszy zęby rąbkiem fartucha – wyszła na zewnątrz, żeby nakarmić kury, słyszała, jak chodził po poddaszu stajni. Czy mogłaby wejść do środka i zawołać „Dzień dobry”? Mógłby wtedy na nią spojrzeć, a nawet zejść po drabinie, po czym ona podziękowałaby mu za ciężką pracę, a on musiałby na to odpowiedzieć i niewątpliwie prowadziliby w ten sposób prawdziwą rozmowę! Ale oto z domu wyszła pani Hill; Sara spojrzała w dół na miskę z resztkami z obiadu, a potem na gospodynię. Nie potrafiła znaleźć usprawiedliwienia dla swojej obecności na podwórzu. Pani Hill jednak miała głowę zaprzątniętą czymś innym i nie zwróciła najmniejszej uwagi na guzdranie się Sary. Przez ramię przewiesiła stare ubrania i ciągnęła za sobą

drewnianą suszarkę do bielizny. Postawiła ją, a potem zajęła się trzepaniem kijkami.

– Może pomóc, pani Hill?

– Poradzę sobie, Saro.

Gospodyni położyła ubrania na kamiennej ławeczce, a potem ze szczytu sterty podniosła kurtkę. Strzepnęła ją i obejrzała dokładnie. Znowu ją podrzuciła i zawiesiła na górnym szczebelku suszarki. Spojrzawszy na wciąż stojącą w miejscu Sarę, powiedziała:

– Kurczęta pewnie są głodne. Rusz się.

Przez resztę ranka Sara ciągle kręciła się po podwórzu. Nowy służący musiał wreszcie wyjść ze stajni, pomyślała; nie może tam tkwić przez cały dzień, a jak już się pojawi, ona powie „Dzień dobry”, a on odpowie tym samym. Wtedy ona podziękuje za pozamiatanie podwórza i usłyszy „Nie ma za co”, a dalej wszystko potoczy się samo.

Ale nawet jeśli wyszedł w końcu koło południa, przegapiła ten moment. Poczula jednak zapach świeżego wapna do bielienia ścian i od czasu do czasu słyszała jego pogwizdywanie.

Popołudnie wlokło się niemiłosiernie. Sara miała nadzieję, że nowy służący przyjdzie do kuchni poprosić o filiżankę herbaty. Zastanawiała się, czy powinna mu ją zanieść, ale wtedy musiałyby poprosić panią Hill o przygotowanie naparu, a prace nad obiadem szły pełną parą i gospodyni nie spodobałaby się sugestii rzucenia wszystkiego tylko po to, by nastawić czajnik.

Sara kroila koper. Czula jego wyraźny, słodkoanyżowy zapach. Zagryzła wargi, rozmyślając o herbacie; pani Hill właśnie patroszyła karpia, a kot ocierał się o jej kostki. Polly dmuchała miechem, obserwując rozniecający się ogień i iskry. Słyszały dudnienie kroków pana Hilla, dochodzące z piwnicy pod nimi, gdzie właśnie wybierał wino. Pani Hill podniosła nóż i zaczęła zeszkrobywać mlecznosrebrne łuski z ryby. Potem zamarła.

– Jabłecznik!

– Jabłecznik?

– Zupełnie o nim zapomniałam!

– Myślałam, że mamy upiec ciasto z agrestem...?

Sara widziała, jak poprzedniego wieczoru przygotowywana była masa; sama zresztą przyszykowała agrest, a potem patrzyła, jak pani Hill kruszy na niego cukier.

Gospodyni machnęła przesiąkniętą rybim zapachem ręką.

– Miał być jabłecznik, zupełnie zapomniałam.

– I co teraz?

– Biegnij nazbierać jabłek, a ja zagniotę ciasto.

Sara już zdążyła wstać i ruszyć do drzwi, zanim Polly zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, i zawołać, że poleci do sadu zamiast Sary.

– Ilu potrzebujemy?

Pani Hill spojrzała na własne zaciśnięte palce i po kolei je rozprostowywała, próbując liczyć. Dłonie były zaczerwienione i spuchnięte, do tego śliskie od rybiego tłuszczu. Ich stan musiał rozpraszać gospodynię, bo kalkulacje wyraźnie szły jej bardzo opornie.

– Po prostu napełnij tamten koszyk pippinami, dobrze się je piecze i już dojrzały. Będą się nadawać.

Sara odwiązała fartuch i złapała koszyk, stojący na najniższej półce przy drzwiach. Była już jedną nogą za progiem, kiedy gospodyni zawołała za nią:

– Dziękuję ci, kochana! Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje.

Z koszykiem na ramieniu Sara wymknęła się z pogrążonej w chaosie kuchni i wyszła na jesienny chłód. Powłokła się drogą przy stajni; w powietrzu czuć było kurz i zapach świeżego wapna. Górna połowa drzwi była otwarta. Wnętrze zdawało się ciepłe; zauważyła błyszczący bok kasztanowej klaczy i promienie słońca, wpadające przez wysokie okno. Wciąż jednak ani śladu nowego służącego.

Każdy krok stawiała tak wolno, jak tylko potrafiła. Mężczyzna wciąż nie wychodził.

Drabina nadal stała oparta o jabłoń. Sara wspięła się po niej, a potem wyciągała się, z głową i ramionami pośród gałęzi, żeby

sięgnąć po dorodne owoce, łapiąc te rosnące najbliżej. Nie przejmowała się dojrzałością i wielkością. Gdy w koszyku zabrakło już miejsca, zeszła z drabiny, podciągając spódnicę. Pośpieszyła z powrotem do domu, wieszając koszyk na zgiętej ręce i przyciskając go do siebie. Jabłka może trochę się obijają, ale z pewnością nie wypadną.

Sara popędziła wzdłuż ściany stajni, z nadzieją myśląc o przyszłości; koszyk obijał się jej o uda. W tym samym czasie nowy służący szedł wzdłuż frontu budynku, popychając wózek pełen ciężkiego ładunku. Spotkali się, wychodząc za róg z przeciwnych kierunków: kąt wózka uderzył Sarę w pieszczel; ścisnęła mocniej koszyk, a mężczyzna się zatoczył, trzymając rączki wózka.

Stali twarzą w twarz. Ona otworzyła szeroko oczy i rozchyliła usta. Jego włosy były zmierzwione. Między nimi wiezione przez niego śmierdzące łajno parowało nieznacznie w jesiennym chłodzie.

– Przepraszam! – powiedziała.

Odsunął wózek, a potem odgarnął włosy z czoła. Skóra mężczyzny miała kolor herbaty, a oczy wyglądały jak jasne orzechy i odbijały się w nich promienie słońca. Spojrzał w dół na jej spódnicę, na miejsce, w które ją uderzył.

– Boli?

Zagryzła wargę, pokręciła głową. Naprawdę bolało.

– Nie zauważyłem cię...

– Powinieneś zachować większą ostrożność. – Czują, jak coś ciepłego ścieka po jej łydce. – Omal nie upuściłam jabłek.

– Ach, tak – powiedział. – Widzę. Jabłka.

– Cóż, powinieneś już...

– Jeśli nic ci się nie stało... – Ruchem głowy wskazał kierunek. – Do kuchennego ogrodu tamtędy?

Przytaknęła. Służący wycofał wózek jeszcze kawałek, a potem wyminął Sarę.

– W takim razie idę. Dziękuję.

A potem odszedł, pchając rozklekotany wózek po ścieżce, a potem za zakręt, z wiszącą luźno kamizelką, bryczesami

zebranych w pasie jak worek mąki i jedną podeszwą buta oderwaną w połowie. A więc tak wyglądał ten „uczciwy młody człowiek”. Szczególna zaleta domu.

Sara nie widziała w nim żadnych szczególnych zalet.

– Dobrego dnia i tobie! – zawołała za nim.

Goleń Sary była zakrwawiona; czerwień przesączała się przez jej czarne wełniane pończochy. Nie tyle skaleczenie, co pęknięta skóra, cała sina i zakrwawiona. Jej pończocha jednak nie została rozerwana, z czego nie do końca się cieszyła. Gdyby materiał się porwał, dziewczyna mogłaby się przynajmniej poważnie gniewać. Spojrzała w dół na spódnicę.

– Wreszcie poznałam nowego służącego, pani Hill – powiedziała.

– Tak? – Gospodyni, z kropelkami potu na czole, właśnie łączyła smalec z mąką, ale na moment przerwała pracę. – Miły chłopak, nieprawdaż?

– Wjechał we mnie wózkiem pełnym łajna.

– A czyżbyś przypadkiem nie biegła?

– Potrzebowała pani jabłek, więc może i biegłam. – Spojrzała znacząco na goleń. – Zranił mnie w nogę.

– Mogłabyś dokończyć obieranie?

– Naprawdę boli.

– Och, cóż za nieszczęście. – Pani Hill nawet się nie obejrzała.

– Myślę, że całkiem mi odpadnie.

– Och, prawdziwe nieszczęście.

– Trzyma się tylko na kawałku chrząstki.

– Cóż, trudno.

Sara wstała i podeszła do kuchennego stołu, teatralnie kuśtykając. Sięgnęła po nóż do obierania. Dopiero wtedy gospodyni na nią spojrzała; dotknęła jej czoła, zostawiając mączny ślad.

– Dobrze się czujesz, Saro?

– Nie. I on też nie. Ma coś z głową. Założę się, że tylko dlatego go dostaliśmy. Tylko dlatego nie pracuje u jakiegoś

hrabiego albo nie walczy na wojnie. Bo nikt inny go nie chciał. Nikt go nie chciał, bo to bęcwał i niezguła, przy którym nikt nie jest bezpieczny!

Gospodyni posłała Sarze ostrzegawcze spojrzenie.

– Cóż...

– Saro! Nawet nie próbuj winić innych za biedę, którą sama na siebie sprowadziłaś.

Dziewczyna podniosła jabłko i wbiła w nie nóż. Odkroiła nierówny kawałek skórki i patrzyła, jak ten pada zwinięty na wyszorowany blat stołu. Wszystko poszło źle. Wcale nie tak miało to wyglądać.



Rozdział V

Jeśli na przykład o mnie chodzi, to wcale nie widzę,

czym Londyn tak znowu góruje nad wsią...

James Smith zawitał do kuchni kilka godzin wcześniej, żeby zaprezentować się pani Hill, zgodnie z życzeniem pana Benneta. Gospodyni posłała mu jedno długie, taksujące spojrzenie. Był chudy, bardzo chudy. Przez skórę, na krawędzi oczodołów widać było czaszkę; dało się zauważyć grzbiet jego żuchwy i stawy przy uszach. Był też brudny: paznokcie czarne, włosy przetłuszczone, a na skórze i ubraniu osiadła warstwa kurzu. Sam strój wyglądał, jakby został ukradziony z kilku różnych miejsc. Mężczyzna miał też brodę. Potarganą i zapuszczoną, ale niewątpliwie brodę. Musiał wędrować już jakiś czas.

– Czym mam się zająć najpierw, proszę pani?

Sięgnęła po czajnik i ruchem głowy wskazała komórkę.

– Trzeba cię doprowadzić do porządku.

Nalała mu gorącej wody do zlewu, a potem puściła zimnej z kranu; podała mężczyźnie kawałek mydła, płócienny ręcznik i grzebień, a potem znalazła brzytwę pana Hilla i wygładziła ją o pas. Na suszarce zostawiła nożyczki, żeby mógł obciąć sobie paznokcie.

W kuchni wyszorowała stół solą i rozstawiła chleb, masło oraz ser, nasłuchując dźwięków z komórki. Gdy służący podwinął rękawy koszuli, dostrzegła, że jego ręce wyglądały jak skrecony sznur: same mięśnie i kości. W dzisiejszych czasach ciężko się wiodło ludziom zmieniającym pracę.

Przygotowawszy stół, usiadła i czekała. Wreszcie chłopak wyszedł z komórki, z włosami wciąż mokrymi i ściekającą za uszami wodą. Broda zniknęła, a skóra pod nią okazała się blada i delikatna. Czuł się skrępowany w ciasnej przestrzeni kuchennej, pełnej przeszkód w postaci taboretów, krzeseł, ceberków, żelazek i patelni; poruszał się niezdarnie.

Najwyraźniej był jednym z tych mężczyzn, którzy nie czują się dobrze wewnątrz domu.

– I co teraz, proszę pani?

Przystawiła dla niego krzesło do stołu. Obrzucił je wzrokiem.

– Usiądź.

Nalała mu filiżankę herbaty, podała dzbanek z mlekiem, a na krawędzi talerzyka położyła bryłkę cukru. Pokroiła chleb i ser, a potem poszła do spizarki, żeby odciąć kilka plasterków szynki. Kiedy wszystko już dla niego przygotowała, on wciąż tylko patrzył na filiżankę; sam napar pozostał nietknięty. Jego usta – zacisnął je i zagryzł – były popękane. Łuszczyły się.

Usiadła naprzeciw niego.

– Nie pijasz herbaty?

– Nie, tylko...

– Wolałbyś samo mleko? – Odsunęła swoje krzesło. – Mamy też piwo. Chciałbyś kufel piwa?

– Nie mam nic przeciwko herbacie, nie w tym rzecz. –

Spojrzenie miał niespokojne; wciąż rozglądał się po pomieszczeniu.

– O co więc chodzi?

– Muszę najpierw na nią zarobić. Zapracować.

– Nie – odpowiedziała. – Nie tutaj. Tutaj najpierw się posilas.

Wtedy spojrział na nią trzeźwiejszym wzrokiem.

– Tutaj zawsze będzie czekać na ciebie jedzenie. Śniadanie, obiad i kolacja. Najpierw posiłek, a potem praca – wyjaśniła. – Nie musisz się już o to martwić.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i uległ przy tym całkowitej zmianie: jego skrępowanie zniknęło, rysy złagodniały i nagle

wydał się młodszy. Sięgnął po okruch cukru i odłożył na bok, a potem uniósł filiżankę do ust.

– Jest pyszna – stwierdził. – Dziękuję.

– Czyżbyś nie lubił cukru?

– Chyba lubię. Ale go nie używam...

Podsunęła mu talerz z szynką, patrząc, jak jego jabłko Adama najpierw opada, a potem się unosi. Wbiła nóż w masło i również postawiła talerzyk bliżej. Posmarował chleb, położył plaster szynki i sera, a potem złożył na pół i ugryzł. Kiedy skończył, gospodyni już miała przyszykowany duży kawałek tarty arburowej i miskę gęstej, żółtej śmietany, z wbitą w nią srebrną łyżeczką.

– Śmiało – zachęcała.

Uniósł wzrok, a potem pokręcił głową i cicho się zaśmiał.

– Cóż się stało?

– Nic takiego. Tak tylko. Dziękuję.

Wcisnął łyżkę między owoce i zaczął jeść. Kiedy pierwszy kawałek zniknął, podała mu drugi. A gdy potem uznała, że jeszcze wygląda na głodnego, podsunęła mu po prostu talerz z resztą ciasta i pozwoliła się nim zająć.

– Zastanawiam się... – zaczęła, kiedy on czubkiem palca podnosił okruchy z blatu stołu. – Pan Bennet nie wspominał, gdzie pracowałeś wcześniej.

– Och, tu i tam.

– Z daleka przychodzisz?

– Nie bardzo. W zasadzie to wszędzie już byłem.

– Zawsze służyłeś?

– Coś w tym rodzaju. I konie. Znam się na koniach.

– Cóż – powiedziała po chwili, kiedy zrozumiała, że nic więcej nie usłyszy. – Teraz pracujesz tutaj.

– Tak.

– I bardzo dobrze.

– Tak – przyznał. – I dziękuję, proszę pani, za posiłek.

– Mam nadzieję, że ci się tu spodoba.

Zabrała pustą filiżankę z cienką warstewką liści na dnie i jego wyczyszczony do cna talerz, a potem postawiła wszystko na

pustym naczyniu po cieście. Odsunęła swoje krzesło.

– Cieszymy się, że tu jesteś.

– Co teraz, proszę pani? Czym mam się zająć?

– Możesz iść i uprzątnąć swoją sypialnię nad stajnią.

Otarł usta i już był na nogach.

– Wróc o czwartej – zastrzegła. – Usłyszysz bicie zegara w kościele. Będiesz razem z panem Hillem usługiwać przy obiedzie.

Pokiwał głową.

– Och, i... masz jeszcze jakieś ubrania?

Spojrzał w dół na swoją luźną kamizelkę i ściągnięte w pasie bryczesy, a potem znowu na gospodynię. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Coś dla ciebie znajdę.

– Jest pani bardzo uprzejma.

– Pani Bennet w odpowiednim czasie stosownie cię ubierze, ale będziesz potrzebował czegoś na co dzień. Nie można zbierać łąjna w liberii.

– Liberii?

Przytaknęła, James zaś się skrzywił, na co ona odpowiedziała uśmiechem.

– W takim razie – powiedziała – ruszaj już.

Kiedy wyszedł, pani Hill wspięła się ciężko na stryszek. Przecisnęła się między starymi skrzyniami, kuframi i pudłami, które opisano dawno utraconymi nazwiskami panieńskimi i starannym pismem chłopców wyjeżdżających do szkół. Starła kurz i zebrała pajęczyny, wyjęła paski ze sprzączek i podniosła wieka, wzbijając kłęby kurzu. Sięgnęła po od dawna już zbyt małe koszule i bieliznę, wąskie i niemodne męskie stroje, a potem obejrzała je w świetle, oceniając rozmiar i stan, wspominając lata, w których jeszcze pasowały, jeszcze nie wyszły z mody i wciąż je noszono.

W kuchni panował gorąc, nowe ciasto właśnie się piekło, a w miedzianym rondelku gotowała się ryba; drzwi pozostały otwarte, by trochę się wywietrzyło. Polly schodziła ze stołka i znów na niego wchodziła, zdejmując porcelanę; Sara ustawiała na tacy

kieliszki, podczas gdy pan Hill przyglądał się srebrnym sztućcom, marszcząc brwi i podnosząc po kolei widelce do światła. Jeden pokazał Sarze; między zębami widać było przyklejone resztki jedzenia.

– Bardzo przepraszam, panie Hill. To się więcej nie powtórzy.

Pokręcił głową, a potem napluł na widelec i wypolerował go na błysk rogiem kamizelki.

– A gdzie ten nowy służący? – zapytała Polly.

Pani Hill uniosła wzrok i spojrzała w okno.

– Właśnie tu idzie.

Cicho wślizgnął się do środka przez kuchenne drzwi. Ciemne włosy miał już uczesane i zebrane w kucyk; ubrał się w wąski czarny płaszcz, czarne bryczesy do kolan i wełniane pończochy. Wyglądał bardzo porządnie i schludnie, ale krój ubrania był bardzo stary, więc lokaj przypominał portret dżentelmena sprzed trzydziestu lat.

– Wyglądasz jak duch – oceniła Polly.

Rozcapierzył przed nią upiornie palce, żeby ją nastraszyć; dziewczynka wybuchnęła śmiechem. Pan Hill podszedł, żeby mu się przyjrzeć; wytarł dłonią klapę i pokiwał głową.

– Nadasz się – zawyrokowała pani Hill.

Szykujemy prosty, rodzinny obiad, poinformował go pan Hill, i wprowadził w tajniki odpowiedniego sposobu układania noży i widelców, talerzy, półmisek, karafek oraz kieliszków, żeby do czasu, aż pojawią się goście, James opanował sztukę przygotowywania stołu tak, by nie urazić sąsiadów.

Stał cicho jak trusia. Powtarzał wszystkie ruchy odzianych w białe rękawiczki rąk pana Hilla, kiwając głową zawsze wtedy, gdy staruszek patrzył na niego, by upewnić się, że rozumiał. Wspólnie nakryli do stołu, by wszystko było gotowe na przyjście rodziny.

Później, o wpół do piątej, pan Hill wyszedł na korytarz i zadzwonił na obiad. Z różnych części domu zaczęły dochodzić odgłosy otwierania i zamykania drzwi, dudnienie kroków i ożywione rozmowy przed kolejnym smakowitym obiadem pani

Hill.

Dwóch panów, z Sarą do pomocy przy pierwszej próbie Jamesa, zaniósł naczynia do jadalni. Gdyby dziewczyna nie trzymała właśnie wazy pełnej duszonych na maśle porów, pociągnęłaby nowego służącego za kucyk – tak kusząco podskakiwał – po to tylko, żeby ją wreszcie zauważył.

Widziała, że pani Bennet już spoglądała na niego z pewnym zadowoleniem. W zasadzie nie musiał nic szczególnego robić, wystarczyło postawić sosjerkę na stole, nie rozlewając przy tym jej zawartości i nikogo nie potrącając, a pani już rozglądała się po zebranych przy stole, oczekując pełnych podziwu spojrzeń, jakby chciała wszystkim powiedzieć: „Patrzcie, jakiego bystrego służącego mamy teraz w domu!” Sara musiała przyznać, że James wyróżniał się na tle wieśniaków, z którymi mieli do czynienia niekiedy w przeszłości... Ale gotowa była przyznać tylko tyle. Może i ma ładne dłonie i zadbane paznokcie, ale to nie czyniło z niego Beau Brummella[3].

Kiedy odwoływano służących, pani B. bardzo wyraźnie powiedziała:

– Dziękuję, James.

Już na korytarzu, Sara przewróciła oczami. Najpierw pan B., później pani Hill, a teraz pani B.: dlaczego wszyscy są tak podekscytowani? Jedyne, co czyniło go wyjątkowym, to fakt, że jest *mężczyzną*. Do tego przed pięćdziesiątką i z ładnymi dłońmi.

– I jak ci się tu podoba, panie Smith?

– Właściwie jeszcze nie wiem.

Wyprzedził ją i szedł dalej, stawiając duże kroki. Musiała przyśpieszyć, żeby go dogonić.

– Spodziewam się, że na tle twoich wcześniejszych doświadczeń wypadamy blado.

Nie odpowiedział.

– Wątpię, byś znalazł tu cokolwiek interesującego.

Trafili pod kuchenne drzwi. James otworzył je, a potem się odsunął i przytrzymał je dla Sary. Zupełnie zbiło ją to z tropu. I tak już niewiele żywiła do niego sympatii i zamierzała dalej podążać tą

drogą, aż znienawidzi go z całego serca. Teraz zaś została zmuszona przecisnąć się obok niego, podziękować ruchem głowy i zastanowić się, jak bardzo niegrzeczna wobec niego była i czy sobie na to zasłużył. Jej zakłopotanie nie okazało się jednak na tyle poważne, by nie mogła jeszcze rzucić:

– Myślę, że nawet nie uznasz nas za wartych rozmowy.

Teraz spojrział na nią, a ona odpowiedziała tym samym, unosząc brwi. Potem odsunęła się i odeszła, by pomóc Polly nakryć do kuchennego stołu. Wreszcie udało jej się zwrócić jego uwagę. Przyniosło jej to zaskakująco niewielką satysfakcję.

Pan Hill wygłosił modlitwę i rozpoczęli posiłek.

Polly obserwowała ich spod opuszczonych powiek: James jadł, jakby do każdego kęsa przywiązywał wielką wagę i musiał go traktować z należytą powagą i szacunkiem. Polly uznała to za bardzo interesujące, gdyż większość mężczyzn jego pokroju traktowała widelec jak szpadel, którym wrzuca się węgiel do pieca albo siano do stodoły.

Pani Hill podała mu chleb, masło i sól, co chwilę dolewając też piwa.

– Mogę się jeszcze napić maślanki, pani Hill?

Gospodyni pchnęła dzbanek w stronę Sary, a dziewczyna napełniła jej filiżankę, po czym i sobie nalała cienkiego, niebieskawego płynu. Polly nawet tego nie zauważyła, tak zafascynowana była nowym służącym. Wpatrywała się w niego, zadawała pytania, a potem kiwała ochoczo głową, słuchając odpowiedzi.

Gdzie nauczył się swojego fachu?

Pracował już na podobnej posiadzie.

Ale jakiej dokładnie, Polly chciała wiedzieć, i gdzie?

Pani Hill ją uciszyła.

Powiedział, że nie ma nic przeciwko, a Polly to bystra dziewczynka, na co ona zarumieniła się i uśmiechnęła, na chwilę zwalniając nieco tempo zadawania pytań. Pracował na farmie, wyjaśnił, a potem jako stajenny, a jeszcze później jako służący w domu podobnym do tego.

– Którym, to znaczy: czyim? Może znamy tę rodzinę? Może Bennetowie ich odwiedzają?

Oczywiście dom znajdował się poza sąsiedztwem, a farma tuż za widocznymi na horyzoncie wzgórzami; z kolei gospoda, gdzie pracował jako stajenny, kilka mil za Ashworth. Wszystko to było tuż za zasięgiem, zauważyła Sara: wspomniane przez niego miejsca znajdowały się odrobinę zbyt daleko, by istniało jakieś powiązanie między jego przeszłością i terażniejszością tutaj, w Longbourn.

Tego właśnie zawsze pragnęła Sara: czegoś – czegokolwiek – co mogłoby zakłócić panujący tu spokój, odwrócić jej uwagę od przeżuwania pana Hilla i wizji kolejnego nużącego wieczoru, monotonii własnego głosu czytającego trzytomowe powieści i gazety sprzed trzech dni. Ale oto teraz do Longbourn przybyła zmiana, Polly właśnie gapiała się na nią bezmyślnie, pani Hill ciągle dolewała jej piwa, nawet pan Hill uśmiechał się i patrzył, a potem nieśmiało odwracał wzrok, i tylko Sara została odsunięta na bok i tak ignorowana życzyła sobie, by ta obdarzona ciemnymi włosami, orzechowymi oczami i cerą koloru herbaty zmiana nigdy nie pojawiła się w Longbourn.

Jeszcze gorzej czuła się następnego ranka, kiedy weszła do kuchni razem z Polly, wlokącą się trzy kroki z tyłu. Ciepły blask świecy rozświetlał schody, nagie podnóżki i pomalowane na zielono ściany, tłuste zacieki na niej samej oraz popękana skórę niosącej ją dłoni, ciemną od wyschniętej krwi i poznaczonej odmrożeniami, których Sara nie mogła drapać, nawet jeśli piekielnie ją swędziały.

Pierwsze obowiązki: przynieść drewno i wodę, wymieść z paleniska i wysmarować kuchnię pastą, a potem wyszorować poczerńiałe od sadzy i mazidla dłonie, zanim nowy pracowity dzień na dobre się rozpocznie. Na zewnątrz czekał na nią chłód żeliwnej pompy: już by chyba wołała wyjmować gorące węgle z paleniska.

Polly usiadła przy stole i złożyła ręce, żeby oprzeć o nie głowę. Sara, również jeszcze zaspana, sięgnęła po szczotkę do

czyszczenia paleniska i już miała się pochylić, by zebrać popiół, gdy nagle się zatrzymała. Palenisko było czyste, kuchnia błyszczała, a ogień płonął żywo, zasilony świeżym drewnem. Zerknęła na kosz: był pełen.

Ktoś musiał wcześniej wstać.

W takim razie teraz woda. Zajrzała do komórki, żeby zabrać swoje nosidło. Przez otwarte drzwi wpadło światło świecy i trafiło na wnętrze drewnianych wiader. Kucnęła, żeby ich dotknąć, i zmoczyła palce.

Prostując się, wytarła dłoń o fartuch, a potem podeszła do ołowianego zbiornika na wodę i położyła na nim rękę. Wyczuła zimny ciężar wody napierającej na metalowe ściany. Ktoś rozpałił ogień, a potem przyniósł wodę; zbiornik został napełniony aż po brzegi.

Skrzat. Mały, diabelski pomocnik. Nigdy wcześniej nie mieli takiego w Longbourn.

– Polly...

Ale Polly znowu zasnęła, z głową na rękach, przykrytą lokami. Sara wstała, wsparła dłonie na biodrach i rozejrzała się po pomieszczeniu. Przez chwilę czuła się zagubiona, na jakiś czas nie miała zajęcia. Ktoś właśnie ofiarował jej wolną godzinę. Niczym prezent.

Założyła starą pelisę, wiszącą przy tylnych drzwiach, a potem wyszła na mroźny poranek. Zsunęła poły płaszcz i zaczęła go zapinać, przechodząc przez podwórze do padoku, gdzie pokryta szronem trawa chrzęściła pod stopami, a źdźbła dostawały się ponad brzeg jej butów. Wyszła przez boczną bramę i dalej na ścieżkę. Ptaki skakały po gałęziach żywopłotu. Schyliła się, wchodząc do sinocznego lasku, a potem znowu wkroczyła w gwiaździsty poranek. Rękawy zwisały nisko na jej rękach; podniosła kołnierz i wtuliła w niego twarz; stary aksamit pachniał stęchlizną. Trafiła do miejsca, gdzie ścieżka wznosi się na wzgórze, a potem łączy z drogą do prowadzenia bydła.

Droga była bardzo stara. Rozciągała się wzdłuż grzbietu wzniesienia i nie miała ani kształtu, ani podłoża jak te

współczesne, z ich żwirem i rowami. Ta stanowiła tylko pas wydeptanej przez stada zwierząt trawy. Otwarta przestrzeń i rozbudzone przez nią nadzieje nie dały się zignorować; Sara widziała wieże, wsie, lasy i zagajniki całe mile stąd, a na horyzoncie łagodne wzgórza. Wystarczyłoby ruszyć w tamtą stronę i iść wystarczająco długo, żeby trafić do największego miasta świata, a to samo w sobie stanowiło pewien cud. W Londynie można było znaleźć wszystko, co człowiek jest w stanie sobie wyobrazić, a może nawet więcej.

Objęła się ramionami. Gdzieś odezwał się kulik. Słońce wspinało się nad wzgórza, przydając mroźnym barwom poranka odrobiny ciepła. Zabeczała owca; odpowiedziało jej jagnię. Cienie rozwijały się jak wstążka; na łąkach i drzewach widać było zieleń. Gdzieś dalej w dolinie zapiał kogut, a w powietrzu unosił się zapach dymu. W Longbourn trzeba napełnić wodą czajnik i postawić na kuchni, bo niedługo wszyscy będą potrzebować herbaty. A Sara nie mogła się spodziewać, by zrobił to za nią czarci duszek, choćby nie wiem jak był pomocny.

Wróciła więc ścieżką. Widziała wciąż jeszcze puste i ciemne okna domu. Na sznurku wisiało kilka prześcieradeł; białe plamy wśród wijących się żywopłotów. Sara poczuła, że coś się w niej zmienia: zobaczyła siebie, stojącą tam, gdzie suszyło się pranie; dostrzegła ruch, który sama powinna wtedy wykonywać.

Oczywiście nie chodziło o handlarza, teraz to rozumiała: to James Smith tamtędy szedł.

Musiał owego dnia wędrować drogą dla poganiaczy bydła; właśnie jego zauważyła. Tamte odgłosy, dochodzące w nocy ze stajni, to również on, skradający się do środka, przemawiający kojącym głosem do koni, tak jak przemawiał do wszystkich – znalazł sobie ciepłą kryjówkę i został tam na noc. A rano jakoś udało mu się spotkać z panem B., zanim ktokolwiek go zauważył. Dlaczego pan zgodził się go zatrudnić mimo takich okoliczności, Sara już zdołała pojąć: z pewnością musiało chodzić o koszt. Oferta była tak kusząca, że nawet pan Bennet się jej nie oparł.

Jeżeli jednak James szedł drogą dla poganiaczy bydła, nie

przybywał z domu za Ashworth, jak powiedział, albo z farmy za wzgórzami. Mógł przychodzić skądkolwiek. Nawet z Londynu. Z drugiego końca świata.

Kiedy zajrzała przez okno, kuchnię rozświetlał ogień z paleniska; Polly wciąż spała z głową na złożonych rękach. Sara słyszała, jak James porusza się po stajni; powinna po prostu wejść do środka, obudzić Polly i rozpocząć dzień. Zamiast tego podeszła do stajni i stanęła w progu, patrząc na wnętrze, oświetlone ciepłym płomieniem z wiszącej wysoko lampy. Nowy służący właśnie czesał klacz zgrzebłem i zdawał się poświęcać temu zajęciu całą uwagę. Koń jako pierwszy zauważył przybysza i odwrócił głowę, a potem trącił Jamesa, który cofnął się chwiejnie i zaśmiał, po czym podążył za wzrokiem zwierzęcia. Na widok Sary jego rysy stężały.

– Dziękuję – powiedziała, przestępując z nogi na nogę i obejmując się ciasno ramionami. – To znaczy: za całą tę pracę, którą żeś za nas wykonał.

Powrócił do czesania.

– Nie ma za co.

– Ja miałam to zrobić. A właściwie Polly, ale jej ciężko się obudzić tak rano, więc...

– I tak już nie spałem. Lubię zająć czymś ręce.

Nawet na nią nie spojrział.

Sara jeszcze mocniej zacisnęła palce na ramionach.

– Co tu robisz?

Zawahał się.

– Słucham?

– Dlaczego tutaj? Dziwi mnie, że ci to wystarcza: ukrywanie się jak szczupak w starorzeczu. Brak poczucia, że się żyje.

Przesunął zgrzebło, prostując pasek na zewnętrznej stronie dłoni. Nie uniósł wzroku.

– Widziałam, jak szedłeś ścieżką przedwczoraj. To byłeś ty, prawda?

Zesztywniał i odwrócił się w jej stronę. Znowu uderzył ją widok tych orzechowych oczu i ciemnej, spalonej słońcem skóry.

– Skąd przybyłeś? – zapytała ciszej. – Musiałeś dużo

podróżować. Widziałeś Londyn?

– Londyn jest tylko dwadzieścia mil stąd.

Zarumieniła się i kopnęła obcas jednego buta czubkiem drugiego. James wrócił do pracy.

– Nie wiem, co o tobie myśleć – stwierdziła.

– Nie kłopotz się myśleniem o mnie.

Odwróciła się gwałtownie i pomaszerowała z powrotem do kuchni. Nowy służący był tak niezwykle irytującą mieszanką uczynności, grzeczności i bezczelności, że nie potrafiła sformułować na jego temat żadnego sądu. Tylko co do jednej rzeczy miała pewność: kłamał. Nie był tym, za kogo się podawał. Może udało mu się oszukać wszystkich innych w Longbourn, ale nie Sarę. Nawet na chwilę.



[3] Autorytet w kwestii męskiej elegancji za czasów regencji.

Rozdział VI

Celem jej życia było wydanie córek za mąż,

radością wizyty i nowinki.

Garderoba pani Bennet była jej sanktuarium, miejscem ucieczki od wymagań życia rodzinnego, pełnym miękkich obić, ozdób, poduszek, zasłon i tureckich dywanów. Przechowywano tu zniszczone suknie, porzucone szale, spencery, pelisy i czepki; widywało się tu płatki róż, tapetę w paski i kwiaty, powierzchnie wyłożone wszelką porcelaną, jaką można było kupić za kieszonkowe pani B., a także papierowymi kwiatami, ozdobami z muszelek i rzeźbionego drewna, haftami i malunkami, które wyszły spod zwinnych palców jej córek... A wszystko to już niszczało, odpadało i kurzyło się, zupełnie rozpraszając uwagę dobrej pani Hill.

Gospodyni została wezwana na rozmowę o potrawach na najbliższy tydzień, a skoro już zapisała prośby o kuropatkę, timbale i potrawki – jak zawsze w pamięci – powinna odejść, by zająć się wygniataniem na chleb ciasta, które właśnie rosło w kuchni. Zamiast tego musiała wysłuchiwać w garderobie narzekań pani B., dotyczących – jak to często bywało – niezrozumienia przez pana B. jakiejś okrutnie istotnej, materialnej potrzeby swojej żony. A ponieważ z wielkim trudem przychodziło mu słuchać głosu małżonki, a co dopiero przykładać wagę do jej słów, pani B. zdecydowała się nie kontynuować omawiania z nim tej sprawy. Zamiast tego poskarżyła się pani Hill.

W naturze gospodyni nie leżało jednak przymilanie się i

lenistwo, chociaż z doświadczenia wiedziała, że wszelkie próby opuszczenia tego pokoju pozostaną daremne. Rogiem fartucha wytarła z kurzu pudełko w stylu japońskim, a potem półkę, na której stało. Podniosła wiszącą na oparciu krzesła zmiętą suknię wieczorową w kolorze żółtka i wygładziła jej fałdy.

– Och, proszę to zostawić, pani Hill.

– Powieszę ją...

– Powiesi ją pani? A po co? Szkoda na nią czasu! Przecież to stare łachmany!

Pani Hill przyjrzała się sukni: czyżby dziewczyny coś przegapiły? Przesunęła dłońmi po jedwabistych żółtych fałdach. Nie widziała żadnych śladów, żadnych oderwanych obszyć albo rozprutych szwów; żadnych widocznych przetarć. Wyglądała dokładnie tak, jak wtedy, gdy zanesiono ją po praniu do szafy pani Bennet. Wcześniej strój przetrwał wyjątkowo obfitą w zupę kolację u Goldingów. Ależ się dziewczyny namęczyły nad nią; ile razy namaczały i namydlały jedwab, by wywabić z niego plamy! Była z nich wtedy dumna, doskonale radziły sobie z opierunkiem. Miała wrażenie, że same również były z siebie zadowolone, kiedy wreszcie suknia została całkiem wyczyszczona. I bardzo dobrze. W końcu zaczynały szczyścić się swoją pracą, a nie tylko próbować mieć ją jak najszybciej z głowy, marząc o czymś innym.

– Muszę mieć coś nowego – mówiła pani Bennet. – Naprawdę muszę. Dziewczynki też. Chyba nie proszę o zbyt wiele po tych wszystkich latach? Pani powinna dostać te ohydne starocie. Nie chcę jej więcej oglądać.

Gospodyni ostrożnie przewiesiła suknię przez rękę; kiedyś myśl o posiadaniu czegoś tak pięknego przyprawiłaby ją o szybsze bicie serca. Teraz jednak na co jej jedwabie i falbany? Trzeba by strój skrócić i zwężyć, a wszystkie ozdóbki odpruć, żeby nie zapaliły się w trakcie gotowania. Dlatego właśnie suknia była nie tyle podarunkiem, co dodatkową pracą, a tej miała aż nadto.

– Jakie to okrutne, pani Hill. Nie ma pani pojęcia, jak to jest być matką i wiedzieć, że dzieci cierpią z braku ojcowskiej uwagi.

Po tym wyznaniu pani B. westchnęła potężnie i podniosła

swoje osłabione ciało z pozycji półleżącej, niecierpliwie odganiając wyciągniętą rękę pani Hill. Przeszła na drugą stronę małego pokoju (jej gorset przy tym skrzypiał), a potem wyjrzała przez okno, chociaż myśli wyraźnie zaprzętało jej coś innego niż piękny widok na park.

– I nie chodzi tylko o zbliżający się bal! Będziemy potrzebować nowych sukien na poranne wizyty, rodzinne obiady, wieczorki, picie herbaty i wszystkie tego typu okazje.

Potem oparła się o parapet i przetarła oczy.

– Ale podejrzewam, że nam tego odmówi! Nie pojmuje tych spraw ani trochę. W rzeczy samej, chyba zupełnie nie zaprzęta sobie nimi głowy.

Gospodyni spojrzała na szerokie plecy swojej pani. Jeśli zaraz nie zejdzie na dół i nie zajmie się ciastem, w tym tygodniu zamiast chleba będą mieli cegły. Musiała wysłać jedną z dziewczyn po jaja, drugiej polecić wytrzebanie dywanu z korytarza, a obie się krzywią na każdą z tych prac. James poszedł na pola naprawiać ogrodzenie, więc pani Hill zostawiła dla niego w spiżarni dzbanek piwa, żeby zanieść mu później, a jeśli nie zrobi tego niedługo, nowy służący zdąży już wrócić, zanim ona znajdzie na to wolną chwilę. Nim się obejrzy, zaraz trzeba będzie przygotowywać obiad, pan Hill zażyczy sobie herbaty, a lepiej, żeby zbyt długo na nią nie czekał.

Ale mimo to pani B. była smutna i potrzebowała towarzystwa; pani Hill podeszła bliżej i dotknęła jej ramienia.

– Przykro mi, proszę pani.

Pani B. potrząsnęła swoimi puklami.

– Jego zdaniem zawsze istnieją pilniejsze sprawy. Któryś z dzierżawców zalega z opłatą, na farmie chcą ziarna, trzeba coś naprawić; nieustannie pojawia się coś istotniejszego ode mnie i od potrzeb moich biednych córeczek.

Pani B. odwróciła się do gospodyni, z jej twarzy były powaga i szczerłość. Pani Hill poczuła na swoich rękach dotyk jej miękkich dłoni.

– Porozmawia z nim pani w moim imieniu, pani Hill?

– Zrobię to, jeśli takie jest pani życzenie, ale nie wydaje mi się, bym zdołała cokolwiek osiągnąć.

– Och, przecież doskonale pani wie, jaki ma na niego wpływ, pani Hill. Jeśli powie mu pani, że to koniecznie, on zrozumie. Moje żądania zawsze uważa za niewarte uwagi. Ale pani posłucha. Ja nie mogę na to liczyć. Już nie.

Pani Hill odwróciła głowę. Na stojącej niedaleko komodzie zauważyła słoiczek z pudrem, a obok niego luźno rzucony puszek; na mahoniowej powierzchni usypana została gruba warstwa dobrego, pachnącego lawendą kosmetyku. Niemowlęta nie pojawiały się już od dawna i nigdy więcej się nie pojawią: właśnie w tym tkwiła przyczyna nieszczęścia, które zaległo w domu. Pani Bennet nie urodziła niezbędnego dziedzica. Cóż za rozczarowanie! A jednak, myślała pani Hill, zupełnie opadła z sił po tylu ciężach, porozrywana przez tyle porodów, po tych wszystkich straconych zębach, po całej tej przelanej krwi i z obwisłym brzuchem zwisającym jak pusty worek pani Bennet z pewnością musi czuć pewną ulgę, wiedząc, że to już przeszłość i nigdy więcej nie będzie zmuszona przez to ponownie przechodzić?

– Dobrze pani wie, że to prawda – ciągnęła dalej pani B. – Jedno pani słowo i mamy nową szczotkę albo świeżo pobielony rondel, albo nowy zapas świec czy czego tylko sobie pani zażyczy.

– To tylko domowe sprawunki, pani, nic więcej.

Pani Bennet puściła dłonie pani Hill.

– Ależ mi też chodzi o *domowe sprawunki*! To dotyczy nas wszystkich! Myślałam, że jako kobieta mnie pani zrozumie. Choć z drugiej strony, nigdy nie została pani matką, więc nie ma pani o tym najmniejszego pojęcia. Nie potrafi pani zrozumieć, jak cierpię z powodu moich córek. Pan Bingley zdąży się ożenić, zanim moje dziewczynki będą mogły mu się choćby pokazać!

– Pan Bingley?

– Och, ależ tak, pani mogła o nim jeszcze nie słyszeć! – Twarz pani Bennet przypominała wietrzny wiosenny dzień: podmuchy szybko przegoniły ciemne chmury, ukazując słońce. – Wreszcie ktoś wydzierżawił Netherfield Park. Pani Long

przekazała mi te wieści podczas swojej wizyty. Nowi lokatorzy mają się wprowadzić do świętego Michała.

– Pani Nicholls nie zdąży przygotować wszystkiego do tego czasu.

Pani Bennet tylko machnęła ręką: problemy pani Nicholls nie nie znaczą w obliczu jej własnej niedoli.

– Nowy dzierżawca, pani Hill, to młody dżentelmen. Młody, *nieżonaty* dżentelmen z *dużym majątkiem*.

Pani Hill przestąpiła z nogi na nogę; spojrzała na zasypaną poduszkami sofę pani B. i przez chwilę rozważała, czy by nie usiąść. Młody, *nieżonaty* dżentelmen, świeży nabytek w sąsiedztwie. Dla tych na górze schodów oznaczało to mnóstwo podeksytowanych chichotów, liczne wyjścia i rozrywki, a dla tych niżej – ogrom dodatkowej pracy.

– I dlatego, żeby można się w nich było zakochać, dziewczynki *muszą* mieć nowe stroje, a ja sama również ich potrzebuję, by pokazać, że jesteśmy szanowaną i godną uwagi rodziną. Nie pozwolę, by pan Bingley nas przeoczył i wziął za nic tylko dlatego, że brakuje nam paru sukienek. Dlatego *musi* pani porozmawiać z panem Bennetem o tej sprawie i upierać się, byśmy je otrzymały.

Przynajmniej teraz mieli Jamesa do pomocy. Kolejna para rąk w domu i młody mężczyzna, który mógłby powozić zamiast pana Hilla.

– Porozmawiam z panem Bennetem – odparła pani Hill – skoro pani sobie tego życzy.

– Doskonale – powiedziała pani Bennet i raz jeszcze opadła na sofę, podczas gdy gospodyni wciąż stała. – Proszę zrobić to jak najszybciej, pani Hill. I jeszcze przynieść mi kilka kropel mojego balsamu. Jestem kłębkiem nerwów.

Gospodyni odkorkowała buteleczkę i napełniła do połowy kieliszek, a potem podała go swojej pani, która napiła się i zamknęła oczy, już uspokojona. Pani Hill zostawiła ją w tym stanie i zeszła do kuchni. Ciasto na chleb wyrosło ponad krawędź miski; było gęste, krągłe i w kilku miejscach wyraźnie rozciągnięte.

Wyłożyła je na posypany mąką blat, wyskrobując resztki z miski czubkami palców, a potem przerzuciła je na drugą stronę i zaczęła uderzać pięściami, wzbijając mączne obłoczki. Kiedy pan Hill chwilę później zajrzał do kuchni, jedno spojrzenie wystarczyło mu, by stwierdzić, że lepiej nie prosić o herbatę, więc usiadł tylko cichutko przy palenisku i czekał, aż zostanie zauważony.

Sara zawitała tam raz, wiele lat temu, jeszcze zanim Polly trafiła do Longbourn. Wysłano ją tam z podarunkiem w postaci szynki, po biciu świni u Bennetów. Wtedy wspaniałe filary Netherfield poznaczone były zielonymi zaciekami. Drzwi otwierał zasuszony lokaj w przeżartej przez mole i poplamionej jedzeniem liberii. Stał w ciemnym holu, patrząc na nią jednym zdrowym okiem – drugie zasłoniło bielmo – i zapytał, skąd przychodzi, a potem otworzył szerzej skrzypiące drzwi i zaprosił ją do środka.

Wewnątrz panował chłód. Każdy dźwięk odbijał się echem, a w kątach tańczyły cienie. Mała dziewczynka podążyła korytarzami pełnymi zaśniedziałych luster i skrytych pod płachtami mebli. Szynka, zawinięta w kocyk, jak niemowlę, była ciężka i zimna. Lokaj zaprowadził Sarę do salonu, a potem usiadł na sofie, odchylił głowę i otworzył usta, jakby krótka podróż do drzwi i z powrotem zupełnie pozbawiła go sił.

W pokoju też panował chłód. Czuć było zapach medykamentów, drzewa cynamonowca i uryny, ale też pewną słodkawą woń. Rozstawiono stół do kart, a na nim rozrzucone zostały niepasujące do siebie elementy zastawy. W kącie stało łóżkoienne, na którym leżało coś, co Sara w pierwszej chwili wzięła za rzeczy do cerowania, ale te poruszyły się, a potem uśmiechnęły; resztki zębów staruszki całkowicie poczerniały.

– Chciałabyś kawałek ciasta, dziewczynko?

Sara pokręciła głową, położyła szynkę i odwróciła się na pięcie, by przebiec nawiedzony korytarz, a potem samej otworzyć ciężkie frontowe drzwi. Całą pierwszą milę do Longbourn przebyła biegiem, potykając się, a kiedy już nie mogła biec, szła najszybszym krokiem, na jaki było ją stać, oglądając się przez ramię. Zapach tamtego miejsca – ta słodkawa woń, swąd rozkładu

– zdawał się towarzyszyć jej jeszcze przez kilka dni.

Dzisiaj, już dorosła, Sara raz jeszcze zawędrowała do Netherfield. Tym razem zamiast ciężkiej i zimnej szynki niosła elegancko wypisane zaproszenie dla pana Bingleya, aby dołączył do państwa Bennetów podczas rodzinnego obiadu.

Pokonując chrząszczący pod nogami podjazd, który zagrabiono, spulchniono i oczyszczono z chwastów, uniosła wzrok na okazałe, wyszorowane kolumny: z pewnością nie był to już dom, w którym pokojówkę sąsiadów przyjmuje się we frontowych drzwiach. Ruszyła ścieżką okalającą budynek, szukając wejścia dla służby. Ramy okien uniesiono, żeby wpuścić do środka świeże powietrze – dopiero co wszystko pomalowano, Sara wyraźnie to czuła. Mignęły jej białe sufity, płachty na meblach i blade lustra.

Młode panienki i pani B. bez przerwy trajkotały o niejakim panu Bingleyu. Już powstało trochę zamieszania, ale służba niewiele miała z tym wspólnego. Kiedy pan Bingley pojawił się w Longbourn, panowie sączyli wino z Wysp Kanaryjskich w bibliotece, wyraźnie nie potrzebując dodatkowego towarzystwa. James zdawał się uważać dbanie o konia pana Bingleya – imponującego czarnego wałacha – raczej za przyjemność niż obowiązek.

Ale teraz nadszedł czas na rodzinny obiad, a pani B. już denerwowała się rybą i zupą, ponieważ rodzinny obiad trudniej było przygotować niż oficjalne przyjęcie. Trzeba wywrzeć odpowiednie wrażenie, ale jednocześnie nie wyglądać przy tym, jakby robiło się to umyślnie. Wszystko musiało być doskonałe, a przy tym wydawać się czymś, do czego rodzina przyzwyczajona jest na co dzień. Pani B. bardzo przyłożyła się do wypisania zaproszenia, skreśliła słowa na najlepszym papierze, w zamyśleniu wysuwając język. Pani Hill również się postarała: kiedy James zszedł na dół z jadalni z bilecikiem, szybko zabrała go z tacy, przyglądała mu się zmrużonymi oczami przez dłuższą chwilę, a potem podała Sarze.

– Pośpiesz się, żadnego ociągania, proszę. Masz tu zaraz wrócić i pomóc przy ciastach.

Drzwi były niskie i niewyszukane – z pewnością korzystała z nich służba. Nikt nie odpowiedział na jej pukanie, więc po prostu wślizgnęła się do środka i ruszyła śladem odgłosów dobiegających z kuchni. Właśnie tam spodziewała się znaleźć kogoś, komu można przekazać list i poprosić o dostarczenie go na górę. Sara już czuła zdenerwowanie, chociaż jeszcze nie musiała z nikim rozmawiać: z pewnością wyda się dziwne, że to ją wysłano: pokojówkę, nie zaś lokaja. Co sobie myślała pani Hill? Czyż nie po to mają pana Smitha, żeby biegał po okolicy w imieniu rodziny?

Sara pokonała drzwi wahadłowe i weszła do olbrzymiej kuchni. Nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Ogromna przestrzeń tętniła życiem. Dziewczyna zobaczyła kucharza w granatowej kurtce, chodzącego w kółko i zaglądnącego do garnków, trzy służące zajęte krojeniem cebuli i porów, służących krążących wte i wewte. Zapachy wręcz odurzały: wołowina, wino i duszone owoce. A potem minął ją lokaj – wysoki, ubrany w elegancką liberię i pudrowaną perukę.

– Przepraszam...

Zatrzymał się i cofnął. Jego twarz miała brązowy kolor. Spojrzała na jego ręce; schował je pod białymi rękawiczkami, więc nie widziała, czy też były brązowe. Zagryzła wargę i znowu podniosła wzrok – mężczyzna okazał się niepokojąco przystojny – a potem spojrzała na swoje stopy, bo niegrzecznie jest się gapić. Czowała, że się rumieni.

– Mogę w czymś pomóc?

Słowa wypowiedziano po angielsku i bardzo elegancko. Nie mogąc się zdobyć na spojrzenie mu w oczy, Sara wyciągnęła rękę ze starannie wypisanym zaproszeniem od pani Bennet.

– Dla... dla pana Bingleya.

– Czekasz na odpowiedź?

Przytaknęła. Ale on wciąż stał w miejscu, więc musiała jeszcze raz na niego spojrzeć. Jego oczy, ciemne jak czarna kawa, wciąż zwrócone były ku dziewczynie; niemal się uśmiechał. Poczowała na policzkach kolejną falę gorąca.

– Z radością przekażę. – Ukłonił się i już go nie było.

A więc tak wygląda czarnoskóry, nawet jeśli w rzeczywistości jest brązowy? Afrykańczyk? Ale Afrykańczycy mają blizny po biczowaniu i atramentową skórę, są nadzy i zakuci w kajdany! Jak na tamtej tablicy, którą widziała na plebanii; wisiała w korytarzu – „Czyż nie jestem człowiekiem i bratem?” Ten jednak był bez skazy, w tej swojej liberii i z gładką, czystą skórą. Niewiele był ciemniejszy od pana Smitha czy miejscowych mężczyzn, pracujących na polach w sierpniowym słońcu. Chociaż ich kolor blaknął z przyjściem zimy i nie docierał za kołnierzyk i podwinęte rękawy...

Dziewczyna wycofała się pod ścianę, żeby nie plątać się nikomu pod nogami. Przejście na pokoje rodziny i z powrotem musi zajmować dłuższą chwilę... A może pan Bingley nie potrafi zdecydować, czy jest w stanie zdzierzyć rodzinny obiad z Bennetami? Pod palcami czuła chłód pobielonych wapnem ścian. Obserwowała pośpiech i rozgardiasz, ciesząc się, że nie musi brać w tym udziału. Kucharz właśnie zatrzymał gospodynię Netherfield, panią Nicholls, i głośno wyrażał swoją dezaprobatę; musiał przyjechać z Londynu, bo w okolicy mają tylko kucharki. Pani Nicholls przepraszała, roztrzęsiona, z rękami złożonymi jak do modlitwy, a Sara odwróciła wzrok. Pani Nicholls wolałaby, by nikt jej nie widział w tym stanie.

Kiedy czarny lokaj wrócił, podał jej niedbale złożony i zapieczętowany liścik, zaadresowany niechlujnym charakterem pisma.

– Mam nadzieję otrzymać odpowiedź na odpowiedź – powiedział.

Sara nie wiedziała, co na to odrzec. Dygnęła i uciekła.

– Nie przyjdzie?

– W ogóle go nie będzie w domu! – Wieści ogłoszono z wielkim oburzeniem. – Wyjeżdża do Londynu!

Zupełnie jakby to było coś i nic zarazem, jakby człowiek mógł robić takie rzeczy codziennie!

– Wyjechał zabrać przyjaciół na bal.

– Hulać raczej! – Pani Hill cmoknęła z niezadowoleniem i wróciła do cerowania. – A ja już zamówiłam wołowinę...

– Och, Bingleyów bez wątpienia stać na hulaszcze życie – powiedziała Polly. – Wszyscy tak mówią. Słyszałam, że ojciec zajmował się cukrem.

– A na cukrze można zbić niemałą fortunę.

James czyścił sztućce. Sara powinna być mu wdzięczna, skoro ją wyręczał, jednak poczuła się, jakby spotkał ją afront: czyżby jej pracy nie uważano już za wystarczająco dobrą i dlatego przekazano ją nowemu służącemu?

– Handlowanie cukrem musi być bardzo dochodowe – stwierdziła pani Hill. – My nie potrafimy się bez niego obejść.

– *Z radością* pracowałabym przy cukrze – westchnęła Polly.
– Wyobraźcie to sobie!

– Wyływałybyś statkiem – James narysował widelcem trójkąt w powietrzu – wyładowanym po brzegi angielską bronią i żelazem. Udałybyś się na południe do Afryki...

Polly uśmiechnęła się podekscytowana, ale za chwilę zamrugła.

– Jakim żelazem?

– Kajdanami i łańcuchami, garnkami, nożami – wyjaśnił James. – W Afryce możesz to wszystko wymienić razem z bronią na ludzi; ładujesz ich na statek i wieszasz do Indii Zachodnich, a potem sprzedajesz za cukier, z którym wracasz do Anglii. Nazywają to handlem trójkątnym. Bingleyowie muszą pochodzić z Liverpoolu albo Lancasteru, bo mówi się, że przyjechali z północy.

– Nie wiedziałam, że w ten sposób płacą za cukier – powiedziała Polly, przysuwając krzesło do stołu.

– W jaki sposób?

– Ludźmi.

– Cóż – stwierdził, polerując widelec i wzruszając nieznacznie ramionami. – Tak to wygląda.

– Zdajesz się o tym dobrze poinformowany.

Spojrzał na Sarę, która właśnie się odezwała, i powtórzył ten sam gest.

- Przeczytałem o tym w książce.
- Doprawdy?
- Właśnie tak; a dlaczegoż by nie?
- Po prostu wydaje mi się to nieprawdopodobne.
- Dlaczego?
- Zwyczajnie mi do ciebie nie pasuje.
- Słucham? Nie wyglądam, jakbym sięgał po książki?
- Cóż...

Polly zauważyła, że atmosfera w pomieszczeniu się zmieniła, chociaż nie potrafiła odgadnąć przyczyny. Jeszcze przed chwilą rozmowa szła gładko. James i Sara naprzemiennie rzucali słowami, a Polly co chwilę słuchała kogoś innego; ręce pani Hill zamarły, igła utknęła w pętelce wysłużonej nici; Polly zauważyła, jak gospodyni zerka na męża, a on w odpowiedzi unosi brwi.

– A więc po prostu uznałaś mnie za nieoczytanego.

– Nie, ale...

– Ale nie przyszło ci nigdy do głowy, że mógłbym czytać więcej niż, na przykład, ty?

– Ja ciągle coś czytam! Prawda, pani Hill?

Gospodyni twierdząco pokiwała głową.

– Pan B. pozwala mi pożyczać książki i gazety, a panienka Elizabeth zawsze wręcza mi książkę, którą wypożyczyła z wędrowniej biblioteki.

– Oczywiście, powieści panienki Elizabeth. Z pewnością są bardzo przyjemne.

Zacisnęła szczęki i zmrużyła oczy. A potem zwróciła się do pani Hill:

– W Netherfield mają czarnego służącego. Wiedziała pani o tym? – ogłosiła triumfalnie. – Rozmawiałam z nim dzisiaj.

James jakby zawahał się i pochylił głowę, a potem wrócił do polerowania.

– Cóż – zaczęła gospodyni. – Zapewne pani Nicholls cieszy się z każdej pary dodatkowych rąk do pomocy.

– Ale pomyśleć – powiedziała Polly, próbując wrócić do wcześniejszej swobody – że te wszystkie cudowności, cała ta

fortuna, pochodzą z cukru; założę się, że mają tynki z miętówek, kolumny z karmelu, wszystkie podłogi z polerowanego toffi, a na sofach leżą marcepanowe poduszki.

– Przykro mi, ale kolumny są po prostu z kamienia. – Sara uniosła swoją robótkę i wyłapała zabłąkane oczka. – Jeśli chodzi o poduszki, to nie wiem. Ale marcepanowe pianki mogłyby się kleić przy kominku.

Polly przytaknęła, uśmiechnęła się z rozmarzeniem i przełknęła ślinę.



Rozdział VII

Nie będę o niczym więcej marzyć – zwierzała się

mężowi – jeśli jedna z moich córek osiadzie w Netherfield,

a pozostałe wyjdą równie dobrze za mąż.

– Pani sukienka, panienko.

Elizabeth obejrzała się, rozchylając usta w pięknym uśmiechu. Sukienka była śliczna, na jej widok aż chciało się uśmiechać. Delikatny muślin zafarbowany został na niebieskawy kolor, przypominający kacze jajo. Cudownie podkreślał karnację Bennetówny. Sara przeniosła strój przez próg i położyła na łóżku Jane i Elizabeth; wyglądał niczym panna w omdleniu.

Jane miała na sobie już zapiętą suknię wieczorową. Stała w odpowiednim oddaleniu od kominka, żeby nie przypalić doskonałego muślinu. Nie robiła nic, nawet nie usiadła, żeby nie pognieść stroju. Jej włosy były już przybrane schludnymi, gładkimi wstążkami i zaplecione w warkocze; na twarzy panienki malowała się łagodność, niezdradzająca prawie nic z jej wewnętrznych rozterek. Najważniejszą cechą Jane było to, że było się jej pewnym, zawsze. Można było mieć pewność, że nie popsuje sukni, nie będzie nikogo dręczyć ani strofować, ani wymagać szczególnej uwagi. Spokój i samowystarczalność Jane kołysały stargane nerwy Sary. Była taka urocza, dobrotliwa i niewymagająca... Jak pieczony mleczny pudding, a tego nigdy za wiele na koniec wykańczającego dnia.

Fale młodszych sióstr musiały (w prawdziwych męczarniach) zostać zmienione w pierścionki, na co Sara zużyła resztę swoich sił i cierpliwości wszystkich dokoła. Zapach podgrzanych włosów i pomady nie opuszczał jej ani na krok. Zdaniem Sary tak pachniały pretensje: na jej dłoniach pojawiły się pęcherze od żelazka, stopy bolały od butów, również plecy dokuczały. Gdyby na tym etapie przygotowań ktoś ją sprowokował, mogłaby specjalnie zacząć przypalać włosy.

Kosmyki Elizabeth naturalnie się kręciły, co zdawało się manifestacją jej żywego i uprzejmego usposobienia. Zdążyła już sama je podpiąć i ozdobić sztucznymi różami; teraz tylko czekała w koszuli, gorsecie i halce, aż Sara pomoże jej się ubrać. Uniosła ręce, odsłaniając ciemne, piżmowe kępki pod pachami; służąca sięgnęła po muślin i opuściła go na głowę panienki. Wspólnymi siłami założyły Elizabeth suknię, a potem pokojówka zapięła jedwabne guziczki na wewnętrznej stronie rękawa. Elizabeth skrzywiła się.

- Uszczypnęłam?
- Troszeczkę.
- Przepraszam.

Sara w ciszy wróciła do pracy. Ukucnęła, żeby wyprostować brzeg, a potem znowu wstała, by dopasować stanik, podciągając wysoką talię pod piersi.

- Dobrze? – zapytała Elizabeth.

Sara kiwnęła głową.

Elizabeth obróciła się ostrożnie, aby pokojówka mogła poprawić stanik z tyłu, a potem zapiąć szereg maleńkich guziczków, biegnący między łopatkami.

- To już wszystko?

Szeleszcząc sukienką, Elizabeth podeszła do toaletki, żeby przejrzeć się w lustrze. Sara ruszyła jej śladem i wygładziła karczek sukni na porcelanowych obojczykach, używając do tego tylko lewej dłoni, żeby nie poplamzić muślinu. Na prawej pękł jej pęcherz; sączyła się z niego wydzielina.

- Wygląda panienka przepięknie, panno Elizabeth.

– Tylko dzięki twojej ciężkiej pracy, Saro.

Pokojówka uśmiechnęła się i pokręciła głową. Choć widywała Elizabeth codziennie, jej uroda nadal przyciągała wzrok dziewczyny: gdy panienka Lizzy znajdowała się w pomieszczeniu, patrzeć w każdą inną stronę było stratą czasu.

– Wielka szkoda, Saro, że choć nas ubierasz, sama nigdzie nie chodzisz. Ale przecież nigdy się nie skarżysz?

Pokojówka wzruszyła ramionami; o takich sprawach nie warto mówić. Nie mogła iść na ich bal, tak samo jak nie mogłaby udać się na przyjęcie syren; mimo to na samą myśl poczuła, jak łzy napływają jej do oczu, a w nosie coś łaskocze. Odwróciła twarz.

– Chadzasz czasami na tańce, droga Saro? – przemówiła Jane, raz jeszcze dowodząc swego troskliwego usposobienia.

– Czasami, panienko.

– I co wtedy zakładasz? – zapytała Elizabeth.

– To, co mam najlepsze.

Czyli nigdy nic szczególnego, ale kto by to zauważył na tańcach w wiejskim parku? Chyba nie robotnicy z pól, człapiący w swoich niedzielnych kurtkach, muzykanci z kościoła, przygrywający na skrzypcach, dmuchający w piszczałki i bębniący w tamburyny? I nie zdziaczała Polly, bawiąca się w kółko z grupką wiejskich dzieciaków w gry, na co Sara teraz już była za stara? A może pan Hill, który szybko się upija i trzeba go odprowadzać do domu?

W drodze powrotnej mleczarki zwykle chichoczą w krzakach z chłopami, a pani Hill warczy do Sary: „Patrz przed siebie, młoda damo, patrz przed siebie”, w razie gdyby miała dojrzeć coś nieprzeznaczonego dla jej oczu, chociaż widziała już byka z jałówką i knura z maciorą, więc miała o tym i owym jakieś pojęcie.

– Powinna mieć nową sukienkę na następną okazję, jak myślisz, Elizabeth? – Jane ruszyła w stronę szafy. – Zobaczmy...

– Panienko, to byłoby... – Tak cudowne, że nie potrafiła nawet skończyć zdania. Może lokaj z Netherfield przyjdzie i poprosi ją do tańca. Może pan Smith wreszcie ją zauważy, gdy na

zielonej trawie pojawi się w nowej sukience i z przystojnym mężczyzną u boku.

– Jakimś cudem, dzięki naszej matce – powiedziała Elizabeth – każda z nas dostała nową suknię, więc młodsze siostry nie czekają na używane stroje. Możesz zatem coś sobie wybrać.

Jane wyjęła starą suknię wieczorową z satyny koloru małży, a potem położyła ją na łóżku. Miała głęboki dekolt i krótkie rękawy. Elizabeth podeszła do niej, kręcąc głową.

– Albo...

Pelisa z wzorem z liści dębu, z jedwabiu o skośnym splocie, do noszenia na zewnątrz w chłodne wieczory.

– Bardziej jej się przyda coś mniej... – Elizabeth podeszła do szafy, marszcząc brwi. – A może sukienka na dzień, prostsza, tak myślę, na wiejskie tańce na zielonej trawie.

Sięgnęła po popelinową suknię z długimi rękawami i płytkim dekoltem, we wzór z zielonych gałązek z maleńkimi pączkami róż na kremowym tle. Sara przycięła i zszyła materiał dwa lata temu. Był wtedy cudowny i wciąż wyglądał bardzo ładnie; podziwiała go przy każdym praniu, maglowaniu i prasowaniu.

Później Elizabeth położyła na łóżku suknię do kolacji w kolorze szaławii lekarskiej; na brzegach miała lamówkę z białej aksamitnej wstążki; trzeba ją było odpruwać przy każdym praniu, żeby się nie zafarbowała.

– Proszę – powiedziała Elizabeth. – Wybierz, która ci się najbardziej podoba.

– Naprawdę?

– Ale tylko jedną, inaczej Polly będzie zrozpaczona – zastrzegła Jane. – A jest za mała na nasze stroje.

– Musiałaby przekonać Kitty albo Lydię do podarunku.

Jane uśmiechnęła się.

– Lydia by się zgodziła.

– Lyddie odda każdemu, co kto zechce. Wystarczy tylko poprosić.

Z pokoju Mary zaczęły dobiegać dźwięki klawikordu, skale i *arpeggio*, a z umiejscowionego naprzeciwko pokoju najmłodszych

dziewcząt – stłumione chichoty. Sara bez słowa podniosła popelinę i położyła ją sobie na ramieniu, a potem dygnęła, podziękowała i odeszła, żeby panienki nie zdążyły zmienić zdania. Radość płynąca z daru zapierała jej dech w piersiach.

Elizabeth ruchem głowy wskazała leżącą na komodzie książkę.

– Być może zechcesz też to pożyczyć.

Sara pochyliła głowę, żeby spojrzeć na grzbiet. *Pamela*.

Później – ubrane już, przyszykowane i piękne – Elizabeth i Jane życzyły jej miłego wieczoru. Opuściły pokój i powoli zeszły ze schodów. Sara w nabożnym skupieniu rozłożyła sukienkę na łóżku; poukładała wszystkie szczotki i grzebienie, rozsypane spinki i wstążki. Wygładziła pogniecioną narzutę. Pokój stał się nudny i jakby pozbawiony sensu, niemal przezroczysty. Podobnie jak Sara, z czego dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę. Ruszyła przez korytarz dla służby, a potem po schodach na stryszek, by powiesić swoją nową sukienkę na drążku, zupełnie niczym kolejny cień błakający się na granicy światła.

W kuchni pan Smith stał przy kominku i chrupał jabłko. W liberii wyglądał niezwykle sztywno. Zauważył spojrzenie Sary i odwrócił wzrok, biorąc kolejny kęs owocu.

– Gdzie gospodyni? – zapytała.

Przełknął i odrzekł:

– Na górze z panią.

Sara przeszła zatem przez kuchnię prosto do ciemnej komórki, gdzie Polly siedziała na desce, plecami do ściany; na wyprostowanych nogach miała krzywo założone buty. Sara usiadła obok niej. To był ich wspólny sekret: w bardziej ruchliwych momentach w ciągu dnia nikt w tym miejscu nie przebywał, więc mogły zaznać chwili spokoju.

– Zastanawiasz się czasem – zapytała Sara – czy nie byłoby miło móc udać się gdzieś indziej?

Polly uniosła brwi i dotknęła palcem ust: z kuchni dobiegał głos pani Hill i odpowiedź pana Smitha; gospodyni wróciła i pytała o pokojówki.

– Właśnie o to mi chodzi – wyszeptała Sara. – O miejsce, w którym mogłabyś po prostu być, a nie wypełniać jakieś obowiązki. Gdzieś, gdzie mogłabyś posiedzieć sama i nikt niczego by od ciebie nie wymagał, przynajmniej przez chwilę.

Polly przejechała wąskimi ramionami po nagich ceglach; opierały się o ścianę, za którą znajdował się piec (po drugiej stronie ogień skrzył się i buchał), więc była przyjemnie sucha i ciepła.

– Przestań jęczeć i tyle mleć ozorem – odparła. – Ktoś cię usłyszy.

Polly trafiła pewnej zimnej, styczniowej nocy w koszyku pod drzwi rolnika, potem przeżyła niebezpieczne zaniedbanie parafialnej mamki i kilka ciężkich oraz pełnych głodu lat w przytułku, a przetrwała to wszystko samiuteńka. Zdaniem Sary udało jej się to tylko dlatego, że według Polly nie było w tym niczego szczególnego. Z tego samego powodu dziewczynka nie potrafiła tęsknić, marzyć i czuć żalu. Dlatego starsza pokojówka niepotrzebnie szukała w niej oparcia: dla Polly nie istniała lepsza rzeczywistość. Nie miała żadnych ciepłych wspomnień.

Sara zaś wciąż potrafiła przywołać swoje duchy, niewyraźne w oślepiającym słońcu lata i przysłonięte przez cienie: kurczęta przeciskające się przez drzwi chaty obok małego chłopca, który nie nosił jeszcze spodni i pachniał moczem oraz mlekiem; kobietę w czerwonej sukni, która podniosła Sarę i pocałowała w czoło; mężczyznę siedzącego nad chwiejnym krosnem z książką leżącą na krawędzi, który wstawał sztywno w ciemności; jej łóżeczko, jej brata, przytulonego, ciepłego i mokrego, wsłuchanego w rozbrzmiewające w nocy głosy rodziców. Brata kołyszącego się w przód i w tył, spajającego cały świat.

Dla Sary szczęście istniało; miała dość dobre pojęcie o tym, czego jej było brak.



Rozdział VIII

Wieczór upłynął mile całej rodzinie.

Światło świecy wylewało się przez drzwi frontowe i zbierało w ciepłą kałużę w niebieskim blasku księżyca. Pan Bennet stał na progu, żeby odprowadzić resztę rodziny, z chustą do pudrowania na koszuli. James, już na siedzeniu powozu, skłonił się nowemu panu, który odpowiedział równie dżentelmeńskim gestem; pan Hill pomagał paniom wsiąść do środka; ich suknie wzbierały w progu niczym fale.

Gospodyni i dwie pokojówki czekały na żwirowym podjeździe, jak się po nich spodziewano, żeby obserwować wyjazd dam; na twarzy pani Hill malowały się łagodność i zadowolenie, Polly podskakiwała w miejscu, żeby się rozgrzać, a Sara, z poranionymi rękami schowanymi pod pachami, patrzyła na nocne niebo, marszcząc brwi.

– Czyż nie wyglądają uroczo? – zauważyła gospodyni. –
Moje piękne dziewczęta!

Pan Hill zatrzasnął drzwiczki powozu i odsunął się.
Wszystko w rękach Jamesa.

Nowy służący cmoknął i strzepnął wodze. Nastąpiła chwila wahania, zanim uprząż się naprężyła, a potem powóz ruszył, chrzęszcząc żwirem i kołysząc lampą. Wewnątrz jedna z dziewcząt cicho zapiszczała z podniecenia; zaraz rozpoczęły się rozmowy i już byli w drodze.

Sara tego nie zauważyła, bo starała się nie patrzeć na powóz; gospodynię z kolei interesowało tylko to, jak James elegancko wyglądał w liberii; nawet pan Hill niczego nie skomentował, bo całą jego uwagę przykuwały wszelkie niedociągnięcia. A James

doskonale zdawał sobie sprawę, jak drżały mu ręce i że tę niepewność przekażą dalej lejce aż do wrażliwych końskich pysków, przez co zwierzęta będą kapryśne i narowiste.

Jednak one znały drogę lepiej od niego, więc pozwolił im prowadzić, sam zaś cieszył się przyjemnym kołysaniem powozu i interweniował tylko wtedy, gdy zwierzęta schodziły za bardzo na prawo, w razie gdyby pojawiło się tam coś zławszego niż ich własny pojazd. Konie zaś, wyczuwając powierzone im zaufanie, trzymały głowy wysoko i elegancko stawiały kroki. W środku Jane pochwaliła Jamesa za jego zdolności, a pani Bennet zgodziła się, że podróż była zarówno szybka, jak i wygodna, o wiele bardziej, niż gdy powoził pan Hill.

James podniósł kołnierz i opuścił rękawy płaszcza, a potem spojrzał na posrebrzony krajobraz: miękkie wzniesienia, ciemne zagajniki i łąki wysadzone owcami jak brylantami. Wszystko wydawało się czyste i świeże. James czuł zapach rosnącej w mokrym rowie mięty oraz słodką woń siana w mijanej stodole i zrozumiał, że tak pachnie dom.

Niżej słychać było świergotanie dam; powóz przypominał klatkę z pięknymi ptakami. Jak zdoła okazać im wystarczającą troskę? Jak odwdzięczy się za zaufanie dobrego człowieka, który go zatrudnił? W mgnieniu oka wszystko może się diametralnie zmienić tylko dlatego, że ktoś okaże dobre serce. Już nigdy nie zaryzykuje utraty tego szczęścia. Nie będzie się wychylał ani zwracał na siebie uwagi. Nawet nie spojrzy na Sarę, chociaż to tak przyjemny widok.

Jechali przez las w kierunku orzechowego zapachu buku i torfowej woni pierwszych liści, które spadły w tym roku.

Po dotychczas cichej drodze hałas Meryton ogłuszał. Kopyta podkute żelazem i żelazne okucia na kołach powozów; wrzaski, wołania, śmiech. Ulice były zatłoczone. Stajenni i lokaje krzyczeli, konie rżały; przechodnie pukali w okna powozów, pasażerowie machali jak oszaleli do znajomych wypatrzonych po drugiej stronie ulicy.

Potok gigów, kibitek i kabrioletów zgęstniał i zwolnił przed

salą balową, gdzie pozbył się swoich ładunków. Ludzie zwawo ruszyli w stronę wejścia. Pełna werwy i ubrana w jasne kolory młodzież wyminęła szybko szare i cięższe starsze pokolenie. Przez okna James widział już pełne gości wewnątrz. Zatrzymał się przy zaokrąglonych kamiennych stopniach.

Jednym z tych dziwnych ograniczeń nakładanych na siebie przez ludzi wyższej klasy był zakaz własnoręcznego otwierania sobie drzwi oraz wysiadania z powozu bez pomocy. Zgarbiony staruszek w pełnej liberii wyszedł im naprzeciw i otworzył drzwiczki, żeby James nie musiał schodzić i robić tego sam.

Młode damy wynurzyły się ze środka jak kurczęta z kojca, szeleszcząc sukniami, a każda przez moment ścisnęła rękę nieznanego służącego – Jamesowi zezwolenie na tę chwilową bliskość wydawało się dziwne – promieniejąc z radości, jaką im sprawiał wieczór. Na końcu w kierunku wejścia popłynęła pani Bennet, wspaniale prezentująca się w różowym fiolecie. Dziewczęta trzymały się blisko, rozmawiając, śmiejąc się i machając do innych świeżo przybyłych gości. Później zniknęły w tłumie, który już teraz wydawał się zbyt wielki na salę balową.

– Dobry Boże, człowieku! Rusz się! Zabieraj z drogi tę skorupę!

Ktoś uderzył w tył powozu. James cmoknął i dał koniom sygnał, żeby ruszyły.

Wzdłuż bocznej ściany sali balowej czekał rząd powozów, zajmujący całe podwórze i stajnie. Pozostali powożący też się tutaj zbrali, podawali sobie butelkę i wołali Jamesa, żeby do nich dołączył. Pozdrowił ich, ale zamiast się napić, wołał odwiązać konie i zabrać je z powrotem do koryta na rynku. Kiedy zwierzęta ugasiły pragnienie, wzburzając falami odbicie księżyca, poprowadził je do powozu i czekał.

Z sali balowej docierał do nich szmer głosów i śmiech, ale nie słowa, lecz kształty rozmów w powietrzu. Potem zagrała muzyka; głosy zniknęły, a ich miejsce zajęło dudnienie butów na drewnianej podłodze.

Nakrył konie kocami. Po drugiej stronie ulicy powożący

śpiewali brzydkie słowa do pięknych melodii. Dwóch z nich nieporadnie próbowało grać jiga.

Klacz stuknęła kopytem o kocie łby. Poklepał ją po szyi.

Był pod wrażeniem spokoju, jaki panował w tym miejscu. Jego nadejście wywołało fale, niczym kamyk rzucony do sadzawki. Poczul to; widział, jak na niego patrzą: Sara, pani Hill i ta mała dziewczynka. Ale fale stawały się coraz słabsze, rozchodząc się na boki, a on sam zatonął głęboko i osiadł; czas będzie płynął, wciskając go w coraz pewniejszy grunt, zaś James niedługo przyjmie kolor otoczenia.

Ale Sara! Te przejrzyste szare oczy; zawsze dało się po nich poznać, o czym właśnie myśli. Patrzyła na niego jak na pomyłone oczko w robótce: niespodziewane, irytujące, proszące się o poprawkę.

Z zamyślenia wyrwał go krzyk. Jeden z woźniców zamachnął się na drugiego i spudłował, zataczając się. Rozległy się głośnie złorzeczenia i śmiech. James chuchnął w dłonie i odwrócił wzrok.

W ostatnich latach bywały momenty, gdy o wiele wyraźniej czuł, że żyje. Kiedyś okoliczności zmuszały go do trwania w bolesnym pogotowiu, na palcach, w oczekiwaniu na ostrzegawczy okrzyk. Musiał przewidywać trzy kroki naprzód. Ale tej nocy, gdy wracał powozem z Meryton, czując chłodne powietrze na twarzy, patrząc na wiszący nisko księżyc i słysząc wołania kulików z wysokich wzgórz, z radością oddawał się bezmyślnej egzystencji.

Gdy zaś powóz zajechał przed dom i konie zatrzymały się przed frontowym wejściem, a Sara, zaspana i ze świecą w ręku, otworzyła drzwi, by wpuścić damy, poczul się dziwnie poruszony. Może to przez ciepły blask świecy po całej nocy zimnego księżyca, ale także przez twarz dziewczyny, łagodną i jakby zmarszczoną od senności, oraz młode panienki, trzęsące się z chłodu i mówiące szeptem, żeby nie zbudzić ojca. Przed jego oczami malowała się scena tak prostej pewności... W takich chwilach człowiekowi zdaje się, jakby świat od zawsze taki był i że nic nigdy się nie zmieni.

Sara podała rodzinie herbatę, a następnie wróciła do łóżka w

migoczącym blasku świecy; brudne filiżanki i talerzyki posprząta rano. Chociaż, pomyślała, właściwie już jest ranek. Siedziała do późna, żeby Polly i pani Hill mogły spać; nie było sensu, by wszystkie następnego dnia nie miały sił. Poza tym w ten sposób mogła czytać w samotności. Z poczuciem winy szybko pochłonęła świeżo pożyczoną książkę, pierwszy tom z dwóch, która, jej zdaniem, choć podarowana przez Elizabeth, nieszczerze była godna uwagi. Te wszystkie próby splamienia honoru służącej, te wszystkie omdlenia w dogodnych momentach; na samą myśl, że ktoś miałby ją poprosić o przeczytanie na głos jakiegoś fragmentu, Sara czuła falę gorąca i niepokoju. *Pamela* wyraźnie została napisana do prywatnej kontemplacji.

Istniał jednak jeszcze jeden powód, dla którego Sara zdecydowała się czuwać zamiast innych. Nie była pewna powrotu Jamesa. Musiała się przekonać na własne oczy. I tak pół nocy by nie spała, nasłuchując chrzęstu kół na żwirowym podjeździe i odgłosu otwieranych frontowych drzwi. Bez względu na to, co myślą inni, ona miała go za niestałego lekkoducha, który mógłby uciec w każdej chwili. A kiedy wreszcie to zrobi, znikając równie nagle, jak się pojawił, chciała dowiedzieć się o tym jako pierwsza.

Polly oddychała ciężko, pogrążona w głębokim śnie, pokazując pod rozchylonymi powiekami białka oczu. Sara zgasiła świeczkę i wślizgnęła się do łóżka, drżąc i trzymając się krawędzi pościelenia. Leżała, mrugając w ciemności. Jakie to miało znaczenie, czy on zostanie, czy odejdzie? Jakie to miało dla niej znaczenie?

James również nie mógł zmrużyć oka i z policzkiem opartym o poduszkę wpatrywał się w mrok. Potrafił znosić dokuczający mu od wieków ból, bo musiał: nigdy się go nie pozbędzie. Poza tym... Czyż nie miał do czego wracać? Ma tu poduszkę, materac i koc. Cztery ściany i podłogę. Dach nad głową. Nocny chłód zmieniał jego oddech w kłęby pary. Do tego warto było wracać.

Pani Hill również nie spała. Leżała, patrząc przez świetlik na zimne gwiazdy, podczas gdy pan Hill chrapał obok, z szeroko rozchylonymi ustami. Pomyślała sobie, że gdziekolwiek człowiek się znajdzie, ma nad sobą niebo. Gdziekolwiek się znajdzie, Bóg

nad nim czuwa i patrzy mu w serce.



Rozdział IX

Teraz zaś pławiły się i w plotkach, i w szczęściu,

przybył bowiem w sąsiedztwo pułk milicji

i miał tu pozostać przez całą zimę, zaś na

kwaterę główną wybrano Meryton.

Rezerwa maszerowała przez miasto: oficerowie na koniach i piechota. Zdaniem pani Bennet, która podzieliła się tą myślą w przedśionku, gdy pani Hill pomagała jej zdjąć czapkę, było to równie wspaniałe, co cyrk.

– Och, niech pani żałuje, że tego nie widziała. Oficerowie w mundurach są tacy przystojni i odważni!

Na zewnątrz James podał Sarze stertę zakupów pani Bennet i poszedł odprowadzić powóz. Pani Hill powiodła za nim wzrokiem. Wydawał się jakiś inny; chociaż trikorn rzucał cień na jego twarz, wyglądał blado. Od samego początku wymagano od niego ciężkiej pracy. Za każdym razem, gdy planowano podróż powozem, właśnie James musiał sięgać po lejce. Za każdym razem, kiedy w domu pojawiali się goście, właśnie James musiał im usługiwać. Długie wyjazdy w środku nocy, dni spędzone na fruwananiu wte i wewte niczym lotka, podawaniu obiadów i herbatek Longom czy Gouldingom, Bingleyom czy Lucasom... Nawet kiedy nie przebywał w obecności rodziny czy gości, nigdy nie mógł

naprawdę wypocząć, gdyż wymagano od niego pełnej gotowości; mógł w każdej chwili zostać wezwany dzwonkiem, by donieść powideł, gorącej wody albo, późnym wieczorem, kolejnej butelki doskonałego sherry. Biedaczyna. Musiał być wykończony.

– Co się z panią dzieje, pani Hill? Pani mnie chyba nie słucha!

– Ależ słucham, proszę pani, słucham.

Sara ostrożnie wspinała się na górę ze stertą pakunków, kątem oka obserwując odejście Jamesa. Ona również zauważyła zmianę w jego wyglądzie. Jednak jej zdaniem nie wydawał się zmęczony, raczej zmartwiony. Jakby coś wlało mu pod skórę i ta zaczęła go świerzbic.

– Cóż, proszę się skupić, pani Hill, bo jestem pewna, że pan Bennet zaprosi oficerów na rodzinny obiad, składający się z dwóch pełnych posiłków...

Ludzie nadal nic nie mówili. Sara nie potrafiła tego zrozumieć.

Wyminęła panią Hill, która właśnie pomagała pani B. zdjąć pelisę, a potem weszła z zakupami na korytarz. Nie mogła pojąć, jakim cudem nikt – ani pan Bennet, ani nawet pani Hill, na których spostrzegawczości można było polegać – nie zauważył niczego niefortunnego w nowym lokaju. Samo to, że z radością pracował w Longbourn jako zwykły służący, kiedy mógłby otrzymać wyższą zapłatę w lepszym domu albo w innym fachu, było podejrzane. Poza tym pojawił się znikąd, jakby chował się w szafce pod drzwiami, i od tamtej pory przez wszystkie spędzone tu tygodnie niczego nowego się o nim nie dowiedzieli. Znali jedynie historie – a raczej *klamstwa* – które im z własnej woli opowiedział.

Pchnęła biodrem drzwi do jadalni, przeszła po dywanie i rzuciła pakunki na stół. Poza tym, myślała dalej, pracuje jak wół; to nienaturalne, jak traktuje swoje obowiązki: nie podchodził do nich niechętnie, z lekceważeniem niemal, jak to mają w zwyczaju miejscowi robotnicy. Był żwawy i dokładny, jakby wygarnianie łoapatą zawartości wychodka stanowiło zadanie wymagające skwapliwości i precyzji, a nie odpornego żołądka i ściśniętego

klamerką nosa.

Poukładała zakupy pani Bennet na stole, prostując owiniętą w papier buteleczkę z apteki, wygładzając paczkę z pasmanterii i odwracając schludne pudełko ze sklepu z konfekcją damską.

Co takiego czyniło ten dzień innym? Co się stało, że przyniósł mu taki niepokój?

Widział w Meryton to samo, co pani B.: oficerów na koniach, błyszczące przy mundurach szable, żołnierzy maszerujących elegancko z muszkietami na ramionach.

Gdy Sara wyrównywała zmarszczki na mięciutkiej paczce ze sklepu z zasłonami, nagle ją zmroziło.

Wojsko.

A więc mógł być przestępcą! Mógł być *mordercą*. Równie dobrze mogło mu się udać uniknąć stryczka w Newgate, przecież nic o nim nie wiedzieli. Czytała o tym w gazecie: ci zdesperowani ludzie, którzy przekupstwem, podstępem albo siłą zdołali zbiec z więzienia i czmychnąć przed katem... Wymknął się z Londynu i dotarł na wieś, daleko w głąb Hertfordshire, gdzie nikt go nie znał ani nie wiedział o jego poczynaniach. Zapewne wymusił list z referencjami od jakiejś biednej ofiary albo naiwniaka, albo jego współnik mu go wypisał, a potem dzięki niemu udało mu się dostać do Longbourn. Sara poczuła dreszcz na karku. A teraz okradnie dom, gdy wszyscy będą spali.

Zamorduje mieszkańców w ich własnych łóżkach.

W końcu co tak naprawdę o nim wiedzieli?

Cóż, ona się dowie. A oni jeszcze jej za to podziękują.

Szansa pojawiła się pewnego wieczoru, kiedy James zawiózł rodzinę do Lucas Lodge, gdzie zorganizowano spore przyjęcie; nie spodziewano się ich powrotu aż do wieczoru. To oznaczało, jak z pewną dozą niechęci zauważył pan B., wsiadając do powozu, że do tego czasu pozostała służba ma wolne.

Niektórzy skorzystali z tego bardziej niż inni.

Pani Hill uznała, że to dobry moment, by poukładać bieliznę w szafie, do czego zabierała się już od kilku miesięcy; sprawdziła, czy nie ma pleśni, i wygoniła mole. Polly miała pomóc w

rozkładaniu jej i składaniu; dziewczynka wykorzysta ten czas na ćwiczenie odpowiedniej techniki. Tymczasem pan Hill znalazł sobie bardziej przyjemne zajęcie, chociaż przejrzenie zawartości piwniczki z winem już od dawna nad nim wisiało. Postawił sobie na dole małe krzeselko, przyniósł korkociąg i kieliszek, a gdyby pan Bennet przypadkiem zwrócił uwagę na to, że jego zapas wina kanaryjskiego albo sherry zbyt szybko się skończył, łatwo było to wytłumaczyć: w jednej butelce zrobił się ocet, który następnie został wykorzystany w kuchni.

Tym samym Sara mogła przez jakiś czas cieszyć się swobodą, więc sięgnęła po lampę, zapaliła świeczkę i wymknęła się przez kuchenne drzwi. Przeszła szybko przez podwórze do stajni. W blasku świecy puste boksy wyglądały na czyste i przytulne. Wewnątrz pachniało świeżym sianem. Co by nie mówić o Jamesie, na pewno był dokładny: kiedyś to miejsce wyglądało – i pachniało – jak kompost. Podniosła spódnicę i wspięła się po drabinie.

Nikt nigdy nie zakazał jej wchodzenia do sypialni służącego. Ale z drugiej strony, nikt nigdy nie mówił jej, żeby nie wlatywała na dach i nie siadała przy blaszanym kogucie. Czegoś takiego nie trzeba było zakazywać, bo zbyt daleko odbiegało od tego, czego się po niej spodziewano.

Kiedy jej ramiona i głowa znalazły się już nad ubitą z nagich desek podłogą, postawiła na niej lampę. Pomieszczenie było czyste, pachniało sianem, końmi, skórą oraz drewnem. Wspięła się do końca. Pod dachem leżało schludnie pościelone łóżko, przykryte patchworkowym kocem. Rozpoznała niektóre z łatek: niebieski listek, żółty pasek; materiał należał wcześniej do domostwa i z pewnością to pani Hill mu go oddała. Nad głową łóżka zbił sobie półkę; zostawił na niej książki oraz zapasową parę męskiej bielizny, czystą i starannie złożoną. Sara podeszła bliżej i przyświeciła sobie lampą, żeby przeczytać tytuły na grzbietach, przyciskając spódnicę do krawędzi łóżka i pochylając głowę. *Mikrografia* Hooke’a, *Obserwacje* Gilpina – te już знаła; za Gilpinem wyruszyła jedną stroną kraju na północ, a wróciła drugą.

Obie książki pochodziły z biblioteki pana Benneta – były oprawione w skórę cielęcą w naturalnym kolorze i barwioną na czerwono. Pozostałe zostały zapewne skradzione. *List o zakazie handlu niewolnikami*, mocno wysłużony, napisany przez niejakiego Williama Wilberforce’a. Przynajmniej na ten temat nie kłamał. Odwróciła się i podniosła źródło światła, żeby rozejrzeć się po całym pomieszczeniu. Krzesło, stolik, ciemny płaszcz codzienny, zwisający z kołka. Nic szczególnie cennego czy istotnego nie leżało na wierzchu; jeśli jednak ktoś naprawdę potrzebował coś ukryć, gdzie by to schował? Przykucnęła i zajrzała pod łóżko. Proszę bardzo: z boku leżała stara torba z płótna. Wyciągnęła ją, czując igielki podniecenia. Paski zmiękły z biegiem czasu; torba zapewne kiedyś była czarna, ale zblakła do szarości. Wyglądała, jakby należała do handlarza: to zdawało się potwierdzać wszystkie jej przypuszczenia.

W środku coś zabrzęczało. Pieniądze!

Kłęcząc przy łóżku, odpięła sprzączki. Taki człowiek z sakiewką pieniędzy? Nie mogły pochodzić z uczciwego źródła. Wysypie je na stół w kuchni i ogłosi wszystkim, gdzie je znalazła. Pani Hill najpierw będzie zdumiona, a potem zacznie ją wychwalać i jej dziękować, a na koniec każe jak najszybciej biec do Meryton po posterunkowego albo – nawet lepiej – wojsko. Później Sara powróci z całym oddziałem i wszystkich zadziwi swoją odwagą, sprytem i wyczuciem, a James zostanie odprowadzony do aresztu, gdzie poczeka na sąd.

Wtedy zwróci na nią uwagę; będzie zmuszony na nią spojrzeć. I wszyscy inni, którzy mieli go za takiego wspaniałego, zobaczą jego prawdziwe oblicze.

Druga sprzączka puściła i wreszcie Sara mogła zajrzeć do środka; gdy zaczerpnęła garść, zawartość zdawała się dziwnie lekka i ostra. Przynęła dłoń do światła lampy.

Były blade, piękne i chłodne w dotyku. Widziała je już kiedyś. Nie chodziło o pieniądze. Młode panienki robiły z nich ramki i dekorowały nimi pudełka.

Sara trzymała w dłoni muszelki. Wysypała je na podłogę.

Jedna miała kształt wachlarza, była różowa, płaska z jednej strony i pofałdowana z drugiej. Inna była biała, kredowa i poskręcana jak tuba, w której dostaje się gorące kasztany. Zewnętrzna strona kolejnej została starta i Sara mogła zobaczyć maleńkie spiralne schodki w środku. Kolor innej, którą miała ogromną ochotę schować do kieszeni, z wierzchu przypominał granatowy atrament. W środku muszelka błyszczała jak perła.

Ułożyła je na podłodze w prostej linii; podnosiła każdą po kolei do światła, żeby się przyjrzeć: tu wachlarz, tam spirala, gdzie indziej ucho osła.

Powinna już iść. Pani Hill i Polly mogą w każdej chwili skończyć składanie bielizny, albo pan Hill wyjdzie chwiejnie z piwniczki i rozglądając się zamglonym, pijackim wzrokiem, zacznie się zastanawiać, gdzie się podziali wszyscy inni. I jego kolacja.

Podniosła muszelkę w kształcie wachlarza i obróciła ją, a potem przejechała kciukiem po falistej stronie. Powąchała: pachniała neutralnie, czysto, trochę jak płótno, w którym ją trzymano. Wysunęła język i wyczuła posmak soli. Tajemnica Jamesa zmieniła swoje oblicze. Jaki musi być samotny, pomyślała Sara, że właśnie tu trzyma swoje sekrety.

Uprzytomniła sobie, że nie miała żadnego powodu, by to oglądać. Żadnego.

Zebrała muszelki, wrzuciła je z powrotem do torby, którą później zapięła. Wsunęła wszystko pod łóżko. Zeszła dwa szczebelki i rozejrzała się, przyświecając sobie rozhuśtaną lampą. Czy zostawiła po sobie jakieś ślady? Niestety nie zastanawiała się uprzednio, tylko od razu zaczęła myszkować w torbie, więc nie mogła wiedzieć, czy odłożyła wszystko, jak trzeba. Mogła się tylko modlić, że tak właśnie było.

Oraz że Jamesowi po powrocie nie wystarczy jedno zerknięcie, by przejrzeć ją na wylot.

Niepotrzebnie przejmowała się tym, że wszystkiego się domyśli, bo kiedy przyszło co do czego, James nawet na nią nie spojrział. Zsiadł z powozu i po prostu pomógł paniom wyjść, a

potem poprowadził konie do stajni. Sara stała w przedpokoju z rękami pełnymi czepków i płaszczy, drżąc w otwartych drzwiach i obserwując, jak tylna lampa huśta się w rytm końskich kroków. Jak to możliwe, że ona rozmyślała o nim całe godziny i dni, że mógł być pierwszą osobą, jaka przychodziła jej na myśl o poranku i ostatnią w nocy, skoro – jakże wyraźnie to widziała! – on w ogóle nie zaprzętał sobie nią głowy? Zabrała porzucone ubrania do garderoby, by je tam powiesić. Zdecydowała, że pójdzie za jego przykładem i z całych sił postara się o nim nie myśleć.

Nastał wtorkowy poranek. Taszcząc kubeł pomyj do chlewu, Sara zauważyła mężczyznę, idącego z miasteczka ścieżką przez wzgórza. Z początku go nie rozpoznała i zatrzymała się, żeby mu się przyjrzeć. Najpierw, dostrzegłszy jego płaszczy, potem zaś trikorn i perukę, uznała go za dżentelmena, chociaż dziwne jej się wydało, że idzie na piechotę, zwłaszcza po takim błocie.

Wtedy jednak mężczyzna podniósł głowę – wcześniej uważnie sprawdzał, gdzie stawia stopy na drodze uczęszczanej przez bydło – i dziewczyna zorientowała się, że to czarny lokaj z Netherfield. A ona, proszę bardzo: w wiszącej bezładnie sukience, wciąż poznaczonej plamami świńskiego łajna, z wiadrem pomyj. Szła dalej w nadziei, że jej nie zauważy, ale właśnie wtedy stopa lokaja poślizgnęła się i utknęła w błocie. Musiał się zatrzymać, żeby ją uwolnić, zachwiał się i wyciągnął ręce, by odzyskać równowagę. Ich spojrzenia się spotkały. Na jego twarzy Sara dostrzegła niepokój, ale też rozbawienie, na co sama się uśmiechnęła. Udało mu się dotrzeć do przełazu i już w połowie go pokonał, kiedy znowu się zachwiał. Sara podeszła, by mu pomóc. Odstawiła wiadro pomyj, żeby podać lokajowi rękę.

– Niech ci Bóg błogosławi. – Złapał ją dłonią obleczoną w rękawiczkę, a potem zszedł na suchszy kawałek ziemi.

– Wszystko w porządku, proszę pana?

– Prawdziwy ze mnie naiwniak!

Zamrugła z zaskoczenia. Nadal trzymał ją za rękę.

– Powiedziano mi, że przez pola droga będzie krótsza. Nikt nie wspomniał o błocie. – Pokazał jej swoje buty, podnosząc

najpierw jedną, a potem drugą nogę. Były równie eleganckie, co brudne. – Spodziewam się, że moi przyjaciele w Netherfield właśnie zaśmiewają się ze mnie do rozpuku.

– Przykro mi, panie.

– A te bestie! Wiedziałaś o nich? Widziałaś je? Krowy, puszczane zupełnie wolno! Bez pozwolenia! Może pani uwierzyć? Powinny zostać zamknięte!

Wybuchnęła śmiechem.

Naprawdę był zadziwiająco przystojny, przyznała sama przed sobą. Jego rysy miały w sobie rzadko spotykaną symetrię; a przynajmniej ona nie widywała takiej często. I te błyszczące oczy. Gdy patrzył na nią, czuła się nieco oszołomiona i robiło jej się cieplej.

– Co pana tu sprowadza? – zapytała nieśmiało.

– Och, proszę do mnie nie mówić per pan...

– A więc co ciebie tu sprowadza?

Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni.

– Wysłano mnie z listem – powiedział i teatralnie na niego spojrzął – do pani Benet.

– Zapraszam zatem do domu. Wszyscy obecni.

Pokazała gestem drogę. Ukłonił się uprzejmie i poszedł.

Sara znowu sięgnęła po wiadro i ruszyła do chlewu. Lokaj był isticie niezwykły. Jego maniery, wygląd i to, jak się do niej zwracał; kolor skóry tracił znaczenie na tle tej niesłychanej uprzejmości. Wylała obierki i ścinki do koryta, a potem odwróciła się, zostawiając wieprze, by oddały się namiętному wachaniu i przeżuwaniu. Migiem wróciła do kuchni z pustym wiadrem objijającym się o jej nogę.

Lokaj sąsiadów siedział przy palenisku, a James zdążył już odebrać list – złożony i zapieczętowany kawałek prasowanego na gorąco papieru, bardzo elegancki, jak zauważyła pani Hill – i zanieść go na górę, ku głośnemu zadowoleniu zebranych tam dam. Owe szczęśliwe hałasy dotarły aż na dół, do kuchni; pomogła im w tym Polly, otwierając drzwi i wychylając się w progu, żeby lepiej słyszeć, o czym się mówi. Jane została zaproszona na obiad do

Netherfield! Jaka szkoda, że pan Bingley w tym czasie ma gościć u oficerów. Mimo to wiadomość była pomyślna, jego siostry bowiem wyraziły gotowość poświęcenia panience Jane szczególnej uwagi.

– Mogę zabrać powóz? – zapytała rzeczona panienka.

– Nie, kochanie, lepiej jedź konno, bo zanoszą się na deszcz. A w takim wypadku będziesz zmuszona zostać na noc!

Lokaj sąsiadów założył nogę na nogę, a z jego buta na palenisko spadła grudka błota. Pani Hill posłała mu groźne spojrzenie.

– Czekam – ogłosił – na odpowiedź.

Rozejrzył się z zainteresowaniem, przyglądając się kuchni z łagodnością dobrze sytuowanego człowieka odwiedzającego biedotę, by ocenić, w jaki sposób można tu pomóc.

– Przytulnie tutaj – zauważył.

Sara, mając w pamięci kuchnię w Netherfield, wyczuła protekcyjną nutkę, ale też zdawała sobie sprawę, że nie miał na myśli niczego złego.

Później James wrócił z listem napisanym na najlepszym papierze, jaki można było znaleźć w domu. Podał go lokajowi, który podziękował uprzejmie i wstał, żeby schować go do wewnętrznej kieszeni.

Sara rozejrzała się, patrząc na wszystko jego oczami. Jakże musiało mu się wydawać małe, podłe i biedne w porównaniu z Netherfield. W kuchni było ciemno i ciasno, Polly gapiała się w niego z otwartymi ustami, pani Hill zachowywała się szorstko, niemal niegrzecznie, a James sztywno i z dystansem. Zaś sama Sara wyglądała jak sterta kości owinięta starą szmatą. Jakież nędzne musieli sprawiać wrażenie! Przynajmniej pan Hill gdzieś sobie poszedł i oszczędził swojego mlaskania oraz wiecznie niezadowolonej miny.

Lokaj raz jeszcze spojrzał na swoje ubłocone buty, posłał Sarze cierpki uśmiech, zapiął guziki płaszcza, którego wcześniej nawet nie zdjął, a na koniec założył kapelusz na perukę.

– I z powrotem w błoto – powiedział. – *Au revoir*.

– Do widzenia.

Szczeka pani Hill zatrzasnęła się jak pułapka na myszy; nawet na niego nie spojrzała.

Sara chciała coś powiedzieć, wyjaśnić, wytłumaczyć. Powiedzieć mu, że jej zdaniem jest uroczy i bardzo jej przykro, że sami nie są bardziej uroczy. Zamiast tego tylko dygnęła, a kiedy lokaj opuścił kuchnię, wychyliła się przez próg, żeby patrzeć, jak odchodzi. Pani Hill obserwowała jej poczynania, trąc wanilię nad miską ze słodkim sosem.

– Ciekawe, że Bingleyowie mają Mulata za służącego – stwierdziła gospodyni. – Zastanawia mnie, co ma na ten temat do powiedzenia pani Nicholls.

– Może nie mogli dostać zwykłego mężczyzny – zauważyła Polly.

– Słyszałam, że to teraz modne – odparła pani Hill. – Chociaż nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– Moim zdaniem jest uroczy.

Pani Hill spojrzała groźnie na nieświadome niczego plecy Sary, a potem prychnęła.

– Nawet nie masz pojęcia, do czego taki człowiek jest zdolny. Nie wiesz, jaką urazę może pielęgnować w sercu. Nie czułabyś się bezpiecznie we własnym łóżku.

Potem James, który przez cały czas się nie odzywał, podniósł się i stanął obok Sary. Stał tam dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. A potem stwierdził:

– Znosi się na deszcz.



Rozdział X

...kilku oficerów zjadło ostatnio obiad z wujkiem, jakiś szeregowiec został wybatożony, a poza tym rozeszła się pogłoska, że pułkownik Forster ma zamiar się żenić.

Rozpętała się prawdziwa ulewa. Duże krople odbijały się od kamieni, łomotały w rynnach i wartkim strumieniem wypływały z ich wylotu. Kobiety siedziały nad robótkami. James naprawiał oczka w starych wozach. Pan Hill schował się w spiżarni, gdzie czyścił szkło i swoim długim paznokciem grzebał między resztkami zębów.

– Oczywiście Jane mogła zdążyć przed deszczem. – Polly opuściła robótkę na kolana. – Może jest sucha i bezpieczna. Może jechała galopem całą drogę do Netherfield.

Najpierw cisza, a potem szum ulewy. Mokra czy sucha, Jane z pewnością nie wróci do domu na noc.

– Zabiorę cię kiedyś na przejażdżkę, jeśli zechcesz, Pol.

Wyszczrzyła zęby. Nie przeszkadzała jej „Pol”, o ile to James ją tak nazywał.

– Tylko nie galopem. Dziewczyna chyba jeszcze do tego nie dorosła.

A lokaj, zastanawiała się Sara (nie przyszło jej jeszcze do głowy zapytać go o imię), wróci do Netherfield na czas czy przemoknie aż do skóry koloru siodła jęczmiennego?

Padało cały wieczór, bez przerwy. Wciąż lało jak z cebra,

kiedy służba skończyła pracę. James musiał przebiec podwórze z workiem na ramionach i głowie, żeby choć trochę ochronić się przed deszczem. Mógł pójść do siebie wcześniej i czytać sobie w spokoju, bo miał własny przydział świec; zamiast tego wolał jednak towarzystwo w kuchni. Dzisiaj byli świadkami pewnego rodzaju przebudzenia: cichego, intymnego objawienia. James widział, jak lokaj z Netherfield patrzył na Sarę. Zauważył też, jak ona patrzyła na niego. To wszystko sprawiło, że James poczuł się niestabilnie, jakby ziemia pod nim zaczęła się wybrzuszać i falować niczym morze.

Będzie na nią uważał, powiedział sobie, jak przyjaciel. Powinien poinformować pana B. o wszystkim, co mogłoby zakłócić spokój domu. Właśnie dlatego siedział z kobietami, zamiast czytać w ciszy swojego pokoju. Poza tym, przyznał sam przed sobą, czerpał przyjemność z jej towarzystwa. Miło było czuć, jak oddycha, słyszeć szelest jej spódnicy i słodkie słówka adresowane do małej Polly.

Było mu dobrze.

Lokaj wrócił następnego ranka. Znowu ubrudził się błotem aż po kolana, jego płaszcz był ciężki i mokry, peruka zwiotczała, a puder spływał mlecznymi strugami. Sara miała ręce pełne talerzy po śniadaniu i rozpaczliwie szukała sposobu, by się ich pozbyć. Wciąż stojąc w progu, lokaj zdjął kapelusz i otrząsnął go z wody. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął z niego przemoknięty list.

– Do panny Elizabeth Bennet.

James patrzył to na lokaja, to na Sarę. Stali sami we trójkę, bo państwo Hill byli zajęci gdzie indziej. Bez wątpienia to James powinien zabrać wiadomość na górę, ale wtedy zostawiłby Sarę sam na sam z lokajem.

– Zaniesiesz? – zapytał ją.

– To twoje zadanie, nieprawdaż?

James skłonił się sztywno, zabrał list i ruszył szybkim krokiem na górę, do jadalni, gdzie gospodyni podawała rodzinie kawę. Czekał niecierpliwie, kiedy wiadomość czytano, okraszając

tę czynność okrzykami.

W kuchni Sara została sama z lokajem z Netherfield.

– Straszliwa pogoda, tyle wody... – zaczęła, a potem struchlała, myśląc o swojej nijakości. Całe szczęście, że mężczyzna zdawał się tego nie zauważać: usiadł na krześle przy palenisku i wyciągnął ręce i obute nogi, żeby pokazać, w jakim jest stanie.

– Błoto w Hertfordshire musi mieć wolną wolę, przysięgam. Przyczepia się i wspina. W Londynie – powiedział – są chodniki i arkady, więc można spacerować niezależnie od pogody, a choćby lało jak z cebra, twoje nogi pozostaną suche.

– Zatem przybyłeś z Londynu?

Podawała mu filiżankę herbaty. Wydawał się tym nieco zaskoczony i rozejrzał się po kuchni, ale nie zauważając nic bardziej mu odpowiadającego, sięgnął po filiżankę.

– Mieszkałem tam jakiś czas. Najpierw ze starym panem, a potem nowym.

Sara usiadła po drugiej stronie, przysuwając bliżej krzesło.

– Jak tam jest?

Opowiedział jej o Królewskim Amfiteatrze Astleya, gdzie pokazywano wspaniałych jeźdźców, żonglerów i akrobatów. Później o ogrodach w Vauxhall, gdzie grano muzykę i tańczono. Wspomniał też o żebraku, swoim znajomym, który znał wielu dżentelmenów i śpiewał szanty, nosząc na głowie model statku, w trakcie tańca podskakujący jak na wzburzonym morzu.

– A w nocy puszczane są fajerwerki, tak wspaniałe i hałaśliwe, że nawet starzy żołnierze mówią, że nigdy czegoś takiego nie widzieli.

James wrócił szybciej, niż Sara się spodziewała.

– Czeka pan na odpowiedź?

– Jeśli jest taka potrzeba.

– Cóż, nie ma.

Lokaj zapiął płaszcz i zniknął w mgnieniu oka, wychodząc na siwy poranek. Sara podeszła do okna. Jakże wspaniałe było wiedzieć, że jest tak blisko i może przyjść w każdej chwili, żeby

wypić z nią herbatę i opowiedzieć o Londynie.

– Panna Jane jest chora.

James powiedział to z niepotrzebnym naciskiem; w końcu młoda dama po prostu się przeziębiła.

W nagrodę dostał najbardziej przelotne ze spojrzeń.

– Złapał ją deszcz, jak się spodziewaliśmy, a teraz ją zmoгло i leży w łóżku w Netherfield.

– Och – powiedziała Sara.

– Dlatego panienka Elizabeth idzie ją odwiedzić.

Zdaniem Sary nie były to znowu takie najgorsze wieści. Jeśli Jane zaniemogła, lepiej jej będzie w domu Bingleyów niż u siebie: mieli tam całą armię ludzi, która mogła się nią zająć, a w Longbourn choroba oznaczała tyle dodatkowej pracy do podziału między tak niewiele osób: pranie przepoconej bielizny, chusteczki, specjalne napoje i przekąski, bieganie z tym wszystkim na górę i z powrotem. To ładnie ze strony Jane, że chorowała z dala od domu.

– Wszystko będzie dobrze – stwierdziła Sara.

Dla Jamesa ta chwila przedłużała się niemiłosiernie. Nie mógł się zdradzić z tym, na jakie narażała go męki. Ta ochota, by mówić, by jej dotknąć, musiała zostać stłamszona i wciśnięta w najdalszy kąt jego umysłu.

Z kolei Sara równie skwapliwie chowała poczucie winy po zaglądaniu do jego rzeczy, maskując je irytacją i gniewem: dlaczego pan Smith nie mógł obdarzyć jej takim zaufaniem jak ten lokaj z Netherfield? Dlaczego James nie opowiadał jej o swoich podróżach, skąd przybył i gdzie bywał? Niczego sam z siebie nie mówił, pozostawał milczący i nieuprzejmy. Nic dziwnego, że źle go oceniła. Nic dziwnego, że go szpiegowała...

Wciągnął powietrze; Sara wzdrygnęła się i obejrzała.

A on powiedział tylko:

– Cóż.

Potem zaś wyszedł, ruszając przez podwórze śladem tego drugiego. Pokojówka cmoknęła z niezadowoleniem, odwróciła się i zabrała z powrotem do pracy.

Deszcz ustał i wyjście Elizabeth nikomu na dole nie

przysporzyło dodatkowych kłopotów. Założyła po prostu odpowiednie do marszu buty, zapięła wszystkie guziki dobrego kaftanika, zarzuciła na to pelerynę i złapała parasolkę na wypadek, gdyby jeszcze miało padać. Taką samodzielność należało doceniać, ale kiedy Sara patrzyła, jak Elizabeth rusza w drogę, a potem wspina się na przełaz, nie mogła się powstrzymać od myśli, że pończochy będą zupełnie zrujnowane, a koszula nigdy już nie powróci do poprzedniego stanu, choćby nie wiem ile ją namacać. Zwyczajnie nie da się wywabić błota z różowego perskiego materiału, zbyt delikatnego, żeby go gotować.

W ciągu dnia pojawili się goście. Sir William Lucas i jego córka Charlotte posiedzieli chwilę, ale oni również nie sprawiali problemów i nie zostali na obiad. Elizabeth spodziewano się na czas posiłku, jednak kiedy przygotowania – i wskazówki zegara – posunęły się naprzód, pani Hill zaczęła się obawiać, że panienka nie zdąży wrócić, by pomóc przy jedzeniu placka z mięsem. Jaka szkoda, że nie zatrzymali dłużej Lucasów! O czwartej trzydzieści, kiedy ciasto czekało na kuchennym stole i stygło, znany już domownikom czarny lokaj pana Bingleya otworzył drzwi i stanął w progu, żeby oczyścić buty z błota, wypuszczając ciepłe powietrze. Wyraźnie przestało już go to bawić.

– Pieknie się zrobiło zimno.

Tym razem przyniósł list od Elizabeth. Poinformowała rodzinę, że nie wróci na obiad, ponieważ zostaje w Netherfield, gdzie zajmie się siostrą do czasu, aż ta ozdrowieje na tyle, by móc podróżować. Elizabeth poprosiła o ubrania dla nich obu. Słyszając te wieści – pan Bennet przeczytał list na głos przy stole, aby treść usłyszała cała rodzina i by zawstydzić żonę za jej niefrasobliwe podejście do zdrowia najstarszej córki – pani Hill natychmiast ruszyła, by zapakować niezbędne młodym pannom stroje. Gdy pani Bennet skończyła posiłek, udała się jej śladem.

Pojawiła się w pokoju panienek, kiedy pani Hill miała już prawie wszystko gotowe, aby zmarnować całą pracę, wymieniając jedną suknię na drugą, domagając się, by gospodyni przestała pakować i poczekała, aż pani Bennet się namyśli. A potem stojąc,

pograżona w kalkulacji, kontemplowała zalety i wady każdego czepka, sukni, nakrycia, pelerynki, należących do Jane. Zawartość walizki wylewała się z niej jak zbyt gwałtownie gotująca się zupa.

– Nie, nie, nie tę suknię, bo w tej pan Bingley widział Jane u Lucasów i pomyśli, że nie ma innej równie dobrej.

Na cóż panience lekkie wieczorowe suknie albo wyszywany muślin, skoro jest przykuta do łóżka, albo dlaczego pan Bingley miałby przejmować się jej strojem, skoro i tak jej nie zobaczy, pani Hill nie potrafiła sobie wyobrazić, ale zbyt absorbowwała ją garderobiana matematyka, żeby zwracać na panią B. szczególną uwagę. Jane pojechała do Netherfield w dobrej sukni do obiadu i płaszczu, który z pewnością doszczętnie przemókł; służba do tego czasu zdążyła go już wysuszyć i oczyścić z błota, a tymczasem siostry pana Bingleya pożyczyły panience którąś ze swoich sukien i szal na wieczór, podobnie jak koszulę nocną, kiedy okazało się, że ma zostać na noc. A więc Jane potrzebowała własnych ubrań do spania, kilku szali i sukni na dzień, którą założy, gdy już będzie mogła wstać. Z kolei Elizabeth w Netherfield pojawiła się ubłocona: trzeba jej sukni do obiadu, prostej sukni do opieki nad siostrą, pary porządnych butów do chodzenia po domu oraz bielizny. Chociaż gospodyni rozumiała żywione przez panią Bennet chęci zrobienia dobrego wrażenia, wszystko ponad to było głupotą i tak zostałyby przyjęte przez tamtejszą służbę.

Kiedy pani Bennet się odwróciła, mówiąc, że zaraz znajdzie buty do tańczenia dla Jane, pani Hill zatrzasnęła walizkę i zapięła paski. Jeśli natychmiast nie usunie tego dandysa z kuchni, kto wie, jakich jeszcze im przysporzy kłopotów. Całkiem zawróci Sarze w głowie.

– Wciskając tam jeszcze choćby jedną rzecz, proszę pani, ryzykujemy zniszczenie sukien – powiedziała, widząc gniewne spojrzenie pani Bennet.

I co prędzej ruszyła z ciężarem na dół, zanim pani B. zdążyła albo zaprotestować, albo pogratulować gospodyni dobrego osądu.

Sara i Mulat siedzieli naprzeciwko siebie na krzesłach przy palenisku; on miał nogi wygodnie wyciągnięte, ona pochylała się

do przodu, z rękami na kolanach, błyszczącymi oczami i chustą, która opadła zbyt nisko i zbyt wiele odsłaniała. Rozmowa ucichła w chwili, gdy pani Hill weszła do kuchni. Sara, zdaniem gospodyni, wydawała się zbyt ożywiona i zarumieniona. Pani Hill zbliżyła się do nich dużymi krokami i położyła walizkę na kolanach lokaja. Skrzywił się.

– Proszę bardzo – powiedziała. – Może pan teraz wracać bezpiecznie do domu.

Uroczo udał wielce zmęczonego nowym ciężarem, teatralnie dysząc i chwiejąc się, kręcąc głową i cmokając z pozorowanego gniewu. Sprowokował tym samym Sarę do śmiechu, co najwyraźniej mu się podobało; wyszedł, uchylivszy przed nią kapelusza. Pani Hill zamknęła za nim drzwi. Potem, z rękami na biodrach, patrzyła, jak Sara zamiata popiół z paleniska, zbierając go najpierw w kupki, potem w jedną stertę, a na końcu znowu na płasko. Myślami wyraźnie była gdzie indziej.

Następnego dnia pani Hill wysłała Sarę do Meryton, by kupiła głowę dobrego cukru. W domu nie ostał się choćby kawałeczek. Musiała zdążyć przed obiadem, potrzebowali go bowiem do pieczonych jabłek. Pani Hill bardzo było przykro z powodu tej niedogodności, ale musiała poprosić ją o tę przysługę. Sama miała zbyt wiele na głowie. I tak oto pozbyła się dziewczyny z domu na wypadek, gdyby lokaj znowu do nich przyszedł.

– Też mogę iść? – zapytała Polly.

– Nie. Nie mogę was wszystkich wysłać. Musisz zabrać się za szorowanie. Wyciągnij szmaty i zimną herbatę. Zajmujemy się dzisiaj podłogą w korytarzu i przedpokoju.

– Ba – powiedziała Polly. – Kiedy panienka Jane wyjdzie za pana Bingleya, nie trzeba będzie chodzić do Meryton po cukier. Będziemy mieli całą górę cukru, zbudujemy sobie z niego dom. Będziemy brać kąpiele w słodkim syropie.

– Żadnej – stwierdziła Sara – nie widzę w tym przyjemności.

Zdjęła fartuch i założyła czepek, zanim pani Hill zdążyła zmienić zdanie.

Z ogryzkiem parasola pod pachą i starą, niebieską pelisą na

plecach, wyszła z kuchni z radością w sercu: taki dzień wydawał jej się równie miły, co dzień kiermaszu. Prawdziwie przyjemnie jest iść milę na świeżym powietrzu, bez ciężkich pakunków i bez nikogo, kto mógłby jej wydawać polecenia. Pani Hill nie zauważyła, jeśli zniknie okruszek cukru, więc podróż powrotną dziewczyna sobie nieco osłodzi, zaś wizja obiadu, którego nie musi przygotowywać, wprawiała ją w doskonały nastrój.

Buty wkrótce zrobiły się mokre i ciężkie, a lewy obcierał jej stopę, ale na piechotę droga przez pola była lepsza niż przez rogatki, gdzie ciągle przejeżdżały powozy pocztowe i szybkie bryczki, spychając przechodniów w kałuże; człowiek ciągle tam był narażony na stratowanie przez dudniące kopyta lub pędzące koła.

Przystojny lokaj – tak ją olśniewał, że wciąż zapominała spytać go o imię – nie przepadał za błotem. Był kolorowym ptakiem, papugą; pogoda sprawiała mu kłopot. A jeśli jego uznać za papugę, pani Hill musiała zostać psem collie: pogoda nie robiła na niej żadnego wrażenia. Nie zważała na zimno, deszcz i błoto: jej umysł i dusza całą uwagę poświęcały pracy. Jeśli chodzi o Sarę – cóż, pogoda też nie miała dla niej wielkiego znaczenia. Jeśli się zmoczy, może się wysuszyć. W międzyczasie nie ma sensu pomstować.

Pomyślała jednak o tym, jak piękne muszą być ogrody Vauxhall po deszczu.

Ścieżka połączyła się z brzegiem rzeki i biegła dalej do Meryton. Woda w rzece była wysoka i wzburzona; z sadzawki przy młynie aż się wylewało, a potężne koło obracało się, wzbijając pianę.

Nie padało, ale ciemne chmury wisiały nisko, pogrążając uliczki w dziwnym półmroku. Cienie były lekko sinawe i fioletowe, kamienie, ściany i kocie głowy zaś mdłozielone.

Minęła garbarnię, śmierdzącą śmiercią i psim gównem, a potem ślepe ściany przytułku, gdzie mimo pochmurnego dnia nie paliły się żadne światła. Boczne uliczki wychodziły na prawo i lewo, półnagie dzieci tworzyły tamy i jeziora w rynsztoku, a

kobiety stały w drzwiach, pochylone, z opatulonymi niemowlętami na rękach. Sara mijała puste stragany rzeźnicze, roztaczające woń charakterystycznej mieszanki strachu, amoniaku i krwi.

Było tak cicho...

Szła dalej bocznymi uliczkami. Zazwyczaj tętniły życiem i wydawały się znajome: były tam tkaczki, które stojąc w drzwiach, rozmawiały o polityce, kobiety zbite w wesołą gromadkę przy pompie. Wiedzieli, kim jest, czyją była córką. Dzisiaj na zewnątrz znajdowali się tylko ci, którzy nie mieli innego wyjścia. Dzisiaj dało się słyszeć tylko pełną przygnębienia ciszę i wodę ciekącą z połatanych dachów.

Z nieba znowu zaczęła lecieć mżawka. Sara rozłożyła parasol. Na rogu stała jedna z głównych gospód w Meryton; swoją na wpół pokrytą drewnem fasadę zwróciła w stronę kupujących i sprzedawców z Market Street, a tył do mokrej uliczki. Gdy Sara minie róg, wyjdzie już na szersze, bardziej uczęszczane drogi. Przyśpieszyła. Pójdzie prosto do sklepu spożywczego po cukier, a potem zajrzy do aptekarza i zapyta pana Jonesa o Jane. Następnie – wszak zabrała ze sobą własnego pensa – weźmie sobie bułeczkę u piekarza i zajądając się nią, ruszy prosto do domu, przez roгатkę. Woląла zaryzykować przemykanie między powozami niż wracać przez te same ciemne okolice.

Mijała podwórze gospody. Ostatni raz przechodziła tędy w dzień targowy, wówczas roilo się tu od rolników z dobrze odchowanymi końmi. Ale dzisiaj przestrzeń za zaokrąglonymi, pobielanymi ścianami była inna: coś tu budowano. Konstrukcja była prymitywna, a jej niesezonowane drewno zmokło na deszczu. Chyba miała tu stanąć obora? Zajmowała połowę podwórza.

Baraki, mówiła pani Bennet. Budowali baraki dla żołnierzy.

Słyszała też nowe dźwięki; pierwszy raz zwróciła na to uwagę. Gwar wielu głosów. Męskich głosów.

Przyśpieszyła, pochylając parasol, żeby jej nie zauważono. Minęła bramę i chociaż nic nie widziała, wyczuła, że coś się dzieje. Zanosilo się na coś. Coś się miało wydarzyć.

Ale oto jeszcze tylko kilka kroków i wyjdzie na Market

Street. Uda się prosto do sklepu, żeby kupić cukier, porozmawiać o pogodzie i szokującym stanie dróg. Nie musiała wcale patrzeć na podwórze, gdzie zebrali się mężczyźni. Tak będzie lepiej: w ten sposób istniała mniejsza szansa, że ją zauważą. Mimo to uniosła lekko parasol i zerknęła.

Przez powstający budynek podwórze stało się dużo węższe; teraz była to tylko mokra alejka między surowym drewnem a ścianą. Żołnierze w czerwonych mundurach stali zbici w ciasną gromadę po drugiej stronie, trzymeni tam przez niewidzialne ogrodzenie. Nikt się za nią nie obejrzał. Nie przerywała marszu, chociaż wszystko zdawało się zwalniać, każda chwila wydłużała się niemiłosiernie; zrobiła krok i zmieniła jej się perspektywa, dzięki czemu ujrzała, co tak przyciągało mężczyzn do tego miejsca, czym tak pilnie się zajmowali.

Chodziło o słupek do przywiązywania koni, tuż za bramą. Znajdował się między nią a nimi.

Przez chwilę jej zmysły nie potrafiły pojąć tego, co widziała.

Najpierw zobaczyła wieprza. Tuszę. Wielki kawał mięcha, czekający na oskórowanie.

Potem jej postrzeżenie się zmieniło, pojawiły się prawdziwe kształty: zauważyła zarys ludzkich mięśni, łopatkę, ciemną plamę włosów i napiętą szyję.

Gdy tylko zorientowała się, co widzi, od razu odwróciła wzrok. Ale i tak było już za późno – obraz odcisnął się w jej pamięci jak pieczęć w miękkim wosku. Jego skóra zdawała się ciemna w półmroku, policzek miał poznaczony siwiejącym zarostem i przyciśnięty do mokrego drewna. Oczy szeroko otwarte, białka wywinięte, zaciśnięte szczęki. Jego ciało, przytrzymywane przez więzy, zaciekle pracowało: mięśnie ramion kurczyły się i rozkurczały, stopa kopała i zapierała się o kocie łby jak u konia.

Na końcu podwórza żołnierze poruszali się niespokojnie, mruclili coś pod nosem. Niektórzy byli bardzo młodzi – jeden z nich miał może czternaście lat i wyglądał, jakby się miał zaraz rozpłakać, a jednak żaden z nich nie patrzył na więźnia. Tłum zafalował i pojawił się mężczyzna z podkasanymi rękawami i

biczem w rękę. On także odwracał wzrok od związanego.

Sara już prawie dotarła do bramy. Na policzku czuła chłód deszczu. Przechodząc obok, zobaczyła miejsce, w które tak uparcie wpatrywali się żołnierze; ostatni element tej skomplikowanej układanki. Po jednej stronie bramy stała grupka oficerów. Opierali się o ścianę; wyglądali niezwykle elegancko w mundurach swojego pułku. Jeden czy dwóch w średnim wieku i kilku młodszych, w tym pewien tak gładkolicy, że mógłby uchodzić za dziewczynę. Pozieleniał na twarzy.

Oficerowie wydawali się spokojni, zajęci rozmową; mężczyzna z biczem, więzień, chłopcy w mundurach, wszyscy czekali na znak.

– I cóż, Chamberlayne, co pan powie? – mówił jeden ze starszych. – Jest pan na to gotowy?

– Tak, pułkowniku Forster. – Chamberlayne. To ten gładkolicy.

– Wygląda, jakby miał mdłości.

– Wcale nie. Po prostu... coś było nie tak z tym piwem.

– To nie z piwem było coś nie tak, tylko z tobą.

– Zrezygnuj, Denny. Dwadzieścia batów to nie byle co.

– Tak, proszę pana. Przepraszam, kapitanie Carter.

– Oni tego potrzebują, Chamberlayne – powiedział starszy mężczyzna, pułkownik. – Nie radzą sobie bez dyscypliny. Nie potrafią nad sobą panować, więc my musimy panować nad nimi. Wykazalibyśmy się niedbalstwem, gdybyśmy to zignorowali. Kto nie salutuje oficerowi, okazuje niesubordynację.

Teraz Sara straciła ich z oczu, wszedłszy za długą, pobieloną ścianę; wciąż jednak wyraźnie słyszała głosy.

Znowu odezwał się piskliwie Chamberlayne:

– Nic mi nie będzie, tylko miejmy to już z głowy.

– W takim razie, panie sierzancie, słyszał pan oficera i wie, co ma robić.

– Tak, proszę pana.

Poczuła to w powietrzu. Jej skóra cała jakby się najeżyła. Oddech przerwy i mężczyźni ustawili się w szeregu. Następnie

trzasnął bicz.

Więzień krzyknął. Sara przycisnęła dłoń do ust.

– Jeden! – zawołał sierżant.

Kolejny świst i trzask. Mężczyzna wrzasnął. Sara upuściła parasol. Oparła się o mokrą ścianę z kamienia.

Kolejna przerwa. I kolejne smagnięcie biczem. Kolejny krzyk.

Była pewna, że zaraz zwymiotuje. Stała z mocno bijącym sercem. *Dwadzieścia?* Jeśli tak dalej pójdzie, zabiją go. Powinna wrócić, stanąć między nim a bólem; musieliby przestać. Znowu trzaśnięcie bicza. Zamknęła oczy, ogarnęła ją ciemność.

Smagnięcie, krzyk. Znowu i znowu. Wrzaski słabły.

Zachwiała się. Jej stopy zaplątały się w mokrą spódnicę, drżąca dłoń szukała oparcia w ścianie, parasol przechylił się na bok. Poczowała deszcz na twarzy.

Wkrótce po tym, jak Sara wyszła, Mulat (dlaczego zawsze on? Czyżby pan Bingley miał tylko jednego lokaja, którego może wysłać na wieś?) pojawił się z kolejnym bilecikiem od panienci Elizabeth.

Pogłaskał Polly pod brodą, uścisnął niechętną dłoń Jamesa i rozejrzał się po kuchni.

– Gdzie...

– Pokojówka? – zapytała pani Hill.

– Hmm, chyba tak. To śliczne dziewczę.

Gospodyni podała list Jamesowi, a potem wskazała salon ruchem głowy. Poszedł.

– Gdzie indziej – odparła.

Niczego lokajowi nie zaproponowała, ani herbaty, ani nawet krzesła, a już z pewnością żadnych wieści na temat Sary. Zdała sobie sprawę, że mogliby się spotkać na ścieżce; tylko szczęściu zawdzięczała to, że do tego nie doszło. Musi się zastanowić nad innymi sposobami na trzymanie Sary z dala od niego. A jemu będzie musiała wystarczyć szybka odpowiedź w postaci złożonej kartki od pani Bennet, i niech już rusza w drogę.

Odprawiając go wzrokiem, pani Hill pogratulowała sobie

doskonałego planu. Lokaj wkrótce zainteresuje się czymś innym, łatwiej dostępnym. Nie wyglądał na upartego.

W sklepie spożywczym Sara złożyła parasol i poprosiła o głowę cukru, a sprzedawca, zamiast po prostu ją podać i zapisać na rachunku Bennetów, spojrział na dziewczynę i zapytał:

- Dobrze się czujesz, moja droga?
- Tak, dziękuję za troskę.
- Jesteś biała jak ściana. Musisz się czegoś napić.

Zawołał z kuchni córkę; wielkooka dziewczyna zaprowadziła Sarę do kominka i podała jej filiżankę herbaty.

Chwilę później sprzedawca zajrzał przez drzwi, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają, a potem skonstatował, że wreszcie udało im się przywrócić Sarze rumieńce. I bardzo dobrze, bo bał się, że powrót do Longbourn mógłby się okazać dla niej zbyt obciążający i rano znajdą ją martwą w jakimś dole.

Wbrew swoim zwyczajom, James pałętał się pani Hill pod nogami i nagle stał się bardzo rozmowny. Pojechał z panią Bennet do Netherfield i wrócił z powozem pełnym młodych panien, a przez Meryton przejeżdżał tego dnia dwukrotnie: dlaczego nie pomyślała, żeby poprosić go o kupienie cukru, by oszczędzić Sarze kłopotu? Stał przy oknie i kiedy kazała mu odejść, by mogła sięgnąć po garnek z pietruszką na parapecie, przesunął się tylko tyle, że gdy się odwróciła, znowu jej zawadzał.

- Przepraszam, panie Smith.

Zszedł jej z drogi, a potem wrócił na swoje miejsce. Przetarł zaparowaną szybę.

- Robi się ciemno.
- To tylko chmury. Cały dzień było szaro.
- Tak. A teraz robi się ciemno.

Pani Hill postawiła na stole ciężki garnek na rybę.

- Ma jeszcze godzinę albo i dłużej, zanim zajdzie słońce.

Wykrzywił się, a potem kiwnął głową. Chwilę później powiedział jednak:

– Powinna już wrócić, nieprawdaż? Już od paru godzin powinna być w domu.

Implikacje jego zachowania goniły po głowie pani Hill niczym stadko małych szpaków, kiedy wyjmowała z garnka ociekającą rybę i położyła ją na półmisku. A więc ujął go ten łobuziak. Cóż, kto by pomyślał? A jeśli Sara odwzajemni to uczucie – jeśli tylko uda się wybić jej z głowy Mulata – wszystko mogłoby się zacie ułożyć. Sara i James małżeństwem. W żadnym wypadku się temu nie sprzeciwi; a jeśli ona na to przystanie, kto mógłby mieć coś przeciwko?

– Proszę – powiedziała i stuknęła półmisek krótkim paznokciem. – Ryba gotowa. Zanieś ją teraz na górę.

Spojrzał bez przekonania na danie. Potem odwrócił się z powrotem do okna.

– Wróci, zanim obiad zostanie zjedzony. Nie martw się.

– Nie martwię się.

Jego niepokój stawał się zaraźliwy: pani Hill poczuła budzący się w niej strach. Czy Sarze mogło się stać coś złego?

– Obiad stygnie.

Odsunął się od okna, sięgnął po serwetę i podniósł półmisek.

– To mądra dziewczyna – powiedziała gospodyni. – A okolicę mamy spokojną. Nie zdarza się tu nic nieprzyjemnego.

– Tak – odparł. – Oczywiście.

– A poza tym kto miałby niepokoić młodą kobietę, gdy wojsko stacjonuje tak blisko?

Chwilę jakby się wahał, a potem pokiwał głową.

– Mamy szczęście – stwierdziła pani Hill. – Możemy się uważać za bardzo bezpiecznych.

Spojrzał na rybę, leżącą na półmisku z pustym wzrokiem i bez łusek. Da Sarze czas do końca obiadu, a jeśli dziewczyna nie wróci, pójdzie jej szukać.

Nie musiał iść daleko. Zauważył ją na wietrznym grzbiecie wzgórza. Wlokła się po ścieżce okalającej jego podstawę. Dlaczego zdecydowała się na dłuższą drogę, zamiast iść przez pola, nie potrafił pojąć.

Dojrzawszy ją, poczuł się nagle lżejszy; wypuścił powietrze, które natychmiast porwał wiatr.

Przysiadł na murku i patrzył, jak dziewczyna ciężko stąpa po błocie, a wiatr wyrywa i płące jej między nogami spódnicę. Wydawała się taka drobna i delikatna, jakby mocniejszy podmuch miał ją porwać.

Kiedy przeszła jakieś dwadzieścia metrów lub więcej, wstał i zszedł z pagórka. Ruszył jej śladem, nie spuszczać z niej oka do czasu, aż minęła bramę. Czekał przy słupku, podczas gdy ona maszerowała przez żwirowy podjazd i obeszła dom. Wydawała się przemarznięta i zmęczona. Kiedy zniknęła za rogiem, James podbiegł bliżej i przykucnął, żeby obserwować, jak Sara dociera do stajni i przecina podwórze. Wreszcie wślizgnęła się do kuchni i drzwi się za nią zamknęły.

Sam ruszył do siebie, gdzie słycać było, jak konie niepokoją się świszczącym, porywistym wiatrem. Pogłaskał je po pyskach, kojąc tym samym zarówno swoje, jak i ich nerwy. Wytał włosy do sucha i powiesił płaszcz na gwoździu, żeby ściekła z niego woda.

Martwił się o nią, to wszystko. Nikt tu chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, jak naprawdę wygląda świat. Taka niewinność była niebezpieczna. On jednak wiedział. Wiedział, że ludzie są zdolni do wielu rzeczy, i z czasem zaczął wierzyć też, że niektórzy z nich wcale nie są ludźmi, choć chodzą i mówią, i modlą się, i jedzą, i śpią, i ubierają się jak ludzie. Wystarczy dać im czas i odpowiednią okazję, a pokażą swoje prawdziwe oblicze – kreatury z dziwnymi żądzami, która nie przejmuje się krzywdą, jaką wyrządzi, próbując je zaspokoić.

Kiedy James walczył z wiatrem i błotem, wyglądając Sary, pani Hill wchodziła po schodach z załadowaną tacą w rękach. Pchnęła ramieniem drzwi do przedpokoju. Członkowie rodziny rozpromienili się na widok kawy i herbatników. Kitty i Lydia porzuciły swoje robótki (o ile rozpruwanie porządnych czepków, żeby zszyć je odrobinę gorzej, naprawdę mogło zostać uznane za pracę) i wróciły do stołu. Pani B. i Mary spojrzały na przyniesione smakołyki; nawet pan B. złożył gazetę i powiedział:

– Dobrze, dobrze.

Wszystko wydawało im się doskonale przyjemne. Głowę

pani Hill zaprzętała jednak nieszczęśliwa myśl: kłopotą się zmartwieniem Jamesa. Cóż takiego widział, coś takiego zrobił, coś takiego wiedział, czego oni nie wiedzieli?

Sara, oczywiście, wróciła do domu bezpieczna, chociaż zmęczona, przemoczona i zmarznięta. Odłożyła głowę cukru i opadła na krzesło przy palenisku. Polly wślizgnęła się do środka, obgryzając paznokcie.

– Zaczynaliśmy się już o ciebie martwić.

Sara spojrzała na panią Hill, mrugając z zaskoczenia; wydawało się, że od jej wyjścia minęły całe wieki; że cały świat się zmienił.

– Droga nie jest łatwa, proszę pani. Trudno się idzie po tym błocie.

Sara zadrżała. Polly podeszła do niej ukradkiem i przytuliła się, szukając pocieszenia. Jej kciuk powędrował do ust.

– Nie rób tak, Polly, kochanie. Jesteś już dużą dziewczynką.

Młodsza pokojówka uśmiechnęła się z palcem w buzi i przysunęła bliżej Sary. Stłumionym głosem oznajmiła:

– Jesteś cała gorąca!

– Naprawdę? A jest mi zimno...

Pani Hill zmarszczyła brwi i położyła dłoń na czole Sary. Bruzdy na czole gospodyni jeszcze się pogłębiły. Sara nie protestowała, gdy podano jej ciepłe mleko z miodem i wysłano wcześniej do łóżka.

Kiedy chwilę później James wszedł do kuchni, zupełnie suchy i schludny, jakby niczego szczególnego nie robił, Sary już nie było, a pani Hill zachowywała się sztywno i z dystansem. Polly powiedziała mu z niejakim zachwytem, że Sara wróciła zupełnie zmęczona i zmarznięta, więc musiała wcześniej się położyć.

Głowa cukru, dobrze zapakowana w sklepie i trzymana blisko ciała całą drogę, leżała teraz na stole, umieszczona w zawiniątku. James dotknął czubkiem palca gładkiej półprzezroczystości, spodziewając się zimna. Zamiast tego wyczuł resztki ciepła Sary.

Na górze, na stryszku, rozebrana już z mokrych tkanin, w

koszuli nocnej, z szalem na ramionach i skarpetkami aż po kolana, Sara leżała pod pościelą, cała roztrzęsiona. Zaciśnęła mocno powieki, a mimo to wciąż widziała śmiertelnie białą skórę mężczyzny. Nieustannie słyszała jego niepokojąco słabnące wrzaski, coraz cichsze i cichsze.



Rozdział XI

Bingley nalegał, by natychmiast posłać po pana Jonesa,

a siostry jego twierdziły, iż żaden wiejski doktor

na nic tu się nie zda, i radziły wysłać kuriera do

Londynu po jednego z najznakomitszych lekarzy.

W piątek Sarę trawiła gorączka; leżała niespokojnie i mamrotała coś pod nosem. Pani Hill chodziła na górę albo wysyłała tam Polly, kiedy tylko mogła, z rosółem albo herbatą, a potem obie podnosiły ją i powoli karmiły i poiły łyżeczką. Ale z kuchni na stryszek było bardzo daleko i niezbyt często udawało się komuś oderwać od obowiązków, a już na pewno nie dało się posiedzieć przy Sarze, by przynieść jej pociechę.

Gdyby dziewczynie nie polepszyło się w ciągu kilku dni, pani Hill poprosiłaby pana Benneta o przysłanie lekarza. Albo ubłagałaby panią o kropelkę balsamu z Gileadu. Ten nigdy nie zawiódł pani Bennet... Ale napoju za pół gwinei za butelkę nie daje się służbie bez ważnego powodu.

Na dole James pracował, zagryzając policzek, i wypytywał o Sarę znacznie częściej, niż Polly i pani Hill były w stanie chodzić i sprawdzać jej stan zdrowia. Gdyby gospodyni знаła prawdę – że przez większość czasu powstrzymywał się, żeby nie wspominać o dziewczynie – od razu uznałaby swoje podejrzenia na temat jego

uczuciu za całkowicie słuszne.

W sobotę gorączka Sary zelżała i dziewczyna mogła wreszcie usiąść sama na łóżku. Polly zaniosiła jej jabłka i orzechy, a ponieważ starsza pokojówka nie mogła ich zjeść, młodsza rozłupała je i spałaszowała sama, bacznie przyglądając się chorej.

– Masz na coś ochotę?

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

Polly uniosła palec, wstała i wybiegła z pokoju. Wróciła po kilku minutach ze słojem powideł jeżynowych i łyżką.

– Gospodyni nie zauważy – powiedziała.

Pani Hill traktowała zawartość spizarki jak Bóg swoje owieczki – nic nie umykało jej uwadze. Sara dobrze o tym wiedziała i dlatego wymusiła na Polly obietnicę, że odniesie słoik bez otwierania.

– Tylko jeśli przysięgniesz, że się pośpieszysz z wyzdrowieniem. Smutno, gdy tak tu siedzisz. Tęsknię za tobą.

Na czas choroby Sary Polly musiała spać w sypialni Hillów. Miała tam do dyspozycji mały materac na podłodze.

– Oboje chrapią jak wieprze! A stary potwornie pierdzi.

– Polly!

– Ale to prawda. Ma większe wiatry niż konie!

W niedzielę, kiedy pani Hill weszła do kuchni, żeby dołożyć do ognia i nastawić czajnik na szybką herbatę przed poranną mszą, jej oczom ukazała się Sara, ubrana i zajęta wygniataniem ciasta na bułeczki do śniadania. Najwyraźniej nie czuła się jeszcze najlepiej, bo siedziała przy stole i wciąż wydawała się blada. Lepiej, żeby nie szła do kościoła.

– Cóż – westchnęła pani Hill, kładąc dłoń na jej czole; nie czuła gorąca – cieszę się, że już ci lepiej.

– Chciałam się czymś zająć – wyjaśniła Sara.

Długi i nużący niedzielny poranek został podzielony równiutko na pół przez przyjazd powozu Bingleyów, z Elizabeth i Jane w środku.

Sara stała opatulona szalem, trzęsąc się na wietrze, podczas gdy panienki wbiegały po schodach do środka. Jane była blada i

zdawała się słaba, ale zniosła protesty matki na temat kłopotów, jakie sprawiła Bingleyom, prosząc o powóz, z typowym dla siebie spokojem. Cały zgiełek omywał teraz Sarę, zupełnie jej nie dotykając. Wszystkie zmartwienia rodziny, choć tak wielką się robi z nich sprawę i tak się z ich powodu gorączkuje, wydawały się służącej drobnostką; były nieistotne.

Czarny lokaj podał Jamesowi walizkę, a ten zaniósł ją do środka. Rozejrzawszy się szybko, czy nikt jej nie obserwuje – na zewnątrz z domowników została już tylko ona – Sara podeszła do Mulata.

– Długo cię nie widziałem – rzekł. – Przez kilka dni co najmniej. A byłem tutaj częstym gościem.

– Zaniemogłam.

– Jak masz na imię? Nikt mi tu niczego nie chce powiedzieć.

– Sara.

Dotknął rąbka kapelusza.

– Ptolemy Bingley. Do usług.

Już jego imię wydawało się dziwne, ale...

– Jakimże sposobem jesteś Bingleyem?!

– Jeśli opuścisz majątek Bingleya, przyjmujesz jego nazwisko, tak to działa. – Wspiął się z powrotem na swoje miejsce na stopniu i posłał jej przeciągłe spojrzenie. – Wymęczyli cię, prawda?

– Przeziębiam się. – Opatuliła się mocniej szalem, dostawszy gęziej skórki.

– Musisz o siebie zadbać, dziecinko. Nikt inny tego za ciebie nie zrobi.

Zdawała sobie sprawę z obecności innych służących z Netherfield – drugiego lokaja i woźnicy – i niemego porozumienia między nimi, wymiany spojrzeń oraz uniesienia brwi.

– Gdzie znajduje się to miejsce – zapytała – w którym na każdego wołają „Bingley”?

– Ach, tam z pewnością byś się nie przeziębiała.

– Zatem jest tam ciepło?

– Jak w kąpieli.

Zawahała się. Woźnica cmoknął, konie zaczęły rzeć i poruszać się niespokojnie.

– Mam nadzieję, że wrócisz niedługo do Longbourn, panie Bingley – powiedziała.

– Ptolemy. Tol. Ciągłe znajdują dla mnie dobre ku temu powody.

Potem koła zaczęły się kręcić, a żwir pod nimi zachrzęścił. Lokaj znowu dotknął rąbka kapelusza i po chwili byli już w drodze. Patrzyła na odjeżdżający powóz i poczuła swego rodzaju krępujące zadowolenie. Była w tej chwili pewna jednej tylko rzeczy: nie zamierza zawsze tak żyć. Coś się w niej ułamało i odpłynęło, i nic już nie będzie takie samo.

Koniec części pierwszej

CZEŚĆ DRUGA



Rozdział I

*Blisko miesiąc temu otrzymałem ten oto list,
a mniej więcej przed dwoma tygodniami
odpisałem, uważałem bowiem, że sprawa jest
delikatnej natury i wymaga rozwagi.*

Kiedy Jane i Elizabeth powróciły na łono rodziny, a Sara do względnie dobrego zdrowia, pani Hill pozwoliła sobie żywić nadzieję, że możliwe będzie także wznowienie dawnych zwyczajów i przywrócenie względnej normalności.

Jeśli takie właśnie oczekiwania zrodziły się w jej sercu, już następny dzień przyniósł im kres. Przy śniadaniu pan Bennet ogłosił pewne wieści: jeszcze tego samego popołudnia spodziewał się wizyty swojego kuzyna, pana Collinsa, który miał zatrzymać się u nich aż do soboty kolejnego tygodnia. Po przekazaniu wiadomości rodzinie pozostawił jej członków z okruszkami ciasta i fusami kawy, a sam udał się do biblioteki dla uzyskania lepszego efektu dramatycznego. Jego ucieczka nie do końca się udała, ponieważ w ślad za nim podążyła pani Hill. Wślizgnęła się do środka bez pukania.

– Będziemy gościć tego dżentelmena przez dwanaście dni, panie Bennet?

Pan B. pokiwał głową.

– I właśnie dzisiaj mamy się go spodziewać?

Pan B. strzepnął gazetę.

– Doskonale pani rozumuje.

– Musi pan wiedzieć, że ani trochę nie jestem na to przygotowana.

– A jednak – powiedział pan Bennet – o ile nie zatrzymają go wyroki boskie albo bandyci, powinien pojawić się do czwartej. – Celowo wyjął z kamizelki zegarek i mu się przyjrzał. – A za piętnaście minut wybije jedenasta. Czas ucieka, pani Hill. Czas ucieka.

– To doprawdy nieuprzejme.

Wsunął zegarek z powrotem do kieszeni.

– Jest pani niesprawiedliwa, pani Hill. Tu chodzi nie o uprzejmość, a praktyczność. Musi pani tylko zrobić to, za co pani płacimy. – Schował brodę w fałdy krawata i znowu rozprostował gazetę. – I lepiej, żeby już pani zaczęła, nieprawdaż?

Pani Hill już miała protestować, ale się zreflektowała: spieranie się z nim było (jak zawsze) stratą czasu. To była kara. Czekał aż do tej chwili, żeby ją wymierzyć. Zasłużyła na nią dwa miesiące wcześniej, kiedy powiedziała mu szczerze, co myśli o przyjęciu Jamesa na służbę. Gdyby teraz wyraziła swoje obiekcje, on zapisałby je w swym sekretnym rejestrze i odłożył czas zapłaty na później. Niech więc cieszy się z tego małego zwycięstwa: gospodyni robi, czego się od niej wymaga, i uda, że jej to nie zabolalo. Dygnęła i zatrzasnęła za sobą drzwi biblioteki, a potem ruszyła schodami do pokoju gościnnego.

Pan Bennet doskonale wiedział, kim był Collins dla niej i wszystkich innych na dole. Mieli zapewnioną pracę w Longbourn, dopóki biło serce pana Benneta, ale później zdani będą na łaskę obcego człowieka. W razie wizyty tego dżentelmena pani Hill zawsze chciała móc uprzednio zaplanować posiłki na cały miesiąc, tydzień wcześniej wywietrzyć i wyprasować najlepszą pościel, a kilka dni spędzić na pucowaniu sypialni na błysk octem, dobrą zimną herbatą oraz najlepszym woskiem.

Ponieważ pan Collins musi, oczywiście, na własne oczy się

przekonać, że obecna służba jest niezbędna do tego, by w przyszłości mógł cieszyć się swoim spadkiem: po śmierci pana Benneta wystarczyłoby pstryknięcie palcami, żeby ich wszystkich zwolnić, a ich wypracowane przez lata porozumienie zniszczyć. Biedny pan Hill bez wątpienia by wtedy umarł. Mała Polly z pewnością źle by skończyła, bo jest zbyt młoda i zbyt głupiutka, żeby o siebie zadbać, a Sara za bardzo ufna, żeby zostać sama na tym świecie. James dopiero co do nich dołączył; nie mogła pozwolić, by tak łatwo z niego zrezygnowano, skoro dopiero się wszyscy przyzwyczajają do jego obecności.

O tym właśnie myślała pani Hill, gdy maszerowała po schodach, otworzyła drzwi do pokoju gościnnego, przeszła po dywanie, rozchyliła okiennice i podniosła ramę okna. Do środka wdarł się rzeński, listopadowy wiatr. Nie, niczego by nie zyskała protestami: odplaciłby złośliwością za złośliwość i nic więcej. Pan Collins będzie pod wrażeniem służby w Longbourn, choćby miało ją to kosztować życie. Choćby miało to kosztować życie ich wszystkich.

W zimowym słońcu sypialnia wyglądała przygnębiająco. Materac nie był obleczony, na toaletce zebrał się kurz, a w kominku sadza. Czuć było stęchlizną.

Do czwartej musi tu być ciepło, jasno i radośnie, a na gościa czekać będzie doskonały obiad, który już powinni zacząć szykować. Gospodyni wiedziała, że niestety nie dostanie dzisiaj choćby kawałka porządnej ryby. Ubije kurę; to będzie musiało wystarczyć. Sara i Polly posprzątają w pokoju. Rozpalą ogień, zamiotą podłogę, zetrą kurze i pościelą łóżko. Do wazy włożą iglaste gałązki i jagody. Sara jest bardzo dokładna i z pewnością przypilnuje Polly. James może przynieść z biblioteki fotel; tego typu wygoda powinna wystarczyć. Pokój wkrótce będzie wyglądał doskonale; kiedy się nim zajmą, zrobi się tu ciepło i przyjemnie, a zapach stęchlizny zniknie.

Upiecze kurę z pasternakiem. Ugotuje białą zupę, a na deser poda orzechy i owoce. Wszystko będzie wyglądać idealnie. Pan Bennet może ją prowokować do woli, już więcej nie zobaczy jej

wzburzenia. Nigdy więcej.

Sara wysłuchała poleceń i przyniosła to, co było niezbędne: pastę, ocet, słoik liści herbaty, szmaty i szczotkę. W takich chwilach należało tylko zacisnąć zęby i wziąć się do pracy. Zniosła kosz na górę i razem z Polly uklęknęły, żeby zwinąć turecki dywan. Zamiotła i wypastowała palenisko, a potem zniosły razem dywan na dół. Było to bardzo kłopotliwe zajęcie – dlaczego tkacze nigdy nie pomyśleli o tym, żeby przyszyć pod spodem rączki, Sara nie mogła się nadziwić. Musiały taszczyć dywan przez wąskie i kręte korytarze, ocierając sobie knykie o framugi i wyginając i tak już zniszczone paznokcie na szorstkim i twardym materiale. Zniosły go na podwórze i powiesiły, a potem wytrzepały z kurzu, który u Sary wywołał kaszel. Dziewczyna wciąż była słaba i szybko się męczyła.

Polly wytarła oczy.

– Ten cały pan Collins musi być kimś szczególnym.

– Nie mylisz się...

Z powrotem na górze, położyły zwinięty dywan na podłodze i przystąpiły z kolei do jej czyszczenia. Oparły łóżko o ścianę i postawiły na nim krzesło oraz toaletkę. Później rozsypały mokre liście herbaty, jakby siały ziarno, rzucając całymi garściami ciemnych strzępków, które padały na podłogę jak deszcz. Zebrały je potem w kopczyki, a na koniec i te zamiotły – razem z kurzem, pająkami i włosami – pod drzwi.

– Co myślisz? – zapytała Sara, rozglądając się po pokoju.

Polly pokiwała głową.

– Wygląda dobrze.

James wszedł na górę z podpałką i szczapami drewna. Sara wymknęła się obok niego i zbiegła na dół ze zmiecionym kurzem. Wróciła za chwilę z ciepłą wodą i nalala do niej octu, żeby umyć okna i lustro. Polly dalej powoli przemierzała pokój z wilgotną ścierką.

Kiedy zegar wybił kwadrans do pełnej godziny, pani Hill, wciąż w zakrwawionym fartuchu, weszła na górę przyjrzeć się ich pracy. Przejechała palcem po gzymsie kominka, położyła dłoń na

śnieżnobiałej pościeli, a potem sprawdziła dekoracje na mahoniowej toaletce. Pociągnęła nosem: wosk pszczeli, nutka octu, delikatny dym z trzaskającego ognia w kominku.

– Świetnie się spisałyście, dziewczynki. Powinnyście być z siebie dumne.

Sara nie była dumna. Była przerażona. Wszyscy zebrali się na schodkach przy wejściu, żeby powitać człowieka, który kiedyś zostanie ich panem, jeśli tylko przekonają go o własnej użyteczności. Wyobrazila sobie pana Collinsa tak srogiego i wymagającego, że nie potrafiła pogodzić tego wizerunku z łagodnym, raczej puszystym młodym człowiekiem, lat około dwudziestu pięciu, który wygramolił się z wynajętego powozu, dygnął niezgrabnie przed zebraną rodziną, a potem państwem Hill, Sarą, Jamesem, a nawet Polly, wpatrzoną w niego jak w obrazek.

Sara dźgnęła ją w zebra.

– Ukłoń się. I zamknij buzię.

Okazało się, że pan Collins bardzo chętnie zachwycał się wszystkim, co zobaczył, od rozmiaru przedpokoju po szerokość klatki schodowej. Jak doniósł James, który niósł za nim bagaże, kuzyn Bennetów wielce był zadowolony z wygod, jakie znalazł na górze, i pytał, komu winien za nie dziękować.

– Coś mu powiedział?

– Że wszystkim zajęły się pokojówki, Sara i Polly, za pani szczegółowym poleceniem.

– Dobry chłopak. Świetnie. Saro, nie zapomnij o ciepłej wodzie. Będzie chciał się odświeżyć przed obiadem.

Kiedy Sara zanosła na górę dzban, pan Collins stał z rękami złożonymi na plecach, kołysząc się na piętach i palcach stóp, wyglądając przez okno. Postawiła wodę na toaletce; usłyszał brzęk i się obejrzał. Zwrócił się do niej oficjalnie, ale dość życzliwie, pytając, czy jest jedną z pokojówek, którym winien dziękować. Dygnęła, potwierdzając. Dodał jeszcze, jak się cieszy, że po długiej, zimowej podróży otrzymał tak ciepłe – a powiedział to z uśmiechem, wskazując ręką kominek – przyjęcie.

Sara była zmieszana tym zainteresowaniem: dżentelmeni nie

rozmawiali z pokojówkami, przynajmniej tego nauczyło ją doświadczenie. Może inaczej sprawy się miały w *Pameli* – ale z pewnością pan Collins nie mógł mieć czegoś takiego na myśli? Nie wyobrażała sobie, by z takimi tłustymi rękami i niezgrabnym krokiem mógł gonić ją po pokoju jak pan B. w książce. A raczej wolała sobie tego nie wyobrażać.

– A inne sypialnie, powiedz, wszystkie są takie ładne jak ta?

Nie miała pojęcia, co mu odrzec. Lydia i Kitty dzieliły pokój pełen porozrzucanych ubrań, przez które czasami służąca próbowała się przedzierać. U Mary było mało miejsca ze względu na klawikord, który pan Bennet tam wstawił, nie wspominając już o stosach książek i kartek z zapisem nutowym. Elizabeth i Jane miały sypialnię dość przestronną i schludną, ale nawet u nich trudno zamykało się drzwi szafy. Poza tym... czy naprawdę, stojąc w klerykalnej czerni, zamierzał dyskutować o pokojach dam? A już z pewnością nie mógł pytać o jej opinię na temat małżeńskiej sypialni państwa B., nieprawdaż?

– Niczego im chyba nie brakuje.

– W rzeczy samej! Cudownie! – Patrzyła, jak zaciera ręce. – Ach, gorąca woda! Jak wspaniale!

Lis dostał się do bażantów. Głupie ptactwo: w pełni już opierzone, a wciąż trzymało się pisklaków Bennetów, spodziewając się karmienia. Lis zabił z pół tuzina; dopadł ich, gdy drapały ziemię i szukały ziarna, nieświadome niebezpieczeństwa. Zwierzę mogło zabrać ze sobą może ze dwa kolejne.

Ziemia była mokra po ostatnich deszczach. Woda burzyła się i przelewała w strumieniu. James zebrał martwe zwierzęta do kosza, skąd patrzyły na niego martwymi oczami, bezwładne. Pozostałe ptaki łąziły za nim, wydając swoje ciche, ochryple piski. Odgonił je kopniakiem; były zbyt ufne. Musiały nauczyć się strachu, jeśli miały przetrwać wystarczająco długo, by dzentelmeni mogli je powystrzelać.

Kiedy zebrał już wszystkie martwe ptaki, wrzucił ich zakrwawione i zwiotczałe ciała do worka. Pani Hill niewątpliwie znajdzie dla nich jakieś przeznaczenie. I tak ostatecznie trafiłyby

do garnka; po prostu stało się to wcześniej, niż się spodziewano. Jedynie dżentelmeni stracili przyjemność z ich zabicia, a ta być może przypadła w udziale lisowi. James nie miał nic przeciwko.

Dlaczego więc czuł smutek?

Chyba dlatego, że je karmił; zaufały mu i poczuły, że mogą na nim polegać. Patrzył, jak drapią i dziobią, i machają skrzydłami. Przywiązał się do nich.

Spojrzał znad ciałek pokrytych nastroszonymi piórkami na skraj lasu, gdzie zaczynały się drzewa, i otwierającą się dalej łąkę na wzgórzu, którą opromieniało chłodne, zimowe słońce. Zapowiedź czekającego tam wielkiego świata.

Lepiej się nie uzależniać od nikogo. Lepiej do nikogo się nie przywiązywać.

Wyszorował ręce przy pompie, potem poszedł do siebie i założył liberię, zmieniawszy również koszulę. Uniósł brodę i zamknął oczy, żeby dobrze zawiązać krawat. Dzisiaj mieli zwykłe rodzinne przyjęcie, a takie nie kosztowało go zbyt wiele nerwów. Były – i będą – znacznie bardziej męczące okazje. Wsunął rękawiczki do kieszeni i naciągnął rękawy. Nie spodziewał się napotkać w tej spokojnej okolicy wojska; z pewnością nie przewidział też tak szybko rozwijającej się zażyłości między oficerami a domem Bennetów. Zaskoczyło go również to, jak pani Bennet nalega, by się nim chwalić.

Odłożył zawiniątko z bażantami na chłodną, łupkową półkę w spiżarni. Odwrócił się i ujrzał Polly; siedziała plecami do ciepłej ściany i bacznie go obserwowała, trzymając się z dala od pani Hill. Opadł na podłogę obok niej.

– Lis je ubił? – zapytała.

Pokiwał głową.

– Chowasz się?

– Prawdziwy tam dom wariatów.

Wskazała brodą w kierunku kuchni. Szczęk naczyń i drapanie łyżek o garnki... A potem coś zostało potrącone i upuszczone na podłogę z głośnym brzękiem.

– Saro!

– Przepraszam!

– Czemu nie możesz być bardziej rozgarnięta?

Usłyszeli zamieszanie. Pani Hill podniosła to, co upuściła Sara, a potem wytarła ścierką rozlaną wodę; nawet na chwilę nie przestawała jej rugać. James zdecydował, że później powie jej o bażantach. W końcu nie była to pilna sprawa.

Sara, zaczerwieniona i zdenerwowana, przyszła do komórki chwilę później. Opadła na deski przed Polly i Jamesem, skrzyżowała nogi i gwałtownie wypuściła powietrze, które aż uniosło brzeg jej czepka.

– Gospodyni ma dzisiaj paskudny humor.

Odwrócił głowę, żeby ukryć uśmiech.

Siedzieli chwilę w ciszy, nasłuchując odgłosów pracy pani Hill przy piecu, tuż za ich plecami, po drugiej stronie muru. Dało się wyczuć zapach piekącego się kurczaka i słodką, niemal kwiatową woń pasternaku. Polly zaburczało w brzuchu. Złapała się za niego i przewróciła oczami, na co James otwarcie się uśmiechnął. Sara zdusiła parsknięcie.

– Ach, wy! – zawołała nagle pani Hill.

Wszyscy aż się wzdrygnęli.

– Tak, pani Hill...? – odpowiedziała nieśmiało Sara.

– Ruszcie się, leniwe ofiermy! James, nakrywaj do stołu!

Dziewczyny, do kuchni, marsz!

Cała trójka spojrzała po sobie, a potem podniosła się z podłogi.

Jeszcze niedawno obiad oznaczał połykanie wszystkiego, co wpadło w jego brudne łapy: kradzione warzywa, po których przez długie godziny chrzęściło w zębach, albo kawałek chleba twardego jak skała i niebieskiego od pleśni, albo zeszkrobane z dna garnka bliżej niezidentyfikowane resztki. I trzeba było to wszystko łykać jak najszybciej: jak już trafiło do twojego żołądka, nikt nie mógł ci tego odebrać.

Tutaj obiad wyglądał inaczej. W Longbourn oznaczał pół dnia pracy dla dwóch kobiet, polerowane kryształły i srebra, zmianę sukienek dam i strojów podającej do stołu służby. Tutaj

obiad przedłużano, najpierw o skomplikowane przygotowania, a potem o rytuały uprzejmości, rozciągając czas między głodem a chwilą jego zaspokojenia. Tu i teraz głód wydawał się czymś, z czego można czerpać przyjemność, jego kres bowiem był pewny; zawsze znajdą się mięso i warzywa, i pierogi, i ciasta, i placki, i talerze, i widelce, i „proszę”, i „dziękuję”, i niekończące się półmiski z chlebem oraz masłem.

I powoli stawało się to dla niego normalne; zaczynał się już do tego przyzwyczajać.

Więc kiedy lis – albo jego odpowiednik: ktoś przebiegły, węszący dawne kłopoty – zakradnie się za jego plecami, co wtedy? Czy James okaże się zbyt udomowiony, zbyt gruby, zbyt głupi, że zbyt stępionymi przez komfort zmysłami, żeby w porę zauważyć niebezpieczeństwo? Czy dostrzeże je dopiero wtedy, gdy skończy jako danie główne?

Kiedy nakrywał do stołu, z salonu dobiegały go różne głosy; rodzina siedziała tam w towarzystwie gościa, młodego i łagodnego pana Collinsa. James przyglądał się opuszkom palców zaciśniętych na nóżce kieliszka do wina, wzorowi linii papilarnych i błyszczącemu kryształowi. Kiedyś myślał, że jego ręce nigdy już nie będą czyste. A jednak... A jednak czyż teraz nie był zwierzęciem bardziej, niż kiedykolwiek w przeszłości? Zadowolonym z noszenia, ciągnięcia i podawania, bo spodziewał się końca tego wszystkiego, z pełnym brzuchem i bezpiecznym, ciepłym miejscem do spania?

Pani Bennet właśnie była zajęta czymś, co musiało uchodzić za dyskretną wymianę tajemnic z panem Collinsem. Do uszu lokaja rozmowa docierała zaledwie nieznacznie zniekształcona przez drewniane rusztowanie, pokryte tynkiem. Z pewnością siedzieli na sofie. James rozłożył srebra i starał się nie słuchać.

– Przyznaj pan, że dla moich biednych dziewcząt to sprawa bardzo bolesna[4]...

Gdzieś dalej rozbrzmiał śmiech – Lydii – a chwilę potem dołączyło do niego chichotanie Kitty.

– Nie chcę, rzecz jasna, powiedzieć, bym pana za to winiła, o

nie! Wiem, że na tym świecie wszystko jest sprawą przypadku.

Czy ona naprawdę myśli, że jej głos się nie niesie? Czyż nie przyszło jej do głowy, że o tej porze ktoś będzie musiał nakrywać do stołu w znajdującej się obok jadalni? Rzucił na stół garść sztuczków, ale hałas pozostał niezauważony.

– Nigdy nie wiadomo, komu przypadnie majątek będący ordynacją.

A potem odezwał się pan Collins, trochę niższym głosem, ale wcale nie ciszej:

– Jestem całkowicie świadom, pani, kłopotów, jakie sprawiam moim pięknym kuzynkom, i mógłbym powiedzieć na ten temat wszystko, tylko nie to, że wyglądam tego majątku...

A więc Collins przyjechał tutaj wybrać sobie jedną z panienek, tak jak się wybiera jabłko na straganie. Szybkie, taksujące spojrzenie na towar: jedno z tych większych, dojrzałych, będzie najlepsze. W końcu niczym się nie różniły, prawda? Wszystkie pochodziły od dobrego sprzedawcy. Wszystkie jednego gatunku, zebrane z tego samego drzewa. Dlaczego miałyby szukać dalej albo przyglądać się bliżej poszczególnym owocom?

Idiota. James odsunął krzesło i trzasnął nim o podłogę w nadziei, że hałas da rozmówcy coś do zrozumienia, ale pan Collins dalej bredził nieprzytomnie.

– Mogę za to upewnić młode damy, że przyjechałem tu, by je admirować. Po prostu przygotowałem się na to. Teraz nie powiem więcej, ale...

Biedny prawiczek z niego był; raczej godny politowania niż pogardy. Najmniejszego nie miał pojęcia o odmienności kobiecej natury; o tym, jak można kochać i czuć się kochanym, a jednak znaleźć głęboko w sercu coś tak praktycznego i zimnego, że mogłoby zmienić je w kamień. Tak niewiele wiedział o miłości, a jeszcze mniej o jej fizycznej manifestacji.

– ...może później, kiedy lepiej się poznamy...

James nie mógł już tego znieść. Wszedł na korytarz i pomaszerował do salonu. Otworzył szeroko drzwi, na co cała rodzina się odwróciła.

– Podano obiad.

Pan Collins podniósł się szybko, zaskoczony tą obcesowością. W Rosings nigdy by czegoś takiego nie tolerowano, więc w Longbourn również, skoro ma być jego panem. Ale – i ta myśl zdawała się o wiele bardziej nagląca – czuł okrutny głód po długiej podróży; minęło już dużo czasu od śniadania w gospodzie w Bromley. Brak posiłku i dociekliwość pani Bennet przyprawiły go o zawroty głowy, nerwowość i większą szczerłość, niż zakładał. Lokaj zatem, mimo swojego nieokrziesania, przyniósł bardzo dobre wieści.



[4] Ta i następne wypowiedzi pochodzą z *Dumy i uprzedzenia*, tutaj w tłumaczeniu Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej, wyd. PIW.

Rozdział II

...następnego dnia pojechali wszyscy i o oznaczonej

godzinie stawili się w salonie państwa Philipsów.

Siostra pani Bennet i jej mąż wyraźnie cieszyli się wśród żołnierzy sporą popularnością. U Philipsów, w domu stojącym tak blisko ulicy, że światło z okien rozlewało się na chodnik, roiło się od oficerów jak od wszy na głowie żebraka. James nie potrafił pojąć, co ich tak przyciągało; kolacje i karty w ciasnym domu w nudnym, prowincjonalnym mieście, ze starym adwokatem, któremu brzydko pachnie z ust, i jego gospodynią, podającą grzanki z serem, orzechy i porcje sherry mieszczące się w naparstku, a do tego nużące konwersacje z bandą matron i staruszków? Pełno tam było niedogolonych elegancików, gapiących się z boku na niewyraźne sylwetki dam, uważających przyjmowanie umizgów za ich boskie prawo, ale za nic niedających się dotknąć. James wolał zostać na swoim miejscu, czekając na zewnątrz, w deszczu.

Jednak oficerowie w podskokach przybiegali z kwater w mieście, zbierali się na chodniku i wchodzili po frontowych schodach; ciągnęło ich tutaj jak pszczoły do miodu.

Kilku spojrzało na niego, na co on odwracał wzrok. Ale oficerowie mieli po prostu dobry humor – jeden pokiwał głową, inny się przywitał – więc James w odpowiedzi dotykał brzegu kapelusza, a potem, gdy mijali go mężczyźni w mundurach, zajmował się końmi, zakładając im wysmarowane tłuszczem peleryny. Deszcz padał równo, a na grzywach i długich rzęsach

błyszczały brylanty.

Mała córeczka Philipsów, słodkie i piegowate dziecko, złączyła rączki i zapytała go, czy chciałby iść do kuchni, by coś przekąsić i czegoś się napić, ogrzać się trochę, bo przecież, jak powiedziała, musi być przemarznięty do szpiku kości. Kuchnia na dole, jak powiedziała, pełna była aż po sufit; i wesołość też tam panowała: wszyscy inni powożący właśnie tam czekali.

Uśmiechnął się, słysząc jej akcent z miasta handlowego i jej nieśmiałość, ale podziękował tylko i stwierdził, że nie chce zostawiać koni.

Wróciła za moment z kubkiem piwa i kawałkiem placka z wieprzowiną.

James podziękował raz jeszcze i zjadł kolację, a potem postawił naczynia na parapecie. Przez zmoczoną deszczem szybę zobaczył gości stojących w małych skupiskach. Patrzył, jak młody oficer podchodzi do panienki Elizabeth i siada na krześle obok niej. Widział, jak mówi do niej, gładząc swojego wąsa najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. Elizabeth odpowiedziała z radością, czerwieniąc się. James mógł tylko zgadywać temat ich rozmowy – z pewnością chodziło o pogodę; noc była faktycznie mokra, a jej zdaniem jeszcze długo będzie padać – ale panienka Elizabeth wyraźnie we wszystkim się zgadzała. Oficer odsłonił zęby w kremowym uśmiechu, a Jamesem wstrząsnął dreszcz – może skutek wilgoci, może prawdziwego niepokoju. Pomasował sobie kark i podniósł kołnierz. W końcu nic nie dało się zrobić. Odpiął lampę i wsiadł do powozu, a potem zamknął drzwi, odgradzając się od ulewnego deszczu i zmartwienia. Umościł się na siedzeniu, sprężyny głośno zaprotestowały. James otworzył książkę. Przywiózł ze sobą *Obserwacje Gilpina*, pożyczone z biblioteki pana Benneta. Dotarł z nimi aż do Lancasteru na północy i nie do końca zgadzał się z osądem autora.

Robiło się późno i zimno, a hałas z domu Philipsów raz cichł, a raz się wzmagił. James już zasypiał, z głową opartą o obicie, kiedy w holu pojawiły się panienki w towarzystwie pana Collinsa, niezwykle rozgadane. James wygramolił się z powozu, rozłożył

schodki i czekał, żeby podać im lampę. Poczł ciepłe, wilgotne i podniecone uściśnięcia pięciu par dłoni obleczonych w białe rękawiczki. Pana Collinsa pozostawił samemu sobie. Młody człowiek wsiadł do powozu.

Podróż powrotna była głośna. Wciąż dało się słyszeć Lydię paplającą o tym, w jakich grach brała udział tej nocy, o straconych i wygranych. Pan Collins niskim głosem rozprawiał o wspaniałej gościnności Philipsów, potrawach podanych na kolację i przegranych w wista. W zasadzie nikt nie wspominał o oficerach, a przynajmniej James tego nie słyszał, chociaż też nie oznaczało to przecież, że nikt o nich nie myślał. Usadowiony na szczycie powozu, z mokrym wiatrem wiejącym prosto w twarz, poczuł się kruchy. Jeden mocniejszy cios mógłby go rozbić na kawałki. Konie, wyczuwając jego niepokój, strzygły uszami, a ich boki drżały, jakby dokuczały im letnie muchy.



Rozdział III

Przepraszam cię, doskonale wiadomo, co o tym myśleć.

Sarę wygoniło z komórki wściekłe dzwonienie z pokoju śniadaniowego. Poranny posiłek już zjedzono i naczynia zostały posprzątane; teraz nadszedł czas na spokojne dreptanie po domu, robótki ręczne, muzykę, czytanie albo odwiedzanie sąsiadów. Ale nie na kłopotanie służby. Czegóż tak pilnego mogli od niej teraz wymagać?

Pani Bennet była zdenerwowana i zaczerwieniona, i potrzebowała, by ktoś towarzyszył jej w tym podnieceniu, a oprócz tego szybko zrobił listę niezbędnych prac. Chwilę wcześniej pani B. przez okno dojrzała powóz Bingleyów na podjeździe.

– Och, jakie to wspaniałe, doprawdy wspaniałe, nieprawdaż?

Sara wyjrzała przez okno i zobaczyła go – Bingleya, Ptolemy'ego Bingleya, siedzącego z tyłu powozu razem z innym lokajem; cały ekwipaż właśnie zajeżdżał pod frontowe drzwi Longbourn. Żołądek Sary podszedł jej do gardła. Nie potrafiła nazwać tego wrażenia, nie miała też czasu, żeby się nad nim zastanowić – pani Bennet wbiła jej łokieć pod żebra, przywracając przytomność umysłu. Miała iść do pokoju śniadaniowego, by wykonać niezbędną pracę. Pani wyszczerzyła zęby jak podłotek i niewiele brakowało, a zaczęłaby skakać z radości. Sara mimowolnie się uśmiechnęła.

– Biegnij po Jane. Naprawdę biegnij – poleciła pani Bennet.

– Zdaje się, że włóczy się po ogrodzie. Prędko, jak najprędzej, kochana. Pędź po nią.

Pan Bingley i jego siostry zostali poprowadzeni korytarzem. Pozostawiali po sobie głosy: przyjechali wręczyć Bennetom

zaproszenie na bal w Netherfield, który zaplanowano na przyszły wtorek. Pani Hill upadła na duchu, słysząc te wieści.

Gdy tylko Sara przyprowadziła panienki do domu, zajęła się wieszaniem ich płaszczy i czepków w szafie garderoby. Przejechała palcami po pawim piórze, dotknęła różyczki z cynobrowego jedwabiu... Potem zerknęła na koniec korytarza. Był pusty, chociaż słyszała szybką mowę pana Bingleya i perlisty śmiech jego sióstr. Sara wymknęła się z przedpokoju i wyszła na zewnątrz.

Powóz Bingleya czekał na właściciela, a woźnica wychylał się ze swojego siedzenia, żeby sprawdzić uprzęż. Lokaje trzymali się z tyłu, stojąc beztrosko, rozmawiając i dzieląc się cygaretką.

Dotarłszy tak daleko – wyszła już na podwórze, zamknęła za sobą drzwi, mrużąc oczy w chłodnym świetle poranka – Sara zdumiała się własną bezwstydną. Musi go po prostu minąć. Przecież mogłaby mieć teraz na głowie dowolną sprawę: jej obecność tu nie musiała niczego oznaczać. Nie miał żadnego powodu, by myśleć, że to jego osoba ją tu przyciągnęła.

Ale kiedy go mijiała, zauważyła, że skupił na niej uwagę i uśmiechnął się, ukazując dołki w policzkach. Jakże miło było zostać zauważoną! Przyprawiało ją to o zawrót głowy. Poczula, jak żwir chrzęści pod jej stopami; czuła też spódnice ocierające się o kostki, ucisk gorsetu, łaskotanie zakręconych włosów na karku. Wyraźniej poczuła swoją obecność, tylko dlatego, że *on* ją zauważył. A potem wyjął cygaretkę z ust i ruszył w jej stronę, wypuszczając kącikiem chmurę dymu.

– Ładnie tutaj, nieprawdaż?

– Owszem, tak mi się wydaje.

– Skoro państwo są w środku, może mnie oprowadzisz, jeśli masz czas?

Podał jej rękę. Zaśmiała się.

Mimo to nie cofnął ramienia.

– No, proszę.

Spojrzała najpierw na jego rękę, a potem na twarz.

– Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz.
- Pracuję.
- Nie, nie pracujesz. Harcujesz. Masz to wypisane na twarzy. A skoro zaszłaś już tak daleko, dlaczego nie zrobić tego porządnie?
- Jeśli mnie przyłapią...
- Uśmiechnął się wtedy promiennie.
- Nie daj się złapać.

Dała się wziąć pod rękę. Jego ramię było ciepłe i twarde. Rękaw, tuż przy jej rękawie, uszyto z dobrego, niebieskiego materiału. Ptolemy ruszył, a ona, chichocząc nerwowo, musiała iść za nim z podjazdu na trawnik; widziała ich tak, jak inni by ich mogli zobaczyć, ich ciała różne i niemal komicznie niedopasowane: jego potężna postać w dobrym, niebieskim płaszczu, jej filigranowa sylwetka w zniszczonej lnianej sukience, prowadzona przez niego, oraz niewyraźna smuga dymu tytoniowego, ciągnąca się za nimi.

- Tędy.
 - Och, nie mogę...
- Ale on jej nie puszczał i szli razem w kierunku niewielkiego zagajnika, wzdłuż ścieżki między płataniną martwych źdźbeł trawy. Podniósł nisko wiszącą gałąź, żeby mogła przejść. Na krzakach zostało jeszcze kilka szkarłatnych jagód, których ptaki nie zdążyły wydziobać, a wszędzie perliły się krople deszczu. Wokół unosił się aromat butwiejącej roślinności. Za ich plecami dom, mimo nieobecności Sary, nadal pracował jak maszyna, jego tryby obracały się, zęby szczękały, paski trzeszczały. Ale musi nadejść chwila – choćby już teraz – kiedy jakiś ząb natrafi na pustkę i tryb zakręci się w powietrzu: jakieś niezbędne zadanie pozostanie niewykonane, jakaś usługa niedopełniona; cały mechanizm zachrzęści i zaskrzeczy w proteście, a potem nagle stanie, bo jej zabraknie. Sara tymczasem oddalała się coraz bardziej, niczym nić skręcana na wrzecionie. Jeśli pociągniesz za mocno, przedza się rozdzieli.

Zmrużonymi oczami wpatrywała się w siwe chmury. Czuła bliskość jego ciała i woń dymu. Pomyśleć, że to samo niebo

okalało cały świat, przez Amerykę aż po antypody, że Ptolemy sam pochodził z tak daleka.

– Źle się tu czujesz? – zapytała.

– Anglia ma swój urok.

Zamrugła ze zdziwienia.

– Naprawdę?

– Staralem się być uprzejmy. – Patrzył na nią przeciągle, aż odwróciła wzrok. – Ale ten kraj ma jedną zaletę: kiedy postawisz nogę na tej ziemi, stajesz się wolnym człowiekiem.

– A ty byłeś niewolnikiem?

– Urodziłem się w niewoli.

– Twoja matka...

– Była jedną z niewolnic pana Bingleya seniora. – Ptolemy uniósł cygaretkę do ust i zaciągnął się.

Sara nie wiedziała, co ze sobą począć i co powiedzieć.

Zrobiło jej się gorąco.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina, kochana.

Szli dalej w milczeniu przez sztywną trawę.

– Pan Bingley senior, niech Bóg ma go w swojej opiece, przywiózł mnie tutaj – powiedział po chwili. – Bardzo mu się podobałem. Moja matka również, chociaż ją zostawił. Byłem jeszcze chłopcem.

Wyciągnął w jej stronę dymiącą cygaretkę. Spojrzała na nią, niepewna. Podsunął ją więc bliżej, żeby zachęcić dziewczynę. Bardziej z nieśmiałości niż czegokolwiek innego, sięgnęła po nią i dotknęła ustami. Dym smakował jak melasa i śmierdział; zrobiło jej się od niego niedobrze. Kaszląc, gwałtownym gestem oddała cygaretkę.

– Musisz poćwiczyć. – Poklepał ją po plecach. – Nie zasysaj tak mocno.

Kiwnęła głową, czując mdłości. Szli dalej ścieżką, a Ptolemy cały czas trzymał rękę na plecach Sary, w miejscu, gdzie kończył się gorset, a ramiona obleczone były tylko cienką warstwą koszuli i sukienki.

– Zdradzić ci sekret? – zapytał.
– Śmiało. – W głowie jej się kręciło.
– Pewnego dnia otworzę swój własny sklep z tytoniem. Tylko najlepszy towar. Tylko najlepszy tytoń z Wirginii.

Zatrzymał się, a Sara musiała się do niego odwrócić. Ptolemy wyglądał cudownie na tle zimowego zagajnika. Przyjrzał się równiutko zwiniętej cygaretki, obracając ją w palcach. Potem na jego twarzy wykwitł jeden z tych jego promiennych uśmiechów, a on sam spojrział jej w oczy.

– Londyńscy dżentelmeni nigdy nie mają go dosyć. Ludzie tego kalibru kochają swój tytoń tak samo jak swój cukier.

Nagle zakręciło jej się od tego wszystkiego w głowie: od tej nowości, tego wykroczenia, tej podniecającej różnicy; od tego, jak cała niezręczność w jego towarzystwie zdawała się ulatywać i rozwiewać jak... dym tytoniowy. Ponownie ujęła cygaretkę, żeby pokazać akceptację jego osoby i aprobatę jego wspaniałych planów, i to, że sama była do niego podobna oraz chętna, jak to ujął, do ćwiczeń. Tym razem wypuściła dym z odrobinę większym spokojem.

Powiedział coś, czego nie dosłyszała.

– Hmm? – Patrzyła na niego zmrużonymi oczami.

– Będiesz miała kłopoty?

Pokiwał głową w stronę końca zagajnika: pani Hill maszerowała w ich stronę, kołysząc ramionami. Minę miała kwaśną.

– Och, dobry Boże!

Natychmiast włożyła mu cygaretkę do ręki.

– Kłopoty?

Przytaknęła, czując ukłucie strachu. Jakim cudem zdoła wytłumaczyć się z tego przed panią Hill? Odwróciła się, żeby odejść.

– Możemy się udać na spacer – powiedział – kiedy dostaniesz wolne popołudnie.

Posłała mu na wpół przestraszone, na wpół zadowolone spojrzenie, a potem podkasała spódnicę i pobiegła do pani Hill.

Na szczęście gospodyni nie czekała na wyjaśnienie czy wymówkę. Właściwie to nie dała Sarze na nie szansy. Powitała ją smagnięciem w potylicę, a potem pchnęła dziewczynę w kierunku domu, aż ta się zachwiała.

– Pani gospodyni, proszę...

– Już ty mi tu nie wyjeżdżaj z „panią”! Kiedy sobie pomyślę, że ktoś cię mógł zobaczyć, gdy w domu są pan Collins i Bingleyowie!

Pani Hill jeszcze raz ją pchnęła, żeby pośpieszyła się na schodach, a potem złapała za rękę i pociągnęła przez próg do przedpokoju.

– Przynieś rzeczy Bingleyów. Wyjeżdżają.

– Nie zostali długo...

– Wołałam cię, Saro – syknęła pani Hill – a ciebie nie było.

Taki wstyd. A teraz zabieraj się do roboty. W podskokach.

Policzki piekły ją na myśl, że przyniosła wstyd pani Hill.



Rozdział IV

Perspektywa balu w Netherfield sprawiła ogromną

radość wszystkim damom w rodzinie Bennetów.

Kiedy Bingleyowie odjeżdżali, z nieba lunął deszcz. Pogoda popsuła się na tak długo, że panienki nie mogły wychodzić na zewnątrz.

Z kolei Sarze aura nie pozwalała zasnąć; ulewa dudniła o dach i bębniła o szybę świetlika, i szemrała w rynnie, i zebrawszy tam, spływała na podwórze. Polly przez cały ten czas chrapała, z ramionami rozłożonymi nad głową. Sara nie mogła zmrużyć oka i myślała o Tolu Bingleyu, smudze dymu tytoniowego, ciemnych oczach, ciepłej dłoni tuż nad jej gorsetem.

Deszcz nie oszczędził też dachu stajni, gdzie ciekło i ciekło, i ciekło, gdzieś tuż za zasięgiem światła lampy, za rzeczywistością książki Jamesa. Rozpraszało go to; zauważył, że przewraca strony, nie czytając słów. Musiał zaznaczyć, gdzie skończył, zarzucić płaszcz na plecy i założyć buty, a potem wyjść na ulewę z lampą sztormową i drabiną, żeby wspiać się na dach i nasłuchiwać tych szczególnych odgłosów kapania, odcinających się na tle tego jednego wielkiego dudnienia. Znalazł obluzowaną dachówkę i wsunął ją na miejsce; to wystarczy do czasu, aż nadejdzie suchy i słoneczny dzień, wówczas będzie można dokończyć robotę.

Pani Hill, zupełnie rozbudzona, podczas gdy jej mąż chrapał tuż obok, wyglądała przez okno na pełne kałuży podwórze, na wędrującą lampę sztormową, która wydawała się otoczona kryształami w miejscu, gdzie krople odbijały jej światło. Patrzyła,

jak James wspina się po drabinie na dach i poprawia obłuzowaną dachówkę, a potem schodzi ostrożnie na ziemię, zanosi drabinę do stajni, zamyka za sobą drzwi, zabierając światło, które za chwilę powróciło do jego okna. James położył się z powrotem w swojej samotni.

Kiedy lampa zgasła, gospodyni zdała sobie sprawę, że jest jej zimno, więc opatuliliła się szalem i wróciła do łóżka, żeby przykłęknąć i cicho odmówić modlitwy. A kiedy wypowiedziała już wszystkie, deszcz wciąż bębnił w świetlik nad jej głową; powtórzyła je, drżąc i układając na ustach nieme słowa. Każdy wers przytrzymała na chwilę w myślach, starając się poświęcić mu należyłą uwagę. Za tak wiele była wdzięczna: czerpała przyjemność z pracy, codziennych rytuałów i rutyny, dbania o piękne rzeczy, pieczenia dobrego chleba i przygotowywania z surowych, prostych składników smacznych i sycących potraw. Cieszyła się również z gromadki otaczających ją ludzi. Jeśli mogła mieć pewność, że przyszłość tego nie zmieni, że James tu osiadzie, Sara nabierze rozumu, a Polly ogłady i pracowitości, gdyby wiedziała, że rzeczy raczej się ułożą, niż legną w gruzach – wtedy poczułaby się w miarę zadowolona.

A jednak... A jednak wciąż nie potrafiła stłumić pewnego uczucia: w grę wchodziła również ona, ona sama. Czy znajdzie kiedyś czas na to, by zadbać o własne sprawy, o własną wygodę, o własne potrzeby, a nie tylko o innych? Czy nadejdzie taki dzień, kiedy zamiast ogrzewać się ciepłem szczęścia innych, zaspokoi własne tęsknoty?

Pani Hill wiedziała, że praca może nie jest lekiem na całe zło, ale w pełni wystarcza, by rozwiać najbardziej ponure myśli. Kiedy Sara ugrzęźnie w zaspie sukien i płaszczy, nękana przez cudze pragnienia cudownego odmłodzenia i upiększenia, niewiele zostanie jej czasu na marzenia i zniknie z oczu tego kłopotliwego Mulata.

Na szczęście widywali go w kuchni już rzadziej niż kiedyś. Deszcz i spodziewane ważne wydarzenie towarzyskie oznaczały tymczasowe zaprzestanie wymiany listów między domami. Pani

Hill czerpała przyjemność z tego zamknięcia w Longbourn. Ulewa ściekała po szybach okien, świat na zewnątrz malował się odcieniami szarości, drogi zmyło, ścieżki zamieniły się w błoto. Nikt nie przychodził, nikt nie wychodził: zupełnie jakby przyszedł potop, a Longbourn był ich arką. Cokolwiek się działo na świecie, oni pozostali bezpieczni w murach domu.

Ale to przecież tymczasowa sytuacja. Nie mogła trwać wiecznie.

Dlatego trzeba pomówić z Sarą: takiego zachowania nie można ignorować. Ale jak rozmawiać, nie niszcząc przy tym niewinności dziewczyny? Niewinność to tafla nieskazitelnego szkła, bariera odgradzająca od złej pogody; jeden błąd i Sara zrobi okrutną krzywdę sobie i innym, a szkło rozbije się na kawałki.

Najlepiej pozostać przy prostocie. Proste zasady dla prostej dziewczyny.

– Nie pozwalam ci widywać się z tym Mulatem.

– Słucham? – Na twarzy dziewczyny malowało się ogromne zaskoczenie. – Ma pani na myśli Ptoleme’ego? Dlaczego?

– Naprawdę muszę ci mówić? Naprawdę?

Sara zacisnęła usta i pokiwała głową.

– *Palilaś*, Saro. Spacerowałaś po posiadłości, nie *swojej*, lecz swego pana, podczas gdy powinnaś być w pracy. I to z tym mężczyzną, z obcego domu i... i raczej nam nieznanym. Mogłabyś zostać odesłana za mniejsze przewinienie, a do tego zapłacić karę. Jak sobie pomyślę, jakie mogłaś wyrządzić szkody reputacji tego domu...

Pani Hill skrzyżowała ramiona na podołku, doskonale wiedząc, że mówiła tylko trzy piąte prawdy. Wiedziała również, że jej mąż patrzy na nich znad swojej roboty, James zatrzymał się w progu, a Polly uciekła do komórki, zanim ktoś mógłby zacząć besztać także i ją. Zdała sobie sprawę, że Sara zasługiwała chociaż na jedno – by nie rugano jej na oczach innych ludzi.

Sara zaś cała się najeżyła; skrzyżowała ręce, rozstawiła szerzej stopy, wyprostowała się.

– A kiedy go tu przyślą?

Pani Hill to się nie podobało. Ten opór. Również się najeżyła.

– Masz wyjść.

Sara uniosła brwi i tylko patrzyła na nią, milcząc.

– Co mam powiedzieć? – Gospodyni gniewnie podniosła głos. – Mam ci pozwolić robić z siebie przedstawienie? Wystawiać nas na pośmiewisko?

– A więc nie mogę mieć nawet przyjaciela? To właśnie chce mi pani powiedzieć?

– Nie jest twoim przyjacielem.

Sara zawahała się, a potem pokiwała głową.

– To wszystko?

– Jeśli weźmiesz sobie moje uwagi do serca i się do nich zastosujesz, to chyba wystarczy.

Sara dygnęła. Zagryzając wargę, odwróciła się, żeby powrócić do pracy, skoro tylko na to jej pozwalano. Zniosła dzbanek herbaty do komórki, wylała resztki do wiadra, żeby później zmyć nimi podłogi, a potem wydłubała fusy i wrzuciła do kamiennego słoja, gdzie zbierały je do zamiatania. Rozłożyła je, by wyschły.

Ręce jej się trzęsły. Wytarła dłonie o fartuch, a potem uniosła do twarzy, jej zgrubiałe odciski nieprzyjemnie tarły policzki.

Jeśli przy jakiejś pracy zabrakło gracji, została źle wykonana: ileż razy gospodyni jej to powtarzała?

Tymczasem w kuchni pani Hill marszczyła brwi nad ciastami biszkoptowymi, które nie wyrosły i wyglądały jak herbatniki. Chciała dla Sary tego, co najlepsze, ale – oczywiście! – dziewczyna widziała to zupełnie inaczej. Nie miała pojęcia, ile ryzykuje.

Kiedy następnego ranka Sara przyniosła panu Collinsowi ciepłą wodę, duchowny już nie spał i siedział wyprostowany na łóżku. Miała tylko postawić ciężki dzban na toalecie i wymknąć się z pokoju – jeszcze cztery takie powinna dostarczyć do pozostałych sypialni – ale pan Collins chrząknął i zapytał ją, zupełnie bez skrępowania i bez związku z niczym:

– Czy panienki zostały należycie wychowane?

– Słucham?

– Okazało się, że niczym się nie zajmują w kuchni, co może nieco martwić, a także zaskakiwać; ale myślę, że mają jakieś obowiązki w domu, prawdziwą *pracę* do wykonania. Tak liczna rodzina przy dochodzie pana Benneta nie może przecież żyć całkiem beczynn timer. A jakie korzyści przynosi takie wychowanie, kiedy dziecko nie potrafi nikomu w niczym pomóc?

Nerwowo poprawił pościel na kolanach, by zająć czymś ręce. Wyglądał jak mały chłopiec.

– To bardzo miłe, rozsądne i bystre dziewczęta, proszę pana – powiedziała Sara. Do pewnego stopnia i w przypadku niektórych z nich była to prawda.

– Ale czy można na nich polegać?

Zawahała się. Nikt nigdy nie prosił żadnej z nich o nic, co przeczyłoby jej pragnieniom, więc trudno ocenić. Nie chciała jednak rozczarować gościa, dlatego twierdząco pokiwała głową.

Cały się rozpromienił.

– A panienska Elizabeth: czy to żywa, pożyteczna dziewczyna? Potrafiłaby dobrze rozporządzić skromnym dochodem?

Sara pochyliła głowę. Żałowała, że nie może go bardziej zachęcić. „Pomyśl o Mary” – to mogła być najbardziej pomocna i miła rzecz, jaką potrafiłaby powiedzieć. W kwestii zainteresowań i temperamentu, a także uroku osobistego, Mary i pan Collins o wiele lepiej by do siebie pasowali. Ale jeśli on sam tego nie widział, Sara nie powinna mu tego sugerować.

– To dość istotna kwestia. Musisz mi szczerze odpowiedzieć, dziecko.

Elizabeth rzeczywiście kazała Sarze przerobić suknię na bal w Netherfield. Poza tym zawsze sama szła ze ścinków kwiaty i ozdoby do włosów. Nawet najmniejsze skrawki perskiej czy irlandzkiej tkaniny nie szły na zmarnowanie.

– Panienska są *gospodarne* – podpowiedziała Sara. Jeśli chodziło o rzeczy do strojenia, właśnie takie były. Nie miały innego wyjścia.

Ochoczo się tego uczeplił, prostując się na łóżku.

– A panienska Elizabeth jest tak łagodna, jak się wydaje?

Włosy Elizabeth kręciły się naturalnie, co działało na jej korzyść. A ponieważ były w podobnym wieku i wychowywały się obok siebie, Elizabeth zawsze żywiła do pokojówki sympatię, interesowała się nią i pożyczała jej książki. Jednak miała też serce z kamienia i pan Collins powinien zdawać sobie z tego sprawę (ponieważ nie było sposobu, żeby ktoś mu powiedział, a już z pewnością nie Sara), że nigdy nie będzie dobry dla Elizabeth.

– Panienska Elizabeth ma w sobie tyle łagodności, ile trzeba.

Znowu kiwnął głową i potarł dłonie. Wydawał się zadowolony; podniósł pościel i zdjął nogi z łóżka. Jego nagie, blade stopy spoczęły na dywanie; podszedł do okna i odsłonił je, by wyrzucić na zewnątrz, a wydawało się przy tym, że zupełnie zapomniał o Sarze. Dziewczyna pamiętała jeszcze kłęby kurzu, wzbijające się w powietrze, gdy trzepały dywan, jak obie z Polly kaszłały i jak kręciło je w nosach. Potem przypomniały jej się ciężkie dzbany, czekające w komórce, i stygnąca w nich woda.

– Proszę pana?

Odwrócił się i obrzucił ją zaskoczonym, ale łagodnym spojrzeniem.

– Może mi pan również doradzić w pewnej sprawie, proszę pana? Jako duchowny.

Nastroszył piórka jak zimowy ptaszek.

– Cóż cię tak martwi, dziecko?

– Ciężko pracuję. – Przesząpiła z nogi na nogę. – Staram się być dobrą osobą. Robię, co mi każą.

– Cóż, wykonuj zatem swoje obowiązki, tak powinno być. Praca jest uświęcona i sama uświęca. Przypomnij sobie przypowieść o robotnikach w winnicy.

Pokiwała głową, chociaż wciąż miała wątpliwości. Bohaterowie tej historii zostali nagrodzeni jednakowo, bez względu na to, jak ciężko pracowali: Sarze zawsze odbierało to nadzieję i dobre samopoczucie.

– Ale co z Martą? – zapytała. – Czyż z jej historii nie uczymy

się, że trzeba znaleźć czas na słuchanie i zatrzymanie się, i naukę?

– Ach, tak... – Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

– A co z liliami, które nie trudziły się ani nie przędły?

– Tak, tak, ale musisz zrozumieć, że praca jest naszym obowiązkiem i tak jak my wszyscy, również i ty będziesz czerpać z niej satysfakcję.

– Ale ja się wcale tak nie czuję... – Sara miała ochotę tupnąć.

– Odczuwam tylko zmęczenie i ból, a chociaż pracuję ciężko, zdaje mi się, że nie mogę zaznać choćby chwili przyjemności, bo kiedy to robię, zostaję zrugana i mój uczynek okazuje się niedobry.

– *Przyjemności?* – Pan Collins zbliżył się do niej z szeroko otwartymi oczami. Pachniał łóżkiem, olejkiem do włosów i niemytymi zębami. – Czyżbyś popełniła jakiś grzech, dziecko?

Sara zrobiła krok do tyłu. Dała się ponieść i zabrnęła znacznie dalej, niż miała zamiar.

– Przepraszam, proszę pana. Nie powinnam była się odzywać.

Zatrzymał ją miękką dłonią.

– Cóż to za grzech, dziecko? Musisz mi to zdradzić dla własnego dobra.

Wszystko, co zostało zrobione, zobaczone i pomyślane od przybycia Jamesa – zderzenie z taczka, kredowe dyski i spirale w jego torbie, jego czysty pokój, Tol Bingley i marzenia o ogrodach Vauxhall oraz amfiteatrze Astleya, mrok i brud w bocznej uliczce Meryton, naga skóra i wrzaski żołnierza, mdlący zapach dymu tytoniowego – wszystko to wróciło do niej jednocześnie; za dużo tego było, o wiele za dużo, żeby potrafiła zrozumieć i wyjaśnić, i podarować panu Collinsowi w postaci zawiniątka, elegancko przepasanego wstążką.

– Rozmawiałam z lokajem sąsiadów.

Cofnął się, a na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy.

– To wszystko?

Pokiwała głową.

– Tylko rozmawiałaś?

Znowu przytaknęła.

– Cóż, zdaje się, że rozmowa jest potrzebna od czasu do czasu. – Patrzyła, jak jego myśli zmieniały się, przekształcały. – Doświadczyłaś niepożądanego przyjemności w czasie tej konwersacji?

Czegoś na pewno doświadczyła, ale z pewnością to uczucie nie było niepożądane. Właściwie może nawet nie chodziło o przyjemność, a raczej konstatację, że może kiedyś jej doświadczyć.

– Nie niepożądanego, z pewnością nie, proszę pana.

– Cóż, w takim razie – powiedział – lepiej porozmawiać o tym z gospodynią niż ze mną; wydaje mi się to raczej kwestią domowej dyscypliny niż sprawy duchowej bądź moralnej.

Machnął ręką, żeby wyszła, a potem odwrócił się z powrotem do okna; wyglądał na szerokie, zielone trawniki, zagajniki i krzewy, wchodzące w skład jego spadku. Kiedy Sara wychodziła, wyjęła spod łóżka nocnik i wyniosła go na zewnątrz, odwracając głowę na bok, żeby nie przyglądać się z tak bliska jego zawartości.

Przechodząc przez skropione deszczem podwórze w kierunku wychodka i opróżniając nocnik, pomyślała, że właśnie to jest jej obowiązkiem, ale nie potrafi znaleźć w nim żadnego spełnienia i trudno jej pojąć, jak ktoś mógł uznać to za możliwe. Opłukała nocnik przy pompie i postawiła, żeby odświeżył się na deszczu. Jeśli takie było jej zadanie, wołała się z kimś zamienić.



Rozdział V

Nawet rozetki do balowych pantofelków

musiał przywieźć z miasteczka ktoś inny.

Sara siedziała przy oknie z robótką. Elizabeth i Jane rozmawiały cicho, pochylając ku sobie głowy przy kominku; również zajmowały się szyciem, ubrane w poranne suknie i opatulone szalami, a płomienie prześwitywały przez ich loki.

Był poniedziałek, ostatni dzień przed balem. Sara miała odcisk na miękkiej skórze między palcem wskazującym i kciukiem; nabawiła się go przez żelazko do układania włosów. Wystarczyło też, że zamknęła oczy, a widziała igłę przebijającą się przez muślin, przeciąganą przez poluzowany splot nitkę.

Słyszała tylko: Wickham, Wickham i Wickham. Brzmiało to jak stukanie drutów do wełny.

Podmuchy wiatru uderzały w okno pokoju; na zewnątrz skrzypiały nagie gałęzie. Zarośla w oddali były mokre i błyszczące, a wszystkie zwirowe ścieżki ginęły zalane wodą; niewielkie pustkowie całkiem przemokło, niebo wisiało nisko, ciężkie od chmur, a wiatr tylko przywiewał kolejną ulewę. Pogoda pasowała do nastroju Sary – w jej sercu panowała szarość, bez choćby przebłysku nadziei na lepsze jutro, skoro zabroniono jej widywać się z Ptolemyem Bingleyem.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wparowała Lydia; wyglądało na to, że za nic nie może się nauczyć pukać. Już od wielu dni nie miała możliwości zużyć ogromnych pokładów energii; uwięzienie w domu przynosiło jej ogromne cierpienie.

Lydię trzeba było zabrać na dziką przejażdżkę. Ktoś powinien rzucać jej patyki, żeby mogła aportować, biedaczka.

– Żadnych porannych gości, żadnych oficerów, żadnych wieści, nic! Boże! Doprawdy nie wiem, jak to zniosę.

Opadła na łóżko sióstr, opierając stopy o patchworkową narzutę. Znudzona do granic, podniosła różową wstążkę i przesunęła ją między palcami.

– Odłóż to, Lydio, bo zmarnujesz.

Skrzywiła się i puściła wstążkę, która zwinęła się na narzucie.

– Świetnie sobie radzicie w chowaniu się tutaj przed panem Collinsem.

– Lydio! To nieprawda. Pracujemy.

Lydia wzruszyła ramionami, zrzuciła kapcie i wsunęła stopy w buty do tańca, które leżały na podłodze.

– Och, przecież nikt prócz Sary tego nie słyszy, a ona ma serce ze złota i nie piśnie choćby słówka, prawda, Saro?

Lydia posłała pokojówce szeroki uśmiech, a ta odpowiedziała tym samym. Potem panienska poruszyła kilka razy nogami, oceniając buty.

– W każdym razie ja nie zostaję na dole, żeby czytano mi kazania, koniec.

Nastała chwila ciszy, a potem Jane odezwała się łagodnie:

– On chodzi za tatą do biblioteki, widziałyście?

– A to już – stwierdziła Elizabeth – poważne naruszenie granic.

– Właśnie, widzicie? Nawet papa próbuje uciec przed nużącym kuzynem, więc nie rozumiem, dlaczego my nie możemy. Boże! Jakież z niego nudziarz! Nie wiem, jak można go znosić.

Sara przyjrzała się dokładniej robótce, zaciskając mocno usta: pan Collins nie mógł nic poradzić na swoją niezgrabność. Nie odpowiada za to, skąd pochodzi i jakie mu natura oraz wychowanie dały szanse, a jakich nie. Jeśli nie znał pewnych zasad panujących w domu, to tylko dlatego, że nikt mu ich nie zdradził; spodziewano się po nim intuicji, a teraz obwiniano za jej brak.

- Tata nigdy nikogo tam nie przyjmuje.
- Tata, kiedy tylko może, w ogóle nikogo nie przyjmuje.
- Tak, ale *biblioteka*? Dobry Boże!

Sara uniosła wzrok na ładne, pulchne twarzyczki, tak zadowolone z własnej odwagi. Powróciła myślami do tamtego poranka przed świętym Michałem, do chłodnego korytarza pachnącego uryną i podniesionych głosów, dobiegających zza zamkniętych drzwi biblioteki. Pani Hill mogła tam wchodzić, pomyślała. Chociaż, oczywiście, pani Hill nie jest uznawana za towarzystwo.

Lydia pociągnęła nosem i pomachała nogami przed twarzą Jane.

– Pan Collins to jego kuzyn, więc jeśli ktoś musi się z nim męczyć, niech to będzie tata.

Potem przyjrzała się dokładniej butom, jakby dopiero coś na nich zauważyła. Uniosła wzrok.

– Zamówiłyśmy rozetki do butów?

Wszystkie pary oczu zwróciły się ku trzewikom zwisającym z palców Lydii. Jedna rozetka się poluzowała, zniszczona i poszarzała, a jej oplakany stan dowodził tego, z jak wielkim entuzjazmem pan Bingley tańczył z Jane na balu w Meryton. Drugiej nie było w ogóle.

– Och, dobry Boże, zamówiłyśmy?

– Ja nie.

– Ani ja.

– Wspominałaś o tym matce?

– Nie.

– Z pewnością jeszcze jakieś zostały.

Jane podeszła do komody, wysunęła szufladę i zaczęła przeszukiwać zawartość, a na jej czole pojawiły się głębokie bruzdy.

Znalazła rozetki do butów, ale tak różnych krojów i kolorów oraz w tak różnym stanie, że dało się utworzyć z nich zaledwie dwie pary. Jedna była niebieska, a druga żółta; a nawet z tych dwóch żółte pasowały do siebie w niewielkim stopniu. Miały

podobny rozmiar, ale wyraźnie różne odcienie: jedna była cytrynowa, a druga, jak zauważyła Lydia, raczej w odcieniu kremowym.

Tymczasem Sara siedziała i szyła, niemal nie spuszczać wzroku z robótki. Nasłuchiwała podmuchów wiatru w kominie, patrząc co jakiś czas na drżące płomienie i tańczące światło, i czując, jak skóra jej cierpie na myśl o chłodzie.

– Będę potrzebować różowych, żeby pasowały do sukienki – oznajmiła Lydia.

Sara zamknęła oczy. Powoli wypuściła powietrze i uniosła oczy.

– Tak – powiedziała Elizabeth, patrząc smutno na zamglone okno i dudniące w nie krople deszczu. Szyby drżały. – Obawiam się, że rozetki będzie musiał przywieźć z miasteczka ktoś inny.

Sara odłożyła robótkę.

– Wielkie jak główki kapusty! Tak duże, jak się tylko da. Znasz odcień mojego dobrego muślinu. Możesz wziąć szarfę, jeśli chcesz, żeby wybrać jak najbliższy odcień. Dziękuję, Saro. Masz złote serce.

Wlokła się noga za nogą, z ociąganiem, a deszcz lał się z nieba tak wartkim strumieniem, że zdawał się odcinać dziewczynę od reszty świata. Parasol szybko zaczął przeciekać, a krople zebrały się na środku i opadły ciężko na jej ramiona, wilgoć było już czuć na skórze. Spódnice zaczęły ciążyć od wody. Szczęśliwie nie niosła jeszcze żadnych pakunków, prawdziwe błogosławieństwo.

Wyobrażała sobie, jak idzie londyńską ulicą, wybrukowaną i otoczoną jarzącymi się oknami. Potem wędrowała wzdłuż błyszczącej arkady, gdzie było ciepło, jasno i sucho. Zatrzymywała się przy wystawach z modnymi czepkami, lśniąca biżuterią i całymi górami ciasteczek. Chwilę później pojawiła się przed nią jakaś dama – wyglądała trochę jak Elizabeth, dorosła i ubrana w wyszukany spencer oraz czepek – podała jej paczkę, potem następną, dalej okrągłe pudełko, na którym stawiała kolejne pakunki, a kiedy Sara chciała odmówić i oddać je, dorosła

Elizabeth zbesztala ją za niezdarność i nieuwagę...

Chwilę później nadjechał wóz pocztowy, natychmiast budząc ją z marzeń i spychając do dołu, gdzie musiała dla równowagi złapać się kłującego żywopłotu. Powóz jechał dalej, stukocząc i furkocząc, i opryskał Sarę błotem od stóp do głów. Wytarła twarz i dłonie mokrą chusteczką. Pochyliła się, żeby wyczyścić spódnicę, ale szybko się poddała: jaki to ma sens? I tak była beznadziejnie mokra, więc błoto nie robiło jej już różnicy.

W Meryton właściciel pasmanterii wyłożył dla niej ceratę. Jej suknia parowała w pobliżu kominka.

Przemoczona do suchej nitki, stała tam przez pół godziny, podczas gdy właściciel razem z synem przyszykował sześć par rozetek, w odpowiednich kolorach, przynosząc Sarze różne wstążki i warkocze do akceptacji, żeby jej suknia nie ubłociła czystego sklepu. Zgadzała się na wszystko, co jej pokazywano, całkowicie nie interesując się różnicami w odcieniach czy teksturze. Panienki mogą je równie dobrze wyrzucić. Właściwie nawet wołałaby, żeby to zrobiły. Naprawdę na to liczyła.

Inni, mniej mokrzy klienci, wchodzili i wychodzili, mając za sobą tylko krótki odcinek od powozów do drzwi albo kilka kroków od domu na sąsiedniej ulicy. Zostawiali przy wejściu swoje ociekające wodą parasole i patrzyli na Sarę z tą niezwykłą mieszanką współczucia i rozbawienia, którą mokrzy ludzie zdawali się zawsze wzbudzać w suchych.

Gotowe rozetki zostały zapakowane w bibułkę, potem w brązowy papier, a później w płótno, żeby nie zmokły. Sara wzięła pakunek pod pachę i ruszyła z powrotem w ponurą drogę powrotną.

Właśnie wychodziła za roгатkę, kiedy usłyszała za plecami zbliżający się powóz, następnie woźnicę wołającego do strażnika, brzęk rzuconej i złapanej monety, a potem podziękowania. Śruby i zawiasy zaprotestowały, kiedy szlaban podniósł się, by przepuścić powóz.

Sara uniosła spódnicę i zeszła z drogi, aż do drewnianego parkanu. Ilość błota nie miała już żadnego znaczenia, ale z

pewnością nie chciała, by ktoś wbił ją w ziemię. Obejrzała się przez ramię, żeby obserwować przyjazd powozu.

Lampy świeciły ciepło na tle szarego popołudnia. Strażnik, w przemoczonej czapce i z workiem na ramionach, pochylił się nad ruchomą barierą. Woźnica zagwizdał, ściągnął lejce i powóz ruszył do przodu. Rozpoznała liberię i poczuła przyływ – czego? Podekscytowania, niepokoju... poczucia winy? Ponieważ to był Ptolemy, a ona nie powinna go widywać. Ale utknęła tu, z plecami przyciśniętymi do szorstkiego drewna, w stanie godnym pożałowania – powóz minął ją: ciepłe końskie ciała i giętka skóra; potem za szybko mignęły jej pani Hurst i panienka Bingley, piękne i znudzone. A dalej lokaje, stojący z tyłu, w zlanym deszczem płaszczach i trikornach. Tol Bingley zauważył ją i dotknął rąbka kapelusza, wylewając z niego wodę.

Powiedział szybko słowo czy dwa do drugiego lokaja, który pokiwał głową w odpowiedzi. Potem odwrócił się do Sary i rozpromienił. Uniósł brwi, wskazał palcem na siebie, a potem na kładkę, na której stali: czy chciałyby z nimi jechać?

Wszystko potoczyło się bardzo szybko: ruszyła do przodu, on pochylił się, a Sara wyciągnęła ręce ku górze. Złapał ją tuż nad łokciem i podniósł. Jedna stopa znalazła oparcie, a potem druga trafiła na półkę i oto Sara stanęła obok Ptolemy'ego. Biło od niego ciepło, poczuła zapach dymu i mokrej wełny.

– Leciutka jak piórko! – zawołał.

Zaśmiała się i spojrzała na niego ukradkiem, nerwowo.

– Trzymaj się.

Złapała za rączkę, jej poczerwieniałe dłonie obok jego, obleczonych w rękawiczki...

Woźnica, zerknąwszy szybko za siebie, raz jeszcze ściągnął lejce i konie przeszły w kłus. Zmiana ta pchnęła Sarę do tyłu, więc Tol objął ją w pasie, by przytrzymać w miejscu.

Wiatr wiał jej prosto w twarz, a deszcz otaczał ze wszystkich stron. Konie sunęły do przodu bez wysiłku, a kołysanie powozu sprawiało, że stykające się biodra Sary i Ptolemy'ego poruszały się w równym rytmie. Ziemia robiła się niewyraźna od prędkości.

Doprawdy ulga po nieszczęsnym, kleistym błocie.

Zanim zdążyła się obejrzeć, minęli wszystkie punkty orientacyjne – stodołę na siano, stary dąb z gałęziami połamanymi aż do pnia, bagno. A więc tak wyglądał luksus prędkości, możliwość złożenia świata w fałdy i prześlizgnięcia się przez nie jak igła.

Z deszczu wyłoniło się skrzyżowanie przy Longbourn, z każdą chwilą rosło. Powóz zwolnił.

– Po prostu zeskocz, kiedy będziemy skręcać.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie zatrzymujecie się?

Wzruszył ze współczuciem ramionami.

– Nie mogą wiedzieć, że zabrałem ze sobą przybłędę.

Spojrzała na niewyraźną ziemię: złamie sobie nogę albo kark. Na pewno coś złamie. Poczwała, jak Ptolemy szuka jej ręki. Złapał ją tam, gdzie wcześniej, tuż nad łokciem.

– Teraz – powiedział. – Zeskocz.

Konie zwolniły i mijały zakręt, ale wciąż biegły zbyt szybko. Nie mogła zejść.

– Teraz, Saro. Teraz!

Skoczyła.

Przez chwilę wisiała w powietrzu, a droga uciekała jej spod stóp. Potem uderzyła o ziemię, Ptolemy puścił jej rękę, a dziewczyna zaczęła biec, starając się zwolnić do własnego tempa. Powóz odjechał już daleko, gdy wreszcie się zatrzymała.

Oglądając się przez ramię, Tol Bingley raz jeszcze dotknął kapelusza, a ona mu pomachała. Potem powóz znowu skręcił i zniknął z pola widzenia.

Powlokła się drogą przez wieś, skulona z zimna; czuła, jakby niosła ze sobą paczkę gorących kasztanów. Zrobiła to, czego jej zabroniono, i udało jej się nie dać przyłapać, więc nikt w Longbourn się o tym nie dowie! Tak była przejęta radosną kontemplacją swojego występku, że nie zauważyła postaci, która stała w przemokniętym płaszczu na ścieżce między wzgórzami, obserwując ją spod ociekającego wodą kapelusza.

Patrzył, jak powóz zwalnia przed zakrętem, a potem, przejęty strachem, że coś jej się stanie, obserwował jej drobną sylwetkę odrywającą się od tyłu pojazdu i chwiejnie podążającą za nim kawałek, by potem się zatrzymać, najwyraźniej bez szwanku. Patrzył, jak macha za znikającym powozem. Patrzył, jak idzie wiejską drogą, powoli i zamyślona, jakby właśnie świeciło majowe słońce.

Dopiero kiedy przeszła przez główną bramę i zniknęła z pola widzenia, odwrócił się i pobiegł z powrotem do domu.

Był w kuchni, kiedy zeszła na dół w suchym ubraniu; mokre trzymała zwinięte w rękach. Ruszyła prosto do komórki. Usłyszał, jak wrzuca je do wanienki do namoczenia. Chwilę później wróciła, wycierając dłonie. Przegapiła obiad; w kuchni panował chaos, ale najwyraźniej zupełnie się tym nie przejmowała. Wydawała się nieobecna, jakby myślami była gdzie indziej.

Wyjął nakrycia do kawy. Zastanawiał się, czy Sara zauważy jego mokre mankiety, gęsią skórę na nadgarstkach i bijący od niego chłód. Posłał jej przeciągłe, taksujące spojrzenie, przyglądając się zaczerwienionym policzkom i błyszczącym oczom. Teraz, taka szczęśliwa, wydawała mu się doprawdy urocza. Ale ona obrzuciła go zaledwie przelotnym spojrzeniem.

– Zaniesiesz je na górę, kiedy będziesz szedł z kawą?

Położyła na stole zawiniątko i zdjęła warstwę mokrego płótna.

– Oczywiście.

Chwilę później, kiedy zajęła się już stosami doskonałej porcelany i przyborów kuchennych, zapytał:

– A co jest w środku?

Podniósł pakunek z pasmanterii i położył na tacy między filiżankami kawy.

– Hmm?

– Paczka. Co jest w środku?

– Rozetki – odparła.

– Rozetki?

– Tak, rozetki. Do butów.

– Nie rozumiem.
Prychnęła niecierpliwie.
– Buty do tańczenia mają naszyte rozetki.
– Po co?
– Żeby ładnie wyglądały.
Przewrócił oczami
– O co chodzi?
– Następnym razem, gdy wyślą cię po idiotyczne zakupy w taką pogodę – powiedział – przyjdź po mnie, pójdę za ciebie.
Złapała się pod boki. Oczy jej błyszczały.
– Dlaczego mówisz mi, co mam robić, a czego nie?
Uniósł ręce w obronnym geście.
– Nie o to mi chodziło...
– A co, jeśli *zechcę* iść? Co, jeśli to dla mnie *przyjemność*?
Co, jeśli nie życzę sobie, żebyś wtykał nos w nie swoje sprawy?
– Nie miałem na myśli niczego złego – odparł. – Nie chcę pozbawiać cię jakiegokolwiek przyjemności.
Skłonił się, podniósł tacę i wyszedł z kuchni.
Zostawił Sarę z nieprzyjemnym wrażeniem, że postąpiła niesłusznie, a pan Smith niechcący zebrał to, co posiadała pani Hill.
James nie miał żadnych intencji – nie mógł sobie na nie pozwolić. Nie mógł sobie pozwolić na życie z drugą osobą. Mógł tylko robić, co do niego należało, i się nie wychylać. Dlatego właśnie ten niepokój, to ukłucie pragnienia w brzuchu, skręcająca go od środka zazdrość, tak bardzo nie były mu w smak. Musi to zdusić; w końcu nic nie znaczą. Mógł co najwyżej powiedzieć, że mu szkoda. Szkoda, że musi odwracać głowę wtedy, gdy wolałby patrzeć. Szkoda, że Sara oczywiście się zakocha, ale nie w nim. Jednak prawdziwe nieszczęście stanowiło dla niego pewną niespodziankę: do tego czasu powinien już w pełni się przyzwyczaić do robienia tego, na co nie ma ochoty, i do zezwalania na rzeczy zupełnie niechciane. Ale to? Nie, nie potrafił się z tym pogodzić. Martwił się tą myślą tak, jak pies martwi się o owce: wiedział, że nie zginie, patrząc na jej szczęście z kimś innym; takie rzeczy nie uśmiercały, wbrew temu, co lubią

powtarzać pisarze i poeci. Może mu się to nie spodoba, może nawet bardzo. Może poczuje w piersi ukłucie podobne do strachu... Ale to go nie *zabije*; doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Właśnie takie myśli krążyły mu po głowie, kiedy zabrał się za wycieranie filiżanek. Dało mu to powód, by stanąć blisko Sary, moczącej drogą porcelanę, z rękawami z powrotem okrywającymi nagie i pokryte meszkiem ręce. Polly kucała jak chochlik na podłodze w komórce, pastując ustawione w rzędzie pantofle i mamrocząc coś pod nosem. Wszystko to wyglądało zupełnie niewinnie. Sara nie potrafiła sobie wyobrazić, by James, wycierając umyte przez nią filiżanki, próbował w jakiś sposób zwrócić na siebie uwagę.

Jego paznokcie, zauważyła, przypominały blade księżycy – rozproszył ją ruch mięśnia przedramienia, kiedy lokaj przekręcił szmatkę wewnątrz naczynia – ale James nadal milczał jak zakłęty. Potem przypomniała sobie dotyk ręki Tola Bingleya na jej talii, krople deszczu drażniące skórę, cud szybkości, uwagę poświęconą jej, gdy cały świat ją ignorował. Włożyła kolejny spodek pod wodę i przekręciła go do góry dnem, a potem wyjęła i podała Jamesowi, zastanawiając się, jak daleko Tol Bingley zajechał tego dnia i co widział z powozu. Gdyby zsumować wszystkie kroki zrobione przez nią jednego dnia, podróż do Meryton i z powrotem, potem w górę i w dół po schodach, przemierzone korytarze, jak daleko sięgałaby ta trasa? Czy wystarczyłoby na te dwadzieścia mil do Londynu? Albo nawet dalej, przez kręte wiejskie ścieżki, aż nad morze?

James z rozmysłem się nie śpieszył, wycierając każdą filiżankę i spodek, aż zaczęły piszczeć, by potem sięgnąć po następne. Zmarszczone brwi i uparte milczenie Sary sprawiały mu przyjemność. Ta zaciętość, ta zaciekłość; wydawały mu się urokliwe w sposób, jakiego nie potrafił do końca zrozumieć. Kiedy zaproponował, że pójdzie za nią do Meryton, natarła na niego niczym krzesząca iskry, potężna, błyszcząca stal. Była cudownie zezłoszczona: „A co, jeśli *zechcę* iść? Co, jeśli to dla mnie

przyjemność?”

Sara miała w sobie więcej siły, niż jej się wydawało. Niczego od niego nie chciała. Odpędziła go jak muchę.

Strasznie mu się to spodobało.



Rozdział VI

...tylko nadzieja na wtorkowe tańce

pozwołała Kitty i Lidii znieść takie dni jak

piątek, sobota, niedziela i poniedziałek.

Wreszcie nadszedł tak długo i niecierpliwie wyczekiwany dzień. W domu przez całe popołudnie panowało wielkie poruszenie, a Sarze przy kręceniu włosów Kitty tak dokuczały odmrożenia, że miała ochotę wyć z bólu: pulsowały, zaczerwienione i opuchnięte, a dolegliwości nasilały się za każdym razem, kiedy kuciała przy kominku. Nawet pan Bennet, zazwyczaj całkowicie niewzruszony swoim wyglądem, przygotował się z należytą uwagą: kazał Jamesowi oczyścić jego stary strój wieczorowy i wypudrować perukę.

To zgoła inne wydarzenie, stwierdził pan Bennet, gdy James zapinał guziki jego ciasnej kamizelki, niż te okropne publiczne tańce w sali balowej w Meryton, gdzie człowiek narażał się tylko na ścisk, hałas i banalne rozmowy. Nikt nie zdoła go przekonać do udziału w nich, chociaż żona i córki nie ustają w próbach. Pewnego tłumy i głośnej muzyki nadal należy się spodziewać, nawet na prywatnym balu, jednak sąsiedzka uprzejmość zwyciężała potrzebę komfortu.

James, cały czas potakując, pomógł mu łyżką do butów wcisnąć stopy w obuwie do tańca.

Pan Bennet nigdy nie przyznałby tego na głos, ale za jego

udziałem w balu w Netherfield najbardziej przemawiały niekończące się żale małżonki, którymi przypłaciłby odmowę. Łatwiej było znieść niewygodę balu niż niezadowolenie żony z powodu nieobecności męża. Kiedy z pomocą Jamesa pan Bennet wdrapał się do powozu, posłał lokajowi pełne współczucia spojrzenie. James musiał założyć perukę i trikorn, a także sztywną i trzeszczącą liberię, tylko po to, by przejechać trzy mile do Netherfield.

– Widzę, że ciebie też obwiązali jak wędzonkę – zauważył pan Bennet.

– Owszem, proszę pana – odparł James, zawsze gotowy, by poprawiać mu humor.

Po tym, jak Pani Hill wyprasowała ze szczególną uwagą wieczorny strój pana Collinsa i powiesiła go tak, by zauważył tę szczególną troskę, a oprócz tego sprawdziła, jak Polly poradziła sobie z jego butami oraz, widząc go w drodze do foyer, dygnęła uprzejmie – nie usłyszała nawet jednego słowa pochwały. Stała na frontowych schodach z mężem i pokojówkami, nieco podupadła na duchu, i machała do odjeżdżającego powozu.

– Dzięki Bogu – powiedziała Polly, odwracając się w stronę domu. – Cieszę się, że to już koniec.

Przeszli przez przedpokój do pogrążonego w ciszy foyer. Przez kilka godzin w domu niczego nie będzie się od nich wymagało, a takie błogosławieństwo należało uczcić. Pan Hill bez słowa ruszył na górę. Był już stary i śmiertelnie zmęczony. Potrzebował snu.

– Nie pogniewasz się, Saro – odezwała się pani Hill – jak każe ci dzisiaj czuwać? Ja już nie mam sił. Chodź, Polly.

Sara zmrużyła oczy i czekała, aż pani Hill, kołysząc biodrami, zniknie na schodach razem z Polly, wlokącą się niczym zmęczony szczeniak. Schowała czubki butów pod dywan, a obolałe dłonie wsunęła pod pachy. Zostały jej tylko płomień świecy, tykanie zegara i perspektywa długiej, samotnej nocy. Poczowała gniew: po raz ostatni zostaje na czuwaniu.

Tym razem pani Hill nawet nie wiedziała, że Sara złamała jej

zakaz, a mimo to dziewczynę spotkała kara.

Przynajmniej miała teraz dom dla siebie. Wyjęła powoli rękę spod ciepłej pachy, podniosła świecę z szafki i przeszła do salonu. Sięgnęła po porcelanową pasterkę, żeby przyjrzeć się jej namalowanym oczom, namalowanym ustom i różowym plamom na policzkach. Przekręciła figurkę, by spojrzeć na szorstką wewnętrzną stronę, do ciemnej dziury pustego wnętrza. Odstawiła ją na miejsce, a potem podeszła do stolika po obręcz do haftowania: bukowe drewno trzymało w ryzach wymyślną robótkę Jane. W blasku świecy Sara przyjrzała się czasochłonnym ptaszkom, kwiatom i liściom, a potem odłożyła robótkę. W domu ciągle znajdowały się jakieś szwy do zaszcycia, dziury do załatania i pończochy do cerowania, więc pokojówka nigdy nie zajęłaby się czymś tak kunsztownym. Podeszła do stolika do kart pod oknem, odstawiła świecę i podniosła talię. Spróbowała ułożyć pasjansa, ale szybko się zorientowała, że brakuje jej cierpliwości, więc złożyła równiutko karty, by wsunąć je do drewnianego pudełeczka.

Usiadła w fotelu pani Bennet i umościła się na miękkim obiciu, wyciągając nogi i opierając stopy o podnózek. Przybiegła kotka, wskoczyła jej na kolana. Mruczała i przeciągała się, ugniatając jej nogi, potem zaś wbiła w nie mocno pazury. Sara podniosła zwierzę i postawiła na podłodze, a ono uciekło pod kominek i zwinęło się tam w kłębek, by zaraz zasnąć.

Zegar tykał. Sara powinna zasłonić okna: park i wieś za szybą wydawały się ogromne i puste. Ale musiałyby najpierw wstać. Gdzieś w oddali pohukiwała sowa. Dziewczyna mogła przynieść sobie książkę, ale to wymagałoby pokonania trzech pięter schodów, a to za dużo zachodu. Dlatego siedziała i szurała nogami po dywanie. Kot przewrócił się na plecy, a Sara zaczęła marzyć o fajerwerkach, tańczących niedźwiedziach, popisach siły i sprawności, odprutych i przyszytych na nowo falbanach, zakręconych przez nią lokach i sukienkach, które teraz ślizgały się po wypolerowanych podłogach z toffi, między miętówkowymi kolumnami i pod lukrowanymi żyrandolami. Pomyślała o Netherfield, Londynie i całym szerokim świecie za ciemnymi

szybami okien.

Podniosła się, podeszła do szafki i nalała sobie kieliszek kanaryjskiego wina. Skoro już ją karano za niepopelnione grzechy, przynajmniej mogła co nieco napsocić. Wzięła łyżeczek wina. Było słodkie i łaskotało w język.

A więc załazła pani Hill za skórę – a gospodyni, oczywiście, wszystko robiła dobrze. Pani Hill nigdy się nie potknęła i nie ma sobie nic do zarzucenia, bo nigdy nawet nosa nie wyściubiła poza dom. Nigdy nie żyła, nawet na krok nie wyszła spod klosza, a jednak zawsze wiedziała lepiej, zawsze miała własne zdanie na każdy temat. I zawsze była taka zadufana w sobie. Ale gdyby ocenić wiedzę pani Hill o świecie, o ludziach w ogóle albo o czymkolwiek poza prowadzeniem domu, szczerbatym mężem i opieką nad Bennetami?

A w dodatku – nalała sobie kolejny kieliszek, tym razem sherry, żeby w żadnej butelce nie brakowało zbyt wiele napoju (gdyby to zauważyli, zrzuciliby winę na pana Collinsa; zawsze chętnie szukali w nim wad) – pani Hill tak się poddawała woli Bennetów, jakby byli jakimiś bożkami. Cóż, Sara z pewnością tak nie skończy. Nie ma mowy. Nie zadowoli ją takie wielkie nic. Nawet gorzej niż nic, skoro wszystko, nad czym pracowała pani Hill – cokolwiek wyczyściła, upiekła, ugotowała, zacerowała, zaszyła, zrobiła na drutach albo szydełkiem; wszystko, czego kiedykolwiek tknęła – zostało przeznaczone dla kogoś innego.

Opróżniła kieliszek i nalała sobie jeszcze z trzeciej karafki.

Zegar wybił półgodzinę. Czy panienki już tańczyły, czy dopiero zajechały do Netherfield? Ich jasne jak kurze białka muśliny, rozetki znikające pod sukniami, głowy oplecione warkoczami, otoczone lokami i ozdobami... Wyglądały jak słodycze, udekorowane i starannie zawinięte.

Sara upiła kolejny łyk. Ten alkohol okazał się mocny.

Ale gdyby to wszystko zabrać – te rozetki, te muśliny, całe wymyślne opakowanie – co wtedy? Czy dżentelmen spojrzełby na nie drugi raz, gdyby miały szorstkie dłonie, pęcherze, spękane usta i drewniane patynki na butach? A gdyby już patrzył, to tak jak

dżentelmen na damę – z podziwem, ale i dystansem – czy raczej jak obleśny pan z *Pameli* na swoją służkę? Jak na coś, co może dostać w swoje łapska i odwinąć z papierka?

Sara osuszyła kieliszek, wytarła go fartuchem i odstawiła na tacę.

Wróciła do kuchni i spróbowała zająć się pozostałymi obowiązkami. Wytarła stół i rozstawiła wszystko, co było potrzebne na powrót rodziny: mleko, herbatniki, miseczkę z drobkami cukru, zeszkobanymi z głowy.

„Możemy się udać na spacer, kiedy dostaniesz wolne popołudnie”.



Rozdział VII

Grzeczność, wyrozumiałość i cierpliwość...

Noc była wietrzna; jasny księżyc co chwilę chował się za chmurami. Sara popatrzyła w niebo, wędrując po łące, na której wypasano krowy. Pomyślała o tym, jak miło jest na zewnątrz; pomyślała, że powinna była się zdecydować wcześniej; pomyślała, że powinna to robić częściej. Okazało się, że wcale nie jest zimno.

Zobaczy Netherfield przystrojone na bal, usłyszy muzykę i przyjrzy się sukniom, poobserwuje przez okno tańczące pary. Nie mogła wejść do środka, ale przecież mogła przynajmniej popatrzeć. Potem znajdzie Tola Bingleya – na ten czas nie przejmowała się praktyczną stroną odnalezienia młodego Bingleya – i może pójdą razem na spacer albo zapalą cygaretki. Właściwie to chętnie by teraz zapaliła. I czyż nie zaprosił jej na przechadzkę? Co prawda popołudnie dawno już minęło, co przyznała bez ociągania, ale dlaczego nie miałyby sięgać po przyjemność zawsze, gdy tylko mogła, jak wszyscy inni?

Całą drogę żywo i z determinacją poddawała się samoocenie, zataczając się jak dziecko w starej niebieskiej pelisie, czując działanie podprowadzonego alkoholu, z czepkiem wciśniętym na głowę i zawiązanym pod szyją. Dotarła do granicy posiadłości Netherfield i przeszła przez malutką bramę w lesie.

Ścieżka, szeroka za dnia, teraz, w mroku, wydała się dziwnie zwężona. Krzaki zdawały się rosnać bliżej, a konary na wietrze ocierały się jedne o drugie. Wyciągnięte ręce Sary natrafiały na woskowe liście laurowe i sprężyste ligustr, ale czuła, że w każdej chwili może znaleźć coś innego. Słyszała kiedyś opowiadane szeptem, niepokojące i mroczne historie o dziewczynach, które bez

namysłu wyszły z domu i nigdy nie wróciły, albo wróciły, ale zdziwaczały lub z dzieckiem, więc Sara zaczęła się trochę o siebie bać. Ale wtedy usłyszała niesioną przez wiatr muzykę. Potem zarośla zaczęły się przerzedzać, między gałęziami błyskały światła, a melodie wróciły z kolejnym podmuchem. Tym razem Sara słyszała je wyraźnie i od razu zapomniała o strachu.

Drzewa rosły daleko od siebie, ich gałęzie wisiały nisko i szumiały na wietrze. Wyszła na skraj ciemności. Za nią, w blasku księżyca widać było pas trawy, dalej podjazd dla powozów i wreszcie sam dom.

Na marmurową fasadę padł cień, kiedy chmury przesłoniły księżyc; okien nikt nie zasłonił, dało się dojrzeć sylwetki gości, oświetlone blaskiem świec. Powozy musiały zostać odprowadzone na tyły – podjazd był pusty i bieleł się w blasku księżyca. James siedział zapewne w części dla służących, pił piwo i grał w kości. Zresztą kto tam wie, do czego zdolny jest James z dala od Longbourn.

Wyszła za linię drzew, minęła trawnik i stanęła na żwirze w plamie światła, zaglądając przez wysokie okno. Wiatr próbował porwać jej pelisę i wyciągał kosmyki spod czepka. W środku było tłoczno; rozpoznała Charlotte Lucas, przechadzającą się z Elizabeth, a potem Kitty i Lydię, śmiejącą się z parą oficerów w czerwonych mundurach, później jeszcze pana Gouldinga, który stanął tuż przed oknem i rozmawiał z panem Longiem, ubranym w czerń duchownego, a Sara nawet ich rozumiała, tak byli blisko. Lis dorwał swoje ptaszki; łowy wkrótce się skończą; drogi; okropna pogoda, która nie może trwać wiecznie.

Tynku nie zrobiono z miętówek – oczywiście, że nie. A podłóg nie wylano toffi. Światło pochodziło z konwencjonalnych, kryształowych żyrandoli, a nie lukrowanych. I tego przecież się spodziewała, bo nikt nie budowałby domu z cukru, a wszystko wyglądało doprawdy cudownie. Ale ci ludzie! Nie potrafiła pojąć, jak mogli być tak nudni. Oczywiście pojawili się oficerowie oraz świeżo sprowadzeni i bogaci Bingleyowie, a to stanowiło niewątpliwą atrakcję. Ale oprócz nich widziała tylko Longów,

Lucasów i Gouldingów, tych samych starych sąsiadów, którzy pojawiali się w progach Longbourn rok po roku, a Bennetowie odpłacali im identycznie niekończącymi się wizytami, przez całą wieczność grając w te same karty i ubierając te same stroje. Wszystkie nowe suknie – pomijając te Bingleyówny i jej siostry – zostały uszyte z materiałów, które Sara widywała w sklepie od miesięcy. I wszystkie damy miały te same stare piegi, zmarszczki, śmierzący oddech, blizny po ospie i podagrę, wszystkie od wieków wygłaszały te same opinie, przeprowadzały te same rozmowy o łowach, drogach i pogodzie, rok po roku, bez końca.

Jak oni to znosili?

Cała jej zazdrość uleciała, niesiona przez wiatr. Odwróciła się. I co z tego, że nie mogła tam wejść? Wcale tego nie chciała. Poczula się lekko i niemal ucieszyła się z tej ulgi.

Właśnie mijała cień pierwszych drzew, kiedy zobaczyła w mroku czerwoną plamkę. Nie potrafiła jej niczemu przypisać ani ocenić jej odległości; wydawała się wisieć zupełnie w powietrzu. Nagle – przyprawiając ją o szybsze bicie serca – wzleciała do góry, rozżarzyła się na moment, a potem opadła, gasnąc, i znowu zawisła jakiś metr nad ziemią.

Wszystko stało się jasne: to rozpalona końcówka cygaretki, trzymana w dłoni mężczyzny, który uniósł ją do ust. A kiedy zdała sobie z tego sprawę, nieznajomy podszedł w jej stronę. Z ciemności patrzył na Sarę Tol Bingley.

– Ach, a któż to?

– Dobry wieczór, panie Bingley.

– Czy to ty, Saro?

– Zgadza się.

– No proszę. Przyszłaś na przyjęcie?

– Tak, przyszłam...

Wyszedł na światło księżyca; gdy stanął bliżej, mogła mu się przyjrzeć. Włożył rękę do kieszeni i wyjął coś, a potem podał Sarze; pachniał mocnym alkoholem.

– Mogę zaproponować coś do picia?

Zawahala się. Tak naprawdę to chciała wrócić do kuchni w

Longbourn i usiąść z filiżanką herbaty koło kominka.

– Netherfield to bardzo gościnne miejsce – mówił z przesadną starannością, lekko bełkotliwie.

– Myślę, że lepiej...

– W piwnicy jest tego znacznie więcej – powiedział. – No dalej, spróbuj.

Wzięła butelkę do ręki.

– To rum – wyjaśnił. – Najlepszy rum Bingleya, prosto z plantacji.

Wyciągnęła korek i uniosła naczynie do ust. Alkohol rozpałił jej gardło i podszedł aż do nosa.

– Dobrze, prawda?

Po rozświetlonych pokojach przetoczył się śmiech, docierając aż do nich, stojących w ciemnościach.

– Świetnie się tam dzisiaj bawią – stwierdził.

Zachwiał się lekko; Sara oddała mu butelkę.

– Jak się na nich patrzy, to można pomyśleć, że na świecie nie ma nic do roboty prócz tańców i śmiechu, i jedzenia, i budzenia się na drugi dzień w południe, by otworzyć kolejną butelkę wina i powtórzyć wszystko jeszcze raz.

Spojrzała na niego. Halki smagały jej nogi, stopy marzły w przemoczonych butach, policzki chłodził wiatr, który plątał jej też włosy i wyciskał łzy z oczu. Tol chyba do czegoś zmierzał.

Zaciągnął się cygaretką i wydmuchał dym.

– Wszyscy oni są bydłem, nie uważasz? Zwierzętami.

Zamrugła z zaskoczenia, ale dziwnie powoli, a kiedy miała zamknięte oczy, zakręciło jej się w głowie i zapiekło w gardle.

Przełknęła ślinę.

– Powinno się ich wydoić, oskórować i zesmażyć na patelni – powiedział.

Znowu podał jej butelkę. Pokręciła głową, żeby się trochę otrzeźwić: czuła się, jakby ze zwykłego kamiennego słoja zdjęto pokrywkę, a ze środka wyleciała chmara much, które teraz latały wokół niej.

– Ty i ja, Saro, my wiemy, co jest czym.

Objął ją w pasie i przysunął, przygniatając, do siebie. Zamierzał ją pocałować; właśnie w tym momencie świat miał się zmienić. Ponieważ Ptolemy Bingley był kimś. Był kimś wspaniałym. Przeprowadzi się do innego świata, do świata londyńskich ulic, tańców, rozrywek, tytoniu i dalekich miejsc, gdzie powietrze jest jak ciepła kąpiel i gdzie człowiek nigdy się nie przeziębia. A jeśli ona go teraz pocałuje, uda się tam razem z nim; przepłynie do tamtego świata, zupełnie jak ryba.

Nachylił się. Jego oddech pachniał dymem i alkoholem. Potem jego mokre usta dotknęły jej warg, a Sara poczuła tytoń i rum, i zęby, i cebulę, i ucisk jego warg – jak oddychać w trakcie pocałunku? W tle słyszała muzykę i głosy dochodzące z wielkiego domu, nacierające nań podmuchy wiatru. I Sara pomyślała: ja tego chcę, wiem, że tego chcę. Tak człowiek przenosi się do innego świata.



Rozdział VIII

...gdyby zaczął czytać zachęcony jej przykładem i wreszcie

stałby się może wcale przyjemnym towarzyszem życia.

Rodzina zeszła na dół z niewyraźnymi minami; nawet pan Collins, który, jako duchowny, raczej skromnie zażywał przyjemności, lekko pozieleniał. Sara również nie do końca dobrze się czuła: zdawało jej się, że ktoś wbił jej nóż w czaszkę i od czasu do czasu decydował się pstryknąć palcem w uchwyt.

Gdy podawała do stołu, żołądek podchodził jej do gardła: to całe wpychanie jedzenia do ust, przełykanie kęsów i mielenie między zębami, a na koniec siorbanie herbaty i kawy... Słowa Ptolemeusza wróciły do niej z za alkoholowego otępienia: „Są bydlęta; krowami, owcami i wieprzami, które trzeba wydoić, oskórować i zesmażać na patelni. Ty i ja, Saro, my wiemy, co jest czym”. Teraz rozumiała to wszystko bardzo dosłownie, gdy patrzyła, jak na siebie łypią, jak wyciągają łapy po kolejne półmiski z muffinkami, bekonem i jajkami na maśle.

Pani Hill zdała sobie sprawę, że nie powinna była prosić Sary o czuwanie; dziewczyna potrzebowała twardej ręki, nie było co do tego wątpliwości, ale też musiała się wysypiać. Właśnie dlatego wydawała się dzisiaj taka otępiała. Pani Hill sama niewiele skorzystała z nocnego odpoczynku: przez długie godziny nie mogła zmrużyć oka, nasłuchując odgłosów sprzątanego (Sara to dobra dziewczyna, mimo wszystko, kiedy nikt nie ściągał jej na złą drogę), mruczenia i wiercenia się Polly po drugiej stronie wąskiego korytarza, myszy grasujących za boazerią, świszczącego oddechu

męża, wiatru szarpiącego dachem i zawodzącego w kominach. Kiedy wreszcie usnęła, wciąż w pewien sposób zdawała sobie sprawę z gwałtowności nocy; śniło jej się, że czekała na powóz, a kiedy wrócił, otworzyła drzwi frontowe i do domu wpadło stadko prosiaków, ubranych w muślinowe suknie i obuwie do tańczenia.

W szarym świetle poranka pani Hill rozumiała, że musi znaleźć jakieś rozwiązanie; potrzebuje sposobu na to, by jakoś przedostać się przez upór Sary do łagodnej i szczodrej natury, którą ta zaciętość chroni. Ale nawet kiedy gospodyni się nad tym zastanawiała, jednocześnie besztła dziewczynę, mówiąc, żeby przestała się krzywić. W odpowiedzi Sara spojrzała na nią przeciągle, usztywniła ramiona i zaczęła głośno stukać naczyniami.

– Spodziewam się grzecznej odpowiedzi, gdy do ciebie mówię.

– Niech pani mówi do mnie grzecznie, to i ja będę grzeczna.

Pani Hill dosłownie opadła szczęka. Już miała stracić nad sobą panowanie, kiedy przez drzwi do korytarza wszedł James i gospodyni spojrzała na siebie jego oczami. Dostrzegła swoje zgorzknienie i grymas twarzy – i zamknęła usta. Zamiast tego powie coś miłego. Coś łagodnego i uprzejmego, co przyniosłoby im zgodę; niestety, nic nie przychodziło jej do głowy.

Wysiłki gospodyni zostały przerwane przez rozgardiasz na górze. Usłyszeli trzask drzwi do pokoju śniadaniowego, a potem dudnienie kroków na korytarzu i schodach. Jedna z pań biegła do swojej sypialni. Potem kolejne kroki, cięższe, w przeciwną stronę; te należały do pani Bennet, która szła do pokoju śniadaniowego.

W kuchni czworo służących stało w bezruchu, z zadartymi głowami. James, wciąż na progu, otworzył drzwi trochę szerzej.

– Co to? – zapytała Polly. – Co się stało?

– Może chodzi o pana Collinsa – stwierdziła Sara. – Z pewnością się oświadczył.

Polly zdumiała się.

– Komu?

- Elizabeth.
- Naprawdę?
- Ciii!

Pani Hill i Sara stanęły obok Jamesa; Polly też się do nich przemknęła, potem w progu pojawił się również pan Hill, kręcąc głową. Wszyscy wsłuchiwali się w niewyraźne głosy.

- Co mówią?

Sara uniosła palec do ust.

Znowu ktoś otworzył drzwi do pokoju śniadaniowego, a później pani Bennet zaczęła schodzić na dół. Pojawiła się w zasięgu ich wzroku: wszyscy się skulili, Polly dała nura, pan Hill zrobił krok do tyłu, Sara wcisnęła się za Jamesa, a pani Hill zupełnie się odwróciła i weszła z powrotem do kuchni.

– Nie wiedziałam, że ona potrafi poruszać się tak szybko! – zdziwiła się Polly.

Zobaczyli, jak pani Bennet wchodzi do biblioteki; Polly szeroko otworzyła oczy i spojrzała na Sarę: nawet nie zapukała!

- Och! Drogi mężu, jesteś natychmiast potrzebny...

Pani Bennet zamknęła za sobą drzwi, blokując wszystkie dźwięki. James odsunął się od drzwi kuchennych i pozwolił, by się zatrzasnęły.

Sara wróciła do stołu i sięgnęła po naczynia.

- Biedaczyna.
- Biedny głupiec – stwierdził James.

Pani Hill pokręciła głową.

- Cóż za okrutny wstyd.
- Mary by go przyjęła... – Sara przeszła do komórki.

Potem zadzwonił dzwonek z biblioteki. Wszyscy się zatrzymali i patrzyli, jak tańczy na swojej sprężynie.

- Ja pójdę – zaofiarował się James.
- Nie – stwierdziła pani Hill. – Chcą, żeby sprowadzić panienkę Lizzy, więc...

- Ja pójdę – dokończyła Sara.

Pani Hill cofnęła się, żeby ją przepuścić. Doszło do prawdziwej katastrofy. Teraz pan Collins może się ożenić z

kimkolwiek. Kto wiedział, jaką małą wielbicielek bezsensownej mody pozna w Bath albo Bristolu, albo Canterbury, albo w jakimś innym miejscu, gdzie młodzi duchowni szukają sobie żon? Ale jeśli – jak powiedziała Sara – Mary by go przyjęła, byłiby z nią bezpieczni: Mary nie chciałaby nic zmieniać dla samych tylko zmian. Z Mary u władzy świat pod schodami nie musiałby się o nic bać.

Dwie starsze panienki siedziały na łóżku, trzymając się za ręce. Kiedy Sara zapukała i wcisnęła głowę przez szparę między drzwiami a futryną, spojrzwały na nią przestraszone. Uspokoily się, widząc, że to tylko pokojówka.

– Panienko Lizzy, rodzice proszą do biblioteki.

Elizabeth nie potrafiła nad sobą zapanować. Wydawała się przebywać na granicy załamania, chociaż trudno było ocenić, czy zacznie się wściekać, płakać czy histerycznie śmiać.

– Cały dom już wie, prawda?

– Wie o czym, panienko?

Elizabeth uniosła wzrok.

– Ty mały kłamczuchu.

Jane ucałowała siostrę w policzek, a potem przytrzymała jej rękę, gdy Elizabeth miała już iść.

– Musisz pamiętać, Lizzy, że to człowiek godny szacunku i oświadczając ci się, starał się zachować tak, jak w jego mniemaniu należało. Więc bądź dla niego miła, kochana.

– Za nic w świecie, Jane! Zaszliśmy tak daleko, choć ledwo zachowywałam wobec niego uprzejmość; aż się boję pomyśleć, co by się stało, gdybym była miła!

Jane pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– Nie możesz mieć tego na myśli. Dobrze wiesz...

Potem spojrzała na Sarę i najwyraźniej dopiero teraz naprawdę jej się przyjrzała. Obrzuciła pokojówkę wzrokiem od stóp do głów, zauważając obwisłą żółtawozieloną popelinę.

– Nie zakładasz nowej sukni, Saro?

Sara dygnęła.

– Oszczędzam ją, panienko, na lepsze okazje.

Pokojówka zaprowadziła Elizabeth do biblioteki, zapukała i otworzyła drzwi, podczas gdy Lizzy stała z tyłu, próbując się uspokoić. W środku Sara zobaczyła panią Bennet przy biurku męża, ze skrzyżowanymi ramionami, a także pana Benneta, który siedział i właśnie zdejmował okulary.

– Podejź tutaj, dziecko! – zawołał ojciec na widok córki. – Posłałem po ciebie z powodu sprawy wielkiej wagi. Rozumiem, że Collins zaproponował ci małżeństwo. To prawda?

Sara zamknęła drzwi.

Życie zawsze układało się tak samo niesprawiedliwie.

Pani Hill zaniósła kawę do pokoju śniadaniowego, gdzie pani Bennet, wściekła na drugą córkę, próbowała przekabacić na swoją stronę Charlotte Lucas i gdzie młode panienki zebrały się na ploteczki. Małżeństwo było jak kupowanie kota w worku; nie dało się sprawdzić kandydata, a ludzie rzadko dobijali sprawiedliwego targu. Ciągłe widziało się piękne i młode dziewczyny z prowincji uczone ramienia jakiegoś podstarzałego księgowego, albo też krzepkich i przystojnych mężczyzn w średnim wieku z grubymi i przekwitłymi żonami. Czy to tragedia, czy nie, zależało od tego, po której ktoś stał stronie: jedna osoba może i została sprzedana za grosze, ale druga cieszyła się ze wspaniale ubitego interesu.

Pani Hill naląła kawy i podała filiżanki. Elizabeth sięgnęła po swoją pewną ręką; podziękowała gospodyni uśmiechem.

Jak to jest, pomyślała gospodyni, być młodą i uroczą, a przy tym doskonale zdawać sobie z tego sprawę? Jak to jest wiedzieć, że przyjmie się tylko prawdziwą miłość, idealną partię?

Kolejny dzień nie przyniósł kresu rozzłoszczeniu i niedyspozycji pani Bennet: narzekała na nerwy, zamknęła się w swojej garderobie z panią Hill i wypila niemal pół butelki balsamu z Gileadu. Z początku zrobiła się od tego porywcza, ale potem zaczęła mamrotać pod nosem i w końcu położyła się spać, zionąc zapachem *Eau de Vie*. Jej córki – wszystkie prócz Mary, która wolała zostać w domu – udały się na poranny spacer do Meryton, żeby uciec przed cierpieniem matki i urażoną dumą pana Collinsa, a także zapytać o pana Wickhama, niewybaczalnie nieobecnego na

balu w Netherfield.

Pani Hill i Sara nie miały szansy na ucieczkę. Gospodyni wydawało się, że spędziła u pani Bennet wręcz niezdrowo długi czas, poprawiając jej gorset, układając chustki i poduszki. Kiedy wreszcie udało jej się wydostać, od razu zapukała do pokoju Mary, przerywając jej w połowie E-dur. Pani Hill zajrzała do środka, a Bennetówna spojrzała na nią z niepokojem.

– Cóż to, pani Hill?

– Proszę mi wybaczyć, panienko Mary, ale... – Weszła do pokoju. – Pan Collins siedzi sam na dole i pomyślałam, że może panienka powinna o tym wiedzieć.

– Właśnie ćwiczyłam...

– Tak, ale nie wiedziała panienka, że on tam siedzi zupełnie sam, a przecież nie chciałaby panienka zostać uznana za nieuprzejmą.

– Oświadczył się mojej siostrze, nieprawdaż?

Pani Hill mogła tylko pokiwać głową.

Mary zamilkła na dłuższą chwilę. Potem, podjąwszy decyzję, wstała i wyprostowała spódnice. Pani Hill zauważyła, że oczy dziewczyny miały czerwone obwódki. Płakała, co dobrze wróżyło. Mary wyminęła gospodynię i ruszyła na schody.

– Tylko dlatego, że nie chciałabym być niegrzeczna, rozumie pani.

Tymczasem Sara nieustannie biegała na górę i w dół, wypełniając prośby pana Collinsa o dołożenie do ognia, przyniesienie napojów i odnalezienie jego egzemplarza *Kazań Fordyce'a*. Obawiał się, że zostawił go w bibliotece pana Benneta, a za nic nie chciałby przeszkadzać dżentelmenowi, który okazał się żywić wobec niego takie uprzedzenia. Czy Sara mogłaby pójść i poszukać książki w jego imieniu?

Mogła i oczywiście to zrobiła, a kiedy zapukała i weszła, pan Bennet tylko spojrzał na nią spod swoich krzaczastych brwi. Bez słowa podał jej mały, brązowy tom; wyciągnęła rękę i dygnęła.

Z kolei Polly miała więcej swobody, nikt jej bowiem nie pilnował. Przechadzała się po domu ze ścierką do kurzu i z

rozmarzonym wzrokiem, a później, tuż przed południem, zniknęła gdzieś i gdyby ktoś jej szukał, znalazłby dziewczynkę przy stajni, grającą w hacie z Jamesem. Każda wygrana tak ją cieszyła, że lokaj stawał się coraz większym niezdara, żeby tylko Polly mogła pisać z radości.

Sara podała panu Collinsowi książkę.

– Miła z ciebie dziewczyna – powiedział. – Myślę, że masz dobre serce, wbrew temu, co mówią.

– Dziękuję, proszę pana.

– Dowiedziałem się pewnej rzeczy tutaj... – Ściszył głos. – Wprawilo mnie to w pewną konsternację, ale okazało się, że znalazłem się w podobnym do twojego położeniu.

Sara obrzuciła go baczny spojrzeniem.

– Doprawdy, proszę pana?

– Chciałem powiedzieć... – Rozejrzał się dokoła, jakby obawiał się, że ktoś go usłyszy, chociaż o tej porze dnia raczej nikt nie przebywał w pokoju śniadaniowym, a większość domowników w ogóle opuściła budynek. – Człowiek ma na względzie tylko to, co prawe i dobre, a robi to, co uważa za swój obowiązek. I za swoje poświęcenie zostaje odrzucony; okazuje się winnym. Staje się pośmiewiskiem.

– Bardzo mi przykro, że jest pan nieszczęśliwy, proszę pana.

– Dziękuję – powiedział ze szczerym uśmiechem. –

Dziękuję, dziecko kochane.

Zdaniem Sary on sam był jeszcze dzieckiem. I to samotnym. Należał do tego typu mężczyzn, którzy zawsze pozostają samotni.

– Może przynieść trochę ciasta? – zapytała.

Cały się rozpromienił. Oczywiście, że zje trochę ciasta. Nawet bardzo chętnie; niczego w tej chwili tak nie pragnie.

Kiedy Sara przyniosła kawałek placka owocowego na ślicznym talerzyku z niebieską obwódką, zobaczyła w pokoju śniadaniowym także Mary, siedzącą sztywno na fotelu blisko duchownego; obejrzała się ze zmrużonymi oczami, kiedy Sara weszła do środka. Pokojówce zdawało się, że przerwała nie rozmowę, a ciszę. Mary musi się wysilać, by prowadzić z nim

konwersację – Sara to rozumiała – bowiem zbyt wiele czasu spędzonego w książkach nie dodawało jej towarzyskich zdolności. Młoda panienka wstała nagle i podeszła do okna. Pan Collins również się podniósł, z wyraźną ulgą. Wziął od Sary talerzyk i podziękował jej wylewnie, ale potem, ponieważ w pokoju pojawiła się Mary, nie wiedział już, co zrobić z ciastem.

Panienki wróciły z Meryton w towarzystwie dwóch oficerów. Wyglądając przez okno na górze, Sara zobaczyła, jak idą ścieżką w kierunku domu – cztery młode panny, dwóch żołnierzy w czerwonych mundurach; wszyscy zachowywali się swobodnie, jak starzy przyjaciele. Za kilka chwil mieli dotrzeć do Longbourn. Z pewnością zażądają poczęstunku, a w domu sprawy były jeszcze w rozsypance.

Dziewczyna pobiegła do garderoby, żeby ostrzec panią Hill, która zamknęła oczy, zacisnęła szczęki i wymamrotała coś, czego lepiej było nie słyszeć. Potem gospodyni poinformowała swoją panią, że za chwilę zjawią się goście, i pobiegła na dół do kuchni. Kiedy towarzystwo weszło na korytarz, pani Bennet zdążyła odzyskać już pogodę ducha i pokazała się w odpowiednim stroju, żeby wszystkich powitać. Sara zebrała płaszcze i kapelusze i już miała je powiesić, kiedy zatrzymała ją pani Bennet.

– A gdzie jest James?

– Nie wiem.

– Ale ja chcę Jamesa. Nie chcę tu ciebie! Nie rozumiem, po co nam lokaj, skoro ciągle muszą nam usługiwać kobiety.

Sara mogła się z nią tylko zgodzić. Goście usiedli w salonie, a ona pobiegła do kuchni. Pani Hill zajęła się niedogodnością w postaci herbaty. Sara krążyła za nią jak widmo, udając pomocną, ponieważ czy by nic nie robiła, czy wchodziła gospodyni w drogę, i tak pani Hill najchętniej urwałaby jej głowę.

A potem otworzyły się drzwi na zewnątrz i stanął w nich Ptolemy Bingley, świeżutki jak masło z mleczarni. Patrzył prosto na Sarę, na co ona musiała się odwrócić. Pani Hill gwałtownie odstawiła dzbanek z herbatą na tacy, pomaszerowała do lokaja i trzymając się pod boki, zapytała z naciskiem, czego sobie życzy.

Sara miała ochotę zniknąć; zresztą im dłużej tam stała, tym większe istniało prawdopodobieństwo, że Ptolemy wspomni coś o przejażdżce powozem albo ich spotkaniu w Netherfield. Wycofała się w stronę drzwi na korytarz, kiedy lokaj skłonił się gospodyni i podał jej list. Sara zauważyła, że wyglądał, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

– Dla pani Bennet.

Pani Hill wyrwała kartkę, rzuciła ją na tacę z herbatą i ruszyła ze wszystkim w stronę Sary. Dziewczyna wzięła od niej pobrzękującą porcelanę. List został opieczętowany ładnym, żółtym woskiem i wyglądał dość niewinnie. Spojrzała na Ptolemy'ego.

– Do roboty – powiedziała pani Hill. – Zanieś to na górę.

Sara wyszła. Pani Hill odwróciła się do Mulata. Nadal stał w progu, wpuszczając do domu zimne powietrze.

– Spodziewasz się odpowiedzi?

Wszedł ostatecznie do środka i zamknął za sobą drzwi.

– A więc jednak czekasz na odpowiedź?

– Jeśli będzie, to ją wezmę.

Polly wpadła do kuchni i przepchnęła się obok Ptolemy'ego, patrząc na niego przeciągle. On w odpowiedzi się uklonił. Potem, jakby chciał zwrócić uwagę na nieuprzejmość, z jaką został przyjęty, podszedł do paleniska i usiadł – pani Hill z pewnością nie ma nic przeciwko, podpowiedział, jeśli się trochę ogrzeje.

Owszem, miała coś przeciwko. A nawet bardzo dużo, i właśnie miała się z nim podzielić pewnymi przemyśleniami (o przychodzeniu tutaj w eleganckich strojach, z londyńskimi manierami, żeby mącić jej dziewczętom w głowach), kiedy do kuchni wróciła Sara. Widząc Ptolemy'ego przy palenisku, zatrzymała się w pół kroku. Pani Hill zobaczyła, jak ich oczy spotykają się na chwilę; nie spodobało jej się to, jak Sara uśmiechnęła się do siebie. Zbyt osobisty był ten uśmiech. Okazało się, że nie jest mile widziana w salonie, wyjaśniła gospodyni pokojówka, więc przekazała tylko list z Netherfield. Polecono jej zostawić tacę, biec z powrotem do kuchni i nie wracać, dopóki goście nie wyjdą.

– Pani B. mówi, że mamy natychmiast wysłać Jamesa na górę, żeby obsługiwał oficerom.

Pani Hill wyrzuciła ręce w powietrze.

– Widzisz go tutaj?

Sara rozejrzała się i wzruszyła ramionami.

– Mam pracy po uszy, Saro. Jeśli go potrzebujesz, znajdź go.

– Ja go nie potrzebuję. Pani B. tak. Po prostu myślałam, że wie pani, gdzie się podziewa.

– Cóż, nie wiem.

– Och – odezwała się Polly. – To proste. Ja wiem.

Pani Hill odwróciła się do niej i warknęła:

– No to gdzie?

– On się ukrywa.

Pani Hill i Sara patrzyły na nią, oniemiałe. Polly wyciągnęła słoik i nic sobie nie robiąc z ich spojrzeń, wyjęła z niego cukierka. Usiadła na drugim krześle przy palenisku, zerkając na Ptolemy'ego.

– On nie lubi żołnierzy – wyjaśniła z cukierkiem w buzi. – Widzieliśmy, jak idą, więc się schowaliśmy. Mnie się znudziło i pomyślałam, że gospodyni się pogniewa, jeśli zostanę dłużej, więc przyszedłam pomóc.

Z radości aż ją nosiło: James psocił, a ona była grzeczna.

Pani Hill machnęła na to wszystko ręką.

– Nonsens. Przestań pleść głupoty. Chowa się, phi!

Polly zaczęła protestować: wcale nie nonsens i wcale nie głupoty; chowali się. I jeśli to był nonsens, to nie jej nonsens, tylko Jamesa, mówiła, ale szybko ją uciszyli. Sara doskonale zdawała sobie sprawę, że całe to zajście obserwuje Ptolemy Bingley, siedząc cicho i unosząc brwi. Poczwała nagłą potrzebę zmiany tematu.

– A więc to obiad czy następny bal, panie Bingley?

– Słucham?

– List. Zaproszenie, jak się domyślam?

– Nie – odparł. – To nie zaproszenie... Wyjeżdżamy.

– Wyjeżdżacie?

Przytaknął i zagryzł wargi.

– Wyjeżdżacie? – Sara sięgnęła po krzesło, wyciągnęła je spod stołu i usiadła. – Tak po prostu?

– Pan Bingley pojechał do Londynu w interesach, a krótko po tym jego siostry postanowiły do niego dołączyć... A także pan Darcy, przyjaciel, który się u niego zatrzymał... – zawahał się na chwilę i tylko na nią patrzył bez słowa. – I tak oto wyjeżdżamy. Całą gromadą.

– I ty również jedziesz do Londynu.

To nie było pytanie, ale i tak pokiwał głową.

Sara wstała i przeszła na drugą stronę kuchni. Wysunęła szufladę i popatrzyła na jej zawartość – muślin do precedzania dżemu, kilka zniszczonych i zabarwionych owocami drewnianych łyżek. Wyjeżdżał do Londynu, znikał na zawsze, żeby oglądać spektakle, chadzać do Astleya i spacerować pod pięknymi arkadami.

– A dom zostanie zamknięty? – zapytała pani Hill, która skończyła już sprzeczkę z Polly i zdawało się, że zapomniała o danym Sarze zakazie... albo może uznała go za już nieistotny.

– W rzeczy samej, pani gospodyni. Większość służby już wyjechała. Zostało kilka osób, które muszą dokończyć pewne sprawy, i potem też wyruszają w drogę.

– Oczywiście, oczywiście. A pan i pani Nicholls zostają, żeby pilnować majątku?

– Kiedy wyjeżdżasz?

Sara nie mogła na niego spojrzeć.

– Jeszcze dzisiaj.

– A kiedy – starsza pokojówka przesunęła muślin w róg, a potem ułożyła drewniane łyżki w schludny rząd – wrócisz?

– Zdaje się, że nie tej zimy.

Pani Hill pokiwała głową z zadowoleniem. Miło było słyszeć o tak dobrze zorganizowanych – i tak dla niej pomyślnych – domowych sprawach. Ale dla Sary oznaczało to samotność: cała zima w Longbourn bez rozrywki, przyjemności, wytchnienia. Zagryzła wargę. Do wiosny jeszcze tak daleko. O ile w ogóle

kiedyś wróca! O ile Ptolemy nie zostanie w Londynie, żeby otworzyć swój sklep. Bo kto by tu wrócił, gdyby miał cały Londyn na wyciągnięcie ręki?

– Cóż, wszyscy będziemy tęsknić, jestem tego pewna – powiedziała pani Hill. – Ale nie pozwól, żebyśmy cię zatrzymywały. Z pewnością masz jeszcze wiele pracy.

Wstał, podpierając się na krześle.

– A to wszystko kiedy już zdążyłem się przyzwyczaić do błota.

Sarze brakowało tchu. Gwałtownie zamknęła szufladę, rozrzucając z powrotem łyżki, i przypomniała sobie uczucia towarzyszące jej tamtej nocy: pocałunek, smak dymu i cebuli, ich przyciśnięte ciała, a wszystko takie obiecujące. Teraz jednak straciło sens.

– Odwiedz mnie, kochana – powiedział do niej cicho, gdy ją mijał, żeby nikt inny nie usłyszał – jeśli zawitasz do miasta.

Oficerowie nie zostali długo po tym, jak pani Bennet otrzymała list. Jane uciekła do siebie, kiedy tylko mogła, blada i chora, a na jej widok Sarę zabolalo serce. Jane spodziewała się po panu Bingleyu czegoś innego – a przynajmniej na coś innego miała nadzieję.

Sara przyniosła płaszcze dżentelmenów, a kiedy oni je zakładali i zapinali, Polly czekała, trzymając po jednym kapeluszu z kokardą, podekscytowana doniosłą chwilą i swoim w niej udziałem. Przystojny oficer – który później okazał się tym słynnym panem Wickhamem – podarował jej małą monetę w zamian za nakrycie głowy. Wyszczrzyła zęby, podziękowała i schowała pieniądze do kieszeni, a potem dygnęła grzecznie. Oficer zdjął rękawiczkę i dotknął policzka dziewczynki. Ujął go, tak jak wielu innych, jej dziecięcy urok.



Rozdział IX

Że też panie musiały wyjechać właśnie teraz,

kiedy wszyscy tak się ze sobą zbliżyli!

Jane dzielnie znosiła całą tę sytuację, biorąc pod uwagę, że musiała tylko siedzieć i czekać. Siedzieć, czekać i pięknie wyglądać. Siedzieć, czekać i wzdychać z miłości. Siedzieć i czekać, aż pan Bingley pozbędzie się sióstr i wróci, żeby jej się oświadczyć. Tak to właśnie wyglądało u takich młodych panien jak Jane Bennet.

Sytuacja Sary wyglądała zgoła inaczej. Nie była tak urocza jak Jane ani tak delikatna, ani nie miała tysiąca funtów na cztery procent. W jej myślach nie krążyło jedno, wyraźne słowo, które zdawało się odpowiedzią na wszystkie pytania i wątpliwości, nawet jeśli nie przynosiło szczęścia i nigdy nie wymawiano go na głos: miłość. Krótko mówiąc, nie miała nic, czego mogłaby się trzymać; niczego, co mogłoby skłonić do powrotu mężczyznę, którego gdzie indziej kuszą rozrywki i nowe możliwości. Za to otrzymała coś innego: zaproszenie, by podążyć za nim.

Bennetowie mieli zasiąść do obiadu z Lucasami tego samego dnia, którego nadeszły wieści, dzięki czemu służba mogła nieco oderwać się od nieszczęścia i niezadowolenia rodziny; co więcej, nie musiała przygotowywać posiłku. James zajął się wożeniem rodziny, Polly zamiatała i polerowała w typowy dla niej, pobieżny sposób, pani Hill zabrała się do naprawy spodni pana Collinsa, z solidnie rozciągniętymi dziurkami i guzikami trzymającymi się na jednej nitce: zdaje się, że podawali mu nieco za dużo ciasta. Sara

czyściła buty pańienek, ubłocone w trakcie ostatniej wycieczki do miasta. Zeskrobała zeschniętą skorupkę palcami, wytarła skórę do czysta mokrą szmatką, a potem natłuściła ją woskiem.

Trzy mile dalej, w chłodnym salonie Netherfield, pani Nicholls właśnie przykrywała meble pokrowcami, podczas gdy jej mąż zamykał piwnicę z winem, pomieszczenie na broń i kolejne na naczynia, a echo niosło brzęk kluczy po długim korytarzu.

Pozostałe bagaże Bingleyów, razem z kilkoma meblami potrzebnymi w domu Hurstów na Grosvenor Street, właśnie skrzypiały na okrytej płótnem furmance jadącej do Londynu, a Tol Bingley ze swojego siedzenia obok woźnicy obserwował mijany przez nich szeroki, błotnisty świat i zaczynał się zastanawiać – jeszcze niejasno i wciąż z ociąganiem, zaskoczony ponurym cierpieniem, z jakim przyszło mu opuścić to miejsce i tę dziewczynę, Sarę – czego najbardziej w życiu pragnie.

Tamtej nocy Sara nasłuchiwała odgłosów pani Hill zamykającej dom i patrzyła w blasku księżyca na Polly, wiercąca się przez sen jak szczeniak. Kiedy wszystko wreszcie ucichło, a Polly zaczęła chrapać, Sara wysunęła spod łóżka swoje drewniane pudełko i spakowała do niego grzebień, kapcie oraz tanią książeczkę. W środku, zawsze bezpiecznie schowana, leżała już stara i wysłużona szmaciana laleczka z oczami z dwóch niepasujących do siebie guzików.

Gdzieś na wsi zawarczał lis. Zegar na dole wybił pierwszą w nocy, a Sara siedziała i nasłuchiwała, z kocem na ramionach. Zegar wybił drugą, budząc ją z płytkiego snu. Posiedziała jeszcze kilka minut. W domu panowała cisza.

Wymknęła się z pokoju, z butami w jednej ręce i ciężkim pudełkiem pod pachą. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. W kuchni zawiązała buty i pogłaskała kota.

– Żegnaj, koteczku. Powodzenia.

Tol Bingley wyjechał do Londynu.

Sara ruszy jego śladem.

W gazecie znalazła kiedyś artykuł o Hiszpance, która założyła bryczesy i zapisała się do wojska; nawet teraz prowadziła

bitwy przeciwko oddziałom Boneya w Hiszpanii. Napisano również – Sarze jakiś czas zajęło zrozumienie skomplikowanych peryfraz, ale wreszcie jej się to udało – że miała kochanków, nie tylko pośród innych żołnierzy, ale także kobiet, które szły za wojskiem. Ukazywały się również inne historie, jak ta o Matce Ross, która kiedyś podawała się za żołnierza, a że była wyjątkowo waleczna i miała niewyparzony język, nikt by się nie zorientował, gdyby nie została ranna w udo. Kiedy ją rozebrano do opatrunku, asystent chirurga na widok jej intymnych części ciała przez chwilę myślał, iż doznała jeszcze jednego, daleko poważniejszego uszczerbku. Chłopak zemdłał: na szczęście chirurg wiedział już, na co patrzy, i rozpoznał w Ross kobietę. A pewne Irlandki, przeżywające wspaniałe przygody jako korsarze, uciekły spod szubienicy – przynajmniej na jakiś czas – ponieważ spodziewały się potomków.

To jest myśl. Nie przywiązywać się do żadnego mężczyzny, ale zamiast tego ruszyć w świat, na szerokie francuskie i hiszpańskie łąki, nad ocean, gdziekolwiek! Nie łapać się kurczowo pierwszego lepszego, który wygląda, jakby wiedział, dokąd zmierza, ale samej wyruszyć w podróż.

Ziarno niepokoju zostało zasiane, a kiedy szła w ciemności, wykiełkowało i urosło.

Daleko na wzgórzach owce zbiły się w ciaśniejsze stado. Sara ślizgała się po lodzie, potykała o kamienie. Nagie gałęzie rzucały cienie na tle rozgwieżdżonego nieba, blade sowie kształły przemykały gdzieś nad głową. Dziewczyna dotarła aż do drogi do prowadzenia bydła. Zatrzymała się tam, na rozdrożu, na granicy wszystkiego, co dotychczas było jej znane. Wzgórze przed jej oczami malowało się szerokie i puste, a Sarze wydawało się, że na świecie nie istnieje nic prócz gwiazd i nocnych ptaków.

Ale znalazł się tam, choć tego nie wiedziała, także James. Poszedł za nią w tajemnicy i, dzięki zdobytym niegdyś umiejętnościom, pozostał niezauważony.

Niektóre noce mijały w mgnieniu oka; bywały też takie, kiedy sen nie chciał przyjść. Jamesem targał stary ból, który nie

pozwał mu wypocząć. Wydawało się to mieć jakiś związek z pogodą – raz na niebie nie uświadczysz chmurki, innym razem nie dojrzysz słońca; a na nim te zmiany tak się odbijały, że czasami całkiem się poddawał i zamiast tego czytał książki w słabym świetle, opatulony w koce i wdzięczny za szczęście i szczodrość, jaką była nowa świeczka, za każdym razem, gdy poprzednia rozpląnęła się w kałuży. W te noce czuł, że jego ciało śni; że jego ciało przypomina sobie inne czasy i inne miejsca. Rozumiał wtedy, iż nic nie jest dane na wieczność i nawet ból przychodzi i odchodzi.

I to sprawiało, że wyraźniej odczuwał otaczający go świat; poczuł szuranie, gdy drzwi kuchenne otworzyły się i zamknęły; kroki przez obejście, niczym stuknięcia opuszek palców na skórze; a kiedy Sara wyszła za róg stajni, zdawało mu się, że ciągnie go za sobą w noc. Stąpała nierówno, co sugerowało, że niosła ze sobą coś ciężkiego – drewniane, zamykane pudełko, jakie miały wszystkie podobne do niej kobiety i dziewczyny. Jediną prywatną przestrzeń oprócz ich własnych ciał w życiu pełnym współdzielonych sypialni i stałego nadzoru. Ale jeśli Sara zabrała pudełko, nie miała po prostu bezsennej, niespokojnej nocy: zamierzała odejść.

Jego myśli natychmiast powędrowały do najbardziej prawdopodobnej przyczyny – zamknięcia Netherfield i wyjazdu Ptolemy'ego Bingleya do Londynu – a potem w jego głowie zaczęły mieszać się nadzieje, obawy o jej bezpieczeństwo, rozmyślenia o groźnym świecie i ignorancji dziewczyny... A potem wszystko to zlało się w obraz Longbourn bez Sary, bez jej groźnego spojrzenia, wzruszenia ramion, oczu, bez mignięć szczupłej sylwetki, znikającej za rogiem, bez jej silnego, żywego ciała w tym samym pomieszczeniu. Obraz zmienił się wreszcie w szokującą konstatację: James ją kochał.

Och.

Możliwe, że to nic nie zmieni.

Jego uczucia nie miały znaczenia...

Ale go ciekawiły.

Przytrzymał tę myśl w głowie, tak jak kapłan podnosił kielich mszalny, oszołomiony jej duchowym wymiarem. Jeśli James kochał Sarę, oznaczało to, że mimo wszystkiego, co zrobił i wszystkiego, czego nie udało mu się zrobić, uczucia i dobro nie opuściły go na zawsze.

Ponieważ niczego od niej nie chciał, jego miłość była szczodra i wspaniała, zupełnie niezwiązana z możliwością gratyfikacji. Było to po prostu szczęście płynące z myśli, że ta jedna jedyna osoba wciąż żyła i miała się dobrze. Czuł się wdzięczny, ponieważ, chociaż nieświadomie, pozwoliła mu się kochać.

A choć miłość mogła nie mieć znaczenia, wdzięczność musiała. Wraz z nią pojawiała się poczucie obowiązku.

Podniósł się z łóżka, założył bryczesy, wcisnął stopy w buty i zarzucił płaszcz na bolące plecy. Potem wyruszył w noc, wypatrując w ciemności zarysu sylwetki Sary. Gdy ją zauważył – granatowy cień na granatowym tle – mijała właśnie padok. Ruszył za nią na ukos, wślizgując się za mur, i zatrzymał się na chwilę, kiedy otworzyła bramkę wychodzącą na ścieżkę.

Nie miał żadnych trudności. Sara nie spodziewała się, że ktoś będzie ją śledził; prostolinijna dziewczyna nie poczyniła żadnych wysiłków, by ukryć swoją wędrówkę. A szła powoli, taka drobniutka w mroku pod szerokim niebem. Ciężar niesiony w rękach ją spowalniał. Zbliżyła się do zagajnika i weszła w głębsze cienie. Mimo to James się nie poddał i szedł za mniej wyraźnym śladem.

Co właściwie spodziewał się osiągnąć? Myślał, że kilka jego słów wystarczy, by zrozumiała swój błąd i grożące jej niebezpieczeństwo, i że potem wróci z Jamesem do Longbourn, do życia pełnego cichego znoju? I czy właśnie tego jej życzy? Czy naprawdę tak ma wyglądać wyraz jego wdzięczności?

Kto wie, może Sara i Ptolemy byliby razem szczęśliwi?

Wyszła z zagajnika na otwartą przestrzeń wzgórza, skąpanego w blasku księżyca. James zatrzymał się na linii drzew. Sara mozolnie wspinała się w stronę drogi dla bydła. Obserwował

ją z zaciśniętymi ustami. Odchodziła; jako silna kobieta decydowała o swoim losie. Dlaczego właściwie James miałby ją zatrzymywać? Mógłby zawrócić, położyć się z powrotem do łóżka i na drugi dzień udawać zaskoczenie, kiedy domownicy dowiedzieliby się o jej ucieczce. Mógłby po prostu żyć dalej, trzymać głowę nisko przez tygodnie, miesiące i lata, a potem zacząć zapominać o niej i o tym, jak się przy niej czuł – że w ogóle coś przy niej czuł – gdyby właśnie w tym momencie nie dotarła do skrzyżowania z drogą dla bydła i nie zamarła w miejscu, pod rozgwieżdżonym niebem. Upuściła pudełko i potarła czoło dłonią, patrząc na rozpościerającą się dalej, pograżoną w ciszy przestrzeń.

Noc była jasna, a droga dobrze widoczna: Sarę wstrzymywała jedynie jej niepewność.

James nie wiedział, że Sara myślała wtedy o muszelkach i jego rękawach, podciągniętych przy wycieraniu naczyń, i cebulowo-tytoniowym posmaku pocałunku, który nie do końca jej się podobał, ale przynajmniej wydawał się coś znaczyć i sugerować, że istnieje jakiś cień szans w życiu dotychczas zupełnie ich pozbawionym. Zastanawiała się też, jak zgoła inne będzie wskoczenie na powóz wiodący ku innemu życiu, a nie tylko z powrotem do domu. A potem odwróciła się i w jej wielkich oczach odbiło się światło gwiazd.

Mówił, jeszcze zanim zdał sobie sprawę z tego, że chce coś powiedzieć.

– Zostań.

Zesztywniała i obróciła się w stronę, z której dobiegał jego głos. James podszedł bliżej, szurając nogami po kamienistej ścieżce, żeby go słyszała i mogła zlokalizować. Zauważył moment, w którym go rozpoznała. Jej ciało nagle się rozluźniło, ale potem znowu się spięła i przesunęła stopą pudełko, jakby chciała je przed nim ukryć. Jakby to miało zrobić jakąś różnicę. James się uśmiechnął.

– Lepiej, żebyś nie odchodziła – powiedział. – Będą za tobą tęsknić.

– Nawet nie zauważą. Szybko sprawią sobie nową

pokojówkę.

Odwróciła wzrok. Wydawała się znowu zdecydowana. Gdzieś na północy odezwał się kulik. Kiedy James po raz kolejny chciał coś powiedzieć, okazało się, że zaschło mu w ustach.

– Cóż – odezwał się. – Jeśli tak ma być, życzę wam obojgu szczęścia.

Sara milczała. Czubkiem buta grzebała w darni, patrząc w dal.

To jej słaby punkt. Nie była pewna Tola Bingleya. Czuł to.

– Albo...

– Albo co?

– Nie chciałbym się wtrącać...

– Więc się nie wtrącaj.

– ...ale jeśli nie jesteś do końca pewna swoich... swoich uczuć albo jego intencji, możesz to odłożyć, możesz napisać do niego list...

Pochyliła głowę, nie patrząc na Jamesa.

– Nie uczyniłabyś czegoś nieodwracalnego.

Nie odpowiedziała.

– Albo – zaczął znowu – może chciałabyś, żebym napisał za ciebie?

Wtedy wreszcie utkwiała w nim wzrok.

– Bardzo jesteś pewny siebie, panie Smith.

Pomaszerowała w jego stronę i odgarnęła włosy z czoła.

– Myślisz, że tylko ty w całym domu cechujesz się inteligencją, prawda? Ja równie dobrze mogłabym w ogóle nie żyć. Mogłabym być szczeniakiem albo laleczką, a tobie nie zrobiłoby to różnicy.

– Nie, ależ skądże...

– Cóż, z pewnością zakładasz, że nie potrafię pisać.

– Nie wszyscy to umieją.

– Myślisz, że w szkółce niedzielnej nauczyli mnie tylko czytać Ewangelię, prawda? Tak się składa, że mój ojciec był inteligentem i dzięki niemu umiem pisać od małości. Ale tobie nie przyszło w ogóle do głowy, że mogłabym coś potrafić, prawda?

Oczywiście, że nie. Bo uważasz mnie za kogoś gorszego. Masz mnie za nic.

Po raz kolejny przekonał się, że źle ją ocenił. Miała w sobie dozę niewinności i pewności siebie, ale też desperacką potrzebę bycia zauważoną, uporczywe pragnienie, by liczono się z jej osobą. Gdy zdał sobie z tego sprawę, że wzruszenia zabrakło mu tchu. Chciał jej po prostu powiedzieć, że to naprawdę nie ma znaczenia, co o niej uważa, ani trochę.

– Myślisz, że jesteś taki mądry, bo masz te swoje książki, bo podróżowałaś i widziałeś świat, i nawet zebrałaś te swoje śliczne muszelki, żeby to udowodnić, a kiedy ja próbuję zrobić coś dla siebie...

– *Muszelki?*

Zamilkła z otwartymi ustami, zdawszy sobie sprawę, co powiedziała.

– Sprzątałam...

Zupełnie, jakby ktoś zdarł z niego opatrunek razem ze skórą. Wypuścił powietrze z płuc.

Sara zaszurała nogami.

– Nikomu nie powiedziałam, jeśli tego się obawiasz.

Poczuł dreszcze. Puste wzgórze, bezkresne niebo nad nimi i ona, mówiąca do niego tak otwarcie o rzeczach pochodzących z innego życia, z innego świata.

Podeszła z powrotem do drewnianego pudełka, trąciła je stopą dla zabicia czasu.

– Mogłabym już być w połowie drogi do Londynu.

– Ja cię nie zatrzymuję.

Skrzyżowała ręce na piersi, patrząc w dal. Jej profil doskonale dało się zobaczyć na tle blednącego nieba. A potem, nagle, schyliła się, podniosła pudełko z ziemi i ruszyła.

– Saro!

Pobiegł i złapał ją za ramię. Odwróciła się, próbując strącić jego rękę. Poczuł jej nikłą siłę, ruch ścięgien i mięśni.

– Saro.

Starła się od niego odsunąć, ale on trzymał ją nieustępliwie,

choć niezbyt mocno.

– Napisz do niego. Błagam cię z całego serca. Mogę nawet zanieść twój list na pocztę. Jeśli przyjedzie i cię poślubi, a potem zabierze do Londynu i twoim zdaniem będziecie szczęśliwi... – Słowa same z niego uciekały, niespodziewane, zaskakujące nawet dla niego samego, gdy wymawiał je, wpatrzony w jej twarz. – Oczywiście nie stanę wam na drodze. Nie mógłbym. Ale nie pozwolę ci dzisiaj odejść! Nie w ten sposób. Sumienie mi na to nie pozwoli.

Wstrzymał oddech, a potem wypuścił niespokojnie powietrze: Sara wciąż mu się wyrywała.

– Puszczaj!

– Saro. To wszystko zmieni. W tej chwili możesz jeszcze wrócić do Longbourn i nikt nigdy się nie dowie, co się wydarzyło tej nocy. Potrafię dotrzymać tajemnicy, naprawdę, obiecuję. Ale kiedy domownicy się obudzą i zobaczą, że cię nie ma, nie będzie powrotu. Splamisz swoje dobre imię.

Wreszcie zabrakło już słów. Strach go obleciał... A nie bał się od lat.

– Proszę.

Zamarła. Czuł pulsowanie jej żył w zagięciu ramienia.

– Wróć ze mną – powiedział. – Do jutra. Nie na zawsze. Do jutra.

A potem ona zrobiła coś zupełnie niespodziewanego. Puściła pudełko; wylądowało z głuchym odgłosem na zmarzniętej drodze. Potem zbliżyła się do Jamesa i objęła go wolną ręką w pasie, stanęła na palcach i pocałowała w usta.

Sara w wielu względach wykazywała zmysł praktyczny i od początku wiedziała, że nie zebrała wystarczającej wiedzy. Musiała polegać na tym jednym pocałunku, po alkoholu, z Tolem: nie był zbyt przyjemny, ale nie mogła przecież wiedzieć, czy tak wyglądają wszystkie pocałunki, czy tylko ten jeden, a może tylko z tym mężczyzną. Nie wiedziała, czy to, co czuła wtedy z Tolem Bingleyem – zawroty głowy, dumę, niewygodę – można było uznać za miłość czy w ogóle za cokolwiek. A teraz pojawił się

James, z palcami zaciśniętymi na jej ramieniu, jego dotyk i bliskość, i rozgrzany głos, a wszystko zdawało się coś znaczyć i sprawiać jej przyjemność. Poczula, jak cała się rozluźnia, niczym kot przeciągający się w ciepłe kominka. I jeśli teraz, w tej dokładnie chwili, stojąc na granicy między światem znanym i tym rozciągającym się dalej, nic z tym nie zrobi, nigdy się nie dowie.

Zaskoczyła go. Jej wargi zderzyły się z jego nic nie podejrzewającymi ustami; zatoczył się nieznacznie do tyłu, ale przytrzymała go ręką, oplótłszy w pasie. Wargi Sary okazały się miękkie, ciepłe i niezdarne, drobne ciało przyciskało się do Jamesa. Nie mógł się temu oprzeć. Teraz również on ją objął i przyciągnął do siebie, odpowiadając na pocałunek.

Nie istniało nic prócz ciepła jego ust, ciepła jego ciała. Zaczęła szybciej oddychać i poczuła wzbierające w niej pożądanie... A potem opadła z powrotem na pięty. Serce łomotało jej w piersi. Oparła się o niego, cała roztrzęsiona.

– Och! – wyrwało jej się.

Czuła dotyk dłoni Jamesa na karku, drugą ręką wokół talii, przyciągając ją bliżej. Głowa Sary spoczywała na jego piersi; słyszała bicie jego serca. Zamrugła w ciemności, odganiając łzy. Nikt jej nie przytulał, odkąd przestała być dzieckiem.

– Pójdiesz? – zapytał po chwili, nie zdejmując dłoni z jej szyi, gdzie skórę miała tak ciepłą, a włosy tak chłodne.

Jeszcze długo nic nie mówiła i nawet się nie poruszyła. Potem poczuł, jak kręci głową.

Wrócili razem do domu. James niósł jej pudełko na ramieniu, a drugą ręką trzymał jej dłoń. Na ścieżce w dół wzgórza i między żywopłotami panowały egipskie ciemności, gdy zabrakło blasku księżyca. Potykając się, czuła nacisk jego dłoni i poduszczkę jego kciuka, chłodne palce oplatające jej rękę. Większą zwracała na to uwagę niż na kamienistą drogę, zimne powietrze i wszystko inne.

Pod ich nogami chrzęścił żwir; ślizgali się po lodzie, a tam, gdzie stopniał, wpadali w błoto. Sara podniosła suknię i kiedy traciła grunt pod nogami, jego dłoń zaciśnęła się mocniej, ratując ją przed upadkiem. Wtedy spojrzała na Jamesa, myśląc, jak dziwna

i miła jest jego obecność. Ta pewność jego dłoni, gdy reszta ciała to zaledwie zarys w mroku...

W oddali z ciemności wyłaniał się dom. Zatrzymali się przy rogu stajni i wyjrzeli na podwórze. Sara widziała tylko błysk szyby w kuchennym oknie; poza tym wszystko skąpane było w czerni.

Nie mogła wrócić do pokoju tak, by Polly nie zauważyła jej wcześniejszej nieobecności; nie mogła też niepostrzeżenie włożyć pudełka pod łóżko. Jej buty i halka z pewnością są brudne: wszyscy domyślą się, co zrobiła.

– Za późno. Dowiedzą się. Wyrzucą mnie z domu.

– Proszę – powiedział. – Pozwól mi...

Kucnął u jej stóp i złapał za kostkę; czuła, jak podnosi jej nogę i zaczyna zeskrobywać błoto z buta. Widziała jego ciemny kształt, zarys głowy. Puścił i wyciągnął ciepłą rękę ku drugiej stopie, a Sara mu na to pozwoliła.

Spojrzał na nią. Ledwo było widać jego bladą twarz.

– Zasłoń halkę sukienką.

Puściła ją i wygładziła, żeby zakryć brud.

James wstał.

– Po prostu idź – powiedział cicho, prosto do jej ucha. – Idź i zostań w kuchni. Połóż głowę na stół i spróbuj się trochę przespać.

Pokiwała głową, a jej włosy musnęły jego twarz, zahaczając o krótki zarost.

– Kiedy w domu zacznie się poranny ruch, ty też się podnieś i zajmij swoimi obowiązkami tak, jakbyś całą noc spędziła w łóżku.

– A co z tobą?

Położył sobie drewniane pudełko na ramieniu.

– Zaniosę to później, kiedy na górze nikogo nie będzie. –

Dotknął jej delikatnie w pasie. – Saro...

– Tak?

– Dziękuję.

A potem odszedł. Wślizgnął się za róg i zniknął w cieniu. Musiał od razu wejść do środka, bo po chwili odezwały się konie.

O wpół do dziesiątej, kiedy podała mu herbatę przy

śniadaniu, uśmiechnął się do niej. Jej serce zabiło szybciej, a uśmiech wyszedł trochę krzywy.

Polly zabrała dwa okruchy cukru z miseczki, a potem, kiedy nikt nie patrzył, także trzeci, który od razu włożyła do buzi. Przekazała cukier panu Hillowi, żeby posłodził sobie herbatę. Ssąc kawałek cukru, dziewczynka przyglądała się Jamesowi i Sarze, zaintrygowana ich milczeniem.

– Nie podoba mi się to. Tak uciekać zupełnie bez słowa, nie podając nawet wyjaśnienia.

Sara i James spojrzeli po sobie z niepokojem, jednak pani Hill patrzyła z irytacją przez okno.

James chrząknął.

– Co pani powiedziała, pani Hill?

Gospodyni pokazała brodą na podwórze.

– Gdzież on się wybiera?

Sara odwróciła się, żeby zobaczyć, o kim mowa, i wtedy zauważyła odzianego w czerń pana Collinsa, czmychającego przez podwórze niczym zagubiony kret. Powoli wypuściła powietrze.

– Nie wiem gdzie, ale na pewno niedaleko – stwierdził James. – Inaczej poprosiłby o powóz.

Uniósł filiżankę do ust. Sara wstała i podeszła do szafki, ale potem nie mogła wymyślić niczego, co uzasadniałoby ten ruch.

Pan Hill wymieszał herbatę, dzwoniąc łyżeczką o porcelanę, a jego małżonka mamrotała pod nosem coś o ich nieprzewidywalnym gościu. Polly jednak wciąż przyglądała się Sarze i Jamesowi, patrząc to na jedno, to na drugie. Wiedziała, że coś jest nie tak. Musiało mieć to związek z zimnym łóżkiem rano i ciemnymi workami pod oczami obojga. Do tego byli płochliwi jak zające. Polly nie wiedziała, o co chodzi, ale z determinacją próbowała się domyślić.

Wieczorem, kiedy Sara wspięła się na stryszek, znalazła swoje pudełko pod łóżkiem, trochę bardziej porysowane niż wcześniej i z pęknięciem po upadku na ziemię, ale zostało oczyszczone z błota i nic nie sugerowało, by w nocy szkatułka stała się świadkiem czegoś niestosownego. Dziewczyna rozebrała

się i wsunęła pod kołdrę. Deski skrzypiały pod jej stopami. Mimo ogromnego zmęczenia, jej umysł pracował na wysokich obrotach. Daleko jej było do snu.

Ten świat to prawdziwy labirynt. Skręcała w tę i tamtą stronę, podbiegała kilka kroków, podejmowała decyzję, a potem okazywało się, że wraca do punktu wyjścia, do swojego miejsca. Do Longbourn.

W tej chwili nie wydawało jej się to takie przykre.



Rozdział X

Sobota... Niedziela.

Pan Collins odjechał wczesnym rankiem w sobotę, żeby wrócić do Hunsford przed mszą następnego dnia.

Mimo wielu rozczarowań podczas jego wizyty, dzień wyjazdu pana Collinsa napełnił niespokojne serce pani Hill nową nadzieją w niespodziewanej postaci sir Williama Lucasa, którego wręcz rozpierała duma z powodu zaręczyn najstarszej córki. Przyczłapał za Charlotte, która przyszła w gości rano, a potem siedziała chwilę sama z Elizabeth, co jednak zdarzało się tak często, że pani Hill niczego nie podejrzewała. Głównym celem wizyty Charlotte było ostrzeżenie przyjaciółki: kiedy sir William ogłosił nowiny znad serwowanej przez panią Hill herbaty, Lizzy wydawała się skrupowana, ale nie zaskoczona. Mary jednak wyglądała na nieszczęśliwą i wkrótce została zmuszona do wyjścia z pokoju.

Biedna Mary; pewnie czuje się trochę winna. Gospodyni miała zaś wrażenie, jakby ktoś zdjął jej z ramion wór cegieł. Przyszłość nie malowała się już w tak ciemnych barwach. Charlotte Lucas to rozważna młoda kobieta, która znała wartość dobrej służby i miała zbyt dużo rozsądku, by wymienić ją wyłącznie dla pozorów lub mody. Nic oczywiście nie było pewne – bowiem nic na tym świecie nie jest, prócz tego, że każdy musi go kiedyś opuścić – ale Charlotte pojawiała się w kuchni pani Hill już od maleńkości, zapytać o przepisy, pożyczyć cukru albo galaretki, i wszyscy znali jej słabość do cytrynowej tarty pani Hill. Wielokrotnie słyszano też, jak mówi, że nikt nie potrafi upiec tak dobrej tarty jak gospodyni z Longbourn.

Po powrocie do kuchni pani Hill zajęła się więc przygotowaniami do upieczenia kilku tart cytrynowych, by potem wysłać je sir Williamowi. Takie małe gesty są więcej niż warte zachodu.

Następny dzień okazał się wietrzny, a była to pierwsza sobota adwentu, więc przy mównicy paliła się adwentowa świeca, roztaczając w zimnej nawie zapach dymu.

Bennetowie usieli w rodzinnej ławie, a służba kilka rzędów dalej, z Jamesem po jednej stronie poważnych Hillów oraz Sarą i Polly po drugiej. Stary lokaj zacisnął kilka ostatnich zębów, a pani Hill wcisnęła brodę w chustę, jak zawsze wtedy, gdy była zadowolona. Zamieszanie, jakie towarzyszyło klękaniu, gdy młodszym udawało się to szybciej niż starszym, pozwoliło Sarze i Jamesowi spojrzeć sobie w oczy. Z tego też powodu później dziewczynie trudno było skupić uwagę na kazaniu pana Longa.

Bennetowie ociągali się z wyjściem, podając ręce innym i kiwając głowami, i rozmawiając z sąsiadami, a potem przepychając się przez przedsionek, podczas gdy dwie najmłodsze panienki brały pod ręce córki rolników i chichotały. W tym ścisku Sara mogła przyjrzeć się dyskretnie twarzy młodej Lucasówny. Zastanawiała się, jak to jest wiedzieć, że się wyjdzie za męża, że będzie się miało dom i dochód, że jest się już ustawionym w życiu. A to wszystko tylko dzięki zgodzie na tolerowanie towarzystwa danego mężczyzny aż do jego śmierci.

Charlotte wydawała się po prostu skrępowana i trochę zmęczona. Może świadomość, że tak wiele się osiągnęło, jest wyczerpująca.

– Jak się czujesz?

Sara, przypadkiem bądź dzięki staraniom Jamesa, znalazła się blisko niego. Pokonali razem przedsionek i wyszli z tłumu, a potem jeszcze przez jakiś czas kroczyli obok siebie. Kątem oka widziała jego postawną, szarą postać. Przytrzymała ręką czepek; wiatr próbował jej go zerwać. Widziała, jak podmuchy czeszą gałęzie cisów: zieleń łączyła się i rozdzielała, falując niczym owcze runo. Sara mówiła cicho, patrząc przed siebie, żeby

pani Hill czy pani B. albo któraś z dwóch tuzinów wścibskich matron nie widziała, że w ogóle z nim rozmawia.

– Nie potrafię pojąć – powiedziała – co chciałam wtedy zrobić. Nie wiem, kim wtedy byłam. Nie rozumiem, jak mogłam myśleć, że to dobry pomysł.

– Mówisz o pocałunku?

Obróciła się gwałtownie, rozpromieniona.

– Nie!

Po kurzych łapkach poznała, że się uśmiecha. Odsunął się i niemal zniknął między mieszkańcami wsi, wślizgując się między puciołowate córki rolników i szerokie ramiona robotników w odświętnych strojach.

Jeszcze jako dziewczynka, a potem i w okresie dojrzewania, mimo wilczego apetytu, za każdym razem, kiedy pojawiała się ciasto – biszkopt posypany cukrem pudrem, który pani Hill wyczarowywała z jajek, mąki i kremowego masła – Sara zawsze wzbraniała się przed patrzeniem, bo wiedziała, że to nie dla niej. Zamiast tego zanosila je na górę, gdzie szybko znikalo – nawet okruszki, zebrane zwilżonym palcem któregoś z Bennetów – a potem zanosila pusty talerz z powrotem do kuchni. Dlatego dziewczyna patrzyła na dywan pod jej stopami albo na obraz konia z dziwnie małą głową, wiszący na końcu korytarza, albo pomarszczone żółte firanki w salonie, i z całych sił starała się nie oddychać, żeby nie czuć zapachu wanilii albo cytryn, albo migdałów; nawet *zerknięcie* na ciasto przynosiło ból.

Właśnie zdała sobie sprawę, że James nie patrzył na nią od miesięcy.

Taka sytuacja – chociaż żadnemu z nich nie przyszło do głowy, by tak ją postrzegać – musiała wzmóc pożądanie. Po tamtym niedzielnym poranku nie mieli już okazji do naprawdę prywatnej rozmowy; ledwo mogli dwa słowa zamienić bez obecności osób trzecich. Dlatego te pierwsze tygodnie grudnia składały się głównie z ukradkowych spojrzeń, uśmiechów, muskania palcami, gdy jedno dawało coś drugiemu. W nocy Sara wierciła się w pościeli, rozpalona mimo zimowej aury, podczas

gdy Polly chrapała obok. Na ustach wciąż czuła jego wargi; jej ciało pamiętało kształt jego ciała: jej drugi pocałunek w niczym nie przypominał pierwszego. Oczami wyobraźni widziała, jak rozpina jego koszulę i ściąga bieliznę, a potem przyciska wargi do jego obojczyka, czuje słony posmak skóry. Zwinęła się na krawędzi łóżka, podniosła koszulę i głęboko zanurzyła palce w wilgotne miejsce między nogami.

Dlatego w dzień jego obecność przyprawiała ją o rumieńce. Przez rzeczy, które robiła z nim w ciemności, kiedy go przy niej nie było.

Tymczasem pan Wickham coraz częściej gościł w Longbourn. Wyglądało na to, że upatrzył sobie miejsca przejściowe: foyer, hol, progi, skąd mógł obserwować trajkoczące towarzystwo i zabieganą służbę, gdzie mógł rozdawać swoje hiszpańskie pieniądze – skrawki absurdalnych pochlebstw – każdej kobiecie, która go mijala, bez względu na wiek, stan cywilny czy klasę.

Pewnego razu Sara spotkała go w progu, niosąc ciężką tacę. Stopę przycisnął do niższego panelu, więc drzwi były na w pół otwarte; jego ramię dotykało framugi. Nie zszedł jej z drogi. Nie podobało jej się jego natarczywe, taksujące spojrzenie. Teraz, gdy już trochę siebie poznała, potrafiła już rozpoznać u kogoś *tę* wiedzę.

– Ciężka praca – powiedział, wskazując tacę.

– Mogę przejść, proszę pana?

Zdawał się tego nie słyszeć.

– Dla takiej drobnej dziewczyny musi to być nie byle jaki ciężar.

Poprawiła chwyt.

– Mogę w czymś pomóc? Czegoś pan potrzebuje?

– Och, ależ skąd. Nie musisz się o mnie martwić, jestem synem zarządcy, więc...

Sara przestąpiła z nogi na nogę, żeby dać trochę odpocząć zmęczonym kostkom. A więc był synem zarządcy – i cóż z tego? Nie zaofiarował się pomóc jej zanieść tacę do kuchni, prawda?

– Jeśli niczego panu nie potrzeba...

Pokręcił głową, zacisnął usta.

– Absolutnie niczego. Jestem w pełni zadowolony.

Dygnęła ostrożnie, żeby nie poruszyć naczyńiami, a potem ruszyła w jego stronę. Cofnął się, żeby przytrzymać jej drzwi, ale nie dość szeroko, więc musiała przejść bardzo blisko, jej spódnica otarła się o jego nogi. Wiedziała, że Wickham patrzy, jak odchodzi, ale nie obejrzała się, żeby nie dać mu satysfakcji.

Pan Collins wrócił wkrótce do Longbourn, tym samym sprawiając pani Hill niemały kłopot. Wciąż musiała o niego dbać, jak zawsze gotowa była sprawiać mu przyjemność, ale teraz nie miała na to dość czasu, skoro przez większość dnia pan Collins romansował u Lucasów. Oprócz tego Mary przyprawiała ich o wyrzuty sumienia; pani Hill nie powinna była zachęcać jej do zainteresowania się kuzynem pana Benneta, bo niczego dobrego to nie przyniosło. Ale nie dało się już nic z tym zrobić. Pani Hill zadowalała się upychaniem jak największej ilości przyjemnych rzeczy na początek i koniec każdego dnia pobytu pana Collinsa. Jego woda do kąpieli zawsze była świeża i gorąca; wybierała dla niego najlepsze ręczniki, pachnące lawendą. Miał najlepsze szczapy drewna w kominku i ciepłe, słodkie mleko na szafce nocnej, kiedy wracał z zalotów i kładł się do łóżka. Czy zauważał tę całą troskę albo wiedział, komu ją zawdzięcza, pani Hill nie miała pojęcia, a nie dało się tego po niczym poznać. Pan Collins nic o tym nie mówił, ale też mało do kogo się odzywał w Longbourn, tak bowiem zajęty był swoimi ślubnymi planami i przyszłą żoną.

A potem wyjechał, nadejście kolejnej soboty wygoniło go z Longbourn i od łagodnej narzeczonej. W głowie pani Hill kłębiły się frustrujące myśli: gdyby choć na chwilę mogła dostać w swe ręce Charlotte Lucas; gdyby mogła ugotować jej dobry obiad i zrobić kolejną porcję tart cytrynowych, byłaby znacznie spokojniejsza. Charlotte Lucas znała wartość dobrego obiadu; nie miałyby nic przeciwko, by jej o tym przypomnieć.

Ale nie było nadziei: Charlotte, z oczywistych powodów,

trzymała się z dala od Longbourn.

Dwa dni po ostatniej wizycie pana Collinsa przyjechali Gardinerowie. Brat pani Bennet, jego żona i ich młodziutkie dzieci postanowili spędzić Boże Narodzenie w Longbourn. Mieli zostać na tydzień, a pani Bennet tak pilnie dbała o rozrywki dla nich, że nawet raz nie zasiedli do cichego, rodzinnego obiadu. Albo w domu pełno było gości, albo domownicy szykowali się na jakieś publiczne bądź prywatne zabawy w sąsiedztwie, albo w domu zostawała wyłącznie służba.

Wszystkie rozrywki musiały być przygotowywane w kuchni. Ponieważ nadszedł okres świąteczny, co rusz pojawiała się potrzeba przygotowania jakiegoś frykasa, ugotowania i podania specjalnego dania, wyprania jakiejś ozdoby... W kuchni panował niebezpieczny ścisk, z uwagi na dodatkową służbę: pokojówkę Gardinerów, woźniców gości, służących z sąsiednich domów z zaproszeniami i odpowiedziami na listy. Wszystkie te ciała stawały na drodze potrzebnej rzeczy; wystawiały stopy, o które można się było potknąć, i łokcie, strącające cenne rzeczy z szafek i półek. James i Sara nigdy nie mieli chwili tylko dla siebie, nawet kiedy w domu panował spokój. Starsza z pokojówek i pani Hill ciągle chodziły mokre od potu, z zaciśniętymi zębami, a wystarczyło tylko na moment wyjść na zewnątrz, by przemarznąć do szpiku kości.

Pan Wickham najwyraźniej potrafił wejść wszędzie, pojawiając się w najmniej spodziewanych miejscach, na przykład przy rozlanej rtęci. Wystarczyło wyjść na róg schodów, by na niego wpaść, stojącego na półpiętrze i wpatzonego w obraz; wystarczyło wejść do skądinąd pustego już pokoju śniadaniowego, by znaleźć go siedzącego nad talerzem z resztką śledzia albo przesuującego paznokciem po brzegu okleiny. A raz, kiedy James poczuł zapach cygara i podniósł wzrok, z popręciem w jednej ręce i sprzączką w drugiej, z policzkiem przy brzuchu konia, zobaczył młodego oficera, jak stoi bez słowa w progu i obserwuje go, roztaczając w zimowym powietrzu zapach tytoniu.

Wickham zasalutował.

James w odpowiedzi kiwnął głową i wrócił do pracy. Odpiął pasek, a potem uniósł siodło, strzemień oraz zwisający popręg i poszedł je schować. Czuł na sobie wzrok Wickhama. Lokaj powiesił siodło i przetarł je szmatką.

– Co tu robisz? – odezwał się wreszcie Wickham.

Klacz wypuściła ciepłe powietrze z płuc.

– Pracuję – odpowiedział James, wyjmując wędzidło spomiędzy jej zębów. Wickham opuścił próg i podszedł bliżej. James cicho kontynuował zdejmowanie i czyszczenie ogłowia.

– Mówię o tym wszystkim – Wickham zatoczył koło swoim dymiącym cygarem: czyste kocie łby, ułożone siano, skórzane uprząże, błyszczące boki koni – takie rzeczy robią chłopcy; to dobre dla młokosów i starych przyków. Nie dla dorosłego mężczyzny.

– Skoro tak pan twierdzi.

– A teraz jest mnóstwo porządnej pracy, jeśli tylko zechcesz.

James wyprostował się i zapiął z powrotem uprząż. Wickham to tylko szczeniak, chełpiący się niezasłużoną chwałą. Szczeka bez powodu.

Młody oficer pochylił teraz głowę, teatralnie się zastanawiając.

– Stary lokaj to worek kości i nikomu na nic się nie przyda, więc równie dobrze mógłby jechać na wieś, nic nie robić. – A potem pokazał cygarem na Jamesa. – Ale ty, sługo. Ty to coś zupełnie innego.

– Czyżby, proszę pana?

James nie spuszczał wzroku ze zwierzęcia, ostrożnie wkładając klaczy ogłowia. Odgarnął grzywę w miejscu, gdzie zaplątała się w paski.

– Mężczyzna bez zobowiązań i innych perspektyw... – Wickham zaciągnął się ostatni raz swoim cygarem i mówił dalej zza obłoku dymu. – Powinieneś się zgłosić do oficera rekrutującego. Właśnie tak powinieneś postąpić. Jak każdy sprawny mężczyzna w takich czasach.

– Ale ja pracuję tutaj – odparł James, wieszając wodze, a

potem zacierając rękę.

– Cóż, w takim razie wszystko już wiadomo. – Wickham rzucił końcówkę cygara na ziemię i zgniótł czubkiem buta. – Jesteś zatwardziałym tchórzem, jak widać, i nic na to nie można poradzić.

– Czyżby?

– Owszem.

– Proszę mi w takim razie powiedzieć – James nagle usłyszał, jak pytanie wydobywa się z jego własnych ust. – Jeśli byłby pan tak miły...

Wickham, który już miał odejść, zawahał się i obejrzał.

– Słucham?

– Po prostu jestem bardzo ciekawy.

– Tak...?

– Gdzie ostatni raz pan widział bitwę?

Wickham zamarł, a potem lekko pokręcił głową.

– W Hiszpanii czy Portugalii?

Zmarszczył brwi.

– O co pytasz, chłopcze?

– Może brał pan udział w oblężeniu Roses? Albo w bitwie o Vimeiro? A może stanął pan w szrankach przeciwko Francuzom pod La Coruña?

Teraz policzki młodego oficera zapłonęły czerwienią.

– Jak śmiesz...

James spojrzał na niego niewinnie.

– Po prostu chciałem wiedzieć, gdzie zdobył pan prawo do nazywania mnie tchórzem.

– Gdybym miał pieniądze... służyłbym...

James się skłonił.

– Najmocniej przepraszam, proszę pana. Zapomniałem, że dopiero co kupił pan swój patent oficerski.

– Zrobię, co będzie trzeba...

James złapał klacz za ogłowie i wyprowadził ją na podwórze, mijając Wickhama.

– Z pewnością niedługo umoczy pan rękę we krwi. Sytuacja

na północy jest obiecująca. Mordowanie młynarzy to zajęcie dla prawdziwego mężczyzny.

– Luddyści stanowią zagrożenie...

James odwrócił się, żeby poprowadzić też starego ogiera o tarantowatej maści, który stał dumnie na swoich skrytych pod włosiem kopytach.

Wickham wreszcie odzyskał głos.

– Oni wszyscy stanowią zagrożenie, ci wyrobnicy, luddyści, oni wszyscy zagrażają swoim własnym ludziom i dobrobytowi naszego kraju.

– Chylę czoła, z pewnością ma pan lepsze rozeznanie, panie oficerze.

I faktycznie się skłonił; potem zaprowadził dwa konie przez obejście na pole pod wzgórzem, gdzie potrzebowano ich do zimowej orki. Prychały, kłęby pary unosiły się w zimnym powietrzu, ich głowy kiwały się po obu stronach Jamesa jakby w milczącej zgodzie.

Ale James okazał się głupcem i dobrze o tym wiedział. Jeśli dopisze mu szczęście, Wickham stwierdzi, że nie warto unosić się honorem, a lokaj nie jest wart jego uwagi. Przyjdzie wiosna i rezerwa przeniesie się gdzie indziej. Dlatego James nie mógł się już doczekać zmiany pory roku.

Boże Narodzenie też mu już zbrzydło.

Czwórka dzieci Gardinerów biegała po domu jak stadko szczeniaków, wślizgując się w każdy zakamarek. Sara i James nie mogli minąć się w korytarzu, a nawet na schodach dla służby, nie natykając się na pędzące gdzieś lub wrzeszczące dzieci, zapewne w samym środku jakiejś wielkiej przygody. A jeśli nie pędziły i nie wrzeszczały, to któreś z nich trzymało się kurczowo fartucha Sary i jęczało. Dziewczyna mogła tylko uśmiechnąć się krzywo do Jamesa i kuśtykać dalej.

Nie mieli ani chwili spokoju, nawet w nocy. Sara i Polly musiały dzielić pokój ze służącą Gardinerów, Marthą, bardzo dumną ze swoich rudych loków, która leżała na materacu na podłodze i narzekała, że wypełniono go skorupami porcelany, a do

tego opowiadała o Londynie, o tańcach, o pubach, o piwie, klubach dla mężczyzn i kobiet, o niedzielnym polowaniu na cielaki. Polly siedziała opatulona w szale i koce niczym gąsienica w kokonie, i słuchała tych opowieści z szeroko otwartymi ustami. Sara oparła głowę na rękę, uśmiechnęła się sztywno i myślała tylko z obawą o tym, że za chwilę usłyszy imię Ptoleme'ego Bingleya, byłego lokaja u Bingleyów, który otworzył nowy sklep z tytoniem, bardzo popularny wśród dżentelmenów. Bała się również, że się zacerwieni i zostanie wyśmiana. Żałowała nie jego, ale tego, że kiedyś uważała go za swoją szansę.

Najmłodsze dziecko Gardinerów nie wyrosło jeszcze z pieluch, więc przy drzwiach do komórki stało wiadro z moczącymi się pieluszkami, a ich smród wydostawał się spod pokrywy. Ktoś musiał je wyszorować, namoczyć, a potem wygotować każdego dnia – nie można było ich zostawiać na dłużej, bo smród stawał się nieznośny – a jeśli na zewnątrz padało, pieluchy musiały schnąć w komórce. W niektóre dni obowiązek spadał na Polly, której odraza wykrzywiała twarz – była za młoda, żeby nabrać doświadczenia przy pieluchach dzieci Bennetów – a czasami na Sarę: pokojówka Gardinerów najwyraźniej uważała, że pobyt w Longbourn to dla niej odpoczynek od szorowania. Pewnego rześkiego poranka Sara podniosła wieko i zobaczyła, że wiadro jest puste, a kiedy wyszła na podwórze, jej oczom ukazał się rządki wiszących na sznurze białych pieluszek, powiewających niczym flagi okrętowe ogłaszające poddanie się; James właśnie przypinał klamerką ostatnią z nich. Gdy zorientował się, że jest obserwowany, i to przez Sarę, poczuł lekkie zażenowanie, ale dokończył wieszanie lnianych kwadratów.

– To miłe z twojej strony – powiedziała, podchodząc bliżej.

– Zdawało mi się, że masz obolałe rękę.

Sara nie potwierdziła, ale w oczach zaczęły jej wzbierać łzy, a w nosie poczuła łaskotanie, więc musiała się odwrócić i podnieść wiadro. Wrócili razem do domu, a Sara poczuła przez krótką chwilę taką dziwną lekkość, którą z perspektywy czasu uznała za szczęście.

Wickham zawsze zwracał na siebie wiele uwagi przy stole; wszystkie damy zdawały się zafascynowane jego tragedią. Sara podsłuchiwała fragmenty tej opowieści, przynosząc talerze i półmiski. O kościele, w którym powinien głosić kazania, i życiu, które powinien prowadzić. O pozycji, jaką utracił ze względu na ohydłą dumę tego wysokiego dżentelmena, pana Darcy'ego. Próbowała wyobrazić sobie Wickhama w czerni duchownego, takiej jak ta, którą nosił pan Collins. Patrzącego na swoje owieczki wszystkowiedzącym wzrokiem. Oczami, które widziały nie tylko samą powierzchnię, nie tylko ubrania, pozory, lecz potrafiącymi dojrzeć to, co pod nimi.

Kiedy wieczorem oddali gościom kapelusze i płaszcze, Polly zeszła na dół z kieszenią fartucha wypchaną monetami. W kuchni zaczęła przerzucać pieniądze z jednej dłoni do drugiej.

– Skąd ty to wszystko masz? – zapytała Sara.

Polly zadarła głowę.

– Myślisz, że jestem tylko szczeniakiem i mogę co najwyżej rozpalać ogień albo opróżniać nocniki, tak? Ale musisz wiedzieć, że istnieją powody, dla których niektórzy uważają mnie za godną służenia wysoko urodzonym i bardzo są zadowoleni, gdy podaję im obiad albo kapelusze.

Sara nie powinna oceniać prawdziwości trudnego położenia pana Wickhama, ale jedną rzecz mogła stwierdzić z pełnym przekonaniem: nie lubiła go. Jak się nad tym zastanowić, nie spodobał jej się brzęk monet w kieszeni Polly i to, jak zdejmował rękawiczkę, żeby dotknąć kremowego policzka dziewczynki. Ale nie wiązało się z tym żadne niebezpieczeństwo, prawda? Polly to tylko nieopierzony ptaszek, tyczkowate źrebię; nawet nie miała jeszcze miesięczki – z pewnością nie mogła go interesować. Nie w ten sposób.

Za to James tamtego wieczoru patrzył na wychodzących oficerów z rezygnacją człowieka skazanego na egzekucję. Kiedy już przyprowadził z powrotem konie, wycofał się do cienia i patrzył. Oficerowie wspięli się na grzbiety zwierząt i odjechali. Piękni, mądrzy i młodzi dżentelmeni z błyszczącymi guzikami i

ufryzowanymi włosami ponieśli ze sobą radosną piosenkę, która wyfrunęła za nimi z Longbourn, przez podjazd i w ciemną noc, aż na skąpaną w mroku drogę do Meryton.

Przecież to ledwo chłopcy, pomyślał James. Tylko bawili się w żołnierzy. A Wickham jest być może wystarczająco leniwy i tchórzliwy, żeby nic sobie z tego incydentu nie robić – wkrótce znajdzie sobie znacznie bardziej przydatne zajęcie niż dręczenie służby z Longbourn. Mimo wszystko James nie potrafił się pocieszyć: teraz życie w Longbourn nie będzie wyglądać tak samo; nie może już cieszyć się spokojem. Pozwolił, by jego maska na chwilę opadła; jego drugie oblicze pokazało się światu, a James nie dopuści do uwolnienia tej kreatury, nie tutaj.



Rozdział XI

Czy przypuszczasz, że Jane da się namówić na wyjazd z nami do Londynu? Zmiana otoczenia dobrze jej zrobi, a myślę, że wielką pomocą może być również uwolnienie się od najbliższej rodziny.

Jane, oczywiście, mogła jechać do Londynu zupełnie od niechcenia, jakby to nie było żadne szczególne wydarzenie: mogłaby wyjechać i wrócić, po prostu. Miała powóz, który mógłby ją tam zabrać, krewnych, którzy by się nią zaopiekowali, oraz dom Gardinerów na Gracechurch Street, gdzie mogłaby się zatrzymać. A gdyby panienska wyruszyła na miasto, aby skorzystać z jego uroków, miała także ciotkę, pełniącą funkcję przyzwoitki i dbającą o to, by nie wpadły na pana Bingleya.

Sara wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Nie powinna żałować Jane przyjemności tylko dlatego, że jej samej ich odmówiono. Jane była piękna i urocza, więc zasługiwała na piękne i urocze rzeczy. Jeśli zaś ktoś jest niechlujny i rozgoryczony – Sara uśmiechnęła się, czyszcząc kratę kominka w pokoju śniadaniowym, na kolanach, z palcami umazanymi pastą – wtedy ta gorycz i niechlujność do niego wraca: możliwe, że w postaci Jamesa.

Boże Narodzenie się skończyło i dom opustoszał;

Gardinerowie, ich urwisy i Jane wyjechali. A Longbourn nagle stał się większy i odetchnął pełną piersią.

Pan Collins wrócił w te okolice, jak wkrótce dowiedziała się pani Hill, jednak nie do samego Longbourn. Ślub się zbliżał, więc duchowny ulokował się w Lucas Lodge. Pani Hill miała mieszane uczucia. Z jednej strony tęskniła za okazjami, by zrobić na nim wrażenie; z drugiej – miała już dosyć tych wysiłków, z powodu zmęczenia i braku pewności, czy jej trud przynosi jakiegokolwiek efekty.

Pocieszała się myślą, że w Lucas Lodge niczym szczególnym nie można się zachwycić, chyba że babeczkami mięsnymi przyszłej pani Collins, a gospodyni nie chciała konkurować z jego żoną. Postanowiła za to uszyć dla panny Lucas woreczek z norweskiego bombazynu w odcieniu gołębiej szarości, który, jej zdaniem, pasowałby do nowej pozycji młodej damy. Pokazała Charlotte podarunek w środę, w czasie jej pożegnalnej wizyty w Longbourn. Panienka odebrała woreczek z charakterystyczną dla niej gracją i, jak się zdawało, szczerą przyjemnością. Nie traktowała takich małych gestów z góry, a w swoim nowym życiu raczej nie spodziewała się zbyt wysokiego kieszonkowego. Podarunek, miała nadzieję gospodyni, będzie często używany i za każdym razem przypomni Charlotte o pani Hill i dobrej służbie w Longbourn.

Panna Lucas wyszła za mąż w czwartek, a państwo młodzi prosto spod drzwi kościoła wyruszyli do Kentu. Pani Hill, Sara i Polly stały na drodze, tuż za bramą cmentarną, żeby pomachać parze na pożegnanie.

– Pani Collins wygląda cudnie – powiedziała Sara, kiedy młodzi wsiedli do bryczki.

– Wszystkie panny młode są piękne – stwierdziła gospodyni.
– To jedyny dzień, kiedy żadnej kobiecie nie brakuje urody.

– Jak wyglądał pani ślub, pani Hill?

– Było wtedy równie zimno – odparła. – Tyle lat już minęło.

Kiedy skończyło się składanie życzeń na dziedzińcu kościoła, dołączyli do nich Bennetowie, a potem wszyscy ruszyli z

powrotem do Longbourn. Pani Bennet przez całą drogę powtarzała, że życzy im wszystkiego dobrego, chociaż jej ton bardzo jasno dał pani Hill do zrozumienia, że jej myśli zaprzętały raczej własne córki, a nie pani Collins, i daleko jej było do optymizmu.

Gospodyni jednak widziała przyszłość w jaśniejszych barwach. Pani Collins trzymała szary woreczek na kolanach, gdy zasiedli do bryczki: to dobrze wróżyło. Małżeństwo pana Collinsa i panny Lucas nie było najgorszym rozwiązaniem dla służby, a przynajmniej nie w szerszej perspektywie. I tylko Mary, biedna Mary, wyprzedziła wszystkich i ruszyła prosto na górę do swojego klawikordu, by grać melancholijne melodie przez całe popołudnie.

– Dobra z niej dziewczyna – stwierdziła pani Hill, pochylając się nad swoją robótką. – Zawsze lubiłam pannę Lucas i uważam, że dzięki temu jesteśmy trochę bardziej bezpieczni.

Ale to wszystko sprawiło, że Sara poczuła się źle. Nie mieli nad przyszłością większej kontroli niż nad pogodą. Jej zdaniem życie na łasce i niełasce czyichś humorów oraz zachcianek to żadne życie.

Tamtej nocy gałęzie skrzypiały od mrozu, lód pochłoniął kolejne centymetry w głąb rzeki, a owce spały wtulone w siebie na zboczu wzgórza. Sara leżała, nie mogąc zmrużyć oka. Zegar kościelny właśnie wybił północ; oddech dziewczyny tworzył obłoczki, a nos miała zmarznięty. Wszędzie panowała cisza. Dało się słyszeć tylko ciche chrapanie Polly i rżenie pana Hilla po drugiej stronie podestu.

W stajni mróz malował wzory na szybach. James odczuwał fizyczny ból z powodu zimna i również nie mógł spać. Płomień świecy dawał jedynie iluzję ciepła i niewiele światła, za to śmierdział starym baranym tłuszczem. Z dołu docierało do niego słabe ciepło ciał koni, które ratowało mu życie. Towarzyszyła mu woń stajni, piźmowy pot zwierząt i aromaty przywodzące na myśl łąkę i łajno.

Zdażył się do tego wszystkiego przyzwyczać. Od tygodni ledwo cokolwiek zauważał. Teraz jednak zapachy go drażniły:

były charakterystyczne dla tego miejsca, a myśli Jamesa uleciały znacznie dalej.

Usiadł na łóżku, wciąż w samej koszuli, zawinięty w koc i z atlasem Szkocji w ręku. Ten sposób odzwierciedlania krajobrazu był dla niego czymś nowym: niewielkie stożki skreślone długopisem to góry, maleńkie drzewka przyciśnięte do siebie to lasy, a niebieskie plamy to jeziora. James chciał patrzeć na mapy innych miejsc, w których już kiedyś był, żeby móc przyjrzeć się przebytym drogom. Gdyby mógł pokazać Sarze... Ale lepiej o niej nie myśleć. Lepiej, żeby nie dał się znowu ku niej przyciągnąć; nie powinien tak ryzykować. Za każdym razem, kiedy w jego myślach pojawiała się Sara, odganiał je, a potem wracał do szczegółów mapy. O, popatrz na ten las, myślał sobie. O, popatrz na tę grań. A potem Sara wracała, jej włosy uciekały spod czepka, gdy maszerowała ku niemu ze zmarszczonymi brwiami i wiadrem... Nie. Odsunął na bok myśli o Sarze. Nie może...

Rozprostował papier i znowu owinął kocem ramiona. Dumfries i Galloway. Fascynujące.

Potem usłyszał, jak otwierają się drzwi do kuchni. Zamarł, nasłuchując. To ona; znał jej krok. Co może robić o tej porze? Wstał i podszedł do okna, odsunął zasłonę akurat na czas, by zobaczyć jej sylwetkę, w lodowatych obłokach oddechu wchodzącą do stajni przez drzwi na dole.

Zrzucił z siebie koc, sięgnął po płaszcz i zaczął go zakładać, ale potem zwolnił; skrzywił się, gdy mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Powolutku zarzucił tkaninę na plecy. Koc leżał zwinięty na krześle. Podniósł go i złożył, a potem umieścił w nogach łóżka. Następnie usiadł z powrotem na materacu i udawał, że studiuje mapę.

I oto przyszła. Prawdziwa jak życie i dwa razy bardziej przerażająca. Ciemna głowa, ptasie ramiona, a potem ciało, opatulone w ten stary, złachmaniony płaszcz, który trzymają przy drzwiach; jego kolor tak pięknie współgrał z jej skórą. Podciągnęła się i usiadła na brzegu klapy. Jej nogi zwisały nad piźmową stajnią, a twarz dziewczyny w blasku świecy wydawała się słodka i

zatroskana.

– Dzień dobry – powiedziała.

Zaschło mu w gardle.

– Słucham?

– Dzień dobry.

– Dlaczego...?

Przerzuciła nogi i się podniosła. Nie miała na sobie pończoch; włożyła buty na nagie stopy.

– Saro...

Ruszyła prosto do niego i spojrzała na mapę.

– Co to?

– Saro...

– Cóż to za rysunek?

Usiadła obok niego.

– To mapa.

– Mapa czego?

– Szkocji.

– Szkocji? – Przyjrzała się. – Och, jest piękna.

Kosmyk jej włosów opadł do przodu; James zobaczył łuk nagej skóry, kiedy rozchyliły się poły niebieskiego płaszcza. Miała pod nim tylko koszulę. Odwrócił wzrok, ale ona siedziała tak blisko, że czuł jej zapach: dzień pracy, twarde mydło, wanilię.

– Saro.

– Byłeś tam kiedyś? – Siedziała tak blisko. – Miałam na myśli Szkocję.

– Nie, ale... Saro, proszę...

Przyglądała mu się błyszczącymi oczami.

– O co chodzi?

– Wracaj. Proszę. Wracaj do łóżka.

Była tak blisko, że ich biodra się stykały. Len, wełna, aksamit, len. Po każdej stronie ciepły puls dwóch ciał. Wstał i się odsunął.

– Nie mogę... – zaczął.

– Pomyślałam sobie – zagłuszyła go – że mieliśmy zły początek. Dlatego stwierdziłam, że trzeba spróbować jeszcze raz. I

dlatego tu jestem. Dzień dobry.

– Saro.

– Tak?

Wciąż siedziała na jego łóżku i nie spuszczała z niego wzroku.

– Saro, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. Ale to... – pokazał na malutki pokój, na jedną świeczkę, pożyczoną mapę – to nie tylko wszystko, co mam. To także wszystko, co prawdopodobnie kiedykolwiek będę miał. Na nic więcej mnie nie stać.

Wzruszyła ramionami.

– To nie ma znaczenia.

– Nie mam ci nic do zaoferowania.

– Dlaczego miałbyś mi coś oferować?

– Saro, proszę... – Odwrócił się do okna i złapał za zasłonę, żeby nie patrzeć na dziewczynę; wyrztał przez oszronioną szybę na panujący za nią mrok. Świat był ogromny i tak wielu mieszkało na nim ludzi – Anglików, Francuzów, Turków, Indian i Amerykanów – całe miliony ludzi, a Sara poznała tylko garstkę z nich. Nie mógł pozwolić, żeby zadowolili się tylko nim i tym, co mógł jej dać.

– Wracaj – powtórzył, nie odwracając się.

Na chwilę zapanowała cisza. Potem usłyszał odgłos butów upuszczonych na ziemię i ciche stapanie nagich stóp na deskach. Kiedy wzięła go za rękę, jej dłoń była drobna i zimna.

– Odejdź od okna – powiedziała.

Zasłona opadła. Dał się odwrócić plecami do nocy.

Stała na palcach i przyłożyła usta do jego ust. I tylko przez moment James trzymał ją za ramiona – tak drobne w jego rękach – żeby wciąż zachować między nimi niewielki dystans. Pokusa była zbyt wielka: przyciągnął dziewczynę do siebie, przycisnął na całej długości ciała, czując jej kości i miękkość, i ciepło.

Ona poczuła szorstkość jego krótkiego zarostu, łuk karku w jej dłoni, szarpnięcie ułamanego zęba o jej wargę. Wiedziała, co robią ptaszki i pszczołki, i koty, i owce, i bydło, i nikt ich za to nie winił. W przypadku podobnych jej dziewcząt i podobnych mu

mężczyzn nikt nie patrzył krzywo na duży brzuch przed ołtarzem, o ile tylko przykrywało go gładkie płótno, a nie jedwab.

James odepchnął Sarę, ale jej nie puścił.

– Saro, nie możesz.

Odpięła górny guzik jego koszuli.

– Nie musisz się o mnie martwić.

– Nie możemy, Saro. Musisz zrozumieć, że nie możemy.

Zrzuciła płaszcz z jego ramion i odpięła wszystkie guziki, jeden po drugim, marszcząc ze skupieniem brwi. Musi ją powstrzymać; powinien złapać ją za nadgarstki i ją powstrzymać. Ale wtedy ona pochyliła się do przodu i jej usta wylądowały na jego obojczyku, a jej ciepły oddech i drobne, lodowate dłonie dotykały jego skóry. Wplótł palce w jej włosy, rozchylił usta, żeby coś powiedzieć; teraz, póki jeszcze był czas. Ale wtedy jej dłoń musnęła jego bliznę i zabrakło mu tchu – ten brak czucia w miejscu, gdzie nie było już nerwów – i czas się skończył. Jej ręka zamarła, a potem znowu dotknęła blizny i przesunęła się po linii zniekształconej skóry aż po ramię; a potem kawałek w dół pleców.

Znieruchomiała. Jej ręka spoczęła delikatnie na okropnym bałaganie jego blizn.

– To było bardzo dawno temu – powiedział i przełknął ślinę.

– W innym kraju.

Odsunęła się, unosząc na niego wzrok, widząc głębokie bruzdy na jego czole. Na jej twarzy już za chwilę pojawi się wyraz obrzydzenia. Będzie ją błagał o milczenie; z pewnością okaże mu uprzejmość i odejdzie. A on każdego dnia będzie musiał ją oglądać i odtąd będzie żył jak na szpilkach.

Ale jej mina się nie zmieniła, Sara nie powiedziała nawet słowa. Po prostu zsunęła koszulę z jego ramion. James stał w blasku świecy, półnagi, nieruchomy, niemal bez tchu. Potem dziewczyna musnęła jego ramię i obeszła go, by stanąć za jego plecami, nawet na chwilę nie przestając go dotykać. Teraz jej dłoń spoczywała w miejscu, gdzie jego skóra musiała się odrodzić.

Dla niego wyglądało to inaczej: wrażenie dotyku pojawiała się i zniknęło. Miał gulę w gardle i nie potrafił wykrztusić słowa.

Musiał jej to wyjaśnić. Opowiedzieć, jak do tego doszło. Musiał przeprosić i błagać o przebaczenie. A potem zaakceptować ciszę.

Zamiast tego poczuł, jak Sara go obejmuje, a potem zsuwa ręce na jego brzuch i piersi, kładzie gorący policzek na jego poranionych plecach, i tak zastyga.



Rozdział XII

Tłumaczy ją w pewnej mierze fakt, że miała

wówczas zaledwie piętnaście lat.

Istnieje pewien rodzaj wiedzy, który nie potrzebuje słów. Fizyczne zrozumienie może wynikać z bliskości, intymności, a także z niezliczonych wspólnych cykli pracy i rozrywki. Jedno ciało może poznać drugie, by dzielić z nim potrzeby i czynności, nie angażując w to świadomej myśli. Jednak dla Sary zrozumienie to nie powstawało stopniowo: w jednej chwili ogarnęła ją fala nowych pojęć, uwalniając ją od niej samej, oddając jej ciało ciału Jamesa; wszystko to przyszło z przytłaczającą pewnością, pewnością objawienia.

Z dnia na dzień słowa stały się tylko małymi, nieliczącymi się monetami, które wymienia się na wstążki, guziki, na jabłko i jajko.

A w ciągu następnych tygodni i miesięcy – kiedy opuszczała swoje łóżko i cichutko, bez butów, przechodziła przez podwórze, pozostawiając śpiącą Polly, która zajmowała wolną przestrzeń, rozrzucając ramiona i nogi jak rozgwiezda, albo kiedy znajdowała go w ogródku i obdarowywała niespodziewanym pocałunkiem, albo kiedy po prostu widziała zarys jego sylwetki daleko na polach, idącego z zebranych gałęziami, by porąbać je na rozpałkę – to zrozumienie wydawało się całkowicie i zaskakująco pełne. Wiedziała teraz, zupełnie podświadomie, co znaczyło naprawdę żyć i dlaczego ich dalsza egzystencja na tym padole ma sens.

Powoli nadchodziła wiosna: dzień się wydłużał, pojawiały

się pierwsze zielone pędy śnieżyczki, potem ich białe główki kołysały się na lutowym wietrze, a na łąkę wychodziły jagniątko na chwiejnych nóżkach: Sara wiedziała, że to wszystko też osiągnęło porozumienie ze zmieniającym się światem i sensem istnienia wiosny. Jej ciało do tamtej pory było koniem pociągowym, który prowadził ją przez kolejne dni: teraz żyła w nim inaczej. Stało się luksusem i źródłem przyjemności.

Nie pytała o blizny, gdyż te należały do innego systemu pojęć, do niewypowiedzianej logiki ciała – ich nie można było opisać słowami. Żołnierz chłostą zmuszony do krwawego posłuszeństwa, zraniony człowiek w jej ramionach: jeden tłumaczył drugiego. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale wiedziała, że James stara się oszczędzić jej ciężaru w postaci dziecka; rozumiała to i była wdzięczna, także za przyjemność, jaką jej mimo to dawał.

Ale musiał nadejść czas, w którym niedoskonałość tego porozumienia stała się zbyt oczywista, a warunki zewnętrzne odkryły dzielącą dwoje ludzi przepaść, niemożliwy do pokonania dystans.

Sara, późno zdobywając swoją wiedzę, jeszcze się tego nie spodziewała. Nowe porozumienie działało na nią kojąco, a zadowolenie tępiło jej zmysły; nie wychodziła myślami dalej niż na opuszki swoich palców i czubek języka.

Jednak James wiedział. Obejmując Sarę, z jej głową przyciśniętą do swojej piersi, czuł przyjemną długość jej szczupłego ciała przy jego ciele, każdy jej wdech i wydech, a kiedy po skroniach spływała mu słona woda, stał ją dłonią. Sara się poruszyła. Pogładził jej włosy i pocałował w policzek. To była piękna katastrofa i nie dało się jej zapobiec.

A Polly, mamrocząc coś pod nosem w ciemności, przebudziła się i odkryła, że łóżko jest chłodne i puste, więc usiadła, zamrugła i już wiedziała – dzięki natychmiastowemu, fizycznemu zrozumieniu – gdzie się podziała Sara.

Dni wypełnione były pracą: nic się w nich nie zmieniło. Pani B. wciąż się im naprzykrzała, pani Hill wciąż traciła panowanie nad sobą, Sara z pomocą Polly zajmowała się cotygodniowym

opierunkiem, namaczała płótna miesięczne, pan Hill pluł przy czyszczeniu widelców, a po drugiej stronie podwórza konie stukały kopytami i rżały, gdy James szykował je do orki albo, znacznie częściej, do wyjazdu z damami na poranne wizyty lub popołudniowe herbatki. Ale teraz wszystko było dobre. W istocie nie zmieniło się ani trochę, niemniej jednak dla Sary przeszło transformację.

Starsza pokojówka zaniósła listy Elizabeth, zaadresowane do Jane i pani Gardiner w Londynie, a także pana Collinsa w Kent, na pocztę w Meryton, z monetami w kieszeni, żeby zapłacić za wiadomości, które mogłyby na nich czekać. Pulchne, małe paczuszki, złożone ciasno, by chronić powierzone im sekrety: Sara przyjrzała się każdej, wracając do domu po świeżej trawie; obracała je w dłoniach i wahała, muskając kolorowe pieczęcie szorstkim palcem. Takie listy mknęły, gdzie tylko chciały. Fruwały po kraju niczym ptaki.

– Odnosisz czasem wrażenie – Elizabeth pewnego ranka zapytała Sarę, która właśnie związywała jej krótki gorset – że dni mijają ot tak – pstryknęła palcami – chociaż nic się właściwie nie dzieje?

Sara uśmiechnęła się.

– Dopiero co było Boże Narodzenie, a już mamy luty i zanim się obejrzysz, przyjdzie marzec, a gdzie się w ogóle podział styczeń?

Co mogła odpowiedzieć? Dla Elizabeth dni mijały szybko, ale dla Sary dłużyły się, puchły i rosły nieznośnie, aż poznawała każdą ich zmarszczkę i dołeczek, zapach, gładkość i ciepło długich godzin, które absorbowały jej zmysły w takim stopniu, że dziewczyna zachwycała się światem, bardziej przesiąknięta życiem niż kiedykolwiek przedtem.

– W marcu mam ruszyć do Kentu – oznajmiła Lizzy.

Sara pokiwała głową, sprawdzając sznurówki; pociągnęła ostatni raz i zawiązała luźną kokardę. Potem sięgnęła po halkę Elizabeth i założyła ją panience przez głowę. Młoda dama mówiła stłumionym głosem, próbując wy dostać się z fałd materiału.

– Szczerze mówiąc, kochana Saro, nie jestem do tego do końca przekonana.

Sara zapięła haftki halki, a potem wzięła barwinkową poranną suknię z łóżka i uniosła ją tak, żeby panienska Bennet mogła wsunąć w nią głowę i ręce. Poprawiła ułożenie szwów na dekolcie i ramionach, podczas gdy Elizabeth wyprostowała rękawy. Kiedy skończą ubieranie, Sara będzie miała szansę znaleźć Jamesa w kuchni albo minąć się z nim w korytarzu, kiedy ten będzie niósł śniadanie dla rodziny.

Elizabeth sama zapięła mankiety, a Sara malutkie guziki z tyłu.

– Oczywiście miło będzie zobaczyć Jane. Ale sześć tygodni w Kencie, z Collinsami...

Spojrzała na Sarę – pokojówka kiwnęła głową na znak, że skończyła; panienska odsunęła się i podeszła do okna, pozostawiając koszulę nocną rzuconą niedbale na podłogę.

– Obawiam się, że niewiele będę miała z tego przyjemności.

Sara podniosła koszulę, a potem strzepnęła ją i złożyła. Wsunęła ubranie pod poduszkę.

– Potrzebuje panienska jeszcze czegoś ode mnie?

– Och, dziękuję, Saro, ale nie – odparła Elizabeth. – To na razie wszystko.

Pokojówka dygnęła i wyszła. Zamknęła za sobą drzwi i pokonała szybko korytarz, by wejść na klatkę schodową dla służby. Potem zbiegła na dół w nadziei, że znajdzie Jamesa.

Pewnego chłodnego dnia pan Wickham wszedł do kuchni, przynosząc ze sobą przeciąg i zapach dymu tytoniowego. Dotychczas czaił się w rogach, teraz zaś zupełnie przekroczył granicę między jednym światem a drugim, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

– Ach, a więc to tutaj jest kuchnia!

Polly patrzyła na niego z otwartymi ustami, trzymana przez nią trzepaczka do jajek nagle się zatrzymała. Pani Hill odwróciła się od pieca. Sara się wyprostowała, zobaczyła go i również zamarła z tłuczkiem w ręku. Zupełnie jakby paw dołączył do kur i

zaczął razem z nimi przechadzać się po podwórzu, skubiąc ich pokarm.

– Tak lepiej. Co pichcicie? Makaroniki? Cudownie.

– Chyba pan się zgubił, proszę pana – stwierdziła Sara.

Przezesął ręką włosy chłopięcym gestem i wyszczerzył zęby. On, pomyślała Sara, doskonale wie, co robi; wie, jak wydawać się absolutnie czarującym. Wickham odwrócił się od niej i odezwał się do pani Hill.

– Uwielbiam kuchnie – oznajmił. – I dlatego postanowiłem obejrzeć waszą. Widzę, że macie tu naprawdę cudnie.

– Lepiej się pan odnajdzie w salonie – odparła Sara.

– Pozory mylą, moja droga.

Nachylił się nad stołem, tuż obok Sary. Popatrzył na nią z uniesionymi brwiami, ale kiedy przemówił, adresował swoje słowa do pani Hill.

– Mój ojciec był skromnym zarządcą, moja droga pani, a ja sam całe życie spędziłem w kuchniach i oficjach. Kuchnia to jedyne miejsce, w którym czuję się w pełni swobodnie.

Polly doszła już do siebie i wróciła do ubijania białka, wciąż jednak z szeroko otwartymi oczami. Sara, patrząc to na jedno, to na drugie, zauważyła, że Wickham mrugnął do dziewczynki, a w odpowiedzi dostał nieśmiałe spojrzenie. Musiał czarować wszystkich – zdawało się, że robi to odruchowo.

– Panienki będą za panem tęsknić – stwierdziła Sara.

– Ach, tak, panienki. – Zacisnął usta. – Panienki.

Trzepaczka Polly zaczęła ruszać się powoli i bezskutecznie. Wickham odsunął się od stołu i podszedł do paleniska; usiadł na pustym krześle pana Hilla, jakby na kogoś czekał.

– Panienki są takie wyczerpujące, nieprawdaż? Całe to trajkotanie.

Polly zakryła usta dłonią i zachichotała.

Uśmiechnął się do niej, jego wąsy uniosły się w kącikach.

– O wiele bardziej widzi mi się spędzanie czasu tutaj, z uroczyimi dziewczynami.

– Mamy wiele pracy, proszę pana... – spróbowała Sara.

– Och, i w tym cały urok, zrozum. To właśnie uwielbiam i do tego jestem przyzwyczajony.

– Może zechce pan w takim razie do nas dołączyć. Skoro już ma pan tu siedzieć, równie dobrze może się pan do czegoś przydać.

Pani Hill, która dotychczas próbowała wyjść z osłupienia tak wielkiego – gość domu, który wtargnął do kuchni, a teraz siedział przy palenisku – że nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa, wreszcie chrząknęła i przemówiła.

– Przyniosę rzepy. Są okrutnie ubłocone i potrzebują porządnego czyszczenia przed skrobaniem.

Pan Wickham spojrział po kolei na zebrane w kuchni kobiety, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiezek, jakby właśnie powiedziały wyborny dowcip.

– Ale gdzie są moje maniery? Myślę o sobie, a nie o moich gospodarzach. Pewnie już zachodzą w głowę, gdzie się podziewam. – Podniósł się z krzesła i zwrócił się do Polly: – Może odprowadzisz mnie na górę, mała panienko? Mam nadzieję, że będziesz tak uprzejma.

Sara się zawahała, ale pani Hill skinęła na Polly, zadowolona, że może się go pozbyć: na świecie musi wrócić porządek.

– Bądź tak miła, Polly.

Dziewczynka puściła trzepaczkę, wytarła ręce i ruszyła w stronę drzwi. Mogła, oczywiście: w końcu pan Wickham to hojny gość.

– Tędy, proszę pana, z powrotem do salonu.

James widział Wickhama chwilę wcześniej, jak przechodził przez podwórze. Jego żołnierska czerwień wyraźnie odznaczała się na tle szarego dnia. Lokaj odruchowo się cofnął i stanął w drzwiach stajni, żeby obserwować oficera, samemu pozostając niewidocznym. Wdział, jak Wickham zgniata cygaro o ścianę, wygładza wąsy, prostuje mundur i otwiera drzwi do kuchni.

Jamesowi zrobiło się niedobrze, jakby miał w żołądku coś zgniętego. Wickham wszędzie potrafił się wślizgnąć, wciskał się w szpary i wyciekał na podłogę, jakby od zawsze tam był, a ludzie

przyzwyczajają się do niego jak do podnoszącego się poziomu wody na wiosnę.

Wyszedł z kryjówki i przemknął wzdłuż krawędzi podwórza, żeby nikt nie zobaczył go przez okno, dopóki sam do niego nie podejdzie. Przez szybę spostrzegł szkarłatną plamę na krześle przy palenisku. Młody oficer wstał, potem Polly podbiegła do drzwi i przytrzymała je dla niego, a Wickham minął ją i beztrąsko wymaszerował z kuchni. James patrzył, jak wyszczerzona od ucha do ucha dziewczynka idzie śladem oficera i zamyka za nimi drzwi.

James wpadł do środka, strasząc panią Hill i wywołując uśmiech na twarzy Sary. Jej radość szybko wyparowała.

– Co się stało?

– Co powiedział?

– Nic...

– Wszedł do mojej kuchni... – wtrąciła się pani Hill, ale Sara tylko pokręciła nieznacznie głową, a potem spojrzała za Polly.

James rozejrzał się dokoła i zorientował się, że jego gwałtowne wtargnięcie oderwało kobiety od pracy. Gdzie się podziewała Polly? Przemierzył kuchnię trzema krokami i wychylił się za drzwi.

– Co się dzieje? – Sara podeszła bliżej, wycierając ręce i zerkając mu zza pleców.

Patrzyli, jak pan Wickham, w szkarłatnym mundurze, maszeruje równo z Polly korytarzem. Dziewczynka, na wpół biegnąc, by dotrzymać mu kroku, cały czas zerkła na jego potężną sylwetkę, teraz od niej zależną. Potarła nos grzbietem dłoni.

Sara i James patrzyli razem, jak Polly otwiera drzwi do salonu; oboje słyszeli dźwięk srebrnych dzwoneczków, kiedy panie oburzyły się szokująco długą nieobecnością Wickhama i zażądały wyjaśnień, zupełnie jakby przez chwilę wszystkie były Penelopami czekającymi na swojego Odyseusza.

Męcząc się z ciężkimi drzwiami, Polly dygnęła przed Wickhamem, a on ją wyminął. Jego dłoń na chwilę spoczęła na jej drobnym ramieniu.

– Dziękuję, mała panienko.

Kiedy zniknął, Polly zatrzasnęła drzwi. Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę korytarza do kuchni. James i Sara odsunęli się od siebie, żeby zrobić jej przejście. Wtedy drzwi się zamknęły, odcinając ich od reszty domu.

Sara zauważyła, że z twarzy Jamesa odpłynęła cała krew.

– Co się stało? – zapytała Sara. – O co chodzi?

Patrzył na Polly, która sięgnęła po trzepaczkę i zajęła się ubijaniem białka, a na jej twarzy pojawiły się dołeczki.

– Chodzi o Wickhama? James, co się stało? Co podejrzewasz?

Pokręcił głową, a potem po prostu się odwrócił. Niemal przebiegł szybko wokół stołu i wpadł do komórki. Sara, zostawiając niedokończone migdały, ruszyła za nim w wilgotny chłód zewnętrznego pomieszczenia. James poszedł prosto do okna i stanął, wyglądając na zewnątrz. Wydawał się zaniepokojony. Spojrzała tam, gdzie skupiona była jego uwaga. Na podwórzu kurczaki zdrapywały mech z kamieni – i nic więcej się nie działo.

– James?

Zaciskał szczęki, ale nie odpowiedział.

– James... Co się stało?

Dotknęła jego ramienia. Spojrzył na jej dłoń, a potem uniósł wzrok i popatrzył dziewczynie prosto w oczy. Nie potrafiła odczytać targających nim emocji.

– Oficer odszedł – odezwała się.

Zamrugął.

– Nic nam nie jest.

Wtedy, po chwili, pokiwał głową.

– Wszystko w porządku?

Wziął niepewny oddech, a potem wypuścił powietrze. Pochylił się, żeby spojrzeć na ciepłe światło za jej plecami: podążyła za jego wzrokiem. Polly przeszła przez próg z miską świeżo ubitego białka, obejmując ją obiema rękami.

Potem James odsunął się od okna, posłał Sarze słaby uśmiech i wrócił do pracy.



Rozdział XIII

...zmiana nie była dla niej przykrością.

Nadszedł marzec, z sugestią wiosennej bryzy, grubą warstwą błota na ścieżkach oraz królewską purpurą i złotem krokusów w ogrodzie, zasadzonych, kiedy pani Bennet była młodą żoną, pewną przyszłego szczęścia.

A Elizabeth miała wyjechać.

Planowała podróż do Kentu, gdzie nigdy wcześniej nie była, a po drodze także do Londynu, który odwiedzała już wiele razy, zatrzymując się u wujostwa. Jednak teraz miała jej towarzyszyć Sara.

– Rozmawiałam już z sir Williamem i wspomniałam o tym w liście do pani Collins. Żadne z nich nie miało obiekcji, a pani Collins nawet przyjęła to z ulgą. Prócz gospodyni i służącego ma tylko młodziutką pokojówkę i w swoim liście pisała, że martwiła się, jak sobie poradzą, zwłaszcza w kwestii opierunku, jeśli nie przywiozę ze sobą własnej służby, ale też nie chciała zabierać mojej matce rąk do pomocy... A wszyscy wiedzą, że Lucasowie nie mogą pozwolić sobie na oddanie kogokolwiek, odkąd Charlotte nie asystuje już przy gotowaniu.

Sara postawiła kufer na podłodze i wytarła ubrudzone kurzem ręce o fartuch, a potem czekała, gdyż nie miała jeszcze przyjemności w pełni zrozumieć przemowy panienki.

– Ale skoro mamy jechać w bryczce Lucasów – kontynuowała Elizabeth, obracając książkę, by przyjrzeć się jej grzbietowi, a potem podając ją pokojówce, która wzięła ją bez słowa i patrzenia, a potem schowała do kieszeni – będzie tam bardzo ciasno, więc nie pakuj ze sobą zbyt wielu rzeczy, tylko

małą torbę i swoje pudełko, jeśli chcesz. Chociaż wydaje mi się, że jeśli masz jakieś drobne przedmioty, można je umieścić w kufrze, który przywiezie potem dyliżans.

– Mam jechać z panienką?

Elizabeth cała się rozpromieniła.

– Och, nie powiedziałam tego? Może to nie jest jeszcze szeroki świat, kochana Saro, ale w tej chwili tylko tyle mogę dla ciebie zrobić. Będziemy przejeżdżać przez Londyn i zatrzymamy się tam na jedną noc, a potem jeszcze raz w drodze powrotnej. Powinno ci się spodobać, a przynajmniej zapewnić jakąś odmianę.

Sara usiadła na kufrze, a potem musiała wyjąć książkę z kieszeni, bo wpijała jej się w udo. Londyn. Kent. Akurat *teraz* musiało do tego dojść, kiedy nie była to już dla niej żadna przyjemność. Zupełnie jakby Elizabeth powiedziała: „Wyruszamy w podróż, a ty możesz jechać ze mną, ale musisz zostawić jedną nogę”.

– Czy państwo Collinsowie mieszkają blisko morza?

– Nie, ale wydaje mi się, że trochę bliżej niż my. Będziesz musiała jechać na składanym siedzeniu, więc powinnaś się ciepło ubrać i modlić o dobrą pogodę.

Sara przytaknęła. Spojrzała na książkę. Był to drugi tom *Pameli*.

– Nie podoba ci się mój plan?

Uniosła wzrok. Elizabeth wydawała się zaskoczona i nieco zraniona.

– Och, podoba się, naprawdę! Po prostu mnie panienka zaskoczyła, mówiąc o tym tak nagle.

– Nie byłam pewna, dopóki nie nadeszła odpowiedź pani Collins. Myślałam, że się ucieszysz.

– Cieszę się, panienko. Bardzo dziękuję.

Elizabeth pokiwała głową i wymamrotała odpowiedź, a potem wróciła do przeglądania książek. Sara obserwowała ją przez chwilę, patrząc na pochyloną głowę i zamyślony wzrok panienki, która zastanawiała się, co może ze sobą zabrać, a co zostawić. Pokojówka zaczęła rozmyślać, jakby to było prowadzić takie życie

– niczym taniec, gdzie wszystko jest urocze, pełne gracji i ułożone, a każdy kolejny krok jest wcześniej znany i musi być dokładnie taki, jak trzeba. W niczym nie przypominało to wleczenia się po podwórzu w każdej pogodzie, czy słońce, czy deszcz.

Marzec to okrutny czas dla czyszczenia butów, gorszy nawet niż środek zimy. W marcu damy i dżentelmeni wyczuwają zbliżającą się wiosnę jak króliki i zaczynają wychodzić na poranne spacerki. Po obiedzie można śmiało raz okrążyć park; elegancko obute stopy ślizgają się nieświadomie w błocie, kiedy ich właściciele chcą się bliżej przyjrzeć kępce białych, dziko rosnących żonkili, bagiennych nagietków czy fiołków, wystawiających swoje idealnie okrągłe twarzyczki na wiosenne słońce.

James ustawił buty Bennetów w szereg, siedem par różniących się rozmiarem. Wyszczotkował już z zaschniętego błota najmniejsze, a teraz pastował skórę, mocząc ściereczkę w tłuszczu i smarując nim przyszwę, czubek i piętę, a potem wycierając mocno drugim gałgankiem. Gwizdał cicho pod nosem, skupiony na pracy. Sara usiadła obok niego, a on ją wreszcie zauważył. Nie obejrzał się, ale w kącikach jego oczu pojawiły się kurze łapki, a Sara już zdążyła spostrzec, że właśnie tak się czasem uśmiechał.

– Już prawie skończyła ci się pasta – zauważyła. – Zrobię ci więcej, jak będę miała chwilę. Wczoraj zmarła stara owca i mają wytopić z niej łój.

Podniosła jeden z butów, należący do Elizabeth: delikatny i pięknie zrobiony, ale mimo to umazany błotem. Obuwie Elizabeth zawsze było najgorsze. Sara zdrapała kciukiem zaschnięte błoto, obracając but w dłoniach.

– Nie musisz tego robić.

– Zanim się tu zjawiłeś, czyściłam je wszystkie.

Znowu pokazały się jego kurze łapki. James zagwizdał cicho, znajomo.

– Wiesz, że wyjeżdża? – zapytała Sara.

– Panna Elizabeth? Tak.

– Powiedziała, że mam jechać razem z nią.

– Czyżby?

– Tak, do Londynu, a potem do Kentu.

Zawahał się, a potem pokiwał głową.

– Powinno ci się spodobać. Rozprostujesz trochę skrzydła.

Dobrze ci zrobi ten wyjazd.

Przechylił bucik w rękę, przyglądając się czubkowi, guziczkom i delikatnemu łukowi podbicia. Brązowa skóra miała teraz zmatowiały połysk, jak stary kasztan.

– Ale – odparła – to sześć tygodni. Mniej więcej.

Odwrócił się do niej i po prostu uśmiechnął.

– Nie zniknę do tego czasu.

Wczesnym rankiem umówionego dnia – tak wczesnym, że kogut wciąż jeszcze piał z dachu kurnika – sir William i Maria Lucas przyjechali po nie swoją bryczką. Mieli pokonać dwadzieścia cztery mile do Gracechurch Street w Londynie, zostać tam na noc, a następnego dnia ruszyć do Collinsów.

Niewidoczny za baldachimem z granatowej skóry James podniósł Sarę na składane siedzenie z tyłu powozu, trzymając ją w pasie. Właściwie nie był to żaden fotel, a półka, na której może stać stajenny. Teraz obok pokojówki leżały na niej torby podróżników. Nogi Sary zwisały. Poprawiła czepek, a potem włożyła rąbek pelisy pod pończochy, żeby nie zaczepił o koło. James spojrzał w niebo.

– Myślę, że nie będzie padać.

– Tak.

– A najgorsze błoto cię ominie.

– Nic mi nie będzie.

James przełożył pasek od bagażu przez słupek, a potem owinął nim talię Sary i zapiął. Musiała się do niego przysunąć. Jego zapach – skóra, konie, siano – i łuk policzka: zachowa sobie to wspomnienie.

– Londyn nie jest daleko – powiedział.

– Wiem. Już mi to mówiłeś.

– Przepraszam. Jestem nieznośny.

Pokręciła głową, a potem przechyliła ją na bok i się

uśmiechnęła. Może. Troszeczkę.

– Dojedziecie tam w południe.

Dotknął jej policzka swoim szorstkim palcem. Potem odsunął się i przyjął beznamiętny wyraz twarzy, unikając pani Bennet, która kręciła się koło powozu, wydając zbyteczne instrukcje i przyprawiając swoją drugą córkę, czekającą na wejście do bryczki, o rumieńce irytacji.

Pani Bennet, jak poinformowała gospodynię, zupełnie się pogodziła z małżeństwem pana Collinsa i Charlotte Lucas, ale obrazu, który ukazał się jej oczom – dumny ojciec i podeksytowana młodsza siostra w drodze na wizytę u nowożeńców, z jedną z jej własnych córek w roli niezamężnej przyjaciółki – zwyczajnie znieść nie mogła. Życzliwe zachowanie sir Williama uważała za szczególnie prowokujące. Kiedy uklonił jej się z wnętrza bryczki i pochwalił pogodę, nie chciała go w ogóle słuchać.

– Obawiam się, że droga do Londynu okaże się okrutnie błotnista po tym całym deszczu.

– Jakież to problem trochę błota, kiedy mamy taką wygodną bryczkę i dobrych ludzi czekających na końcu naszej podróży? – Machnął ręką na jej troski. – Zadbamy o drogę Lizzy, proszę się nic a nic nie martwić.

Pani Bennet mogła tylko pokiwać głową i powrócić do reszty rodziny na schodach.

– Gdybyś obstawał przy małżeństwie Lizzy z panem Collinsem – syknęła pani Bennet do swojego męża – to ja bym jechała tą bryczką w odwiedziny.

– Gdyby Lizzy wyszła za pana Collinsa, wątpię, by sir William wiozł cię do Kentu, chociaż dobry z niego sąsiad.

– Umyślne niezrozumienie moich słów sprawia ci prawdziwą przyjemność.

Na skroni pana Benneta zapulsowała żyłka; zacisnął szczęki. Pani Hill wiedziała, co za chwilę usłyszą. Jego słowa padły ciężko niczym szklane kulki.

– Uwierz mi, kochana, zaiste cudna to przyjemność.

Pani Bennet spurpurowiała i zaczęła protestować przeciwko jego nieuprzejmości. Głośnych protestów nie dało się uniknąć, podobnie jak i samej nieuprzejmości.

Pani Hill stanęła obok i podała jej rękę.

– Pani.

Pani Bennet spojrzała na swoją gospodynię, zamrugła, zmarszczyła czoło. Wzięła ją pod rękę.

– Dziękuję, pani Hill.

Gospodyni delikatnie pochyliła głowę. Wciąż nie spuszczała wzroku z bryczki i nie chciała spojrzeć na panią Bennet.

– I oto rusza – powiedziała pani B. do swojej towarzyszki. – Moja córeczka. Mam nadzieję, że jest szczęśliwa.

A potem się odwróciła. Razem weszły po schodach do domu, a pani Bennet cały czas cicho narzekała, podczas gdy gospodyni starała się ją uspokoić, mrużąc łagodnie jakieś nonsensy, chociaż sama w duchu czuła podobnie: lepiej, żeby Elizabeth była szczęśliwa. Jeśli nie zazna szczęścia, równie dobrze mogła już wyjść za pana Collinsa i przynajmniej czuć się bezpiecznie.

Sara miała teraz szansę zobaczyć więcej świata. Oglądała go od tyłu, siedząc za powozem, ze zwisającymi nogami i podskakując na każdym dołku czy koleinie.

Longbourn się skurczył; dom wkrótce schował się za krzakami i drzewami, a potem, za zakrętem, zniknął zupełnie. Wjechali na rozdroża, skręcili, i za chwilę skrzyżowanie dróg również uciekło z pola widzenia; później pojawiło się drzewo z kikutami zamiast gałęzi, a kiedy je minęli, ono również zaczęło się kurczyć, aż przepadło. Wjechali do Meryton przez rogatkę, następnie pokonali całe miasto, mijając piekarza, salę balową, pasmanterię i gospodę na rogu. Córka właściciela sklepu spożywczego wyszła z koszykiem, żeby zanieść towar klientom; widząc Sarę na powozie, pomachała i uśmiechnęła się do niej, a pokojówka odpowiedziała tym samym, podekscytowana. Potem przekroczyli już granicę miasteczka, przejeżdżając obok miejsca, gdzie żołnierze – szkarłatne plamy na tle zielonej trawy – maszerowali, stawali, odwracali się i trwali w zupełnym bezruchu,

słuchając wykrzykującego komendy oficera. Na nowej drodze, gdzie pobierano opłaty, moneta powędrowała do kieszeni strażnika i zaskrzypiała bramka, a potem bryczka ruszyła, choć sprężyny zaprotestowały. Kołysząc się z tyłu, Sara wkrótce znalazła się w całkowicie nieznanym jej okolicach.

Ziemia rozmazywała się między stukającymi kołami, bezchmurne niebo miało kolor bladego błękitu, z drugiego końca bryczki dobiegały do niej głosy bardziej komfortowo usadzonych pasażerów, a gdy mijali mętną rzekę, zatkaną przez trzciny, sir William krzyknął:

– Wspaniała Tamiza!

Jechali wzdłuż wysokich żywopłotów, przez wsie rozrzucone przy drodze jak paciorki na nitce. Mijali łąki pełne rzeżuchy, ociekającej krystaliczną wodą ze strumyków, pachnącej ostro, pieprzowo i zielono. Mijali ogrody, gęsto zarośnięte podniesione grządki, pulchne i ciepłe. Pola stawały się mniejsze, podzielone, a ogrody handlowe gęściej upchane, z szopkami, przybudówkami z szalunku i nieobrobionego drewna. Zwolnili przed stadkiem gęsi, które trzepotały skrzydłami i krzyczały na zarośniętym trawą poboczu, prowadzone przez dziewczynę w kapeluszu z szerokim rondem. Gęsiarka syczała na swoje ptaki i machała kijem, a kiedy ją mijali, spojrziała prosto na Sarę, zaczerwieniona i z ropniami na twarzy. Przeprawiali się w bród przez rzeczkę i woda tworzyła fontanny po obu stronach bryczki. Z łąk docierał do nich zapach łąjna, a bydło stało nieruchome i chude, jakby wycięte z malowanej puszki. A potem droga zaczęła opadać i pojawił się większy ruch, strasznie wolne i długie wozy, podskakujące na wybojach gigi i furmanki, ambulansy pocztowe, a potem dyliżans. Później Sara zobaczyła domy, w powietrzu zrobiło się gęsto od dymu; chwilę potem jechali już po kocich łbach, poza granicami miasta, a pokojówka zadarła głowę i rozchyliła usta, patrząc na wysokie niczym góry budynki, gapiące się na siebie po obu stronach potoku. Potokiem tym była ulica, a ona sama stanowiła część prądu, tego gęstego londyńskiego ruchu, pełnego dorożek, wozów, furmanek i ludzi, niekończącego się strumienia

przeróżnych istot: tu żony rybaków w rechotliwych i śmierdzących grupkach, tam straganiarze w zawadiackich czapkach i o zuchwałych spojrzeniach, żebrak w poszarpanym i brudnym czerwonym płaszczu, wlokący się raz na pięściach, raz na kikutach, mleczarka z wiadrami kołyszącymi się na nosidle, wypełnionymi niebieskawoszarym mlekiem, burzącym się i pozostawiającym ślady na ściankach, zupełnie inaczej niż mleko w domu. Ulice były śliskie od łajna, a w powietrzu czuło się smak sadzy oraz woń kloaki, zgniłych warzyw i ryby. A hałas! Podbite żelazem koła i kopyta, wrzaski kramarzy, woźniców i sprzedawców muffinek, a także tłumy potracających się nawzajem i pchających na siebie ludzi oraz równo kiwających głowami koni, które ciągnęły powóz... Potem umazany dzieciak wślizgnął się między wozy i podbiegł do Sary, i dziewczyna myślała, że chce jej coś powiedzieć, ale on tylko podniósł jej spódnicę i najpierw dotknął pończoch, a potem wcisnął rękę między uda. Odsunęła się i kopnęła go, opuszczając spódnicę; cofnął się, szczerząc zęby i pokazując czarną dziurę tam, gdzie powinien mieć jedyński. Zniknął równie szybko, jak się pojawił. Sara była wstrząśnięta.

I pomyśleć, że kiedyś chciała tu przyjść sama.

Skęcili w Gracechurch Street i po około stu jardach kocich łbów sir William zatrzymał konie. Pokojówka uniosła wzrok na szykowny, wysoki dom z płaskim frontem. Schody wyszorowano niemal do białości i dziewczynie zrobiło się żal Marthy, rudowłosej pokojówki Gardinerów, która wydawała się tak uparcie leniwa w trakcie Bożego Narodzenia. Jakże musiały ją piec dłonie od mydła, a ramiona od wysiłku, żeby pozbyć się całego tego brudu. Sara odpięła sprzączkę, poluzowała pasek i ześlizgnęła się z siedziska; stanęła niepewnie za bryczką, na zdrętwiałych nogach.

Jane stała przy oknie na górze. Wydawała się upiornie blada za szybą: Sara podniosła rękę w geście pozdrowienia, ale Jane zniknęła i po chwili pojawiła się razem z panią Gardiner i dziećmi na dziewiczo białych stopniach, żeby powitać gości.

Sir William, Maria i Elizabeth wysiedli z bryczki, zeszywniali po podróży. Sara, czując mrowienie w udach, zajęła

się odpinaniem bagaży. Podała je czekającemu lokajowi, który zaniósł toboły do środka. Bryczka z koniem została przekazana innemu służącemu, który poprowadził zwierzę do stajni znajdującej się na tyłach. Sara wspięła się po wyszorowanych schodkach, teraz poznaczonych odciskami butów, i stanęła w ponurym korytarzu, czekając, aż ktoś ją zauważy i powie, co ma robić.

Dom składał się tylko z góry i dołu, a po bokach nie miał absolutnie nic. W oknach błyszcząły duże szyby; wychodziły na pustą ceglana ścianę z tyłu, a z przodu na dom po drugiej stronie ulicy. Sara, poinstruowana przez Marthę, która wydawała się ucieszona ze spotkania, wspięła się wysoko, wysoko, na stryszek dla służby, gdzie postawiła swoje drewniane pudełko na podłodze, obok rozłożonego dla niej materaca. Wyjrzała przez okno na zadymione dachy; kilka młodych drzewek tuliło się nieśmiało na placu. Kawałek dalej zauważyła maszty i nagi takielunek statków na nabrzeżu. A potem musiała zejść na sam dół: wychodzili.

Elizabeth miała się wybrać na zakupy z ciotką i powiedziała Sarze, że może iść z nimi; nie miała do wykonania żadnej pilnej pracy w ramach rozpakowywania, skoro i tak rano znowu ruszali w podróż. Sara usiadła obok mówiącego niezrozumiałym dialektem woźnicy, który uparcie jej coś pokazywał – zapewne najbardziej znane i najciekawsze miejsca; patrzyła zawsze tam, gdzie jej kazał, i kiwała głową, żeby nie zrobić mu przykrości.

Wlekli się po zatłoczonych drogach handlowych, a potem, kiedy już znaleźli się w spokojniejszej części miasta, przyśpieszyli, mijając kolejne ulice i dwie części placu, który urządzono jak zwykowny ogród. Później pokonali półksiężycowy szereg białych domków, przypominających zęby. Na końcu znajdował się niedokończony plac budowy z nagimi korytami na fundamenty i wykopanym dołem kloacznym.

Skreśli w szeroką aleję, a woźnica zatrzymał konie. Bryczka czekała, aż pasażerowie skończą zakupy.

Sara ruszyła za Elizabeth i jej ciotką dołem pod jedną arkadą,

a potem górą, przez inną, wchodząc i wychodząc ze sklepów pełnych kolorowych tkanin, wzorzystego papieru i zwiniętych dywanów – pani Gardiner szykowała się do wymiany wyposażenia salonu i liczyła na pomoc Elizabeth w wyborze wzorów i kolorów. Sara wkrótce została obładowana pudełkami, papierowymi pakunkami i zawiniętymi próbkami tapet. Wszystko to już widziała w swoich marzeniach. I choć nie było źle, nie było też tak cudownie, jak w jej wyobraźni: paczki ciągle wymykały się jej z rąk, pudełko wpijało w bok... I w ogóle, jak jedna osoba może potrzebować aż tylu rzeczy? Jak drukowany papier może być tak wspaniały i niezbędny, a inny zupełnie do niczego, albo dlaczego to wszystko miało takie znaczenie i czy w istocie było potrzebne?

Potem wrócili do bryczki i pojechali kawałek dalej, do kolejnego szeregu białych domków, gdzie pani Gardiner poszła spać – zrobiła to kiedyś w przeszłości i teraz musiała powtórzyć. Elizabeth nie zgodziła się, by sprawdzono stan jej uzębienia. Została w bryczce, stojącej przed gabinetem pana Spence’a, i czekała razem z Sarą i woźnicą, przy okazji pytając pokojówkę, jak jej się podoba Londyn.

– Nie jest taki, jakim go sobie wyobrażałam, panienko.

– A jak go sobie wyobrażałaś?

Sara pokręciła głową. Rzeczywistość zdążyła już przysłonić marzenie.

– Teraz już sama nie wiem, panienko.

Patrzyły, jak eleganckie towarzystwo energicznie wspinało się po schodkach, mijając wypolerowane płyty z brązu i wchodząc przez wyszukane niebieskie drzwi; widziały też, jak wychodzą chwiejnie z zakrwawionymi chustkami przyciśniętymi do twarzy.

– Myślę, że dokonałam dobrego wyboru – stwierdziła Elizabeth.

– Słusznie, panienko.

Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości, zniknęły zupełnie, kiedy z gabinetu pana Spence’a wynurzyła się ciotka, ze spuchniętymi ustami po dość znaczącym spaściowaniu wszystkich dolnych zębów na przedzie.

Potem zasiedli do obiadu, którego pani Gardiner za nic nie mogła skosztować, a Jane tylko skubała, podczas gdy Sara musiała zjeść razem z obcymi ludźmi w ciasnym korytarzu dla służby, walcząc z ziewaniem. Następnie rodzina pojechała do teatru powozem Gardinerów, Martha położyła dzieci do łóżek, a cały dom odetchnął z ulgą i poddał się znużeniu.

Londyn. Zatłoczone serce miasta, gdzie powinna znaleźć tańczące niedźwiedzie, figlujących żebraków i fajerwerki, które mogłyby wystraszyć nawet żołnierza. Sara leżała na materacu i opatulila się kocem aż po szyję. Martha zdmuchnęła świeczkę i zapadła ciemność.

Sara zwinęła się w kłębek. Materac był cienki i wypchany starymi włosami, a pod biodrem i ramionami pokojówka czuła twarde drewno. Mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Powodem był hałas – jego straszna głębokość, składająca się z wielu warstw dźwięków – stukanie wozów na ulicy i furmanek pędzących do doków, koty walczące albo parzące się w alejkach, skrzypienie lin na nabrzeżu, szczekanie psa, tykanie zegara i kolejnego zegara, a także jeszcze jednego, gdzieś w oddali, odmierzającego godzinę za godziną w mroku nocy, podczas gdy pokojówka Gardinerów chrapała nieświadoma tego wszystkiego, a Sara wierciła się i kręciła w pościeli pachnącej obcym człowiekiem.

Kent okazał się przestronny i zielony: tu wiły się pędy chmielu, tam rosła lawenda, teraz trochę przyszarzała, ale jeszcze w tym roku zakwitnie, malując pola na fioletowo. Stodoły stały na kamiennych fundamentach, jak powiedział sir William, żeby do środka nie dostawały się szczury. Sir William był bogatym źródłem informacji, którymi dzielił się swobodnie ze swoimi dwiema młodymi towarzyszkami podróży; Sarze udało się wszystko podsłuchać przez naciągnięty baldachim.

Kiedy przyszło zapłacić za przejazd, strażnik miał tak obcy akcent, że sir William musiał mówić bardzo głośno i powoli, a do tego wspomagać się gestami, od których kołysał się cały powóz. Udało się jednak i po chwili sir William jechał dalej, mówiąc, że umiejętność porozumienia się z ludźmi z gminu to oznaka

doskonałego wychowania, a on sam z radością mógł się nią pochwalić. Sara miała okazję zobaczyć, jak strażnik pluje na ziemię i mówi coś, czego może nie usłyszała, ale doskonale rozumiała, choć nie uważała się za szczególnie dobrze wychowaną.

Potem minęli łąkę z falującą trawą, a Sara zobaczyła wzlatującego w niebo kwiczoła, z dzióbkiem otwartym jak dzbanek, z którego wylewała się piosenka; później zjechali w dolinę, między przytulne chaty z niskimi dachami oraz kobiercami wiosennych kwiatów. Sir William zatrzymał się przed przyjemnym dla oka, porządnym domem wielkości może jednej trzeciej Longbourn, z zielonym ogrodzeniem, laurami i ogródkiem opadającym w kierunku wiejskiej drogi, a potem przez frontowe drzwi wyszli państwo Collinsowie, żeby ich przywitać.

Kiedy ich mała wyprawa przeszła przez bramę, Sara ruszyła za nimi z torbami. W drzwiach pan Collins przesunął się, żeby zrobić jej miejsce.

– Proszę, proszę... – próbował sobie przypomnieć jej imię, ale bez powodzenia – moje dziecko.

Gospodyni na plebanii w Hunsford była jak namolna końska mucha, brzęcząca koło ucha Sary, wiecznie grożąc kąsaniem. Musiała przyglądać się każdej pracy i ocenić rezultaty; wszystko musiało zostać wykonane lepiej niż doskonale. Potrafiła przykucnąć, żeby zlustrować dokładnie wypolerowany blat stołu, zadzierała głowę jak kura, żeby zajrzeć do wyszorowanych garnków, podnosiła kieliszki do światła. Dlatego też pokojówka Collinsów była płochliwa jak zając, zawsze gotowa do skoku. Sara próbowała z nią porozmawiać pierwszego popołudnia, w komórce, gdzie miały wspólnie wymyć mosiężne i miedziane naczynia. Dziewczyna tylko gapiała się na nią z rozchyłonymi ustami, ściereczką w jednej dłoni i pastą z soli, mąki i octu w drugiej. Potem, zdając sobie sprawę z tego, że przestała pracować, wróciła do życia, trąc samowar, jakby chciała w nim zrobić dziurę. Unosząc brwi, Sara zgarnęła trochę pasty i zajęła się swoją robotą, nie kłopotując już więcej dziewczyny. Nie potrafiła jednak pojąć

sensu tych nerwów: pani Collins nie brakowało rozsądku, a jej męża łatwo można było zadowolić; dlaczego więc służba w Hunsford żyła jak na szpilkach? Wydawałoby się, że mają bardzo surowych pracodawców.

I wtedy, pewnego ranka, w gości przyjechała lady Catherine de Bourgh. „Patronka pana Collinsa”, jak wyszeptała pokojówka, wybałuszając oczy; głęboko jej się skłoniła. Sara również dygnęła i zerknęła na nią spod spuszczonej rzesy, gdy wspaniała dama powoli ich minęła, obrzucając każdą dziewczynę taksującym spojrzeniem, od stóp do głów.

Lady Catherine przemierzyła całą plebanię. Wspinała się po schodach i otwierała szafki. Podniosła wazę z gzymsu kominka, żeby sprawdzić, czy zostawiła ślad w warstwie kurzu, w innych warunkach niewidocznej. Przyjrzała się haftowi pani Collins i powiedziała, że świeżo upieczona mężatka powinna bardziej się przyłożyć do wyszywania zamiast marnować czas na nieokiełznane satynowe głupstwa. Potem łaskawie zgodziła się na podanie jej czegoś do picia, wywołując przez to w kuchni prawdziwą gorączkę; przy ostatniej wizycie herbata okazała się o wiele za mocna, a służba została oskarżona o niegospodarne korzystanie z zapasów.

Tym razem lady Catherine bez słowa przyjęła napar, na co zdenerwowana gospodyni westchnęła z ulgą, a potem zaczerwieniła się, zawstydzona z powodu braku ogłady. Niemniej jednak wszyscy usłyszeli, co lady Catherine sądzi o ściereczce na tacy; komentarz sprawił, że pokojówka jeszcze bardziej się skuliła i uciekła zająć się innymi obowiązkami, żeby nikt nie znalazł jej do czasu, aż minie pałacy wstyd.

– Jeśli twoja pokojówka nie potrafi wywabić zwykłej plamy, musisz ją koniecznie kimś zastąpić.

Mniej więcej dwa tygodnie później, niedługo przed powrotem sir Williama do Lucas Lodge, ubili wieprzka. Pan Collins przyglądał się wszystkiemu ze skrzyżowanymi ramionami; zwierzę wyrywało się i kwiczało, a potem wykrwawiło się w konwulsjach i wreszcie umarło.

– Doskonała z niej świnia. Najlepsza w hrabstwie, moim skromnym zdaniem. Dobra i tłusta.

Sara zaniósła wiadro krwi do kuchni, gdzie zabrano również tuszę, z nóżkami w powietrzu, do poćwiartowania. To ciężka praca, więc zajął się nią służący. Gospodyni odkroiła potem tłuszcz i wrzuciła do wanienki. Trąciła ją stopą.

– Zajęłabyś się tym, Saro?

Dziewczyna zamrugnęła z zaskoczenia.

– Wiesz, jak zrobić mydło, prawda? Macie mydło w Hertfordshire?

– Gdzie ług?

– Tam, gdzie powinien.

W komórcie Sara odmierzyła odpowiednią porcję ługu starą, popękaną filizanką, rozpałała ogień pod kotłem i nastawiła tłuszcz do wytopienia. Świński odór trochę zelżał, albo może Sara się do niego przyzwyczaiła, bo po chwili nie czuła już woni niedzielnego obiadu. Wylała płynny tłuszcz, a potem sięgnęła po garść lawendy i włożyła ją do kieszeni fartucha. Choć od lat pomagała pani Hill przy mydle, nigdy nie przestało jej zaskakiwać, jak coś tak paskudnego mogło później służyć do mycia. Oderwała paki lawendy od łądzynek i wrzuciła do ścinającego się świńskiego tłuszczu.

Mydło należało rozlać do foremek, a foremki owinać szmatkami i schować do szafki, gdzie dalej robiło się już samo. Sara wyszła na podwórze. Koń właśnie ocierał się o drzwi do stajni. Nad dachówkami widziała wierzchołki platanów i białego ptaka wlatującego ku błękitnemu niebu. Patrzyła, jak ucieka, zostawiając za sobą szachownicę pól, zagajniki i lasy – a gdzieś dalej także morze.

Morze. Elizabeth powiedziała, że stąd jest do niego bliżej – może gdzieś uda jej się je dostrzec? Po co w ogóle przyjechała do Kentu, jeśli mogła zobaczyć tylko trzewia świni i wnętrze plebanii?

Zdjęła fartuch i przeszła przez tylną furtkę. Pobiegła ile tchu w płucach przez wioskę, mijając kury dziobiące w piasku i

beżlistne krzewy różane, a z chaty wyszła kobieta i patrzyła, składając ręce na podołku.

Kiedy skończyły się chaty, gdzie krzaki rosły wysokie i poznaczone zielonymi pączkami, Sara wspięła się na przełaz, żeby zobaczyć, co jest dalej. Zobaczyła zaorane pole z gliniastą ziemią, gdzie zaczęły już kiełkować nasiona. Gdzieś na horyzoncie widziała strużki dymu, iglice kościoła, dachy stodół z dachówkami z palonej gliny, a także plamy zieleni, zlewające się ze sobą w oddali. Niestety ani śladu morza.

I wszystko było bardzo podobne do Hertfordshire. Tutaj jednak brakowało ludzi, którzy czynili z niego centrum świata.

W drzwiach plebanii stała gospodyni, z pięściami przyciśniętymi do mizernej talii.

– Skończyłam z mydłem, więc... – zaczęła Sara.

Uciszone ją trzepnięciem w głowę i wepchnięto do środka.

To szanowany dom! Co sobie ludzie pomyślą! Co więcej, co powiedzą! A co jeszcze ważniejsze, co pomyśli i powie lady Catherine, kiedy już się dowie? Łazić po wsi jak jakaś panna lekkich obyczajów, kto to słyszał!

Sara zareagowała gniewem – gospodyni nie mogła jej uderzyć: nie miała prawa jej tknąć! I w ogóle jak śmie ją wyzywać? Ale z gospodynią nie dało się rozmawiać; zaprowadziła Sarę do kuchni, ciągle ciskając gromy, ponieważ lady Catherine z pewnością się o wszystkim dowie, i niech Sara nie myśli, że ktoś stanie w jej obronie przeciwko sile dezaprobaty lady Catherine de Bourgh.

Usłyszała dzwonek i aż podskoczyła. Zgodnie z poleceniem gospodyni, Sara rozsypała liście herbaty i właśnie je zmiatała razem z kurzem, jednak nikt jej nie powiedział, co począć z drzwiami; w Longbourn to James albo pan Hill by je otworzył. Dlatego ze szczotką w ręku czekała na dudnienie kroków służącego... Ale ten nie nadszedł.

Przygryzła zadartą skórę przy paznokciu kciuka. Cokolwiek zrobi, ktoś ją za to skarci. Pobiegnie po pomoc i każe gościom czekać albo wejdzie w czyjeś kompetencje. A co, jeśli to lady

Catherine przybyła upomnieć niesforną służbę Collinsów? Co powie, gdy drzwi otworzy sama winowajczyni?

Sara spojrzała na pusty korytarz. Nie słyszała kroków, nie słyszała skrzypiącej podłogi. Z kolei z zewnątrz do jej uszu dobiegł głos pana Collinsa, jego krótkie odpowiedzi. Najwyraźniej wcześniej wyszedł bocznymi drzwiami i teraz wraca z gośćmi. Z pewnością to ludzie wysokiej pozycji, ponieważ muszą czekać przed zamkniętym wejściem frontowym, zamiast dostać się do domu jakąś inną drogą.

Każda sekunda działała na jej niekorzyść.

Odstawiła szciotkę w róg, a potem wyciągnęła rygiel i otworzyła drzwi.

Okazało się, że nie miało najmniejszego znaczenia, kto to zrobił, kiedy bowiem droga stała się wolna, pokojówka przestała istnieć. W jednej chwili stała przy wejściu, pod jej nogami skrzypiała podłoga, a w następnej już jej nie było; dwóch dżentelmenów weszło do środka i minęło Sarę, nawet na nią nie patrząc – z ich perspektywy drzwi otworzyły się same. Pan Collins kroczył tuż za nimi.

– Proszę tędy, panie Darcy, pułkowniku Fitzwilliamie, zapraszam panów za drugie drzwi po lewej.

Niewyraźna plama intensywnych kolorów – jeden zielony i jeden niebieski aksamitny płaszcz – i ciche skrzypienie dobrej skóry, a także zapach żywicy, doskonałego wosku i wełny. Patrzyła, jak ich błyszczące buty rozsypują jej herbaciane liście po drewnianej podłodze. Dwaj dżentelmeni byli tak eleganccy i tak wielcy, i tak pewni siebie: tak jakby pochodzili z zupełnie innego świata, z innych żywiołów, niczym aniołowie.

Pan Collins, ubrany w czerń duchownego, zamknął za nimi drzwi i nagle zrobiło się ciemno. I wtedy Sara znowu się pojawiła, wróciła do swojego ciała: obrócił się do niej z przerażonym uśmiechem.

– I pomyśleć, że wyszedłem tylko na spacer, a spotkałem pułkownika Fitzwilliama i pana Darcy'ego! Zgodzili się przyjść tutaj, dziecko, w moje skromne progi!

Uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

Ruszył za nimi, zacierając ręce i mamrocząc pod nosem, zadziwiony, jak takie szczęście może być dla niego źródłem tak wielkiego niepokoju. Zniknął w salonie; Sara słyszała, jak oferuje gościom miejsca do siedzenia i napoje, a potem zabrzmiał dzwonek. Gospodyni odpowiedziała na wezwanie i wmaszerowała do korytarza, posyłając Sarze oskarżycielskie spojrzenie. Dziewczyna wróciła po szczotkę i zaczęła znowu zamiatać wilgotne liście z podłogi.

– Najwyraźniej – powiedziała Elizabeth, zdejmując halkę – wielce jest podobny do swojej ciotki, lady Catherine. Z pewnością doszukuje się we mnie wad.

– Ciężko mu będzie je znaleźć.

Sara postawiła dzban z gorącą wodą na toalecie, a potem odwinęła kawałek mydła z musłinu, podczas gdy Elizabeth zbyła komplement machnięciem ręki.

– Zupełnie nie pasuję do jego wizji idealnej kobiety. Słyszałam raz, jak wyliczał swoje wymagania; jego zdaniem dama powinna łączyć w sobie wszystkie trzy gracje, żeby mieć jakiegokolwiek szanse zrobić na nim wrażenie.

– Ale nie może mieć za grosz rozsądku, panienko, jeśli doszukuje się w paniencie wad.

– I w tym właśnie rzecz. On nie jest rozsądnym człowiekiem.

To mydło było perfumowane płatkami róży, które z czasem zbrązowiały i wyschły jak liście herbaty. Własne mydło Sary suszyło się już od tygodnia; dopiero po miesiącu będzie można go bezpiecznie użyć na skórze damy. A do tego czasu wrócą do domu! Na tę myśl Sarę jakby owiała chłodna bryza. Położyła na marmurowym blacie ręcznik dla Elizabeth i kolejny na podłodze, żeby mogła na nim stanąć.

– A jednak za nic nie potrafię pojąć, dlaczego wciąż tu przychodzi, z pułkownikiem czy bez, albo kręci się po Rosings i tylko, cóż, *patrzy*.

Sara spojrzała bliżej na mydło – tkwiła w nim muszka; w pierwszej chwili zdawała się skrawkiem płatka. Szybko ją

wydłubała i wyrzuciła; młoda pani za bardzo była zajęta swoim rozmyślaniami i rozbieraniem, żeby zauważyć, co właśnie zrobiła pokojówka.

– Z pewnością nie może chodzić o towarzystwo, bo potrafi i dziesięć minut nie otwierać ust. O ciasta również, bo nie ma w nich nic szczególnego, chociaż pan Collins wciąż o nich rozprawia... Och, te sznurówki!

Wyrzuciła z frustracji ręce do góry. Sara podeszła bliżej i rozwiązała tasiemkę, a potem przeciągnęła ją przez dziurki w jej krótkim gorsecie. Kiedy został poluzowany, Sara opuściła go na podłogę, a Elizabeth oparła się o jej ramię i wyszła z niego.

– I nie ma panienka najmniejszego pojęcia, dlaczego może na panienkę tak patrzeć?

– Może myśli o obiedzie. Nie wiem. Naprawdę nie pojmuję. Sara odłożyła gorset na łóżko; Elizabeth zrzuciła z ramion koszulę, która również wylądowała na podłodze. Wyszła z niej i stanęła gołymi stopami na ręczniku położonym wcześniej przez Sarę, a potem wyżeła szmatkę i wytarła sobie twarz, szyję i uszy.

Sara położyła suknię panienki na łóżku. Być może Elizabeth miała w pewnym sensie rację; może faktycznie patrzył na nią głodnym wzrokiem. Po prostu młoda dziewczyna nie знаła jeszcze natury tego głodu. Elizabeth zamoczyła szmatkę i włożyła do środka mydło, a potem podniosła i umyła się pod pachami. Poszarzała woda zebrała się w krople na jej żebrach, a potem poleciała w dół: ręcznik pod jej stopami pociemniał.

– I nie wydaje się panience, że może mu się podobać?

– Och, a gdzież tam! – Elizabeth zaśmiała się i znowu wrzuciła szmatkę do miski. – Nie wygłupiaj się, Saro.

Panienkę Lizzy rozboleła głowa, już drugi raz tego samego dnia. Czytała po raz kolejny listy od Jane, a te zawsze doprowadzały ją do łez, zaś łzy przyprawiały ją o ból głowy i nie było szans, żeby pojechała do Rosings, skoro miała tak doskonałą wymówkę.

Sara z radością odebrałaby zaadresowany do niej list; chciałyby móc płakać i cierpieć na ból głowy: zasłonięte okna,

zimny okład na czole i spokój, kiedy rodzina uda się na herbatkę.

Tym razem, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, Sara pobiegła do nich, żeby ostrzec gościa – spodziewała się biedaka ze starym albo chorym członkiem rodziny – że domownicy są nieobecni. Ale w progu stanął znowu pan Darcy, w całej swej błyszczącej okazałości. Minał ją i ruszył korytarzem, by za chwilę otworzyć drzwi do salonu. Usłyszała krzyk Elizabeth, wyobraziła sobie spadającą wilgotną szmatkę, szybkie rozsunięcie zasłon. Ale Sara nie mogła go nawet spowolnić, bo dla niego stanowiła jedynie kolejny wieczorny cień. Stała w progu, niewidzialna: zdawało jej się, że błysk wypolerowanej miedzianej gałki prześwieca przez jej dłoń, podobnie jak resztki dziennego światła przez całą jej postać.

Usiadła na frontowych schodkach, pozostawiając otwarte drzwi. Do końca wyjazdu nie zostało wiele – dokładnie dziewięć dni, w tym jeden, który właśnie się kończył – i ruszą z powrotem do Longbourn. Wystawiła twarz na chłód wieczoru, wciągając nosem słodki zapach wawrzynu i opierając głowę o gałkę drzwi. W pobliskich krzewach śpiewał słowik.

Napisałabym do ciebie list, James. Gdybym miała papier. Gdybym miała atrament. Gdybym miała pieniądze na wysłanie. Zapytałabym, jak się miewa Longbourn, jak Polly radzi sobie beze mnie, czy pan Hill wreszcie zajął się robieniem pasty, bo przed moim wyjazdem jeszcze tego nie zrobił. Napisałabym ci o kasztance drapiącej szyję, o śpiewającym w krzakach słowiku i maciorze z czarną szczecina, białymi nóżkami i różowym nosem, z której zostało schnące w szafie mydło, i o muszce w mydle panienci Elizabeth oraz o polach, gdzie w dniu naszego przyjazdu dopiero kiełkowały ziarna, a teraz wyrosły wysokie źdźbła, i o panu Fitzwilliamie Darcym, którego wspaniała cielesna postać sprawia, że na moment zupełnie znikam z tego świata i staję się duchem, niewidzialnym, ale zdolnym przesuwac przedmioty. Napisałabym o tym, jak w twoim towarzystwie czuję się naprawdę sobą, bardziej rzeczywistą niż kiedykolwiek. Zapytałabym, czy tęsknisz za mną, tak jak ja tęsknię za tobą, jakby na całej planecie

nie istniało drugie tak ważne miejsce jak to, gdzie ty się znajdujesz. Dni naszej rozłąki muszę po prostu przecierpieć jak zimną galaretę na obiad albo dzień opierunku, i niczego się po nich dobrego nie spodziewać. Ale kiedyś wreszcie miną i wrócę do ciebie.

Sara usłyszała, jak w domu zamykają się jakieś drzwi. Rozległo się krótkie dudnienie kroków na korytarzu. Wstała i zeszła ze schodów w ostatniej chwili, inaczej wpadłby prosto na nią: drzwi frontowe gwałtownie się otworzyły, a pan Darcy przemaszerował obok cienia Sary i dalej ścieżką, zostawiając za sobą kołyszącą się furtkę. Kiedy zniknął z pola widzenia, dziewczyna poszła ją zamknąć.

Wróciła do domu i podeszła pod drzwi do salonu, żeby nasłuchiwać. Do jej uszu dotarło ciche łkanie Elizabeth. Położyła dłoń na gałce, ale potem zrezygnowała i odeszła. Czasami lepiej po prostu zniknąć, pomyślała, niż w ten sposób zwrócić na siebie uwagę dżentelmena.

Dla Jamesa na ten czas Longbourn stracił swoją gładkość, a w jej miejsce pojawiły się ostre krawędzie. Chociaż po wyjeździe najstarszych sióstr młodych panienek w domu ubyło, robiły więcej hałasu niż zwykle: jeśli nie skale i *arpeggio* Mary albo ta sama włoska melodia raz po raz aż do jakiegoś problematycznego momentu, to kłótnie Kitty i Lydii o jakiś strój lub piski przy powtarzaniu plotek. Najczęściej jednocześnie słyszało się klawikord i trajkotanie dziewcząt, podczas gdy pan Bennet zamykał się w bibliotece i reagował tylko na dźwięk dzwonka wzywającego na obiad, pani Bennet narzekała, że nikt nie przejmuje się jej bólami głowy, Polly zanosila na górę ciężkie dzbany, a znosiła śmierdzące nocniki, pani Hill płakała przy krojeniu cebuli, a jej mąż najpierw wypijał trochę sherry z piwniczki, a potem wychodził dyskretnie na spotkanie z przyjacielem. James powoził zawsze wtedy, gdy go o to proszono, a oprócz tego usługiwał przy stole, czyścił gąbką ubłocone brzegi płaszczy, wywabiał tłuste plamy z pelis, usuwał wosk z koszul, przynosił wodę i drewno, a czasami nawet z przyjemnością

pomagał małej Polly zbierać jajka, zioła i liście sałaty, ale przez cały czas trwał w jakimś zawieszeniu, niczym nagle przerwana melodia albo wybrzmiewająca nuta.

Młodsze panienki prawie każdego poranka wyruszały do Meryton. Szły tam, by kupić wstążki albo różową perską tkaninę, albo pończochy, albo proszek do zębów, albo odwiedzić ciotkę Phillips. Nie kazały się tam zawozić, więc James nie musiał tego oglądać, ale sądząc po ich trajkotaniu po powrocie, wystarczyło, by młode panienki spacerowały chwilę po Market Street, a zaraz pojawiali się przy nich oficerowie.

Potem były przyjęcia i kolacyjki u cioci Philips, bale w mieście podczas pełni księżyca, przy których potrzebny był powóz, raz też zawiózł panienki do pułkownika Forstera, gdzie zebrało się liczne towarzystwo.

James czekał przed jasno oświetlonym i hałaśliwym domem, przyjmując typową dla siebie pozę: zaokrąglone ramiona, nisko opuszczona czapka, wzrok skierowany gdzie indziej.

Rozgardiasz wzmagął się cały wieczór, aż w końcu zapanowało prawdziwe szaleństwo. Ktoś powinien zawołać posterunkowego albo sędziego, żeby udzielił im reprimendy. Zrobiło się już późno – zegar wybił pierwszą w nocy, potem kwadrans i wreszcie wpół do drugiej. I wtedy, kiedy tuż po pełnej godzinie przyjęcie wreszcie dobiegło końca, ze środka nieśpiesznym krokiem wyszedł młody człowiek, ubrany w suknię i czepek, z różem na ustach i policzkach, w towarzystwie dwóch oficerów. Chłopiec wybiegł gwałtownie na ulicę przy akompaniamencie gwizdów, strzepując z siebie ręce kolegów. Lydia i Kitty przyglądały się temu przedstawieniu, zanosząc się śmiechem.

– Widziałeś? – Lydia wciąż nie mogła złapać oddechu, siadając w powozie. – Widziałeś Chamberlayne’a, James? Przednie! Przebrałyśmy go za damę i nikt go nie poznał! A przynajmniej dopóki nie zaczęłyśmy się śmiać.

James skłonił się i zamknął drzwiczki, żeby odgrodzić się od tego hałasu. Wspiął się na siedzenie woźnicy. Zawiózł je do domu,

czując na twarzy chłód nocy; z wnętrza powozu wciąż dobiegało trajkotanie, jakby w środku znajdowały się ptaki. Wywoływało to w nim niepokój. Może i nie było niczego złego w wykorzystywaniu takiego chłopca, ale w końcu panienki trafią na coś niebezpiecznego i ich żelazne poczucie wartości na nic im się wtedy zda.



Rozdział XIV

Wickham wyjedzie wkrótce i dla nikogo

tutaj nie będzie miało najmniejszego

znaczenia, jakim był w rzeczywistości.

Przy drogach było gęsto od majowych kwiatów, kiedy James wioził Kitty i Lydię na spotkanie ze starszymi siostrami i Marią Lucas.

Sara drogę powrotną spędziła w wozie pocztowym, siedząc na rozkładanym fotelu. Trzymała nogi pod sobą, żeby jej buty nie zawadzały pięknym bucikom panienek. Było jej niewygodnie i męczyły ją skurcze, a do tego trzęsący się powóz przyprawiał ją o mdłości. Całą drogę od Londynu patrzyła przez okno, za którym przewijał się świat.

Wszystkie dolegliwości zniknęły jak ręką odjął, kiedy zatrzymali się na poczcie i Sara dojrzała Jamesa.

Otworzył drzwi i pomógł jej wyjść. Jego ręka wylądowała na pasie dziewczyny, a przy tym patrzył jej prosto w oczy. Później przeszedł do panny Jane, potem Elizabeth, a na końcu do Marii Lucas. Sara, zbyt szczęśliwa, żeby się uśmiechnąć, i czując, jak ziemia się pod nią kołysze, ruszyła za panienkami i czekała przed toaletą, pilnując, żeby nikt im nie przeszkadzał.

Kiedy wszystkie damy się nieco odświeżyły, a potem i Sara się załatwiła, wróciła do Jamesa, usiadła na podstawce do wsiadania na konia i patrzyła, jak lokaj na powrót zaprzęga

wypoczęte zwierzęta do powozu. Zdjęła czepek i wystawiła twarz na ciepłe słońce Hertfordshire. Pomyślała, że nigdzie na świecie nie ma takiego szczęścia: James jest tutaj, a do tego przyniósł jej kubek piwa razem z kawałkiem placka. Usiadł koło niej, więc podała mu napój, a lokaj upił trochę i oddał.

– Masz bardzo ładną sukienkę.

Musnęła chropowatą dłonią wyszywane na popelinie listki; to była suknia dzienna od Jane, którą zostawiła na najlepsze okazje.

– Dziękuję.

Oboje patrzyli w dal, gdzie wartownik maszerował na próżno wte i wewte, pilnując bram miasta. W dzisiejszych czasach wszędzie było pełno żołnierzy. Człowiek czuł się niepewnie; gdzie się nie obejrzał, widział czerwony mundur i muszkiet.

– Zatrzymaliśmy się na dwa tygodnie w Londynie.

Pokiwał głową.

– Nie przeszkadzałoby mi to szczególnie – dodała – ale to aż dwa długie *tygodnie*.

Położył dłoń na jej ramieniu, a ona się do niego przytuliła i poczuła wilgoć w oczach. Wyciągnął rękę i otarł łzę szorstkim kciukiem. Położyła głowę na jego ramieniu.

Kiedy panienki wreszcie zjadły obiad, Sara i James czekali z dala od siebie. Lokaj wprowadził damy do powozu, a potem podał im zakupy i bardziej delikatne bagaże. Gdy rozsiadły się już w środku, pomógł Sarze wspiąć się na przód i zasiadł obok niej. Zawiózł je wszystkie, nie śpiesząc się, z powrotem do Longbourn. Sara i James mogli przysunąć się bliżej i nikt by się nie dziwił ani tego nie komentował.

Pani Hill uścisnęła jej rękę i ucałowała w policzek, mówiąc:

– Cieszę się, że wróciłaś.

A potem odwróciła się, żeby nie pokazywać wyrazu twarzy. Polly uścisnęła Sarę tak, że ta aż straciła dech, a potem mała zaczęła podskakiwać w miejscu, zadając pytania i w ogóle nie czekając na odpowiedzi. Pan Hill się skłonił i bez słowa poklepał jej dłoń.

Kuchnia wydawała się bardzo ciemna, chłodna, piękna i

jakby mniejsza.

Kiedy wszyscy wrócili do swoich zajęć, do środka wpadła panienska Lydia, żeby zabrać kilka cukierków. Widząc Sarę, zatrzymała się i podała jej otwarty słoik.

– Miło cię widzieć z powrotem, Saro. Brakowało nam ciebie.

– Dziękuję, panienko.

Sięgnęła po cukierka.

– Nikt nie potrafi tak dobrze wywabić plamy po winie, jak ty. Chcę, żebyś spojrziała później na mój najlepszy muślin i oceniła, co da się zrobić. Choć nie ma to już większego znaczenia. – Lydia zaczęła ssać cukierka, zamyślona. – Nie słyszałaś zapewne, prawda? To tak potworna wiadomość, że pewnie ci jej oszczędzono, a ja doprawdy nie mam pojęcia, jak my to zniesiemy!

Sara włożyła landrynkę do ust.

– Dobry Boże, a cóż się stało?

Zakładała jakąś katastrofę, chorobę, a nawet śmierć.

– Chodzi o wojsko, Saro. Odchodzi.

Pokojówka ujęła dłoń Lydii i lekko ścisnęła.

– Wielka szkoda, ale też od zawsze się tego spodziewaliśmy.

Lydia pokiwała głową, niepokieszona. Sarze było jej żal.

Wszystkie dni będą wydawać się takie same, wieczory nudne, a nawet bale w Meryton stracą swój urok, gdy przyjadą tylko ci sami prawnicy, synowie radnych i wikariusze, a najlepszym wydarzeniem sezonu okaże się wizyta jakiegoś dorosłego kuzyna z daleka. Absolutna monotonia lata spędzonego w domu na wsi, tragedia dla piętnastoletniej dziewczyny, która podziwianie przyrody, czytanie i refleksję uważa za stratę czasu. Doprawdy, wielka szkoda.

Kiedy wojsko odeszło na koniec miesiąca, James bardzo się ucieszył; Polly sprawiło to prawdziwą przyjemność, bo lubiła Jamesa. Lokaj został jej przyjacielem i grał z nią w hacele, czasem towarzyszył w obowiązkach i dawał kawałek kredy do rysowania na kamieniach przy stajni. Ale razem z wojskiem odszedł też pan Wickham. A od pana Wickhama dostawała pieniądze. Wręczał jej

pensówki, półpensówki i ćwierćpensówki, jakby pozbywał się śmieci, dla których nie miał innego przeznaczenia. Lubiła przesypywać monety z jednej dłoni do drugiej; lubiła budować z nich kolumny na podłodze przy łóżku i wyobrażać sobie, co za nie kupi, gdy przyjdzie wędrowny handlarz albo kiedy wyślą ją do Meryton po jakieś sprawunki. Nazywał ją „małą panienką”, co też było miłe. Posyłał jej uśmiechy i zadawał pytania, a czasami dotykał policzka. Może nie do końca to lubiła, ale wiedziała, że to się liczy.

– Jeśli sprawi ci jakiś kłopot – powiedział raz James – przyjdź i mi powiedz, a ja to załatwię.

James to dobry chłopak, poza tym lubił grać w hacele i rzucanie monetami, ale kiedy przyszło co do czego, na niczym się nie znał. Co mógłby zrobić takiemu mężczyźnie jak pan Wickham, oficerowi, który miał pistolety i szablę? Poza tym to i tak nie miało znaczenia, bo pan Wickham nie sprawiał jej żadnych problemów. Z nim jednym nigdy nie miała kłopotów, poza, może, Jamesem. Niczego jej nie kazał robić, za nic jej nie beształ ani o nic nie wiercił dziury w brzuchu. Zamiast tego miała od niego monety, uśmiechy i czasem dobre słowo.

A potem usłyszeli, że Lydia ma jechać do Brighton z panią Forster, świeżo upieczoną żoną pułkownika. Dobrze to były wieści dla panienki, ale nieszczególnie podobały się starszym siostram, a poza tym Sara i Polly musiały się śpieszyć, by wyprać potrzebną bieliznę, wyprasować suknie, a potem wszystko złożyć i zapakować na czas odjazdu. Dlatego Polly, choć z początku smuciło ją odejście pana Wickhama, teraz nie mogła się doczekać, kiedy zniknie, bo dzięki temu będą miały mniej prania.

Sara większość tego czasu musiała spędzić w pokoju Kitty i Lydii, wykonując iście syzyfową pracę. Kiedy tylko zapakowała kufer, Kitty go otwierała i ze łzami wściekłości zanurzała się po łokcie w ubraniach, żeby wyciągnąć własne rzeczy, włożone tam za poleceniem Lydii. Panienka wyjmowała wieczorową suknię, nowe rękawiczki, a potem warczała, widząc swoją najlepszą halkę. Kiedy siostrą wstrząsały paroksyzmy gniewu, Lydia spokojnie

zbierała wszystko i składała, gotowa odłożyć z powrotem: Kitty musi zrozumieć, że gdyby to ona zamiast Lydii jechała do Brighton, siostra oddałaby jej wszystkie najlepsze stroje z własnej, nieprzymuszonej woli, nawet dwa razy się nad tym nie zastanawiając, bo jaki jest sens noszenia ładnych rzeczy, skoro nikt tego nie widzi?

Mary, w swoim pokoju, zamykała oczy i kładła palce na klawiszach instrumentu, a potem brała głęboki wdech i wypuszczała powietrze, próbując zignorować wrzaski i waśnie za ścianą. Wiedziała, że pewnego dnia jej palce pofruną po klawiszach z łatwością i delikatnością maleńkich ptaszków. Pewnego dnia. Do tego czasu jednak musiała ćwiczyć, ćwiczyć i ćwiczyć, mimo uwagi rozpraszaney przez głupiutki siostry, których nieumiarkowane charaktery teraz przejawiały się serią pisków o wysokim natężeniu, sugerujących, że Kitty straciła panowanie nad sobą i ciągnęła Lydię za włosy. Gdyby mogły choć na chwilę pomyśleć o czymś donioślejszym: o muzyce, religii albo dobrych uczynkach, zamiast o oficerach – jej palce sunęły w górę i dół po klawiszach, wybierając słodkie nuty z początku *Love Dialogue* Haydna – wtedy z pewnością byłyby szczęśliwsze. Myśli Mary wbrew jej woli powędrowały do uprzejmego i łagodnego pana Collinsa, któremu, niewątpliwie, dałaby szczęście. Nie miała takiej pewności co do Charlotte Lucas; może pewnego dnia dziewczyna na niego zasłuży, ale z pewnością go nie kochała, nie tak jak Mary. I nigdy nie może się domyślić, jakaż gwałtowność zagościła w sercu średniej Bennetówny, mimo jej mało wylewnego charakteru. Ponieważ Mary pozwoliła sobie na marzenia, a nigdy nie powinna była do tego dopuścić. Pozwoliła sobie rozważać możliwość odwzajemnionych uczuć, małżeństwa i nowej pozycji, którą by jej to przyniosło; jak, stając się panią Collins, jednocześnie zostałaby ratunkiem dla swojej rodziny, a nie tylko zwyczajnym, niezgrabnym, pomijanym średnim dzieckiem.

Ostatniego dnia pobytu wojska w Meryton pan Wickham miał zjeść obiad w Longbourn, wraz z innymi oficerami. Wystarczyło przetrwać ten jeden wieczór i miałby ich z głowy.

Sąsiedztwo niedługo uwolni się od żołnierzy. A intencje Wickhama wobec Polly czy Jamesa przestaną mieć znaczenie, kiedy znajdzie się ponad siedemdziesiąt mil dalej, w Brighton.

James w milczeniu usługiwał rodzinie przy stole, przechodząc jak duch między oficerami i damami, trzymając nisko głowę, schowaną między ramionami, trzymając się cienkiej granicy między podejrzaną efektywnością i równie podejrzanym zmęczeniem.

Będę tym, pomyślał, za kogo mnie mają, czyli nikim właściwie.

Jednak kiedy nalewał Wickhamowi, młody oficer odwrócił głowę i na niego spojrzał. James starał się nie patrzeć mu w oczy. Zamiast tego spoglądał, jak wino płynie strumieniem do kieliszka, a potem karafka rzuca zajęczkiem, gdy ją podniósł, później zaś starł ostatnie krople napoju serwetką. Następnie podszedł do Elizabeth, a ta, całe szczęście, nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Tymczasem Wickham patrzył na niego jak drapieżca na zwierzynę.

Wickham celowo pograżył się w rozmowie z panną Elizabeth; tylko raz jego uwaga powędrowała do młodej pokojówki, zbierającej naczynia, ale potem szybko popatrzył na srebro, na swoje mankiety i towarzyszkę. Okazywał uprzejmość na wszelkie możliwe sposoby, jakby wiedział, że się go o coś podejrzewa i starał się zdusić wszelką krytykę w zarodku.

Gdyby tylko Wickham służył w regularnej armii, pomyślał James, schodząc do piwniczki ze świecą w rękę, żeby przynieść więcej wina, mógłby czerpać przyjemność z wyobrażania sobie przystojnego młodzieńca w drodze do Hiszpanii. Mógłby oczami wyobraźni patrzeć, jak trafia w ręce partyzantów, którzy wieszają go na drzewie, odcinają mu przyrodzenie i wpychają w usta, by w ten sposób wykrwawił się na śmierć, skazany na łaskę wilków. Trochę przyćmiłoby to jego blask.

Zarówno goście, jak i rodzina wypili tego wieczoru zbyt wiele. James i pan Hill musieli schodzić do piwniczki po kolejne butelki więcej niż raz. Zebrane w salonie liczne towarzystwo

zachowywało się coraz głośniej i trwało w radosnym, głębokim upojeniu przez długie i bolesne dla stóp godziny; nic tak nie zbliża ludzi, jak nieuchronna rozłąka.

Pan Hill, stary i wykończony, położył się do łóżka o jedenastej, mrugając do Jamesa.

– Poradzisz sobie beze mnie, co? Tyle młodzieży; dla mnie trochę zbyt wiele.

Polly zebrała umazane i klejące się kieliszki z pustej już jadalni, podczas gdy przyjęcie kontynuowano gdzie indziej. Już miała odejść, kiedy zobaczyła w progu pana Wickhama. Ruszyła w jego stronę, zmęczona, ale wciąż w dobrym nastroju. Spróbowała się do niego uśmiechnąć, a on zakolysał trzymanym w dłoni kieliszkiem z ciemnym portem.

– Pogratusujesz mi mojej ucieczki, mała panienko?

Taki miał sposób radzenia sobie w towarzystwie: potrzebował kilku chwil spędzonych z ludźmi takimi jak on, którzy go rozumieli.

– Doskonała robota, panie Wickham.

Wszedł głębiej do pustej jadalni, zbliżył się do Polly, wciąż zagradzając jej drogę do drzwi. Kiedy się uśmiechnął, ujrzała, że jego zęby i usta były zabarwione winem.

– Jak się miewasz, mała panienko?

Jest zmęczona, obolała, senna.

– Przykro mi, że pan wyjeżdża, proszę pana.

Pokiwał smutno głową.

– To naprawdę przygnębiające – przyznał. – Ale tak sobie myślałem...

– O czym, proszę pana?

– Wiesz, że wybieramy się do Brighton?

Przestąpiła z nogi na nogę; stopy bardzo ją bolały. Jeśli będzie dla niego miła, po raz ostatni miała szansę na pensa przed jego wyjściem.

– Tak, proszę pana.

Spojrzała na kamizelkę, dokąd zazwyczaj sięgał po monety. On tylko zamieszał portem, zaciskając usta. Jego ręka w dalszym

ciągu nie powędrowała do kieszeni.

– Z pewnością nie dostajesz tu tyle łakoci, ile byś zechciała.

Uniosła wzrok, słysząc te słowa. Udało mu się zdobyć jej uwagę: pokręciła głową.

– Wiedziałaś, że w Brighton jest sklep ze słodyczami, gdzie stoją całe rzędy słoików z czekoladkami, karmelkami i cukierkami we wszystkich kolorach tęczy i każdym smaku, jaki można sobie wymarzyć?

– Ananasowym też?

Słyszała o ananasach; mieli je w dużych domach, ale sama nigdy nie widziała tego owocu. Wyobrażała sobie, że przypomina trochę szarą renetę, małą i bardzo słodką, ale ze skórką pokrytą ostrymi igielkami, jak u sosny[5].

Kiwnął głową i nieznacznie się uśmiechnął, stawiając swój kieliszek na tacy, a potem włożył ręce do kieszeni. Niestety – kieszeni spodni, nie kamizelki.

– Naprawdę? Nawet *ananasowym*?

– I w wielu innych.

Polly przełknęła ślinę, rozmarzona. Wickham pochylił się trochę do tyłu, przyglądając się dziewczynce spod zmrużonych powiek.

– Ile masz lat, mała panienko?

– Nie wiem dokładnie. Dwanaście, może trzynaście.

Dlaczego pan pyta?

– Mam w takim razie kupić ci kilka czekoladek o smaku ananasa i odesłać je tutaj?

Polly wpatrywała się w jego wielką twarz, którą wszyscy uważali za przystojną; zapuszczone wąsy, otwarte pory między brwiami, pęknięte naczynka na nosie. Dorośli potrafią naprawdę nieładnie wyglądać, jeśli przyjrzeć im się z bliska.

– Och, zrobiłby to pan? Naprawdę?

Chciała go zapytać o inne smaki, zanim zdecyduje się na ananasa; czy znajdą się też dropsy cytrynowe i cukierki goździkowe, podbiałowe i anyżowe.

– Zrobiłbym i zrobię... Jeśli pokażesz mi teraz, jaka możesz

być słodka.

Ruszył w jej stronę, trochę się przy tym chwiejąc. Ona zrobiła krok do tyłu, myśląc, że oficer chce ją wyminąć. Ale on pochylił się do przodu i bardzo ostrożnie zabrał jej tacę, a potem postawił ją na stole. Czarki zadzwoniły o siebie w jego niezdarnym uścisku.

– Będiesz, prawda? Słodka.

– Proszę pana?

– Patrzysz na mnie, jakbyś nie wiedziała, o co chodzi...

Krawędź stołu wbijała jej się w plecy; oficer zbliżył się jeszcze bardziej, czuła jego śmierdzący winem i tytoniem oddech. Odwróciła twarz, marszcząc nos. Potem jego dłoń powędrowała do jej policzka i po chwili zsunęła się na gardło. Zatrzymała się na sukience. Serce Polly omal nie wyskoczyło z piersi, a na ramionach dziewczyny pojawiła się gęsia skórka. Polly nie miała pojęcia, co począć.

– Polly?

To był głos Jamesa. Wickham zamarł, a potem zrobił krok do tyłu i odwrócił się w stronę przybysza. James miał w ręku pustą karafkę, a pomiędzy brwiami głęboką bruzdę. Polly odsunęła się od Wickhama, który poprawił swoją marynarkę.

James nawet na niego nie spojrział.

– Pani Hill woła cię do kuchni.

– Za minutkę.

Wszystko to było dziwne i niekoniecznie przyjemne, a przecież pan Wickham zawsze okazywał jej dobroć.

– Chyba nie zrozumiałaś. Jesteś potrzebna natychmiast.

Polly przewróciła oczami, ale posłuchała. Podniosła tacę i wyszła z pokoju niczym królowa. Po drodze spojrzała krzywo na Jamesa. Lokaj chciał iść za nią, ale Wickham go zawołał.

– Zostań, Smith.

Zawahał się i odwrócił. Wickham podszedł do kredensu i zaczął podnosić po kolei karafki, przyglądając się im i wachając ich zawartość.

– Proszę wybaczyć, ale...

– Nie, nie wybaczę. Ty przeklęty.... – Ustawił karafkę do światła. – Wiesz, miałem zignorować całe zajście...

Znalazł szklankę i nalał do niej whisky. Mimo wszystko James się skrzywił: Wickhama czekał ciężki poranek.

Kiedy młody oficer znowu przemówił, tym razem znad ramienia, alkohol plątał mu język:

– Myślałem wtedy: jaki to ma sens? Przecież wyjeżdżamy. Dlaczego miałbym zaprzętać sobie tym głowę? Dlaczego nie miałbym zostawić cię w spokoju i dać ci żyć? Dlaczego nie? Po co tyle zachodu?

James poczuł ukłucie niepokoju.

Wickham odwrócił się do niego, dość chwiejnie, i wyciągnął rękę, żeby oprzeć się o kredens. Nie trafił, ale udało mu się odzyskać równowagę, chociaż przechylił się lekko w lewą stronę.

– Widzisz, takiemu człowiekowi jak ja... – zaczął bardzo powoli – wcale nie jest tak łatwo. Ni pies, ni wydra. Właściwie to żaba albo ropucha. Dla takich jak ja zostaje tylko błoto. A ty nieźle się tu urządziłeś. Masz przytulny kącik. Sam korzystasz z uroków, których mi załujesz.

James chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, jak uchodzi wam to na sucho. Przecież widać, że laleczkę nieźle wyobraćcano; czuć to z daleka...

Po całym zajściu James nie potrafił patrzeć na to inaczej niż w ten sposób: musiał wyjść z siebie. Wiedział, co robi i czym to się skończy, a jednak się nie cofnął. Patrzył, jak jego ręka odstawia karafkę na stół; ruch wyglądał na idealnie spokojny i wyważony. Zrobił dwa szybkie kroki do chylącego się oficera. Utrata panowania nad sobą zdawała się realną czynnością; jak zdejmowanie z siebie ciężkiego płaszcza w upale – taką przyniosło mu to ulgę.

Jego pięść wylądowała na skroni Wickhama. Krótki, dobrze wyprowadzony cios, przed którym młody oficer nie próbował się zasłonić, a nawet uchylić, bo zwyczajnie się go nie spodziewał. Wickham zatoczył się do tyłu, lądując na kredensie. Oparł się o niego, żeby odzyskać równowagę, a karafki zaczęły się trząść i

objąć o siebie z głośnym brzękiem.

A to – pomyślał James, próbując strzepnąć pieczenie z knycki, przestępując z nogi na nogę, a potem podnosząc obie ręce do góry, żeby zasłonić się przed ciosem wymierzonym w odwecie – to była granica, której nigdy nie powinienem był przekraczać.

– Nie wolno ci było mnie tknąć! – Wickham wydawał się bardziej zaskoczony niż wściekły. Z trudem się wyprostował, dotknął opuszkami palców skroni, a potem spojrzał na nie. Skóra nie pękła. Nie było śladu krwi. – Istnieją pewne zasady, do jasnej cholery. Nie znasz pieprzonych zasad?

Znowu podniósł palce do skroni, a potem, ku zaskoczeniu Jamesa, zaczął się śmiać. Poklepał swoje kieszenie i wyciągnął paczkę cygaretek, by jedną z nich odpalić od świecy.

– Widzisz, chodzi o to – powiedział – że miałem pewne podejrzenia, ale uznałem ich potwierdzenie za niepotrzebny kłopot. Ale potem ty najpierw mi pyskujesz, a potem mnie bijesz, więc teraz nie jest to już żaden kłopot.

– Masz mleko pod nosem – stwierdził James. – Na twoich butach nie znać jeszcze żadnej ryski. Nie boję się ciebie.

Wickham uniósł brodę i zmarszczył ze zdziwienia brwi. Odwrócił się do tacy z alkoholem, wypił swoją whisky i nalał kolejną porcję, a potem podał Jamesowi. Lokaj tylko na nią popatrzył.

– No dalej. Jak żołnierz z żołnierzem.

James zobaczył, jak jego ręka wędruje do przodu, czuł pieczenie w knyckach, kiedy palce owinęły się wokół szklanki, a potem gdy uniósł ją do ust. Wziął łyček alkoholu. Zapieкло go w gardle. Odstawił whisky na stół, obok karafki. Tym razem jego dłoń drżała. Szkło stuknęło o blat stołu. Nie było odwrotu.

– To tylko twoje słowo – spróbował. – Nie masz żadnego dowodu.

Wickham wzruszył ramionami.

– Mógłbym odnaleźć twoje oświadczenie; mógłbym dotrzeć do sędziego pokoju, który był świadkiem jego podpisania. Chociaż założę się, że nie istnieje dokument poświadczający oficjalne

wypisanie ze służby, prawda? Gdybym tylko zadał sobie trud poszukiwań. Ale ja nie lubię nadwierać swoich sił. Wystarczy, że szepnę słówko panu Bennetowi, a potem pułkownikowi. O naszej rozmowie. O moich podejrzeniach i o tym, co między nami zaszło. Bo widzisz, sprawa wygląda tak, że ja nie muszę nawet nic robić.

Trzeba oszczędzić tego staruszkowi.

– Pan Bennet...

– Pan Bennet musi się o tym dowiedzieć, nie uważasz? Lubił cię. Zaufał ci. Musi wiedzieć, co zrobiłeś. Rozdziewiczyłeś pokojówkę, uderzyłeś dżentelmena... – Wickham przechylił szklankę i patrzył na przesuwaną się menisk. Potem uniósł wzrok i utkwiał w Jamesie swoje blade oczy. – Zdezerterowałeś. A za to grozi śmierć. Mamy wojnę.

To się musiało wydarzyć; czaiło się od zawsze. James zmiękł, zrobił się wygodnicki i beztroski, a przeszłość zakradła się do niego od tyłu i zatopiła zęby w jego karku.

– Dlatego uważam, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli po prostu dasz drapaką.

W salonie zrobiło się głośniejsze. Usłyszeli wybuch śmiechu; świece zapłonęły żywszym ogniem, a cienie się skurczyły. Ale Sara... Odwrócił się i zatoczył w stronę drzwi.

– Bo cię powieszają, jak dostaną cię w swoje ręce. Wymierzą ci tyle batów, że zostanie z ciebie krwawa miazga.

W korytarzu świece płonęły w swoich kinkietach: pustka i płochliwe cienie. Gdzie ona się podziała?

Wickham zawołał za nim:

– Połamię cię kołem, przyjacielu! Połamię cię pieprzonym kołem.

James pobiegł przez korytarz, przesuwaną ręką po tapecie. Wpadł wreszcie do kuchni: w palenisku zgasło, stał przy nim obcy służący.

Och, Boże, Sara. Gdzie się podziewała?

Wyślizgnął się na podwórze i skoczył do stajni, gdzie spakował swoje rzeczy – książki, bieliznę, zwinięty koc – do starego płóciennego worka, wrzucając wszystko na grzechoczące

muszelki. Założył płaszcz, który podarował mu pan Hill, zarzucił torbę na ramię, a potem czmychnął w mrok. Obszedł dom naokoło.

Zobaczył ją w oknie salonu i zamarł. W środku Sara przemykała między gośćmi i meblami niczym mysz uciekająca przez szufladę. Patrzył na jej szczupłą sylwetkę prześlizgującą się między bogatymi sukniami i czerwonymi mundurami, obok kobiet z pełną piersią i dżentelmenów z okrągłymi brzuchami. Zobaczył, jak napełnia kieliszek, a potem proponuje to samo innej osobie, a ta kładzie tłustą dłoń na grzbiet kryształu i potrząsa puklami włosów. Dziewczyna odwróciła się i podeszła do okna. Była blada i zmęczona, jej oczy błyszczały; oddałby wszystko, żeby móc jej dotknąć.

Zatrzymała się, żeby odłożyć karafkę na stoliku, a potem podeszła do zasłon.

Znalazła się tak blisko.

Jeśli mnie zobaczy, pomyślał, uśmiechnę się do niej; wymknie się i dołączy do mnie. Powiem jej wszystko. Wybłagam przebaczenie i rozumienie. Pożegnam się. I dzięki temu opuszczenie Sary stanie się trochę bardziej znośne.

Ale w środku zatłoczonego salonu Sara widziała tylko odbicie wnętrza pokoju: ściśnięte towarzystwo, napierające na siebie ubrania i ciała, zabarwione winem zęby i lepka skórę. Dlatego wyciągnęła ręce do góry i złapała za zasłony, żeby już tego nie oglądać.

Zniknęła.

Nagle otoczyła go ciemność. Wypuścił powietrze z płuc. Potem poprawił torbę na ramieniu i ruszył.

Lydia miała wrócić do Meryton z panią Forster ich powozem; stamtąd planowały wyruszyć z regimentem następnego ranka. Kiedy przyjęcie wreszcie dobiegło końca, wyjście panienki z domu było raczej hałaśliwe niż wzruszające, a nieobecności Jamesa nie zauważono w całym zamieszaniu. Służący Forsterów przyprowadził ich powóz. Pani Hill i Sara oddały płaszcze i kapelusze pozostałym gościom, potem stanęły na schodkach, żeby obserwować, jak oficerowie odjeżdżają na koniach, a Forsterowie

w dudniącym w ciemności powozie. Sara zaczęła dłońmi pocierać oczy. I oto koniec, pomyślała, wreszcie odjechali, a James jest już bezpieczny, i Polly jest bezpieczna. Wreszcie będą mieli spokój.

– Gdzie James? – zapytała na głos pani Hill, kiedy wróciły do kuchni.

Sara ziewnęła z lubością.

– Zapewne położył się już do łóżka. Już dawno po północy.

Sarę obudził kogut. Leżała, ciesząc się ciepłem i wygodą łóżka, kojącym oddechem Polly tuż obok. Wyciągnęła stopy spod pościeli, założyła pończochy i skropiła twarz wodą.

Zbiegając na dół, wcisnęła włosy pod czepek, wołając do pani Hill, która radośnie szła za nią, a obie cieszyły się tego rodzaju zadowoleniem, jakie pojawia się w przeddzień spodziewanej dobrej pogody i gdy zasłuży się na szczęście ciężką pracą, a wszystko zdaje się iść ku lepszemu.

W kuchni panowała cisza. Sara zauważyła, że ogień w palenisku wygasł. Zdjęła przypięty klamerką fartuch i zawiązała go w pasie, idąc do komórki. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zauważyć, że wiadro na wodę stoi puste, ale i tak wyciągnęła rękę, żeby wyczuć tę nicość opuszkami palców. Zamarła, nasłuchując. Do jej uszu docierało jedynie gruchanie gołębia i odgłosy pracującej w kuchni pani Hill.

Nie.

Przeszła przez kuchnię i otworzyła drzwi na podwórze. Poranek był chłodny i złoty, znowu usłyszała gołębia grzywacza, a potem kosa. W stajni konie uderzały kopytami o drzwi. Żadnych ludzkich odgłosów.

Pobiegła, stukając butami o kamienie.

Pani Hill wyjrzała przez otwarte drzwi; zauważyła płaczącą się spódnice dziewczyny i czepek, który spadł, lądując na kamieniach, a potem leżał tam jak biały grzyb. Polly zbiegła po schodach, dudniąc i nucąc coś pod nosem. Zamarła, widząc panią Hill nieruchomą i wyglądającą przez szeroko otwarte drzwi.

Sara wbiegła do pogrążonej w ciemności stajni. Konie zarżały, zastukały kopytami, zdenerwowane.

Pani Hill wyszła na podwórze, mrużąc oczy. Polly ruszyła za nią.

– Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia.

Przeszły na drugą stronę podwórza, do stajni. Słyszały, jak Sara wspina się na drabinę, a potem chodzi po podłodze poddasza.

– Co się stało?

Pani Hill pokręciła głową, ale nie z niewiedzy, ale dlatego, że bała się o tym myśleć. Zrozumienie przeciskało się w jej stronę, torując sobie drogę łokciami, ale gospodyni nie chciała go przepuścić.

W panującym w środku mroku pojawiła się blada postać: Sara zsunęła się z drabiny i ruszyła w stronę służących. Zachwiała się i przytrzymała drzwi. A pani Hill już wiedziała – głęboko, w pustym miejscu pod klatką piersiową, gdzie kiedyś spało jej dziecko, zwinięte w kłębuszek, ze stópkami przyciśniętymi do piersi – co Sara też już rozumiała, ale jeszcze nie znalazła słów, by o tym powiedzieć.

Odszedł. James odszedł. Znowu go straciła.

Koniec części drugiej

[5] Skojarzenie wynika z podobieństwa między *pineapple* (ananas) oraz *pine* (sosna).

CZEŚĆ TRZECIA



Rozdział I

1788

Kiedy jej brzuch stał się zbyt duży, żeby pozostać niezauważonym, nawet przy ściśniętym gorsecie, spakowała torbę, pożegnała się z *nim* i ruszyła drogą do wyprowadzania bydła aż do położonej w oddali chaty, gdzie się jej spodziewano. Chociaż ciało sprawiało jej problemy, a pogoda nie sprzyjała, szła piechotą, bo gdyby zabrała się wozem albo bryczką, ktoś by to z pewnością zauważył, ludzie zaczęliby gadać i wszystko by się wydało.

Taki wstyd. Przecież on tego nie zniesie. Muszą zachować rozsądek.

W obcym domu nie wychodziła poza swój pokój. Pani Smith, żona rolnika, zajmowała się nią – i to wszystko. Zrobiło się okrutnie zimno. Miała kominek i szal, pozwolono jej nawet zabrać Biblię, przez którą próbowała przebrnąć, czytając trudne wersety jeden po drugim, poszukując pocieszenia i żałując, że nie uczyła się więcej jako dziecko.

Pani Smith była chudą kobietą w średnim wieku, zaś ziemia jej i męża była sucha i ciężka do uprawy. Kobieta miała dziecko prawie już odstawione od piersi, dużą, silną dziewczynkę ze smarkami pod nosem. Milczała, opiekowała się nią machinalnie. Nie miało to znaczenia: Margaret nie spodziewała się, że zostaną przyjaciółkami.

W środku zimowej nocy powiła małego chłopczyka, który otworzył swoje niebiesko-czarne oczka i przyjrzał się matce z zaspaną mądrością. Karmienie przyprawiało ją o ból w piersiach, a maleńkie, rumiane piąstki ubijały jej ciało, jakby chciały uformować je na nowo. Coś, co wcześniej wydawało się problemem, teraz okazało się rozwiązaniem: samo istnienie

dziecka sprawiało, że przeszłość nagle nabrała innego wyrazu, bo doprowadziła do faktu jego istnienia. A chłopiec był idealny jak puszysty deser albo poduszczyk.

Nie dało się podejść do niego rozsądnie. Rozsądek nie miał z tym nic wspólnego.

Mimo to widziała siebie, jak oddaje dziecko kobiecie, mamce, i zdawała sobie sprawę, że już nigdy więcej go nie przytuli, ale za to chłopiec nigdy nie będzie głodny czy zziębnięty, a wychowają go w miłości i strachu przed Bogiem, zabiorą do kościoła i szkółki niedzielnej, a potem dadzą pracę i kiedyś umrze, jeśli Bóg da, w statecznym wieku, siedząc przy kominku; krótko mówiąc, jego życie będzie dość porządne, a to więcej, niż mogłaby mu dać w pojedynkę. W dalszym ciągu układ wydawał się uczciwy: zapłaci za bezpieczeństwo dziecka rozpaczą, a pan Bennet pieniędzmi, żeby oszczędzić nazwisko.

Kiedy odzyskała już siły, przeszła dwanaście mil z powrotem do Longbourn. Łzy przestały cieknąć, kiedy zobaczyła ze ścieżki wznoszący się nad kominami dym.

Mimo wszystko pojawiło się mleko. Wylewało się z niej, plamiąc koszule i przesiąkając aż do gorsetu. Składała ściereczki i wsuwała między skórę a ubranie, aż w końcu pokarmu zrobiło się mniej i wreszcie całkiem zniknął; wtedy za nim tęskniła i oplakała jego odejście, ponieważ tworzyło się dla chłopca. Krwi miesięcznej też było mniej, chociaż czasem, nawet długie miesiące po porodzie, kiedy podnosiła coś zbyt ciężkiego, wracała, jasnoczerwona, i plamiła jej ubrania.

Za to żal nigdy nie zniknął: ta rzeka nigdy nie wyschła, nigdy nie zwolniła, chociaż ona nie pokazywała tego po sobie. Zmusiła ją do tego, by zmieniła się w ukryte jezioro, wzbierające, ustępujące, pełne nagłych wirów i prądów. Tak bardzo chciała dziecka, że czasami ta chęć potrafiła pozbawić ją tchu, a wtedy Margaret stała, uciszona przez ból, opierając się o gzyms kominka albo stół. Kiedy pan Bennet próbował ją pocieszyć, nie słuchała go i nie dawała się dotknąć. Liczył się tylko synek, którego nie miała przy sobie.

Panna Gardiner była ładną dziewczyną o uroczym i wesołym

usposobieniu. Jej ojciec, adwokat, zupełnie przypadkiem zabierał ją prawie za każdym razem do Longbourn, gdy zjawiał się tam w interesach – naprawdę lubiła spacerować na świeżym powietrzu. Margaret, zapracowana i z włosami schowanym pod czepek, patrzyła, jak dziewczyna potrząsa swoimi puklami, zerka kokieteryjnie; od razu przejrzała zamiary jej ojca. Widziała też, jak pan Bennet dał się złapać na te sztuczki i zrobił z niej swoją pupilkę, a z siebie głupca. Margaret czuła się odrętwiała.

Potem wzięli ślub. Pomyślała wtedy: „Cóż, przynajmniej już koniec”.

Dziewczyna kazała panu Hillowi wykopać w sadzie małe dołki na cebulki krokusów. Kwiaty wyrosły następnej wiosny i wydawały się magiczne, o wiele zbyt delikatne, żeby przetrwać lutowe chłody. Brzuch młodej pani był już wtedy duży.

Pan Hill, kamerdyner, wiedząc co nieco o cierpieniu Margaret i nie czując potrzeby wypytywania o nie, zaproponował jej małżeństwo. Niczego od niej nie oczekuje, powiedział, przechylając swoją dziwną, gawronią głowę na bok; z pewnością nie spodziewa się tego, czego zazwyczaj mąż spodziewa się od żony w kwestii łóżka i dzieci. Ale mogą sobie jakoś wspólnie ułożyć życie; może uda im się zasłużyć na szacunek, jeśli ona przyjmie jego nazwisko.

I tak pewnego zimnego lutowego dnia wyszła za pana Hilla, o cienkich i długich rękach oraz niespokojnym spojrzeniu; tamtej nocy leżeli obok siebie na wspólnym łożu nieruchomo jak w trumnie. Przez wszystkie następne lata zwracał się do niej z szacunkiem, zachowywał się uprzejmie, choć czasem bez pomyślunku, i nigdy jej nie uderzył, ani razu przez te wszystkie lata. Czym nie mogło się pochwalić wiele kobiet, które wyszły za mąż z miłości.

Pan Hill miał swoje własne układy. Spotykała ich od czasu do czasu: mężczyznę, którego pan Bennet zatrudnił pewnej jesieni do pomocy na roli; innego wyrobnika tuż za doliną. Przychodzili i odchodzili, gdy zmieniały się pory roku; czasami widziała, że mąż miał złamane serce i wtedy poprawiała mu humor smakołykami

albo innymi małymi uprzejmościami.

Dlatego pani Hill wiedziała, że nigdy nie urodzi kolejnego dziecka. Z kolei pani Bennet najwyraźniej nie mogła przestać.

Jej pierwsza ciąża zdawała się nie mieć końca; pani Bennet była ciężka, niezdarna i nie podobało jej się to. Kiedyś cieszyła się z bywania w towarzystwie, a teraz całe dni spędzała na sofie w swoim pokoju. Potrafiła zdrzemnąć się po obiedzie przy kominku, a pan Bennet patrzył na nią z troską i czasami poprawiał jej poduszkę pod głową.

Połów okazał się prawdziwą walką i wszystkich wykończył.

Położna umyła dziecko, opatulila i włożyła do kołyski, a pani Hill zajęła się bujaniem go do czasu, aż ze wsi przyszła mamka. Łożysko i błony płodowe leżały w wanience przy łóżku, ciemne i grube jak wątroba. Pani Bennet była blada; jęczała, kiedy położna oczyściła ją i przykryła. Pani Hill nigdy nie widziała kobiety pogrążonej w równie głębokim szoku. Zupełnie jakby nie potrafiła zaakceptować tego, co zgotowało jej własne ciało: jakże mogło ją tak zdradzić...

Dziecko jednak było bardzo zadowolone. Pani Hill patrzyła urzeczona na pulchną dziewczynkę z kręconymi włoskami w rudozłotym kolorze i maleńkimi paznokietkami przypominającymi perełki. Potem przyszła kobieta z wioski, zaczęła trajkotać do położnej, poluzowała stanik i przysunęła do siebie niemowlę jedną ręką. Usiadła na niskim fotelu, podniosła chustę i wsunęła pod nią dziecko, żeby zaczęło ssać.

Położna przykryła wanienkę płótnem i zabrała ją. Pani Hill poprawiła pościel i pochyliła się nad panią Bennet, żeby ją przykryć.

Wtedy świeżo upieczona matka wyszeptała:

– To zawsze tak wygląda?

Pani Hill się zawahała.

– Nie wiem...

Młoda kobieta pokręciła głową, ocierając ją o poduszkę.

– Nigdy więcej. Choćby błagał, nigdy więcej tego nie zrobię. Nawet za diamenty.

Ale trzy miesiące później, kiedy dziecko było u mamki na wsi, pani Bennet zwymiotowała swoją poranną herbatę do umywalki, a potem wytarła płwociny z marmuru.

Gdyby pani Bennet urodziła chłopca, zostałby młodszym bratem Jane i starszym dla pozostałych córek. O ile w ogóle by się pojawiły, skoro od początku chodziło o jednego, zdrowego chłopaka.

Z dziecka wyrósłby kawał silnego i upartego chłopca; zostałby wysłany do szkoły, podczas gdy siostry zostałyby w domu i zszywały jego rozdarte koszule; wracałby na Boże Narodzenie, Wielkanoc i lato, żeby biegać po podwórku, pakować się w tarapaty, zbierać pochwały i dawać się rozpuszczać jak dziadowski bicz. Potem trafiłby na jeden z uniwersytetów, by oddać się wszystkim hulankom i swawolom, które uważa się za niezbędną część edukacji każdego dżentelmena; z pewnością nawiązałby też użyteczne znajomości i zdobył, niemal przypadkiem, dyplom. Potem żyłby sobie spokojnie, zaciągając długi i czekając na spadek.

Ale pani Bennet nie urodziła synka; poroniła.

Płód miał dziesięć palców u nóg, dziesięć palców u rąk i idealne, ciemne rzęsy, chociaż jego oczka nigdy się nie otworzyły. Wydawał się zupełnie zdrowy i normalny, poza tym, że był bardzo malutki i zupełnie nieruchawy, i siny, i tak szybko stygł, bo nie miał własnego ciepła prócz matczynego. Nigdy nie zaczerpnął powietrza.

Pani Hill, zaskoczona nagłym stłumionym okrzykiem i krwią, sama odebrała poród maleństwa i jeszcze zanim wzięła go na ręce – lekkiego jak kociak, ze skórą cienką jak kozuch na mleku – wiedziała, że nie miał szans: przyszedł na świat o wiele za wcześnie.

Opatuliła go i położyła obok, na narzucie. Jej pani wciąż kuciała przy łóżku, chowając głowę w ramionach. Pani Hill obejmowała ją, gdy zanosila się płaczem, a potem, kiedy przyprawdzono chirurga, także w trakcie czyszczenia i skrobania. Opiekowała się nią w okresie chandry i gorszego samopoczucia,

które przysły później. Podała jej trzy pierwsze krople laudanum, pierwsze pół szklaneczki balsamu z Gileadu. Trzymała też jej głowę, kiedy trzy miesiące później zaczęła wymiotować własnymi plwocinami do umywalki. Kolejnym ciężom towarzyszyły coraz gorsze mdłości.

– Nie wiem, jak to zniósę, pani Hill. Naprawdę nie mam pojęcia.

Od czasu do czasu docierały do niej wieści o synu. Nazwali go James Smith; rolnik i jego żona ogłosili, że to dziecko ich kuzynki, osierocone; pan Bennet zapewniał, że zadbał o wszystko. Jeździł tam czasami, żeby zapłacić za opiekę nad dzieckiem i zobaczyć, jak się ma. Cała sprawa załatwiana była bardzo dyskretnie. Ale żona rolnika miała ładniejsze rzeczy niż inne kobiety we wsi; w ich domu pojawiała się więcej cukru, lepsza herbata; sąsiedzi zauważają takie rzeczy, pani Hill nie miała wątpliwości. Zauważą i zaczną mówić.

Po powrocie ze swoich wypraw pan Bennet dzwonił po panią Hill, a ona szła do biblioteki, żeby posłuchać doniesień swojego pracodawcy o zdrowiu jej syna, jego coraz większym wzroście i mądrości, a ona tylko kiwała głową i nie płakała, ale ciemne jezioro w jej wnętrzu wzbierało. Tak było lepiej, powtarzała sobie, wychodząc z biblioteki i wracając do kuchni. Lepiej, żeby miał świeże powietrze i mleko, i szkółkę niedzielną, niż miejsce w przytułku albo życie w drodze, a nic innego nie mogłaby mu dać. A cokolwiek by powiedziała, czymkolwiek by pogroziła, pan Bennet nigdy nie zgodziłby się dać jej niczego lepszego. Przez cały ten trudny czas nie wspominał choćby jednym słowem o małżeństwie.

Rodzina się powiększała, a każda kolejna córka sprawiała większe kłopoty niż poprzednia. Lydia miała ledwo roczek, kiedy stała się psotnikiem, a jej starsza siostra Kitty wciąż nie panowała nad pęcherzem i wypróżnianiem. Kiedy pani Hill zaczęła przypominać cię człowieka, powiedziano jej, że może przyjąć dziecko z przytułku i wyszkolić na pokojówkę. W końcu oszczędzi im to kosztów i kłopotu z wołaniem kobiety ze wsi w dzień opierunku. I tak oto pani Hill sprawiła sobie sierotę,

drobnokościstą siedmiolatkę o imieniu Sara, która przetrwała pół roku w przytułku, więc można było bezpiecznie założyć, że nie zachoruje na tyfus – chorobę, która zabrała jej rodziców i brata. Gdy się patrzyło na to dziecko, widziało się tylko jego wielkie oczy; pani Hill boleśnie współczuła bardziej rodzicom niż dziewczynce: jakże przerażająca musiała być wizja pozostawienia takiego szkraba. Właśnie ze względu na nich, choć też i dla samego dziecka, postanowiła je kochać. I pokochała, jak tylko potrafiła.

A potem, pewnego dnia, kiedy pan Bennet zawołał panią Hill do biblioteki, na jego twarzy nie malował się typowy wyraz praktycznego, zwyczajnego spokoju. Krzywił się i nawet na nią nie patrzył.

Chłopiec uciekł, ogłosił. Domyślają się, że zapisał się do wojska.

– A czy go szukają?

Pan Bennet bawił się nożem do papieru, a potem odłożył go i podniósł jakieś dokumenty; udawał, że im się przygląda.

– Skończył już dwadzieścia lat, pani Hill. Jest dorosły. Sam o sobie decyduje.

– Ale dlaczego? Dlaczego wybrał wojsko? To nie ma sensu; trzeba go znaleźć i wykupić.

Zamknął oczy, pokręcił głową.

– Tak się nie godzi, pani Hill.

Ludzie będą mówić.

Skandal. Oczywiście. Nie zniesie skandalu.

Potwornie się przeliczyła, wreszcie to zrozumiała: wszyscy musieli być nieszczęśliwi, żeby jemu nie przynieść wstydu.



Rozdział II

1808

James nigdy nawet nie widział morza, aż do czasu, gdy jako grupa świeżo upieczonych rekrutów, chłopców od orki i czeladników, maszerowali niezgrabnie, nieprzyzwyczajeni do butów, do Portsmouth, żeby wejść na pokład statku. Kiedy pierwszy raz dostrzegł morze, zadziwił go srebrny błysk, nieustanny ruch, wiecznie w tym samym miejscu.

Wydawało się jednocześnie piękne i potworne.

Zgubił widok morza w krętych uliczkach, omamił go ścisk i hałas. Wiedzieli, że są bohaterami, bo tłumy wiwatowały na ich cześć, a dziewczyny rzucały kwiaty. Byli bohaterami, ponieważ ruszali do Portugalii, by stamtąd przedrzeć się do Hiszpanii, przywrócić monarchom należny im tron i uwolnić ludzi spod władzy tyrana. Jeśli dotychczas nie powstrzymano Korsykańskiego Potwora – co było nie do pomyślenia – to oni go powstrzymają, zanim znowu zbierze ludzi i statki przeciwko Anglii.

Ich heroizm narodził się w czasie długich godzin ćwiczeń, uczenia się walki bagnietem i muszkietem, dbania o konie, słuchania krzyków mężczyzn, których akcentów prawie nie dało się zrozumieć, ale którzy wymagali natychmiastowego zastosowania się do ich rozkazów. Nowe umiejętności wpajano licznymi powtórzeniami. James został artylerzystą: drugim pomocnikiem, stemplowym. Podobało mu się to. Podobało mu się, że ma swoje nazwisko, tytuł i przydzieloną rolę. Przedtem był nikim: tak mu zawsze powtarzano.

Ich oddziałem dowodził sierżant Pye. Pochodził z Ratcliffe. James musiał się w niego wpatrywać, żeby zrozumieć, co do niego mówił, a sierżant Pye nie lubił, gdy się na niego patrzyło. James

szybko nauczył się unikać wzroku sierżanta i rzadko się odzywał w jego towarzystwie: kiedy mówił, jego słowa brzmiały miękko i jak ze wsi. Ludzie się śmiali.

Artylerzyści nosili granatowe mundury, nie czerwone jak inni żołnierze. Mieli czaki na głowach. W czaku stałeś prosto. W czaku byłeś kimś.

Wylądowawszy w szerokiej zatoce, chwiejnie wyszli z łodzi na grząskie piaski. Gorący dzień marszu później, z oczami zmrużonymi w pełnym słońcu, ogłoszono zatrzymanie się przed pustym domem, gdzie obozowali. Był to wspaniały budynek z przestronnymi, chłodnymi pokojami i wysokimi sufitami. Wojna już wtedy przechodziła.

James zaprowadził swoje konie przez marmurowe korytarze, kierując się szumem wody, ze zdziwieniem patrząc na skreślone węglem linie – niezrozumiałe słowa, doskonale rozumiał rysunki. Zdjęto poręczę i rozpalono ognisko; podłoga się przypaliła, a na sklepieniu wyżej pojawiły się czarne plamy. W marmurowym kominku leżało ludzkie gówno. James odnalazł drzwi na podwórzu i poprowadził konie do fontanny, żeby mogły się napić.

Nieraz już słyszał o haniebnym zachowaniu Francuzów, ale musiał na własne oczy zobaczyć jego owoce, żeby się przekonać. Byli zdeprawowani. Nie mieli żadnego szacunku dla przełożonych, dla mienia, dla niczego.

Później, kiedy podeszli do kolejnego domu, zobaczył na podłodze zasłony służące za pościel oraz ogniska z potrząskanych mebli i poczuł smród latryny, a jego opinia o wrogach tylko się umocniła... Dopóki nie zauważył, że obsceniczne napisy na ścianach powstały w znanym mu języku. Tego wszystkiego dokonali angielscy żołnierze; oddział, który dotarł tu przed nimi.

W Vimeiro wysłano ich na wzgórze, między dęby ostrolistne i krzaki oliwne. Do uszu Jamesa dotarły rozkazy sierżanta Pye'a i wyszkolenie przejęło nad nim kontrolę, z miejsca przeprowadzając jego rękami całą sekwencję postępowania z działem. A jego koncentracja była doskonała. Przez nieostrożność mógł stracić

ręce; nigdy wcześniej tego nie widział, ale tak mu powiedziano: sam sobie je wysadzysz i wykrwawisz się z kikutów. Mógł stracić też stopy z powodu siły odrzutu. Nie zamierzał być nieostrożny.

Kiedy skończył się ogień zaporowy, a piechota ruszyła do przodu, potykając się o kamienie i korzenie, James miał zdarte gardło i dzwoniło mu w uszach; w ustach i nosie czuł zapach i smak prochu. Ręce miał poparzone i umazane. Trzęsły się. Wyprostował je i poruszył palcami. Żadnego nie brakowało.

Lizbona śmierdziała. Tworzyła rwącą rzekę brudu, łachmaniarzy i pretensjonalnych procesji papistów, a ulice były tak paskudne, że kapłani podnosili sutanny jak damy i pokazywali swoje blade kostki. Chłopcy w granatowych mundurach wylewali się z paskudnych kątów, pili i śpiewali, potwierdziwszy swoją wyższość: mieli swoje błyszczące guziki, swoje porządne buty i czarne opinacze, swój chleb i piwo, i poczucie celu, i widzieli Francuzów. Z tego wszystkiego mogli być dumni.

Potem nadszedł rozkaz wymarszu do Salamanki. Piechota mogła iść w linii prostej; kawaleria i artyleria musiały wybrać okrężną drogę.

Pięciu mężczyzn z ich oddziału podróżowało razem: sierżant Pye; stemplowy James, wciąż uważany za zielonego; ładowniczy, stary wyga Stephenson; kanonier, który miał dużą bliznę na policzku i brakowało mu zębów z boku; ostatnim był nieśmiały chłopak ze złamanym nosem: on dzierżył ogień i podpalał ładunek. Otaczając swoje konie i działą, szli za czerwonym potokiem kawalerii, a za ich plecami jechały już tylko wozy z amunicją i zapasami. W południe położyli się w cieniu armaty, żeby ochronić się przed palącym słońcem.

Okrężna trasa okazała się bardzo długa. Maszerowali na wschód, wzdłuż gęsto zarośniętej, bagnistej doliny, a drogi miały głębokie koleiny i błoto, otaczały je zaś szumiące na wietrze trzciny. Skręcili na północ. Teren stał się górzysty i trudny, a dla Jamesa niewygodne przepychanie dużego obiektu przez ciężki teren w czasie paskudnej pogody stało się synonimem wojny. Armia była ogromną kreaturą, podzieloną na segmenty,

wydłużając się i kurczącą, rozpadając się na sekcje i zbierającą z powrotem w całość.

Do października piątka żołnierzy razem z czterema końmi wciąż ciągnęła dziewięciofuntowe działo przez szeroki pas ziemi, wzniesając kołami i zniszczonymi butami kurz. Armata wbijała się w podłoże, gdy sprowadzali ją ze szczytów wzgórz i przeprawiali się z nią przez strumienie. Potykali się, pchali i przeklinali.

Konie schudły; jeden z nich zdechł, a trzeci pomocnik, który wcześniej pracował jako rzeźnik, poćwiartował klacz i wszyscy się najedli, a potem zwinęli paski koniny, żeby zabrać ze sobą. Miejsce klaczy zajął koń Hiszpanów, zabrany od protestującego rolnika, który groził im sierpem, a kiedy go odepchnęli, wrócił z wrzaskiem i rzucał się, więc trzeba go było przygwoździć do ziemi i uciszyć bagnetem.

– Ostrzegałem go – powiedział Pye, wycierając ostrze o trawę.

Nikt nie mógł sobie pozwolić na utratę konia. A już na pewno nie rolnik uprawiający słabą ziemię. Pomoc konia przekładała się na różnicę między dobrymi zbiorami a głodem. Bez niego rolnikowi i jego rodzinie śmierć już pukała do drzwi; Pye tylko je otworzył i wpuścił ją do środka.

James spróbował powiedzieć do klaczy kilka słów po hiszpańsku. Były to zupełnie przypadkowe sprostowania i prośby o piwo i ciasto, ale ich dźwięk zdawał się ją uspokajać. Zatrzepotała długimi rzęsami, a potem szturchnęła go pyskiem. Jej skóra wyglądała jak stary aksamit naciągnięty na wiklinę.

W czasie płytkiego snu jesiennej nocy w Estremadurze zwinęty w kłębek pod dziewięciofuntakiem James śnił o tym, że armata była jego matką, a on sam szczenięciem; pozostała czwórka, sierżant Pye i reszta, to inne śmierzące psy z miotu.

Zatkał uszy mchem, żeby nie słyszeć odgłosów miasteczka i obozu; muzyki, seksu i walk.

Nastał już środek zimy, a oni wciąż nie dotarli jeszcze do Salamander, miasta-jaszczurki. Teraz najwyraźniej znowu kierowali się na wschód, przez wysuszony busz. James nie

rozumiał zupełnie zakrętów i zmian kierunku, chyba że miasto przed nimi uciekało.

Miejscowi chowali bydło i zapasy: tylko to wyjaśniało puste palisady, szopy, stodoły i małe gospodarstwa. Żołnierze kradli i wygrzebywali, co tylko się dało, ale wciąż byli głodni.

Pewnego dnia, późnym popołudniem, oddział Jamesa przedarł się przez mały dębowy lasek w nadziei na odnalezienie schowanych owiec czy bydła, albo przynajmniej ptactwa. Szanse były niewielkie, ale głód popychał ich do przodu. Drzewa rosły rzadko, poszycie wyschło, nie słyszeli nawet ptaków. Miejsce zostało całkowicie wyczyszczone, nie ostał się choćby gołąb. Maszerowali w ponurej ciszy, zziębnięci, puszczając ustami obłoki pary, powłócząc nogami przez opadłe liście na dnie żlebu. Pye już się odwracał, żeby coś powiedzieć i – zapewne – by się poddać, kiedy do ich uszu dobiegły odgłosy kroków i chrapliwego chrząkania. James obrócił się i zobaczył dzika, zbiegającego ze wzniesienia w ich stronę. Pye przesunął się na bok i szybko załadował broń. Strzelił zwierzęciu prosto w pokryty szczecinaą pysk, zmieniając go w krwawą papkę, ale dzik nadal na nich nacierał, popychany przez ciężar bezwładnego ciała; James zrobił unik, Pye skoczył w bok, a inni się rozpierzchli. Zwierzę, martwe w czterech piątych, uderzyło w dno żlebu i tam się zatrzymało, gdy zapadły się pod nim nogi. Stali i patrzyli. Potem dzik zacharczał i przewrócił się na bok, zabulgotała krew. Chwila ciszy, a potem śmiech Jamesa: oznaka ulgi. Pierwszy raz od bardzo długiego czasu w jego wnętrzu rozwiązał się ciasny węzeł. Najedzą się tej nocy do syta.

– Ktoś ma przy sobie jakieś jabłka? – zapytał sierżant Pye.

– Jaja – odparł James. – Szynkę i jaja.

Kucnął przy martwym zwierzęciu i spojrzał na nabrzmiące, zarumienione sutki.

– To maciora. Gdzieś w pobliżu muszą być jej młode. – James podniósł się. – Nasłuchujcie.

Robiło się ciemno i coraz zimniej. Stali w ciszy. Dźwięk okazał się mieć niemal zbyt wysokie natężenie, by go usłyszeć:

cichy pisk, prawie jak u nietoperza. James podniósł rękę i pokazał innym, że mają ruszyć za nim. W połowie drogi na szczyt znaleźli legowisko wykopane między korzeniami drzew. Tuzin wtulonych w siebie warchlaków. Patrzyły na nich swoimi małąnkimi oczkami. Były silne, odżywione mlekiem i żołądziami; trzepotały bladymi rżesami. Potem James wyciągnął rękę, żeby podnieść jednego z nich, a całe stadko natychmiast się rozpięchło. Mężczyźni rzucili się za nimi, przeskakując nad kępami; śmiejąc się, przeklinając i wołając jeden przez drugiego, wszyscy poświęcili całą uwagę gonitwie, jakby byli z powrotem w domu i biegli za tłustymi wieprzkami po rynku.

James złapał jednego za ogonek i wcisnął między kolana. Nabił gardło zwierza na bagnet. Szarpało się i wykrwawiało. Kiedyś, na farmie, podstawiłby wiadro, żeby potem zrobić kaszanke. Nigdy by nie pomyślał, że będzie kiedyś tęsknił za starą jędzą i jej gotowaniem.

Ruszyli dalej z muszkietami opartymi o ramiona i lochą kołyszającą się na żerdzi, którą niosło dwóch żołnierzy; warchlaki wbili na drugi, wyglądały jak krety. Zapadł już zmrok, ale wzeszedł księżyc i jego kojący blask pozwolił im wrócić do obozowiska.

W jednej chwili James czuł się szczęśliwy, a sekundę później obudził się w nim strach. Rozejrzał się dokoła – szli przez suchy żleb, między kamieniami i niskim jałowcem; zimowa trawa ocierała się o ich opinacze. Cały świat przybrał granatowe i białe barwy w blasku księżyca i nic się nie zmieniło, ale James wyczuł zagrożenie. Dawało o nim znać jego cierpnące ciało. Nie groziło im nic namacalnego, jak wycelowany muszkiet czy rozpędzony dzik: na tego rodzaju niebezpieczeństwo wpadasz zupełnie nieświadomie, wesoło gwizdząc pod nosem.

Zsunął broń z ramienia.

– Sierzancie?

Kamienie i trawa, a wyżej wierzba i głązy. Cisza, ale tak płytka, jak wstrzymany oddech.

– Sierzancie Pye?

Pye spojrział na niego i jego uśmiech zniknął. Uniósł rękę, żeby zachowali ciszę. Sam odezwał się szeptem.

– Widzisz coś, kmiotku?

Wszyscy teraz w milczeniu rozglądali się dokoła, sięgając po muszkiety. Zmiana atmosfery: byli nieostrożni, a Pye im na to pozwolił.

– Cóż, cóż, moje panienki – wydyszał Pye. – Zbierajcie halki, wracamy.

Żadnych rozmów, tylko dudnienie ciężkich butów po suchej ziemi i chrapliwe oddechy z równie suchych gardeł. Kiedy wyszli ze żlebu, znaleźli się jakąś milę od obozu. Wystarczyło wyjść za poskręcaną sosnę i znajdą się na otwartej przestrzeni, a najgorsze będzie za nimi.

Sto metrów. Siedemdziesiąt. Jeszcze pięćdziesiąt. Uda im się. Wyglądało na to, że im się uda.

Pye musiał myśleć to samo, bo odwrócił się, żeby rzucić przez ramię:

– Przestraszyłeś mnie, Jimmy, chłopie...

I właśnie wtedy wystrzelono pierwsze pociski.

Wszyscy padli, sięgając po muszkiety. James przyklęknął na jedną nogę, potem położył się na brzuchu, opierając broń o ramię i rozglądając się dokoła: wszystko tonęło w srebrnym blasku księżyca i mroku. Obok niego sierżant Pye wysyczał rozkazy. Strzały odbijały się echem po żlebie, odbijając się chaotycznie o kamienie. James przyjrzał się niebu, wierzchołkom drzew, głazom. Cisza.

– *Deje las armas!*

Szamocząc się i skręcając na ziemi, James poszukał wzrokiem człowieka, który to wykrzyczał. Żadnego ruchu, żadnego szelestu krzaków.

– *O matamos a todos ahora.*

– Odłóżcie je – powiedział Pye. – Odłóżcie muszkiety.

Żołnierze spojrzeli na niego; ich twarze były blade w blasku księżyca. Sierżant szarpnął głową: „no, ruszcie się”. Znaleźli się na otwartej przestrzeni: nie mogli walczyć z wrogiem, którego nie

widzieli. Krople potu na czole Pye'a błyszczały w nikłym świetle. Dowódca dał podwładnym przykład, odkładając swój muszkiet. James z ociąganiem zrobił to samo, umieszczając chłodny metal na wysuszonej trawie. Pozostali również wypełnili rozkaz i słychać było stuknięcia lufy o lufę.

Potem zbliżyli się do siebie, stając jeden obok drugiego. James poczuł, jak Pye ociera się o jego ramię, a sam otarł się o Stephensona. Słyszał ich oddechy, szybkie i chrapliwe. Wciąż się rozglądał. Dziki leżały porzucone w piachu.

Potem wreszcie dojrzał ruch, wysoko na zboczu. James szturchnął sierżanta i uniósł brodę: bandyci pokazali się między głazami. Ześlizgnęli się na dół po piachu, a potem zebrali wokół żołnierzy. James widział biel zębów chłopca, gdy ten je wyszczerzył. Mężczyźni nieśli ze sobą zapach świeżego powietrza i piżma, jak jelenie; starszek pochylił się i podniósł muszkiety, a potem wsunął je pod ramię jak szczapy. Ich przywódca, o twarzy równie pobrużdżonej co ziemia, powiedział coś po hiszpańsku, a James rozpoznał kilka słów: *ingleses*, *idiotas* oraz *hijos de puta*.

Każdy z nich był chudy jak patyk.

Podnieśli lochę i warchlaki, a potem zabrali ze sobą na górę, kołyszące się na tyczkach, ścieżką między kamieniami, której nie dało się zauważyć, o ile nie widziało się idących po niej ludzi. Później po prostu rozplynęli się w mroku i zniknęli. Jamesowi pozostał tylko obraz białych, wyszczerzonych zębów.

Ktoś cicho zagwizdał.

Ktoś inny powiedział:

– Skurwiele.

Pye wytarł czoło rękawem.

– Mieliśmy szczęście.

– To było szczęście?

– Straciliśmy tylko obiad. Mogło być gorzej. Mogli nas poćwiartować. Gdybyśmy trafili na Francuzów, odcięliby nam fiuty i kazali je zjeść.

A potem Pye odwrócił się i ruszył dalej, powłócząc nogami, aż na koniec żlebu, gdzie rosła poskręcana sosna.

Na skrzyżowaniu za Alba de Tormes, gdzie zatrzymali się pewnego zimnego poranka, by napoić konie, James odczytał napis ze słupka milowego: *Salamanca 15 Millas*.

– Możemy tam dotrzeć przed zmrokiem – powiedział.

Sierżant Pye wyszczerzył zęby.

– Wszyscy zjemy dzisiaj bułeczki z masłem z Salamanki!

Potem nadszedł rozkaz, rozchodząc się po kolumnie w postaci szemrania, niczym podmuch wiatru w dolinie: mieli wrócić do Portugalii. James zamarł, patrząc na mijających go ludzi z końmi, ślizgających się na błocie i stukających o kamienie, a wózek z działem odjechał znowu na zachód. Potem ocknął się i podbiegł, żeby ich dogonić. Złapał za wózek i wspólnie pchali armatę, oddalając się od Salamanki. Oddalając się od miejsca, do którego z takim trudem próbowali dotrzeć.

Przyszedł grudzień. Z białego nieba na pola sypał się drobny śnieg, wirując w powietrzu.

W Sahagún de Campos James przekonał się, że odczuwany przez niego wcześniej głód był niczym. Teraz poznał inną kreaturę, mocniejszą, silniejszą, bardziej nieustępliwą: zżerała go od środka i zaciskała mu skronie, wyostrzała zmysły, przyprawiała o nerwowość i wybuchowość.

Kiedy zjawili się w miasteczku, pełno w nim było żołnierzy; dopiero co przegonili Francuzów. Wspaniałe zwycięstwo, powtarzali oficerowie, a do tego mimo przeważającej siły wroga. Zapisze się w historii, jak Crécy albo Azincourt. Kiedy Anglicy będą mówić o swojej chwale i hańbie Francuzów, wspomną o Sahagún de Campos i pokręcą głowami w zachwycie.

Miasteczko okazało się ordynarne, brudne i pełne przemocy. W ciemnych uliczkach za kościołem San Tirso, pod jego łukami, zbierali się biedacy. Myli się w wodzie z przypiływu, w ich wielkich oczach odbijał się blask księżyca, kolana i łokcie straszyły wystającymi kośćmi.

Żołnierze w czerwonych mundurach i artylerzyści też tam szli; korzystali z przyjemności, kiedy tylko mogli. I, na Boga, kobiety i dzieci sprzedawały się dość chętnie. W takich czasach nie

miały praktycznie wyboru.

Ale chodziło o to – Pye zaśmiał się i wypił szklankę cierpkiego wina, którego było już za dużo i sierzant przekroczył już granicę między pożądaną wesołością a obrzydliwymi zwierzeniami – że świeży kawałek ciała, o ile cokolwiek w tym zapomnianym przez Boga dole kloacznym było świeże, dało się banalnie łatwo dostać; te dzieciaki porażały swoją naiwnością. Nawet nie trzeba im nic dawać – wystarczy obiecać; ufali naiwnie. To przez ich niedojrzałość, okrutnie głupią młodość. A kiedy spełniło się swoją zachciankę, nie trzeba wcale oddawać herbatnika czy kawałka chleba, bo co taka dziewczyna miałaby niby zrobić? Zawalczyć o zapłatę? Ha! Może rzucić się na żołnierza z *nożem*?

James zalał mdłości winem, nie patrząc na sierzanta.

Sam przeszedł się po wąskich uliczkach. Nie pożył tych worków kości; nie potrafił pojąć, jak można czegoś od nich chcieć – na ich widok czuł tylko bolesny żal i gwałtowny gniew. Rozumiał już teraz radość płynącą ze wszystkiego, czego do tej pory nie doceniał: ciepłego łóżka, szklanki mleka, kolejnego dnia upływającego tak samo jak poprzednie, gdy chce się tylko znaleźć dobry kamień, by przepędzić złodziejskie gawrony.

Trafił na ubraną w łachmany dziewczynę, niosącą mniejszego chłopca na biodrze. James miał ze sobą kawałek chleba – wyciągnął go i podał nieznajomej. Spojrzała na jedzenie, a potem na niego. Potem, mrugając powoli, postawiła chłopca na ziemi i szepnęła mu coś do ucha, na co on usiadł i włożył kciuk do buzi. Dziewczyna podeszła do Jamesa z miną winowajcy i rozpinając guziki.

James włożył chleb w jej dłonie; uniósł ręce i odsunął się, kręcąc głową.

– Nie. Nie.

Odwrócił się i uciekł, a dziewczyna ścisnęła palcami chleb, nie wiedząc, co począć. Kiedy popatrzył na nią zza rogu alejki, zobaczył, jak kuca przy chłopcu; podzieliła podarunek na pół i żując swoją porcję, przyglądała się, jak dzieciak mieli dziąsłami

twardszą skórę.

Odszedł z poczuciem winy i niepokojem. Tylko odwlecze to, co nieuniknione. Nawet nie wiedział, czy dobrze postąpił.

Zobaczył, jak sierżant spaceruje po krużgankach San Tirso. Jego charakterystyczny śmiech, znikający w mroku ciemny płaszcz...

Zobaczył, jak sierżant podnosi jakiś szkielecik i przyciska do ściany, a potem szarpie się z guzikami bryczesów.

Zobaczył, jak sierżant odchodzi z przydziałem, a za nim rusza grupka dzieci, w milczeniu i z szeroko otwartymi oczami.

James zacisnął i rozprostował palce. Widzieć to i nie zareagować: splamił się.

Z powodu głodu spał płytko i z przerwami: śniły mu się wygłodniałe postaci, przyciskające swoje popękane usta, by ssać jego wargi. Obudziły go dreszcze; na niebie nad nimi krążyły wrony.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem nadeszły rozkazy do wymarszu. Noc była zimna i mokra. Śnieg mógł spaść w każdej chwili, ale nie było ani śladu szronu, więc został tylko siarczysty mróz, kiedy rozbili obóz i przypięli konie do działa.

Konie stały w postronkach, a muszkiety przykryli płótnami, żeby ochronić je przed śniegiem. Sierżant Pye nie wrócił. James został wysłany na poszukiwania; wiedział, gdzie je rozpocząć. Wpadł na niego na tyłach San Tirso, stał w bocznej uliczce, z fiutem w rękę; próbował się wysikać. Pye uniósł wzrok, pełen bólu i gorączki. Zauważył Jamesa i próbował ukryć przyrodzenie.

– Miałem pecha – stwierdził.

– Sierżancie.

– Nie piśniesz słówka, Jimmy.

Podciągnął bryczesy, odsuwając materiał od bolesnego miejsca.

– Sierżancie.

Wyprostował płaszcz.

– To jak będzie?

– Wydano rozkaz wymarszu, sierżancie.

– No to do roboty. Ruszamy, do cholery.

Żołnierze opuścili Sahagún w sypiącym się z nieba śniegu. Stawiali ostrożnie pokryte odmrożeniami i pęcherzami stopy, żeby znaleźć Francuzów i z nimi walczyć. Dokuczała im warstwa zimnego błota i wysokie koleiny; przeszli tak może trzy mile, wlokąc się niemiłosiernie, kiedy goniec przemknął koło nich na koniu, przyskajac błotem i pędząc jak na skrzydłach. James uniósł głowę, otarł oczy i zastanowił się przez chwilę, a potem ruszył dalej. Pół mili później z początku kolumny dotarł do nich rozkaz: „zawracajcie!”. Na południu zauważono potężny oddział Francuzów. Zbliżał się Napoleon i zamierzał ich oskrzydlić. Musieli biec.

Nie mogli biec. Nie z dziewięciofunciakiem i na wychudzonych koniach. Mogli się co najwyżej wlec.

Mieli teraz maszerować do La Coruñy; wszystkie siły kierowano nad morze. Miasto wciąż znajdowało się w rękach Brytyjczyków i było gotowe do obrony; zabunkrują się tam do czasu, aż marynarka zdoła ich ewakuować. To nie porażka! Zupełnie tak, jak trzeba wycofać rękę, by wyprowadzić cios, tak oni muszą nabrać rozpędu, żeby przypuścić atak. Popłyną do domu, przegrupują się i wrócą; pokażą tej korsykańskiej cipie, ciągnął dalej Pye, coraz bardziej zajadłe, ze śliną zbierającą się w kącikach ust, rozbudzając żołnierzy tak, że omal nie zrobiło im się ciepło; ich wzrok nabierał ostrości, a ramiona odrobinę się wyprostowały i zaczęli przypominać sobie, co to znaczy walczyć dla Anglii i trzymać głowę wysoko. Ale James nie myślał o niczym innym, jak o powrocie. O żywopłotach pełnych ptaków i jagód. O mleku. O łagodnym słońcu. O staruszkę, który pozdrawiał cię na drodze i nie spodziewał się, że zrobisz z niego krwawą miazgę, ukradniesz mu obiad, zgwałcisz żonę i spalisz dom.

Kiedy przechodzili przez wioskę, trzymając się końca formacji, w czasie piętnastej godziny trwającego trzydzieści sześć godzin marszu, James potknął się o coś miękkiego i twardego jednocześnie, lądując na dłoniach i kolanach. Palce zatopiły się w błocie, golenie zrobiły się mokre; droga śmierdziała winem i

krwią, a w ciemności leżały małe zawiniątka. Zrobiło mu się niedobrze: poznał po zapachu – krwi, uryny i słodkawej woni – że ma do czynienia z ciałem, a do tego na pewno dziecięcym. Podniósł się i ruszył dalej.

Zbliżył się do idącej przed nimi pary koni, złapał za wodze i położył dłoń na aksamitnej szyi. Wyszeptał przypadkowe hiszpańskie słowa i maszerował, podpierając się o zwierzę. Buty Jamesa zupełnie przemokły, z filcowych opinaczy zostały szmaty. Nogi miał słabe, a brzuch bolał go z głodu.

Oprócz tego czuł strach. Ten prawdziwy, nie tylko świadomość własnej śmiertelności. Teraz towarzyszył mu stały szum, który wzbierał i wzbierał, aż w końcu o niczym innym nie potrafił już myśleć.

Kiedy nad ranem rozkazano im się zatrzymać, nie mieli gdzie się schować przed zimnem. Jakąś milę przed nimi, obok drogi, znad niskich, wałących się domków unosiła się strużka dymu. James odpiął parę koni od działa i poprowadził je w stronę osady. Jego myśli zaprzętały trzy słowa: schronienie, pasza, sen. Ale ledwo zaśnie, zaraz znowu się przebudzi. Strach nie pozwalał mu odpoczywać zbyt długo.

Konie maszerowały po pełnym kolein polu, trzymając głowy nisko. James otworzył zapadnięte drzwi, a grupka żołnierzy w czerwonych mundurach spojrzała na niego znad ognia; kilku z nich sięgnęło po muszkiety.

– Artyleria – powiedział, żeby wyjaśnić granatowy strój.

Wtedy rozluźnili się, widząc, że był jednym z nich. Zaprosili go do środka.

– No to włącz, skoro już przyszedłeś.

Z domu została sama skorupa; dach w połowie się zapadł. Kiedyś była to stajnia albo stodoła, podzielona na boksy, z niepewnego, podziurawionego przez robaki drewna; w kącie leżały resztki siana. Poprowadził tam konie, a one zaczęły je powoli przeżuwać.

Żołnierze rozpalili ogień z drewna, które zebrali w budynku. Rzucili na nagie kamienie kawałki krokwi, podłogi i zniszczonego

dachu. Stare drewno ładnie się paliło.

– Przygasa.

James usiadł i przyglądał się migoczącym płomieniom. Strach ucichł do szeptu: mężczyźni rozmawiali, ale nie rozumiał o czym i nawet nie próbował zrozumieć; nie mógł już mówić. Odchylił się do tyłu, stopy wystawił do ciepła. Zamknął oczy.

Kiedy się obudził, żołnierze zniknęli. Konie również. Kiedy wyszedł na zewnątrz, nie zobaczył też kolumny.

Strach zmienił się teraz w potwora, który pełzał po nim, zasłonił mu twarz i dostał się między włosy, a James nie mógł oddychać, nie mógł myśleć i tylko patrzył przed siebie na otaczającą go biedę, pustą drogę, a potem odwrócił się, by spojrzeć tam, skąd przybył.

Został sam.

Dlaczego go nie obudzili?

Oto i myśl.

Ponieważ ukradli konie.

Kolejna myśl.

Trochę to pocieszające, że potrafił jeszcze myśleć.

Zadrzał i potarł ramiona dłońmi.

Uniósł wzrok i spojrzał na wiszące wysoko blade słońce. Środek popołudnia.

Ale tego samego dnia czy następnego?

Skazany sam na siebie, czuł paraliżujący strach przed drogą. Przecinała otwartą przestrzeń, pola, nagie z powodu zimy; czuł się odsłonięty jak wesz na łysej głowie.

Łatwo było śledzić drogę przebytą przez kompanię: odcisnięte w zmarzniętej ziemi buty, zgubione opinacze, złamana oś wozu, odchody, plamy żółtego moczu na śniegu. Nie odważył się iść samym traktem, więc podążał wzdłuż niego, po drugiej stronie rowu, potykając się o kamienie i przedzierając przez poszycie. Wciąż oglądał się przez ramię, wpatrując się w horyzont za plecami; włoski na karku stawały mu dęba.

Wieczorem natrafił na martwego konia; ktoś już zdążył oderwać kawałki mięsa z udźca. Sam odciął pasek i żuł go po

drodze; był suchy, okryty zaschniętą krwią i wspaniale zaspokajał głód.

James nie przerwał marszu, kiedy zaczęło zachodzić słońce i wreszcie zapadł zmierzch; wędrował dalej w ciemnościach. Znów stał się niczym: ruchomym błotem, pełzającym po powierzchni ziemi. Doczołga się z powrotem do kompanii. Tam będzie bezpieczny, w tłumie. Aż do La Coruñy, gdzie marynarka ich wykopie i załaduje na statki, jak nocne brudy z wychodka.

Pierwszych maruderów spotkał następnego dnia; ich sylwetki uformowały się z kurzu: kapliczka przy drodze i dwóch siedzących przy niej mężczyzn. Malowana drewniana Madonna miała wydlubane oczy, a liście i jagody u jej nagich stóp pokrył szron. Niżej było źródło, tworząc nieckę wśród kamieni; czysta woda burzyła się tam jak wrzątek w garnku, a znad jej powierzchni unosiła się niewyraźna para. Żołnierze już ugasili pragnienie i teraz odpoczywali. Wyglądali wyjątkowo czysto; jeden z nich jeszcze wycierał szyję wilgotną ściereczką. James powłókł się w ich stronę.

– Anglik! – zawołał, machając rękami.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, a jeden pokiwał głową. Nic jednak nie powiedział.

– Dzięki Bogu, że was znalazłem!

Padł na kolana przy źródle i złączył dłonie, żeby zaczerpnąć wody. Poczował smak siarkowej wody oraz potu i brudu swoich własnych rąk. Odwiązał krawat, żeby go namoczyć i obmyć się z kurzu.

– Daleko stąd jest główna kolumna?

Mężczyźni znowu spojrzeli po sobie.

– Zgubiłem się i zostałem z tyłu. Próbuję dogonić was od... kilku dni...

Pokręcił głową, pokonany przez niemożliwy do oszacowania czas.

Jeden z nich się zaśmiał; zupełnie bez radości.

– Słucham? O co chodzi?

Żołnierz pokręcił głową.

– Francuzi się pokazali? Zostaliśmy pokonani? Czy to pogrom?

Wtedy jeden się odezwał. Pochodził z Walii, a jego akcent okazał się tak silny, że przez chwilę James nie do końca go rozumiał i dopiero kiedy słowa już padły, a mężczyźni wstawali i podnosili swoje tobołki, pojął znaczenie tego, co usłyszał.

– Robimy, co możemy, przyjacielu, żeby się zgubić na dobre.

Trzy dni później natrafił na ostatnie szeregi armii na granicy małego miasteczka kupieckiego. Odczuł ulgę tak wielką, jakby ktoś zdjął mu z ramion ogromny ciężar i zaraz miał pofrunąć do nieba jak latawiec. Hałas, głosy, znajomy chaos i smród: obrzydzało go to, ale przynosiło też poczucie bezpieczeństwa.

Sto metrów w głąb paskudnego wojskowego bałaganu znalazł oficera, zasalutował mu i podał swoje imię. Oficer kiwnął głową i wysłał Jamesa do dużego budynku na rynku, z eleganckimi fasadami i balkonami, przeznaczonego dla oficerów.

Podał raz jeszcze swoje nazwisko i funkcję napotkanemu tam urzędnikowi. W ciemnej poczekalni młody mężczyzna przeglądał swoje listy, marszcząc brwi; miał na szyi czyraka. Po chwili wstał od biurka, otworzył drzwi i wyszedł na foyer. Kiedy wrócił, towarzyszyło mu dwóch uzbrojonych strażników.

– Oto on. Róbcie, co trzeba.

Strażnicy złapali Jamesa za ręce i wykręcili mu je za plecami. James starał się na to nie pozwolić.

– Nie rozu... Dlaczego?

– Jesteś deztererem.

– Nie...

– Twój sierżant na ciebie doniósł.

– Skoro zdeztererowałem, dlaczego wróciłem?

Urzędnik wzruszył ramionami.

– Deztererzy czasem wracają. Widzą, jak to wygląda. Wolą wrócić.

Z rękami w kajdanach, został zaciągnięty do piwnicy, śmierdzącej winem i myszami, do której światło wpadało tylko przez wąskie kraty wysoko w ścianie. Ktoś rzucił na niego koc;

James owinał nim sobie ramiona i usiadł, opierając się o zimną ścianę z kamienia, a potem zamknął oczy. Strach schował zęby, ześlizgnął się z niego i zwinął w kłębie. Nie mogą go zbyt długo trzymać, skoro mają rozkaz wycofania się. Będą go musieli stąd wyciągnąć na przesłuchanie, wtedy wszystko się wyjaśni, a on nie zawaha się przed wskazaniem winnych. Tamci żołnierze pozwolili mu spać, kiedy armia wyruszała, a do tego ukradli mu konie – oczywiście mało prawdopodobne, żeby ich znaleźli; może nawet sami zdezerterowali i zabrali zwierzęta, żeby na nich jechać, a nie je zjeść. Ale liczyło się jedno – miał co do tego pewność i niezachwianą wiarę – że to tylko pomyłka: nie zdezerterował i nie zostanie ukarany za coś, czego nie zrobił.

Godziny wlekły się niemiłosiernie; światło wpadające zza krat zmieniało położenie. James zasnął z opuszczoną głową i śnił o farmie. O trawie na łąkach, błękitnym niebie i dzikich truskawkach. O dżentelmenie, który zmierzwił mu włosy i powiedział, że James to fajny chłopak, a potem zapytał, czy jest szczęśliwy.

Budząc się powoli, poczuł tęsknotę za domem, którego nigdy naprawdę nie miał. Gdyby udało mu się przeżyć odwrót i wszystkie potyczki, na które mogą się natknąć po drodze, gdyby dotarł do La Coruñy i nad morze, gdyby wsiadł na pokład statku do Anglii – gdyby po prostu przetrwał tę katastrofę i kolejne, jakie pojawią się w ciągu następnych jedenastu lat jego służby – pewnego dnia wróci do Hertfordshire. To coś, co warto sobie obiecać i na co warto czekać: raj na końcu drogi. Jeśli staruszek przeżyje do tego czasu, James go odnajdzie: pana Benneta, który tak wiele lat temu okazał tyle troski, by zapytać Jamesa o szczęście. Pan Bennet to dobry człowiek, ważny człowiek, najważniejszy w całej wiosce pod Meryton; jeśli pan Bennet go przyjmie, James zostanie jego wiernym sługą.

Wyprowadzili go na oślepiające, zimne światło; stopy zapadały się w ziemię. Wrzaski ogłuszały. Szarpano go i popychano przez rozmazane plamy czerwieni i granatu. Maleńkie krople mroźnego deszczu szczypały go w twarz.

Uwolnili z kajdan jedną rękę, a potem przypięli ją z powrotem; jego ramiona otaczały drewniany słupek. Wydawało się to zbędne. Starał się powiedzieć, że niczego nie będzie próbował – ale w ustach mu zaschło i ledwo zdołał coś wychrypieć, a strażnik nie usłyszał albo nie chciał usłyszeć. Ale James dostanie jeszcze głos, pozwolą mu wszystko wyjaśnić.

Zebrani na miejscu artylerzyści tworzyli śmierzące kłębowisko bladego granatu. Sierżant Pye pojawił się w zasięgu wzroku, rozgorączkowany i błyszczący. Odczytał zarzuty: James patrzył na poruszające się usta i starał się rozróżnić słowa; potem pojawiło się zrozumienie, a razem z nim wezbrała fala przerażenia, najpierw obejmująca jego kostki, potem uda, a nawet usta i nos. Szarpnął kajdany; pokręcił głową. Jego spękane usta wreszcie się rozchyliły:

– Nie...

– Opuszczenie posterunku, utrata cennych dóbr, dezercja...

– Nie!

– Dezercja w obliczu wroga...

– Nie jestem dezercerem...

Sierżant Pye trzasnął go w tył głowy. Kość policzkowa uderzyła o słupek.

James miał milczeć.

Fakty mówiły same za siebie.

James wypluł krew. Język odnalazł złamanego zęba. Oczy zaszyły mgłą.

Pye kontynuował odczytywanie zarzutów.

Dezercja w obliczu wroga. Najpoważniejsze przewinienie żołnierza.

Zmącił mu się wzrok. W uszach mu dudniło. Zamrugął, żeby pozbyć się z oczu krwi.

Ponieważ naraził swoich kompanów na niebezpieczeństwo. Ponieważ jego przyjaciele musieli mierzyć się z tym, z czym on nie chciał.

Karą za dezercję w czasie wojny jest śmierć.

W plamie światła, przez szczypiącą w oczy krew, po drugiej

stronie rynku James zobaczył wychudzone dziecko, które wpatrywało się w niego, trzymając mniejszego szkraba na biodrze.

Dostał gęziej skórki. Jego ręce bezmyślnie szarpnęły kajdanami, gdy chciał przetrzeć oczy – czy to dziewczyna, której podarował kawałek chleba w San Tirso? Ale widział wszystko jak we mgle i nie mógł jej dojrzeć: zacisnął powieki i oddychał głęboko. Potem znowu je uniósł i patrzył na drugą stronę rynku.

Okazą mu łaskę, ponieważ wyraził skruchę i powrócił.

– Pięćdziesiąt batów.

I wtedy właśnie, kiedy rozebrali go z płaszcza i koszuli, zdał sobie sprawę z tego, co się zaraz wydarzy, i że może już tylko to przeżyć i przetrwać. Strach opanowałby go całkowicie, zatrzał mu krew i wywołał majaki, ale kiedy pierwszy bat rozdarł mu skórę, James zamknął oczy, zagryzł mocno usta i przycisnął czoło do drewnianego słupka. Oddychał. To nie będzie trwać wiecznie, powiedział sobie. Kiedyś nadejdzie koniec.

Ból okazał się niesamowity. Pierwszy bat przyniósł srebrny rozbłysk, który zbladł do czerwieni i płonął dalej. A kiedy bicz syknął i liznął skórę, a potem syknął i liznął znowu, rozdzierając ciało, zabierał też jego strach; rwał przerażenie na krwawe, drżące paski. Kiedy James stracił przytomność, strach opuścił go na zawsze. Nie musiał się już niczego bać, nie po tym dniu.

Kiedy skończyli, a on zmienił się w okrwawiony kawał mięcha, wiszący na zakutych w kajdany rękach, zwalili go twarzą w dół na przodek działowy, do którego przypięli jego prawy nadgarstek. Jakby obawiali się, że ucieknie. Jakby mógł uciec. Jakby mógł uciec gdzie indziej niż do La Coruñy i w morze.

Kołysał się i szarpał, poraniony, całą drogę na brzeg.

Wypuścili go, gdy trzeba było bronić miasta.

Potrzebowano każdego mężczyzny, nawet przestępców i tchórzy. Jamesowi wciąż jeszcze nie wróciły siły i gorączkował, a na plecach piekły rany, które pękały i krwawiły.

Przed atakiem saperzy wysadzili magazyny z prochem, żeby nie znalazły się w rękach Francuzów. Mury miasta zdrząły; w niebo poleciały iskry, jak przy puszczaniu fajerwerków.

Wyciągnęli działo na zewnątrz. Z pięciu mężczyzn zostali już tylko James i sierżant Pye. Dołączyli do nich rudowłosy chłopak i krępy, łysy milczek w średnim wieku, który służył im teraz za kanoniera. Chłopak, ładowniczy, nie miał dwóch palców lewej dłoni, ale to nie miało znaczenia – powiedział i zaśmiał się, rozchylając bezzębne usta – bo może sobie zwalić drugą ręką. Dostali też nowe konie, w tym wynędzniałego hiszpańskiego gniadosza o stoickim wręcz spokoju. Zwierzę sapało przez nos na Jamesa, a on oparł czoło na policzku klaczy. Powiedział:

– *Mi querida, mi querida, mi querida.*

Pod nimi rozpościerał się busz, a za nim pełna kamieni równina. Francuzi tworzyli linię niebieskich mundurów, metalu, błyszczącej stali. Stara koszula na plecach Jamesa przyklejała się do ran. W milczeniu wypełniał rozkazy Pye'a.

W zatoce za nimi stały piękne i czyste statki, a ktoś powiedział, że mają szesnastego stycznia i nastał zupełnie nowy rok. James w ogóle tego nie zauważył, podobnie jak Bożego Narodzenia.

Nie czuł strachu. Był słaby i trzęsły mu się dłonie, a za każdy nieostrożny ruch płacił piekącym bólem pleców; jego ciało instynktownie próbowało tego uniknąć, ale James się nie bał. Pomyślał: jestem obolały, niezdarny i słaby, więc zapewne stracę dłonie i wykrwawię się na hiszpańskiej ziemi. Pomyślał: nawet tego nie poczuję – tego bólu, tego przerażenia – bo zaraz odejdę. Nie widział w tym już nic strasznego.

Kiwnął głową do kanoniera o chudej i pełnej zmarszczek twarzy. Jego dłonie wydawały się niepewne.

James wyciągnął do niego rękę.

– James Smith.

– Bill Hastings – odparł kanonier; jabłko Adama opadło, a potem wspięło się po jego wąskim gardle. Potrząsnął dłonią Jamesa i własną głową, zbyt zdenerwowany, żeby mówić dalej.

Za nimi stanął wózek artylerii z amunicją; obsługujący ją mężczyźni byli bladzi. Piechota otaczała ich po prawej i lewej, a na drugiej skarpie stanęło kilka innych dział; na przystani łodzie

przewoziły już żołnierzy na statki.

A dla nas, pomyślał James, przeznaczono obronę fortu: mieli tutaj umrzeć.

Nad głową przeleciała mu kula armatnia. Pofrunęła niedaleko miejsca, gdzie przywiązano konie; zwierzęta zarżały i zaczęły się szarpać. Pocisk wylądował w ziemi przed nimi; mężczyźni rozpierchli się i padli. Pye cały czas wrzeszczał. James wytarł piach z twarzy, wstał i wrócił do pracy.

Pod nimi doszło do starcia piechoty; muszkiety i bagnety, natarcia i uniki, i wrzaski na poznaczonej kamieniami ziemi.

– Żabojady nie mogą się do nas wedrzeć. – Pye wyszczerzył zęby. – Ich kawaleria nie może nas tutaj zaatakować. Mamy zbyt dobrą pozycję.

I miał rację. Walka trwała, ale żadna ze stron nie zdobywała przewagi. Impas. O zmierzchu Francuzi wycofali się na wcześniejsze pozycje. Bitwy nie dało się wygrać, ale wynik był łatwy do przewidzenia. Choćby nie wiadomo jak próbowali to sobie wytłumaczyć, Anglicy już zostali pokonani; może ich nie wybili w pień, ale zostali upokorzeni.

James patrzył, jak Pye bierze się za zagwożdżenie działa. Szczęk żelaza był zduszony, przytłumiony; Jamesowi ciągle dzwoniło w uszach po bitwie. Ciągnął armatę przez pół Hiszpanii i z powrotem, a teraz Pye sypał do niej żelazo i zostawia ją między kamieniami.

Obok niego kanonier złapał wodę, a potem wytarł szyjkę butelki ręką ubrudzoną kurzem i prochem, by podać ją Jamesowi. Teraz jego dłonie drżały bardzo wyraźnie; woda w butelce chlupała. Kanonier się roześmiał.

– Cholera!

Pokręcił głową i nic już więcej nie mówił.

James sięgnął po wodę. Jego ręka nie trzęsła się ani trochę.

– Skąd pochodzisz?

– Z Kentu.

– Tęsknisz?

– Och, na Boga, Kent jest cudowny. I mam wspaniałą żonę,

Mary. I dwóch chłopaków.

James pokiwał głową. Napił się, woda smakowała jak słodycze. Rozumiał już strach; wiedział, skąd się bierze.

Resztki piechoty zebrały się pod osłoną nocy na brzegu; ludzi przewożono na statki małymi łódkami. Artyleria miała ruszyć za nimi. Niektórzy już schodzili po skarpie; James nagle został sam z sierżantem. Pye pomachał w stronę przywiązanych koni.

– Zajmij się nimi.

James wślizgnął się między ich wychudzone piersi, a zwierzęta przestępowały z nogi na nogę. Mówił do nich, głaszcząc je po grzywach, żeby zachowały spokój. Zaczął odpinać klacz od wózka. Same się sobą zaopiekują i będą chodzić bez balastu do czasu, aż ktoś je sobie przywłaszczy.

– Nie marnuj czasu.

– Sierzancie?

James spojrzał na Pye'a. Miał krew na krawacie i pot na twarzy. Na nosie wyskoczył mu jakiś wrzód; podrapał go.

– Użyj swojego bagnetu, żołnierzu. Nie marnuj też kuli.

James tylko na niego patrzył.

Pye niecierpliwie machnął poczerniałą ręką na konie.

– Rusz się, do cholery.

James nie mógł się ruszyć; przełknął ślinę.

– Czy ja wszystko muszę robić sam?

Sierżant Pye wyciągnął bagnet i podszedł szybkim krokiem do zwierząt, a potem wbił ostrze w gardło hiszpańskiego gniadosza. Inne konie się odsunęły, spłoszyły, zarżały. Klacz padła na kolana, chociaż w pysku wciąż trzymała uprząż; krew tryskała z rany i wsiąkała w piasek. Skóra zatrzęszczała, trzasnął pasek; zwierzę przewróciło się na bok, uderzając głową o ziemię. Leżała, patrząc niewidzącymi oczami, przy nosie tworzyły się krwawe bąble.

– Pośpiesz się.

James poczuł, jak jego palce zwijają się w pięści, a potem prostują.

– Taki jesteś delikatny? – powiedział Pye. – Tak właśnie

myślałem.

– Sierzancie.

James sięgnął po bagnet. Pye odwrócił się i ruszył w stronę wychudzonego wałacha. Kiedy przyszło co do czego, czyn okazał się nie trudniejszy niż spadanie. Nawet łatwiejszy, ciało Jamesa bowiem nie protestowało. Przeszedł nad głową klaczy.

– Sierzancie.

Pye odwrócił się w jego stronę i już rozchyłał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy James złapał go za ramię i wbił w nie ostrze. Z początku czuł opór warstwy wełny i płótna, skóry, mięśnia. W środku było miękko. James poczuł, jak bagnet ociera się o kręgosłup. Zobaczył poczerniałe zęby trzonowe i czerwone wnętrza ust sierżanta. Szarpnął ostrzem do góry i przekręcił. Oczy Pye'a otworzyły się szeroko, pokazały się żółtawe i poznaczone naczynkami białka, rozszerzone źrenice.

James już z pewnością zabijał, nie miał wątpliwości; ale nigdy nie z tak bliska, nie w ten sposób, z ciepłą krwią na rękach i śmierdzącym oddechem na twarzy. Sierżant padł na kolana z wystającym z brzucha bagnetem. James zrobił krok do tyłu; Pye runął do przodu i wylądował na ziemi, nie zamykając już oczu i ust przed kurzem.

James odszedł. Nie ruszył za innymi na brzeg, ale zamiast tego wybrał drogę na ukos i schodził w dół, powłócząc nogami. Puścił bagnet, a ten brzęknął i odbił się z kamienia na kamień. Kiedy James dotarł na plażę, oderwał resztki butów i pozwolił, by opinacze same się odwinęły i spadły. Szedł boso, zostawiając za plecami La Coruñę, zostawiając armię, zostawiając krew i wszelkie nadzieje na powrót do domu. Jak mógłby tam teraz wrócić? Jak może zanieść tam to wszystko? Wędrował tak, by mieć morze po lewej stronie, a ciemny ląd po prawej, dopóki światła statków nie zniknęły z pola widzenia, a głosy nie zamilkły. Słyszał już tylko nocne ptaki i szum fal. Zdjął ubrania – wyblakły i zakrwawiony mundur, brudne bryczesy, śmierdzącą i lepką koszulę, pełną wszy. Wszedł w błyszczącą wodę.

Nie spodziewał się, że przeżyje. Nawet o tym nie myślał. Nie

czuł strachu. Chciał po prostu być czysty.



Rozdział III

1809

Sylwetka ubranej na czarno kobiety. Jakiś płyn w jego ustach; cienkie kozie mleko. Przełknął.

Potem było wąskie łóżko pachnące płótnem, promienie słońca wpadające gdzieś przez szpary w zamkniętych okiennicach. Głosy niosące się z dołu, staruszki, młodej kobiety i dziecka.

Po raz pierwszy spróbował się podnieść i zobaczyć, gdzie się znalazł, kto mu towarzyszył i co się działo; a zaraz potem pierwszy raz padł z powrotem na płótno, zaskoczony własną słabością. Kiedy wreszcie udało mu się wstać, podszedł do okna bosy, owinięty prześcieradłem, żeby ukryć swoją nagość. Pchnął okiennice i zobaczył małą wioskę, zbudowaną na wzgórzu nad brzegiem morza, skąpaną w słabym świetle wieczoru. Słyszał, jak kobiety trajkoczą nerwowo na dole, zaniepokojone odgłosami jego ciężkich kroków. Jedna z nich weszła po drabinie i zajrzała do niego przez okienko w podłodze. Miała twarz spaloną słońcem i zapadnięte usta z powodu braku zębów. Pozwolił się położyć z powrotem do łóżka. Staruszka mamrotała coś do niego.

– *Señora* – spróbował, starając się posklejać te kilka znanych mu hiszpańskich słów. – *Dónde... los ingleses?*

Staruszka uciszyła go i pokręciła głową.

– *No sé. Los ingleses se han ido.*

Odplynęli. Opadł z powrotem na łóżko i położył policzek na płótnie.

Kiedy odzyskał trochę siły, poszukał swoich ubrań. Płaszcz i koszuli nigdzie nie widział – pamiętał, że zdejmował je przed wejściem do wody – ale na oparciu krzesła wisiała czarna

płócienna torba, razem z nieznanym strojem, który najwyraźniej zostawiono tu dla niego. Podniósł niebieską koszulę rybaka i spodnie z szeroką nogawką. Kiedy się poruszał, skóra na plecach ciągnęła – widział brzeg ran, kiedy odwrócił głowę, a gdy ich dotknął, okazały się suche i zrozumiał, że się goją. Już ubrany, usiadł, żeby złapać oddech.

Powoli zszedł po drabinie z szerokimi szczebelkami. Niżej widać było światło słoneczne i czerwony blask ogniska, a do tego pachniało jedzeniem. Zobaczył też dziecko – jedno z tych chudziutkich dzieciątek z wielkimi oczami, które zdawały się straszyć w całym tym kraju. Dziecko mówiło szybko i kiedy odwróciło głowę w stronę otwartych drzwi, wiedział, że to nie ona, nie ta dziewczyna z San Tirso. Teraz zostały z nich już tylko kości; podobnie jak z wielu innych: poszarpane szmaty i zielonkawe piszczele w dziurze w Sahagún.

I Pye, gnijący w jakimś dole. Zepsuty jeszcze za życia. Z żółtymi oczami i otwartymi ustami.

Na zewnątrz kobieta ubrana na ciemno przeglądała sieci; dołączyła do niej dziewczynka, mówiąc coś i ciągnąc ją za ramię. Kobieta odwróciła głowę, żeby spojrzeć na niego ze spokojem świętej z obrazu. Jej włosy skrywała czerwona chusta; prawdziwa piękność.

Za plecami kobiety staruszka podniosła się i minęła Jamesa, wchodząc do środka. Wróciła z kubkiem rosółu i pokazała mu, żeby usiadł. Powoli opuścił się na kamienną ławkę, wziął naczynie, czując jego ciepło. Młodsza kobieta wróciła do pracy, a dziewczynka stanęła w progu i przyglądała się Jamesowi.

Panował cudowny spokój; słychać było tylko szum fal. Nawet mewy nie krzyczały. James próbował zrozumieć, co mówi staruszka.

Wcześniej mieszkał z nimi mężczyzna, jej syn, a mąż młodej kobiety; właśnie o nim opowiadała. Chociaż pozostałe Hiszpanki nie dawały innych znaków, że słuchają, starsza zamarła, a młodsza się wyprostowała.

James zrozumiał, że mężczyzna odszedł – umarł? Zabrali go

Francuzi albo głód, albo morze.

Powiedział:

– *Es triste...*

Machnęła tylko ręką, jakby odganiała smutek i myśli o zmarłym synu – chociaż jej oczy sugerowały, że żal jeszcze w niej pozostał. Pokazała na mieszczącą się niżej wioskę i mówiła dalej.

Rozumiał piąte przez dziesiąte. Widział miejsce, w którym okiennica opadła na zawiasach i wisiała jak złamane skrzydło, gdzie skruszyła się zaprawa, gdzie ogrody zarosły chwastami. Łódź wypłynęła na piasek. Spokój. Bezruch. Żadnych krzyków mew czy ludzi. Żadnych dźwięków prócz szumu morza. Ani żywej duszy prócz kobiet i Jamesa.

Prawdziwy z nich sekret, pomyślał. Bóg zupełnie o nich zapomniał.

– *Y usted* – powiedziała, stukając kościstym palcem o krzesło, a potem pokazując na pierś Jamesa. – *Y usted, también.*

– *Qué? Yo?*

– Umarłeś. Jesteś śmiercią.

Te słowa sprawiły, że młodsza kobieta popatrzyła na niego. Ich spojrzenia się spotkały, ale dziewczyna opuściła wzrok i wróciła w milczeniu do pracy.

Umarłem, pomyślał.

Zginałem i przeszedłem na drugą stronę. Żołnierz, którym był wcześniej – wszystkie jego czyny od początku służby, cała podróż do Portugalii i maszerowanie przez Hiszpanię, cały ten brud, krwawy chaos, który stał się jego udziałem, morderstwo – zniknął zupełnie.

– *Puedo* – spróbował i wszystkie kobiety spojrzały na niego, a młodsza nawet się uśmiechnęła. – *Puedo trabajar?*

Staruszka się zaśmiała. Dziewczynka popatrzyła na matkę, a potem na babcię, szeroko otwierając oczy i szczerząc białe zęby.

– *Trabajar!* Ale cóż może począć? Jest słaby jak niemowlę! – powiedziała.

– *Si, trabajo* – odparł. – Nabiorę sił.

Mała, lekka łódź leżała na brzegu niczym żółw. James

podniósł ją i przewrócił na drugą stronę. Czuł napięcie skóry na plecach i nagle ukłucia bólu.

Staruszka przyglądała mu się i cały czas mówiła, a on zrozumiał tylko tyle, że chodziło o jej syna, który odpływał z pozostałymi wieczorem, a potem wracał o świcie z łodzią pełną ryb. Widział to oczami wyobraźni: łodzie podpływające do brzegu nad ranem, ociążałe od ładunku. Kobiety i dziewczęta zbierały się na plaży, żeby powitać mężczyzn w domu. Kiedyś życie tutaj musiało być piękne.

Podwinął spodnie do kolan, a potem wspólnie wypchnęli łódź do morza; staruszka stanęła tam, gdzie nie docierała woda, żeby nie zamoczyć spódnicy. Łódka podskakiwała na pierwszych falach, James czuł ich prądy na łydkach, a potem nagle pojawiły się mewy, radośnie krążąc całym stadkiem, kierując się jakimś ptasim instynktem, który podpowiadał im, że mogą coś uszczknąć dla siebie. James obejrzał się i zobaczył matkę i dziecko na falochronie, przyglądające się jego zmaganiom. Młoda kobieta nie miała swojej chusty, a jej włosy połyskiwały w promieniach słońca, ciemne jak atrament.

Pomyślał sobie, że może robi to dla niej. Może powrócił z zaświatów, żeby jej było lepiej.

Potem woda zaczęła bulgotać i przelewać się przez szpary między deskami, staruszka krzyknęła i zaczęła machać rękami, a James poczuł, jak łódka szarpie i płynie inaczej, jakby miała zaraz utonąć, więc zaniósł ją z powrotem na brzeg, z chlapiącą i wylewającą się ze środka wodą, czując potworny ból pleców. Staruszka pomogła mu wynieść łódkę poza zasięg fal.

– Trzeba ją uszczelnić – powiedział po angielsku.

Kiedy spojrział znowu na falochron, kobieta i dziewczynka już odchodziły, z koszami opartymi o biodra, żeby zebrać, co się dało na głodującej ziemi.

Po krótkiej i męczącej próbie wypłynięcia do niczego się już więcej nie nadawał. Powlókł się z powrotem do chaty, rany na plecach znowu popękały i zaczęło się z nich sączyć. Czuł się słaby jak dziecko, dokładnie tak, jak powiedziała dziewczynka. Opadł na

ławkę i zamknął oczy przed słońcem.

Młoda kobieta usiadła obok niego.

– *Me llamo* Maria.

– *Me llamo* James.

Później dziewczyna wysypała na ziemię koraliki, zgubiony ółowiany śrut, stare ciężarki do łowienia ryb i zaczęła je układać, ale nie grała w kulki. Zapytał, czy może dostać nóż, a wtedy staruszka wyszperała dla niego wysłużone ostrze z kościaną rączką, cienkie po długich latach ciągłego ostrzenia. Sięgnął po wyrzucony na brzeg kawałek drewna, twardy jak kamień; odciął cal, a potem wygładził krawędzie i w końcu wyciosał kulkę. Cały czas siedział wyprostowany na kamiennej ławce przed drzwiami; nie mógł się garbić ani o nic opierać z powodu bólu. Później wypili rosół z kapusty morskiej i małży, a potem James wspiał się po drabinie do swojego kąta na górze i położył się na brzuchu. Kiedy brodził w płytkim śnie, myślał o trzech kobietach na dole, wtulonych w siebie jak szczenięta na podłodze przy palenisku, bo nigdzie indziej nie mogły spać.

Spodziewał się, że ból nie pozwoli mu wypocząć, ale w końcu zapadł w sen tak głęboki i ciemny jak morze, i równie nieokiełznany.

Kiedy schodził na plażę z narzędziami i dzbankiem w torbie, minął świątynię. Drzwi były otwarte, a w spowitym półmrokiem wnętrzu dojrzał trzy sylwetki: kobiet i dziecka, kilka świec, ale ani śladu kapłana.

Na brzegu rozpałił małe ognisko ze znalezionej przy brzegu drewna, żeby rozmiękczyć smołę; płomienie były niemal niewidoczne w wiosennym słońcu. Wiercił się niespokojnie, czując na twarzy gorąc i zapach smoły. Wszystkie przyniesione przez niego narzędzia – nóż, przebijak i młotek – straciły już swoją ostrość. Czuł się dziwnie, myśląc o tym, ile potu innych ludzi po nich spłynęło. James rozsmarował smołę po spragnionym drewnie, czując zimny dreszcz na karku. Ale bryza była ciepła i przynosiła ze sobą niepokojącą zapowiedź lata.

Od czasu do czasu musiał przerywać pracę. Zamykał wtedy

oczy i tylko oddychał głęboko, czekając, aż ból trochę odpuści i pozwoli mu kontynuować.

W pewnej chwili poczuł się obserwowany i rozejrzał się, ale nie zobaczył ani śladu kobiety czy dziewczynki.

Zasypał ognisko piaskiem i zostawił naczynie, żeby smoła stwardniała.

Wieczorem staruszka latała czerwone, płócienne żagle. Młodsza kobieta czasami śpiewała z córką. Miały przyjemne głosy z lekką chrypką. Księżniczki, rycerze, osły, macochy i domy zrobione z lukru oraz magicznych zaklęć.

Łódka wypchnięta na wodę kołysała się zawadiacko, jak młody żrebak. Zanurkował głęboko i wypłynął na powierzchnię bez tchu; jego skóra zaczynała się zrastać, a ciału przybывało siły. Podciągnął się do środka po drugiej stronie. Wojna zaczynała blaknąć i ginąć w oddali; język hiszpański w jego ustach stał się już znany niczym złamany ząb. Dzień się wydłużał i nastał środek lata. Kiedy wrócił do łóżka, kobiety nadal gawędziły, aż do późnej nocy.

Pewnego wieczoru młodsza kobieta dotknęła jego ręki, podając mu rosół.

Tamtej nocy leżał z otwartymi oczami, słysząc głosy z dołu, mówiące cichym hiszpańskim coś, co brzmiało jak modlitwa. Wyślizgnął się z pościeli i podszedł do okna, by rozchylić okiennice. Noc skrzyła się gwiazdami.

Staruszka zaniósła żagle i linę na brzeg; dziewczyna wlokła się za nimi ze złożonymi sieciami. James postawił cienki maszt, a potem pomógł kobiecie założyć żagiel. Młodsza zwinęła sieci, a potem oboje wypchnęli łódź głębiej. Do kolan w wodzie, wsiadła na pokład w przemoczonej spódnicy; James zajął miejsce obok niej, kołysząc łódką. Kobieta rozwinęła żagiel; ten złapał wiatr i wyrzucił się, a potem już płynęli w stronę zachodzącego słońca.

Pokazała mu, jak zarzucać sieci. Jedna się rozdarła i wyjęli ją pustą. Druga była pełna ryb, tak ciężka, że musieli ją wspólnie wtaszczyć na niebezpiecznie przechyloną łódkę. Rozsypali srebrzyste ciałka na pokładzie. Tak długo pozostawione samym

sobie, ryby rozmnożyły się i obrosły tłuszczem w czasie wojny.

Tamtego ranka na plaży płonęło małe ognisko. Staruszka i dziewczynka, które ich odprowadzały, pomagały im też powrócić.

Wypatroszyli ryby i wysuszyli na słońcu, wieszając je na sznurku jak pranie.

Potem przyszła jesień i dni stawały się krótsze. Staruszka powiedziała, że pójda się pomodlić do świętego Michała, żeby podziękować Bogu za opiekę i zesłane im dary.

James kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Patrzył na ich ciemne sylwetki w drodze do maleńkiej świątyni. Kiedy miał już pewność, że oddały się modlitwie, wymknął się na brzeg i poszedł na niski przylądek. Ziemia osuwała mu się spod stóp, trawa rosła cienka i rzadka jak włosy staruszka, piasek nieustannie wędrował i zmieniał swój kształt; białe muszle i wyblakłe kości, a potem czaszka owcy, wyczyszczona do cna przez ptaki, na której widok zatrzymał się na chwilę – nie z powodu tego, czym była, ale czym mogła być wcześniej... Dalej wyminął wszy piaskowe i wyschnięte wodorosty, docierając do krańca świata.

Wszedł w płytką wodę. Fale omywały mu stopy i kostki. Uniósł dłoń do oczu i spojrział w dal. Zrobił jeszcze kilka kroków do przodu, moczając sobie podwinięte nogawki spodni. Raziło go wiszące nisko słońce. Pomyślał, że nawet nie wie, czego szuka. Nawet nie wie, co to za morze; czy to samo, które wcześniej przepłynął, czy inne. Nie wie nawet, co zastanie w Anglii, jeśli uda mu się tam wrócić.

Kiedy wrócił do chaty, ujrzał ją inną. Nastął chłód końca lata, cienie wydłużały się; w domu zbierało się zimno, tworzyły się kałuże, a potem jeziora, które łączyły się ze sobą i nagle opanowywały całą przestrzeń. Może to tylko kwestia zmiany pory roku; może po prostu kończył się dzień, ale coś sprawiało, że powietrze wydawało się ciemne, płynne i zbyt gęste.

Zebrali się w pomieszczeniu na dole. Dziewczyna wślizgnęła się do środka, a razem z nią kot, który się do nich przybłąkał. Dziecko usiadło po turecku na podłodze i zaczęło układać swoje skarby według rozmiarów i kształtów. Kot wyciągnął się wygodnie

i patrzył, jak poruszone kulki powoli zamierają. Zwierzę spodziewało się młodych. Zapewne żywiło się mewami i szczurami, kiedy zabrakło lepszego pożywienia. Zostały z niego tylko skóra i kości, a barki i biodra wydawały się tylko nosidłem dla okrągłego brzucha.

Kobiety tak wyraźnie unikały jego wzroku, że czuł się obserwowany. Widziały, jak idzie na przyładek i wchodzi do wody? Czy to było zabronione? Wiedział, że im się nie spodoba; w końcu po to czekał, aż zostanie sam.

Kiedy wreszcie podano posiłek, kot podniósł się i zaczął kręcić się domownikom między nogami, miaucząc. Podał mu kawałek, który mógł być jakimś owocem morza, a może ślimakiem. Kotka usiadła wesoło z podarunkiem i zaczęła go przeżuwać zębami jak igiełki.

Dziewczyna patrzyła na to przez chwilę, a potem spojrzała mu w oczy. Odstawił kubek i wyciągnął do niej zwinięte dłonie, knykciami do góry. Dotknęła lewej. Rozprostował palce, a na jego szorstkiej skórze leżała nowa kulka, wycięta z drewna przyniesionego przez fale, wygładzona tak, jak tylko potrafił, z drobną falą na środku, która miała wyglądać jak kolorowe spirale, jakie znajdowały się w szklanych kulkach w czasach jego dzieciństwa. Gdzie teraz, w czasie świętego Michała, w krzakach dzikiej róży czerwienią się owoce, a jeżyny zwisają z gałązek jak latarnie, kusząc ptaki, podobnie jak jego, gdy był młodszy; on też kiedyś ogryzał puszystą słodycz rocznych jabłek, wydłubywał ziarenka z owoców dzikiej róży, żeby zjeść skórę, plamił sobie palce na fioletowo, zającując się jeżynami.

Kotka ocierała się o jego nogi, a potem zwinęła się w kłębek na kolanach. Poczul nieprzyjemne ruchy młodych w jej brzuchu, wijącą się naturę, i siedział sztywno.

Kobiety milczały.

Czego się domyślały? I czego chciały? Wyczuły, że marzy o powrocie do domu?

Obudziło go jej ciało. Wystające kości bioder i ramiona, chłodna jedwabistość jej skóry. Była chudziutka jak whippet i

przyjemnie ciepła. Nie wiedział, że jej pożąda, nawet nie znał tego uczucia, dopóki nie owinęła się wokół niego swoimi kośćmi, ścięgnami i miękkością, a on na chwilę całkowicie przepadł w pocieszę, jaką dawało jej ciało. Maria. Pierwsza kobieta, którą poznał.

Nie wiedział, dlaczego wcześniej nie wpadł na to, że jest im potrzebny; że jego obecność zmienia głód w dobrobyt. Pracował, bo praca to obowiązek. Pracował, bo były dla niego miłe. Pracował, bo jeśli komuś w ten sposób pomoże, stanie się lepszym człowiekiem.

Staruszka przyjrzała mu się, gdy schodził rano na dół. Maria wymknęła się w nocy, jak moskit. Dziewczynka rozłożyła kulki na podłodze, ale nie patrzyła w ogóle na Jamesa, jakby doskonale wiedziała, co się stało, i uznała to za zdradę.

Poszedł na plażę i pracował nad łodzią, a koło południa Maria przyniosła mu kubek rosołu i usiadła obok niego. Zachowywała się sztywno, odwróciła głowę, jakby patrząc na niego kątem oka mogła wierzyć, że jest kimś, kim nie był. Wykopał dołek w piasku, wciskając palce i ocierając knykcie.

– *Espero* – powiedział. – Mam nadzieję...

Ale słowa nie chciały przyjść w żadnym języku. Miał nadzieję. Na co? Że kobieta dożyje starości i umrze łatwą śmiercią, a w międzyczasie nie będzie szczególnie cierpieć. Miał nadzieję, że pewnego dnia pojawi się tu ktoś, kto da jej szczęście. Miał nadzieję, że jej córka będzie miała lepsze życie. I że mu wybaczą.

A kiedy odeszła, wracając do chaty i poletka warzyw wśród piasku, James nakrył oczy kapeluszem i podniósł kołnierz koszuli, żeby ochronić kark przed słońcem. A potem przeszedł plażę w kierunku przylądka w oddali; do butów na podeszwie z liny wpadał mu piasek, a słońce świeciło wysoko na niebie, by potem opaść niżej, przed Jamesa, który szedł w męskim stroju, zostawiając za plecami matkę martwego mężczyzny, wdowę i sierotę, całe życie nieboszczyka.

Zebrał muszelki. Bładoróżowe wachlarze, niebieskawe uszy muła, spirale kredowej bieli. Wrzucał je do swojej torby jedną po

drugiej.



Rozdział IV

1810

W Lizbonie kapitan statku wziął go za Hiszpana: James miał skórę spieczoną na brązowo w hiszpańskim słońcu, a angielskie słowa w jego ustach stały się twarde jak kamienie. Kapitan z radością wpisał go na listę – trudno było skompletować załogę, kiedy marynarka zabierała każdego mężczyznę, który jej się nawinął, a armia hurtowo wyrzynała resztę. Ten młodzieniec wydawał się zdrowy na umyśle, bystry i posłuszny, a do tego gotowy do pracy.

James zachował własne zdanie dla siebie i nie opowiadał o sobie zbyt wiele. Zostawił też koszulę, chociaż podejrzewał, że wśród załogi znalazłby się niejeden mężczyzna z podobnymi bliznami. Lepiej unikać pytań i starać się nie wyróżniać, jak najmniej zwracać na siebie uwagę reszty świata.

Popłynęli z Lizbony do Rio z listami i ładunkiem płótna. James miał za dużo pracy, żeby poczuć chorobę morską, a zmęczenie nie pozwalało mu na nic innego niż spanie w każdej wolnej chwili w kołyszącym się hamaku. Wrócili z Brazylii do Portugalii z kawą; cały statek przesiąkł jej zapachem.

Z powrotem w znajomym porcie, James milczał i schował zapłatę do kieszeni, a potem zacisnął mocno powieki przed widokami z dalekiego lądu i wywoływanymi przez nie wspomnieniami. Załadowali statek beczkami porto i baryłkami pełnymi pomalowanej na niebiesko porcelany. Popłynęli na Antiguę.

W angielskim porcie powietrze było ciepłe i gęste od zapachu zepsucia. Niewolnicy nigdy nie wchodzili na pokład od czasu wprowadzenia nowego prawa, ale wciąż nimi handlowano,

wciąż wykorzystywano ich do pracy. Niewolnicy uprawiali trzcinę cukrową, ścinali ją i wyrabiali z niej cukier, a potem wozili na rynek. Niewolnicy zbijali wózki, na których ładował, obijali żelazem koła, podkuwali konie, smarowali zaprawą cegły, wykładali dachy gontami i strzechą, gotowali, rozpalali ogień, opiekowali się chorymi i oblewali się potem.

Turlający beczki James sam otarł pot z czoła i patrzył, jak ze statków na nabrzeże schodzili nowi więźniowie, pobrzękując łańcuchami; byli brudni, chorzy i wygłodzeni, ale widział – po sposobie, w jaki trzymali głowy i rozglądali się po porcie – co sobie myśleli: „To nie może być prawda, ja tego nie akceptuję”.

Niewolnicy, którzy przyplływali z plantacji, wyglądali inaczej. Byli bardziej zamknięci w sobie i nie dało się odczytać ich myśli.

Głos Anglika, słyszalny mimo dudnienia kroków, zaskoczył Jamesa tak bardzo, że aż się obejrzał. Wśród czarnoskórych dojrzał twarz białego człowieka (choć nie białą, ale różową i opuchniętą od gorąca i alkoholu), a widok ten wydał mu się nienaturalny i obrzydliwy. Angielski pośrednik albo steward przechodził przez tłum zebrany na rynku ze szpicrutą i w wysokich butach, oceniając mięso, rzucając słówko tu i tam, dobijając targu, zabierając towar. Doglądał interesów angielskiego dżentelmena, który wolał zostać w domu, a pieniądze wydać tutaj.

Kiedy James rozwiesił swój hamak i zamknął oczy, nadal to wszystko widział: ciemne oczy, błyszczący pot na różowej twarzy mężczyzny, tłum wlokący się w głąb ciemnej wyspy. Gdyby nie broń i bicze, ktoś mógłby po prostu unieść ręce i okręcić łańcuchami mokrą, różową szyję, a potem ścisnąć.

Załadowany zapieczętowanymi beczkami cukru statek ruszył do Lancasteru na dalekiej północy Anglii. Pewnej nocy, na zimnym Adriatyku, James śnił o niekończącym się marszu w błocie i śniegu; zobaczył samego siebie oczami krążącego nad nimi sępa, swój oddział, tysiące powłóczących nogami mężczyzn. Obudziły go dreszcze i mdłości, a także nowe zrozumienie panującej na świecie matematyki.

Oddałem swoją wolność jednym podpisem. Sprzedałem się. Wtedy wydawało mu się to tak mało znaczące; wolność zdawała się do niczego niepotrzebna.

Do domu goniły ich pasaty i w sierpniu 1811 roku przybili do portu świętego Grzegorza w Lancasterze. James spędził na statku prawie dwa lata. Wojna wydawała się należeć do odległej przeszłości; te mroczne wspomnienia nie mogły należeć do niego.

Patrzył na ruchliwe miasto. Pobliskie, świeżo wybudowane magazyny miały sześć pięter wysokości, a na frontach zamontowano wciągarki; trzeszczące liny podnosiły wysoko skrzynie. W porcie pełno było pracowników – mężczyzn, ale też kobiet, z podkasanymi spódnicami i podwiniętymi rękawami na wyraźnie zarysowanych mięśniach; niewiasty pracowały równie wytrwale i równie głośno, co mężczyźni, i klęły również tak samo. Nad tym całym chaosem górowało w oddali miasto ze złotego kamienia; prócz starego zamku wszystko było nowe i szykowne. Dało się zauważyć jasne iglice kościołów i wspaniałe domy z ogromnymi oknami i płaskimi frontami: handel z Afryką przyniósł miastu spore zyski.

Ale wystarczyło się tylko odwrócić i spojrzeć na lewo, na drugą stronę rzeki, żeby zobaczyć jedwabiste żytne pola, a za nimi niebiesko-fioletowe wzgórza, przypominające grzbiety wielorybów. A jeśli ktoś minął zatłoczone ulice handlowe, przeszedł te pola, wspiał się na te wzgórza – spokój, którego by wtedy zaznał, okazałby się niezwykle głęboki i czysty. James znowu poczuł to pragnienie, które pojawiło się u niego w Hiszpanii i przez cały ten czas spędzony na morzu czekało w uśpieniu: wrócić do Anglii i oddać się na służbę u dobrego człowieka. Wrócić do domu.

Poprosił o pozwolenie na zejście z pokładu, a ponieważ nigdy wcześniej nie sprawiał problemów, szybko mu go udzielono. W końcu co mógł złego zrobić w takim miejscu? Dlaczego Hiszpan miałby zniknąć w Lancasterze?

Z zapłatą w kieszeni i torbą na ramieniu, napił się z resztą załogi w gospodzie Trzej Marynarze, rozlatującej się spelunie na

nabrzeżu, powoli zapadającej się w błoto, na którym została wybudowana. Wypił pintę piwa, by uczcić ich bezpieczne przybicie do angielskiego portu i życzyć powrotu do zdrowia królowi, którego mocz zmienił kolor na purpurowy, a tłusty synalek – jak się okazało – rządził od lutego. Wypili też za zdrowie barmanki o mlecznej cerze, która uśmiechała się do Jamesa i miała piękne dołeczki. Odwrócił wzrok.

Kiedy zamawiali drugą kolejkę piwa, wstał i powiedział, że idzie się wysikać. Wyszedł bocznymi drzwiami gospody, ulżył sobie w śmierdzącej wygodce, zapiął guziki i odszedł, a potem szedł i szedł, mijając Cable Street, New Street z szyldami szewców, handlarzy herbaty oraz konia na biegunach, wiszącego nad drzwiami sklepu z zabawkami, z wyblakłymi łatkami, z grzywą i ogonem zniszczonymi przez pogodę. Na Market Street zatrzymał młodego dżentelmena z indyjską karnacją, żeby zapytać o drogę, ale okazało się, że trudno mu dobrać odpowiednie słowa. Młodzieniec pykał fajkę i słuchał uprzejmie, a potem wytłumaczył dokładnie trasę. James wkrótce maszerował South Road, a mijały go pędzące powozy i damy z parasolkami, trajkoczące w swoim trudnym do zrozumienia dialekcie.

Miesiąc zajęło mu dotarcie do Hertfordshire. Kiedy Jamesowi rozpadły się buty, wytargował sobie parę starych, pozdzieranych angielskich buciorów od bezzębnej kobiety w Bolton, która śmierdziała ginem. Gdy jego koszula zmieniła się w szmatę, kupił drugą w obskurnym sklepie w Digbeth, razem z angielskimi bryczesami, żeby ludzie nie brali go więcej za cudzoziemca. Przypalił szwy kawałkiem świecy, żeby pozbyć się insektów.

Wędrował w ubraniach obcych ludzi i z czarną torbą, wyblakłą teraz do szarości. Sypiał w chatkach pasterzy, żywoplotach i w przedsionkach kościołów; kiedy skończyły mu się pieniądze, wciąż było lato, więc nie sprawiało mu to żadnych problemów. Rozmawiał tylko z kilkoma napotkanymi ludźmi – rolnika zapytał o drogę, właściciela ziemskiego błagał o dzień pracy, u żony farmera kupił kubek mleka. Milczenie stało się dla

niego normą, a kiedy sytuacja wymagała słów, mieszały mu się języki.

Myślał teraz inaczej; w jego głowie nie pojawiały się już domy, farmy i pola, zamknięte przestrzenie; teraz liczył tylko dystans i trajektorie. Wyobrażał sobie linie, które wyznaczały jego drogę po lądzie i morzach.

– Przystojny z niego młodzieniec – podsłuchał rozmowę mleczarki z towarzyszką.

– Szkoda, że jest głupi. Ledwo mówi.

– To nie znaczy, że nie mogę go mieć, prawda?

Roześmiały się, a James poszedł dalej.

Kiedy nastala jesień, znalazł się w znajomej okolicy, zobaczył krajobrazy swojego dzieciństwa. Ruszył drogą do wyprowadzania bydła, biegnącą za farmą, gdzie się wychował i gdzie dalej rosła sykomora, na którą się kiedyś wspinał. Dom wciąż rozglądał się podejrzliwie spod niskich okapów. James nie zatrzymał się. Zebrał kilka jeżyn, owoców dzikiej róży i głogu, a potem zjadł po drodze, plamiąc sobie usta i palce sokiem.

Zapytał w gospodzie w Meryton, czy pan Bennet wciąż mieszka w okolicy; mruknął coś o pracy, że usłyszał co nieco od mijanego w drodze mężczyzny – ale właściciel był gadułą i nie wymagał żadnego tłumaczenia: owszem, pan Bennet nie wyprowadził się z sąsiedztwa, a jego dom znajduje się jakąś milę stąd, w wiosce zwanej Longbourn. Mieszkał tam z żoną i pięcioma córkami.

James patrzył na dom zza żywopłotu. Z drzwi frontowych wypadły młode damy i przez chwilę kłębiły się przy przełazie, by potem wyfrunąć jak wróbelki na drogę i zniknąć z pola widzenia. Patrzył, jak sam pan Bennet – starszy, zgarbiony – wyszedł z domu i przechadzał się bez konkretnego celu między krzewami, z rękami złączonymi na plecach. James musiał wybrać odpowiedni moment i właściwe słowa; ostrożnie ruszył alejką. Kiedy mijał łysy fragment żywopłotu, zobaczył dwie sylwetki na padoku. Jedną dziecka, a drugą młodej kobiety, która wieszała pranie na sznurku. Zatrzymała się i popatrzyła w dal.

Pół świata przebył, żeby tu dotrzeć. Oto jego dom.



Rozdział V

Ale teraz wszystko za późno!

Pan Hill, kiedy go obudzono i zadano mu pytanie, podniósł się i podciągnął pościel do piersi. Chętnie potwierdził, że nie wysłał służącego w żadnej sprawie, James nie wspominał też o planowanej tego ranka wyprawie do Meryton czy gdzie indziej.

– To nie znaczy, że nie poszedł. – Pan Hill przetarł oczy, a potem zaślinione usta. – Może musiał się udać do kowala albo w sprawie powozu do Harlow, po nowe części.

Jego koszula nocna była stara i cienka, więc czuł się nagi w towarzystwie tylu kobiet. Spojrzał na swoją żonę i dwie pokojówki, ich zamglone nieco postaci w padających przez okno skrzydłowe promieniach słońca z początku lata. Mogłyby przynajmniej dać mu chwilę na założenie bryczesów.

Pani Hill usiadła na łóżku, obciągając pościel na jego kolanach.

– Nic nie wspominał. Nawet słowem.

– Nie potrzebują teraz powozu, prawda? Ja pojedę. Tylko wyjdźcie, żebym mógł się ubrać.

– Nigdy nie zostawiłby koni – stwierdziła Sara.

– Słucham?

– Konie nie miały ani paszy, ani wody. Po prostu je... zostawił.

Pan Hill odnalazł rękę żony, leżącą tuż obok na pościeli. Ścisnął ją. Gospodyni spojrzała na ich złączone dłonie.

– Nie mógł tak po prostu odejść – powiedział.

Pani Hill pokiwała głową. Palce męża zacisnęły się mocniej; w jej oczach zaśniły łzy.

– Tak mi przykro – rzekł staruszek.

Stojąca w korytarzu Polly gryzła kciuk i patrzyła to na jedno, to na drugie, zaskoczona i zdenerwowana. Sara tylko kołysała się lekko w słońcu, a wyglądała przy tym, jakby ledwie bryza mogła ją przewrócić. Pani Hill zbladła, a jej mąż nagle zaczął okazywać ogromną troskę. Wszystko było nie tak. Polly się to ani trochę nie podobało.

– Porozmawiasz z panem Bennetem? – zapytał.

Pani Hill pokręciła głową: nie wiedziała.

– Co zrobisz?

Najpierw ścisnęła jego rękę, a potem puściła ją i podniosła się z łóżka. Minęła Sarę i Polly, by zejść ciężkim krokiem po schodach. Sara ruszyła jej śladem; Polly złapała ją za rękę, gdy przechodziła obok.

– Dlaczego miałyby coś robić? – szepnęła. – Dlaczego pani Hill ma mieć coś wspólnego z poczynaniami Jamesa?

– Nie teraz.

Sara delikatnie odepchnęła Polly.

– Pani Hill! – zawołała.

Gospodyni zatrzymała się na półpiętrze. Sara zeskoczyła szybko po stopniach.

– Proszę pani...

Patrzyła i czekała.

Sara nie wiedziała, jakich użyć słów, ale obraz, choć nieartykułowany, był silny: żołnierz biczowany w deszczu i jej ukochany z bliznami; odejście wojska i zniknięcie Jamesa – każde wydarzenie tłumaczyło drugie, a razem intuicyjnie tworzyły całość.

– Proszę pani, wojsko też wczoraj odeszło.

Pani Hill przełknęła ślinę i pokiwała głową.

– Mów dalej.

– Nie wiem, co zrobił...

– Co zrobił? – Gospodyni uniosła brwi.

– James. Pan Smith. Myślałam, że skoro już go ukarano...

– Nie rozumiem.

Sara poczuła suchość w ustach.

– Jestem pewna, wiem, że jest dobrym człowiekiem; zawsze był...

Pani Hill złapała ją za ramiona i potrząsnęła.

– Na Boga, wyduś to wreszcie!

– Wychłostano go.

Gospodyni odwróciła się i przycisnęła czoło do chłodnej ściany.

– Pani Hill...

Pokręciła głową, ocierając brwi o tynk. Nie tak wyglądała umowa. Nie za to zapłaciła tak wysoką cenę.

Czego się po nim spodziewa, chciał wiedzieć pan Bennet. Co dokładnie jej zdaniem powinien uczynić w tej sprawie?

Pani Hill zagryzła policzek: skąd ma wiedzieć? Nie jest wykształconym mężczyzną, dżentelmenem z dużą ilością wolnego czasu oraz pęczkiem ważnych i przydatnych znajomości w sąsiedztwie. Nawet nie wiedziała, co można zrobić, do kogo się zwrócić. Ale coś uczynić trzeba. Z pewnością tym razem nie można go zostawić.

Pan Bennet tylko bawił się filiżanką kawy i nie patrzył gospodyni w oczy. Jego dłoń, kiedy obracał nią porcelanowe naczynie, nieznacznie drżała.

– Zapewne chciałabyś, żebym zorganizował poszukiwania? Przeczesał całą wieś? – Zacisnął usta. – Młody człowiek nie wypełnił swoich zobowiązań, a podpisał papiery na pracę tutaj przynajmniej do dnia letniego przesilenia. Postąpił źle i sprawił nam tym wielki kłopot: możemy założyć, że nie chce zostać odnaleziony, inaczej nie odszedłby w ten sposób.

– Wojsko...

Pan Bennet zniżył głos; teraz wreszcie spojrział jej w oczy.

– Czego by od niego mieli chcieć? Odbił służbę, prawda?

– Nie wyjechał na wystarczająco długo.

Pan Bennet zamarł.

– Nie odsyłają do domu tak wcześnie – powiedziała. – Chyba że zostałyby kaleką.

- W takim razie jest dezerterem...
- Patrzyli na siebie bez słowa.
- Mógłbyś napisać – stwierdziła. – Mógłbyś napisać do pułkownika Forstera...
- I co miałbym tym osiągnąć?
- Tak dla pewności. Dowiedzieć się, czy został... pojmany.
- Pan Bennet podniósł jakąś kartkę z biurka i poprawił binokle.
- Chciałabyś, żebym napisał do dżentelmena i zapytał, czy przypadkiem nie mają w areszcie mojego nieślubnego syna?
- Twojego służącego.
- Co ludzie sobie pomyślą, nawet wtedy? Co powiedzą? Pan Smith decyduje o sobie i popełnia własne błędy. W końcu to dorosły człowiek. Kimże jestem, żeby się wtrącać?

Teraz jest dorosły, pomyślała pani Hill, ale nie zawsze tak było. Nie miało jednak sensu wyciąganie tego wszystkiego i wałkowanie po raz wtóry, więc tylko dygnęła, jak zawsze, i się odwróciła. Wyszła z biblioteki.

Pan Bennet zawołał za nią:

– Proszę zamknąć drzwi, pani Hill!

Ale ona zeszła do przedsionka i ruszyła na podwórze, znowu zostawiając otwarte drzwi, a potem pokonała kilka schodków. Jej stopy zachrzęściły na podjeździe, minęła bramę i już była na głównej drodze wsi Longbourn, gdzie dopiero zdała sobie sprawę z tego, co robi, i że ktoś mógłby ją zauważyć, jak wychodzi bez chusty, czepka i wyraźnego celu. Wspięła się na przełaz i kucnęła za żywopłotem. Na zaspie rósł szczawik, zaraz obok dzwonków, w trawie u jej stóp kiwał się pierwiosnek, a nad nim pochyliła się młoda krowa, trzymając nisko głowę, przyglądając się pani Hill wyłupiastym okiem. Zatrzepotała długimi rzęsami i polizała nos szorstkim i lepkiem językiem.

Gdziekolwiek jesteś, pomyślała gospodyni, Bóg cię obserwuje. Po prostu patrzy na ciebie swoim nieludzkim okiem, z bezdusznym sercem.



Rozdział VI

...dlugo jednak trzeba było czekać na jej listy,

a czytanie ich niewiele zabierało czasu.

Nadeszła paczka, zaadresowana do pani Bennet niedbałą ręką Lydii. W środku znajdują gruby i hojnie opieczetowany list do Kitty oraz cieniutki do pani Bennet, z byle jaką pieczęcią: zawsze tak to wyglądało. Oprócz tego dostali też oddzielną, równiutko złożoną kopertę z chyba tylko jedną kartką w środku, którą przywieziono aż z samego Londynu, by wylądowała w wysuszonych rączkach Sary i została przyjęta z gorzkim rozczarowaniem. Od pani Gardiner do Elizabeth.

Sara nie wiedziała, czego się spodziewała, ale z pewnością miała jakieś oczekiwania, inaczej nie czułaby takiej pustki w piersi. Nie wierzyła, że mógłby ją zostawić tak bez słowa i obietnicy powrotu, o ile naprawdę nie miał innego wyjścia. A to przyprawiało ją o dreszcze, mimo słońca padającego jej na twarz i ciepłego dnia, które wyciskały z niej plamy potu na żółto-zielonej sukni z popeliny. Czuła lodowate ukłucie w sercu, gdy myślała o tym, jakie okrutne go spotkało nieszczęście i że może właśnie potwornie cierpi, zupełnie sam, a ona nie może się do niego udać.

Wróciła przez łąki do domu; trawa rosła wysoka i ocierała się o jej suknię, plamiąc ją pyłkiem. W Longbourn młode panienki spędzały czas na świeżym powietrzu. Wróciła najlepsza letnia moda, pełna koronek i muślinów, pojawiły się też nowe czepki: damy wyglądały lekko i delikatnie jak motylki. Sara w tym czasie wlokła się po podjeździe i czuła, jakby do jej piersi przywiązano

kamień, a ona musiała taszczyć go ze sobą przy każdym kroku.

– Kiedy następnym razem będzie panienka pisać do panny Lydii – poprosiła Sara Elizabeth – czy mogłaby panienka zapytać ją, jeśli to nie kłopot, czy są jakieś wieści na temat pana Smitha w Brighton?

Elizabeth przeglądała listy i rozpromieniła się pięknie na widok koperty od ulubionej ciotki. Zawahała się przed przełamaniem pieczęci.

– Pana Smitha? – zapytała.

– Myślałam, że może pojechał do Brighton albo go tam zabrano. Myślałam, że może panna Lydia mogła tam o nim usłyszeć albo gdzieś go zobaczyć.

Elizabeth zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Przepraszam, kogo miałyby zobaczyć?

– Pana Smitha. Nie pamięta go panienka?

Brwi Elizabeth powędrowały jeszcze wyżej; Sara stała zbyt blisko, z wyciągniętą ręką: zapomniała się. Oprzytomniała teraz i cofnęła dłoń.

– Przepraszam, panienko. Naprawdę mi przykro, ale po prostu jeszcze chwilę temu był tutaj, z nami. To uczciwy młody człowiek, tak mówił ojciec panienki. Wszyscy tak mówili. Uczciwy młody człowiek z dobrej rodziny.

Elizabeth wreszcie zrozumiała.

– Och! *Smith!* Masz na myśli *lokaja!*

– Tak.

– Nazwałaś go *panem* Smithem i źle cię zrozumiałam; myślałam, że masz na myśli jakiegoś mojego znajomego. Myślałam, że mówisz o dżentelmenie.

– Przepraszam, że nie wyraziłam się jasno.

– Tak, opuścił nas dość nagle. Może dowiedział się o lepszej płatnej pracy. Ale twoim zdaniem miał powód, by udać się do Brighton?

Brighton to było coś: słowo, miejsce, możliwość.

– Być może.

– Cóż, w takim razie wspomnę o nim w następnym liście do

Lydii, skoro mnie o to prosisz. I poinformuję cię, jeśli przekaże mi jakieś wieści. Ale obawiam się, że myśli Lydii zbyt pełne są oficerów, żeby zaprzętała sobie głowę lokajem.



Rozdział VII

Żegnaj, smutku i nudo! Czymże są ludzie

w porównaniu ze skałami i górami! Jakież

cudowne chwile będziemy przeżywać razem!

W dniu letniego przesilenia pani Hill wybrała się do Meryton, żeby uregulować rachunki i przynieść coś od rzeźnika na obiad. Wyszukowała się do tego porządnie, na głowę włożyła odpowiedni czeppek, zawiązała ciasno troczki, a pod brodą zapięła fichu, żeby nawet skrawka ciała nie wystawiać bez potrzeby na słońce lub cudzy widok. Maszerowała ścieżką wyprostowaną, skryta pod parasolem. Pani gospodyni była personą godną szacunku. Wiedzieli o tym wszyscy w kuchni i w domu. I cały świat też się o tym przekonywał w te cztery dni w roku, gdy pani Hill udawała się do Meryton na uregulowanie rachunków.

Sara jednak potrafiła teraz dojrzeć prawdziwe ciało skryte pod fichu i czepkami. Kiedy Polly i pan Hill spali, gospodyni i pokojówka wyznały sobie nawzajem prawdę, wyciągając do siebie ręce nad stołem. Zaskoczenie Sary szybko zmieniło się w zrozumienie – wiedziała, oczywiście, jakimi prawami rządzi się młodość, chociaż trudno jej było sobie wyobrazić pana Benneta w tym wieku – a potem przerodziło się w gniew: *te wszystkie lata*.

– Ale ty, Saro... – Pani Hill pociągnęła nosem. – Myślisz, że to możliwe, by ciebie spotkał taki los?

Sara przesunęła paznokciem po jednym ze słoików, gdzie

wyszorowano do cna białe włókna. Pokręciła głową: miała już krwawienie.

Po chwili pani Hill powiedziała:

– Tak chyba jest najlepiej.

Kiedy pani Hill wyszła do miasta, w kuchni przez chwilę wszystko błyszczało i zapanowała cisza. W palenisku leżał popiół, a mąkę i smalec zostawiono na stole, żeby posłużyły do wyrobu babeczek. Pan Hill szwendał się gdzieś po posiadłości, zajmując się tajemniczymi sprawami. Sara i Polly siedziały cicho, nie chcąc niszczyć tego spokoju. Starsza z pokojówek gryzła palec i myślała: „Powinnam iść go poszukać; powinnam spakować torbę i ruszać”, a po chwili, równie żarliwie: „Muszę tu siedzieć i czekać na niego; to jedyne miejsce, w którym będzie się mnie spodziewał, jeśli kiedyś będzie chciał i mógł mnie odnaleźć”.

Myśli te kłębiły się bez końca i nie chciały się przerodzić w nic konkretnego.

– Też za nim tęsknię, wiesz – powiedziała Polly

Sara pokiwała głową; wiedziała.

– Co zrobisz?

Starsza z dziewcząt odsunęła się od stołu i wróciła do pracy, zbierając kilka pozostałych po śniadaniu muffinek i owijając je w szmatkę, a potem dorzuciła do nich jeszcze sera. Poszła do spiżarni i naląła piwa do butelki, którą potem zakorkowała.

– Chodź – powiedziała. – Załóż czepek.

Polly, która patrzyła bezmyślnie na zajęcie Sary, nagle się rozpromieniła.

– Gdzie idziemy?

– Na spacer. Muszę coś zobaczyć. Przekonać się, czy nadal tam jest.

Polly wyszczerzyła zęby.

Weszły na ścieżkę i za chwilę Polly radośnie szczebiotała, zbierając kwiaty. Okrzykami zachwytu witała każdą dziką różę, pszczołę i motyla, a także zająca, który uciekał przed nimi. Droga zaprowadziła ich w dół wzgórza, a potem przez drewniany mostek dla bydła nad rzeką. Wspięły się na następne wzniesienie, przeszły

przez las, by potem znowu zejść w dolinę. Przed nimi rozpościerał się szeroki pas pastwiska, na którym stały gromadki owiec; wszystko ogrodzone było wiklinowym płotkiem.

– Kiedyś była tu wspólnota gruntowa – wyjaśniła Sara. – Stały tu domy.

Dziewczyna przeszła na drugą stronę płotka, wbijając palce między gałązki wikliny; potem złapała Polly za rękę, żeby pomóc jej zejść. Owce przycięły krótko trawę, a w paru miejscach widać było suche linie, gdzie ziemia tworzyła cienką warstwę nad kamieniami. Sara przeszła wzdłuż znaków: cztery zawałone ściany, pas dzielący dom na pół; szpara, gdzie kiedyś stały drzwi, które drapały kury.

– Urodziłam się tutaj – oznajmiła Sara.

Polly uniosła wzrok znad bukiecika dzikich bodziszków, jaskrów i stokrotek.

– Gdzie? Tutaj?

– A przynajmniej tak mi się wydaje. W jednym z tych domów. Pamiętam te wzgórza. Skraj lasu. W tym miejscu stały chaty tkaczy. Mój ojciec był tkaczem.

– Cóż – stwierdziła Polly – teraz nic tu nie ma.

Dziewczyny znowu pokonały płotek i poszły nad brzeg rzeki, usiadły i zdjęły buty, a Polly położyła się i patrzyła przez ruchliwe liście i gałęzie na niebo niebieskie jak niezapominajki. Potem zwinęła się na boku, głowę ułożyła na ręce, mrugnęła kilka razy i zasnęła. Sara siedziała długą chwilę, wsłuchując się w bzyczenie much i brzęczenie pszczoł, wspominając chwile szczęścia i kobietę w wyblakłej czerwonej sukience, która odchodziła od niej przez wysoką trawę, na tle bezkresnego błękitnego nieba.



Rozdział VIII

Tylko jedną noc spędzili państwo Gardiner

w Longbourn. Następnego dnia wyruszyli

wraz z Elżbietą na poszukiwanie wrażeń.

W oczach wszystkich wokół pani Gardiner zdawała się zawsze gotowa chętnie oddawać dzieci pod opiekę kogoś innego, a śmierdzące pieluszki obcym służącym. Dla niej, jej męża i Elizabeth przyszedł czas trwającej trzy tygodnie podróży. Mieli zobaczyć Derbyshire z wygodnego powozu Gardinerów, a potem przyjrzeć się opiewanej przez poetów piękności Matlock, Chatsworth, Dovedale oraz Peak.

Elizabeth wyjechała bez słowa dla Sary; albo nie napisała jeszcze do Lydii, albo nie dostała odpowiedzi, albo nie znalazła w niej żadnych informacji o lokaju bądź też po prostu o całej sprawie zapomniała. Sara przygryzała paznokcie i patrzyła, jak powóz odjeżdża.

Pani Hill uczyniła to, co czyniła zawsze w trudnych czasach: oddała się pracy. A tej z pewnością nie brakowało, chociaż nie musiały już usługiwać dwóm pannom i prać ich brudów. Niestety przez większą część miesiąca zajmować się za to musiały dziećmi Gardinerów, a to oznaczało dodatkowe kłopoty, hałasy, posiłki i pranie. Obsrane pieluszki, obsikane łóżka: *praca*.

Życie, jak z czasem zrozumiała pani Hill, to próba wytrwałości, w której wszyscy ostatecznie przegrywają.



Rozdział IX

...ani cnota, ani rozsądek nie mogły jej obronić

przed tym, by stała się łatwą zdobyczą.

O północy przyjechał jeździec na koniu z pilnym listem. Chłopiec załomotał w zaryglowane drzwi, wywołując pana Hilla, który zszedł po schodach, mamrocząc coś pod nosem; tuż za nim maszerowała pani Hill z włosami splecionymi w długie, szare warkocze. Sara sfrunęła na dół, mijając ich po drodze, bosą i z chustą zsuwającą się z ramion.

To musi być James. Albo przynajmniej jakieś wieści od niego.

Polly zeszła za nimi wszystkimi, mrugając zaspana.

W foyer zastali pana Benneta ze świecą i otwartym listem w rękach, twarzą bladą jak szlafmyca i żoną wiszącą mu na ramieniu. Kitty, Mary i Jane stały na schodach; dzieci Gardinerów, w starym pokoju dla dzieci na piętrze, przespały cały harmider. List dostarczył młodzieńca, dwunastoletni może chłopiec z blond czupryną, który właśnie opierał się sennie o bok swojego wysokiego konia.

– Zapłaci pani posłańcowi, pani Hill? – zapytał pan Bennet.

Gospodyni pobiegła po swoją portmonetkę; odliczyła monety na pomarszczonej dłoni; przez cały ten czas pani Bennet ciągnęła swojego męża za rękaw, pytając o to, o co Sara, mimo palącej potrzeby, pytać nie mogła.

– Cóż to za pilna sprawa, mężu drogi? Och, mów szybko, błagam! Och, czy chodzi o którąś z moich ukochanych córek?

Na podjeździe gospodyni podała chłopcu pieniądze; włożył je do kieszeni i wspiął się na siodło. Ruszyli, wycieńczeni, w mrok, stając się łatwym łupem dla złodziei i rozbójników. Zaśpiewał słowik. Noc była piękna. Pani Hill wróciła do środka i zamknęła przed nią drzwi.

– Od kogo jest list? Co się stało, mężu? Chodzi o Lydię? Czy Lizzy? Och, jeśli przytrafiło im się coś złego, nie wiem, co pocznę! Nie zniosę ich krzywdy.

Pani Bennet słaniała się na nogach, kurczowo trzymając się małżonka.

– To od pułkownika Forstera – odparł.

Sara zrobiła krok do przodu.

– Co napisał?

W tym momencie pan Bennet ją zauważył, a także Polly i pana Hilla: w holu zebrała się cała służba, wszyscy stali się świadkami ich hańby.

– Pani Hill, proszę pomóc mojej małżonce wrócić do łóżka.

– Ale przecież musi chodzić o Lydię! O moją córunię! – Pani Bennet desperacko pragnęła poznać treść listu; odepchnęła gospodynię. – Co się z nią stało? Och, mówże!

– Nie wydaje mi się – odparł pan Bennet – by słusznym było dzielić się tym wydarzeniem z całym domem.

Złożył list.

– Saro, Polly, wracajcie do łóżek. Nie jesteście potrzebne.

Lydia odeszła. Skazała się na łaskę tego nikczemnika. Co ona sobie myślała? Pani B. mówiła głosem zduszonym i przerywanym łkaniem. Gospodyni przez chwilę obejmowała swoją panią, mrużąc jej do ucha pocieszające słowa, jak dziecku. Wszystko będzie dobrze, ciii, wszystko się ułoży, rano sprawa się wyjaśni, trzeba tylko poczekać. Puściła panią Bennet tylko na chwilę, żeby nalać wody i wkropić do środka dawkę laudanum, a potem, kiedy to nie wystarczyło na ukojenie nerwów, wypełniła szklanekę do połowy balsamem z Gileadu. Gdy przyłożyła naczynie do ust pani B., dama zaczęła sączyć pachnący brandy i ziołami napar.

Wyglądała na załamana. Gospodyni nie widziała jej w takim stanie

od poronienia, od którego minęło tyle lat. Pani B. ucichła, gdy trunki stępiły jej zmysły, a gospodyni okryła ją kocem i zostawiła na sofie.

Polly wgramoliła się do łóżka, ale Sara, zamiast powrócić na ciepły stryszek i do zatęchłego zapachu wspólnego posłania, włożyła buty i wyszła na podwórze, a potem wspięła się do pomieszczenia, w którym już nie było Jamesa, i schowała się pod pościelą, próbując poczuć resztki jego zapachu.



Rozdział X

...granic bezwstydu człowieka bezwstydneho.

Jane skreśliła notatkę, złożyła ją i zapieczętowała żółtym woskiem. Sara musiała oderwać się od porannych zajęć; słońce jeszcze nie wypaliło rosy z trawnika: sprawa była pilna.

– Zaniósłabyś to na pocztę, Saro? I mogłabyś też zapytać, czy nie ma dla nas jakiegoś listu.

Sara spojrzała na małą paczuszkę. Zaadresowano ją do panny Elizabeth, przebywającej w Lambton w Derbyshire.

– Tak, panienko. Zawsze pytam, panienko.

– Dobra z ciebie dziewczyna, dziękuję.

Jane posłała Sarze jeden ze swoich uroczych uśmiechów i dotknęła jej ramienia. Wszyscy wciąż udawali, że nikt nic nie wie o Lydii. Sądząc po niespokojnym spojrzeniu Jane, młoda panienka miała pewne podejrzenia względem tego, co mogą wspólnie robić mężczyzna i kobieta, jeśli da im się szansę: w jej oczach dało się dojrzeć obrzydzenie i rozpacz. Sara wyszła i zabrała chustę, a potem zeszła po schodach dla służby i zdała sobie sprawę, że jako jedyna zazdrości Lydii: móc przebywać ze swoim mężczyzną to coś wspaniałego. Nawet jeśli to tylko Wickham, z pewnością nie brakuje w tym radości.

Kobieta na poczcie w odpowiedzi na pytanie Sary pokręciła głową; nic nie mieli tego dnia dla Bennetów. Spodziewali się jakiegoś konkretnego listu?

Może wysłać chłopaka do Longbourn, gdyby coś przyszło później. Jeśli tylko Sara powie, skąd się spodziewali wiadomości, będzie wiedziała od razu i odeśle natychmiast, za niewielką opłatą...

– Nie trzeba, proszę pani. Mogę wrócić i sprawdzić jeszcze raz po południu. Czy jest jednak... – Sara zawahała się, wiedząc, jak dziwnie zabrzmiały w jej ustach następne słowa. – Zastanawiam się, czy przypadkiem nie ma czegoś dla mnie?

Wybuch śmiechu. Sara nic nie powiedziała; patrzyła spod ściągniętych brwi, jak zmienił się wyraz twarzy kobiety. Zdając sobie sprawę, że pytanie zadano na poważnie, uspokoiła się i znowu zaczęła się zachowywać profesjonalnie.

– Pójdę sprawdzić.

Sara podziękowała i patrzyła, jak kobieta sprawdza przegródki. Zajęło to tylko chwilę: za moment już odwróciła się z powrotem, z pustymi rękami zwróconymi ku górze, niczym święty z witraża.

– Oczywiście przyjedzie jeszcze jeden wóz pocztowy; jak sama zasugerowałaś, przyjdź po południu. Tak się zastanawiam... Skąd też teraz spodziewasz się listu?

– Dobra z ciebie dziewczyna, Saro – powiedziała Jane, kiedy pokojówka wróciła bez gorąco wyczekiwanych wiadomości. – Dziękuję za twój wysiłek. Możesz teraz zająć się swoimi obowiązkami.

Sara dygnęła. Zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Jane sam na sam ze straszliwymi wyobrażeniami.



Rozdział XI

Zaprowadziły go one tylko do Clapham i nie dalej...

– Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby wiedzieć, jaki z niego zły człowiek. Źle mu z oczu patrzyło.

Polly robiła, co mogła, żeby zachować powagę, ale wszystkie jej próby spęły na niczym; z podniecenia nie mogła usiedzieć w miejscu. Pobiegnęła do drzwi, kiedy pułkownik Forster zapukał, i z radością zaprowadziła go do pokoju śniadaniowego. Sama została na korytarzu – na wypadek, gdyby była potrzebna; taką sobie obmyśliła wymówkę – i podsłuchiwała bezwstydnie, kiedy pułkownik przekazywał wieści.

Nie zostały przyjęte ze spokojem; pani Bennet nie tylko znalazła się na krawędzi przepaści, jednym okiem patrząc w otchłań, a drugim na swój wygląd: rzuciła się w toń, a w locie zaczęła wymieniać wszystkie niedogodności swojego upadku. Dlatego Polly miała okazję usłyszeć sporą część tego, co mówiło się o całej sprawie, a całej reszty się domyśliła.

– I co powiedział pułkownik?

Polly uniosła brwi i wypuściła głośno powietrze ze zgorzenia.

– Cóż, okazało się, że Lydia...

– Nie... – Sara weszła jej w słowo. – Czy są jakieś wieści na temat pana Smitha?

– To pułkownik zna Jamesa? – Polly zmarszczyła czoło. – Skąd?

– Zastanawiałam się tylko, czy coś słyszał, gdy chodził wypytywać ludzi o Lydię...

– Chyba sama będziesz go musiała o to zapytać. Słyszałam

tylko o Lydii i Wickhamie, bo okazało się, że nie pojechali do Gretny, tylko do Londynu...

Kiedyś to miasto było dla Sary spełnieniem wszystkich marzeń, a teraz nie znaczyło dla niej nic. Ważna była tylko obecność pułkownika Forstera w Longbourn oraz to, że może coś wiedzieć o Jamesie. Jedno słowo mogło potwierdzić jej najgorsze obawy albo z miejsca je rozwiać. Właśnie dzisiaj mogła poznać prawdę. Czy został aresztowany, czy żołnierze zabrali go do Brighton. Czy wcielili go z powrotem do armii. Czy znowu go wychłostali.

Czy go zabili.

Ale pójdzie do niego od razu, jeśli tylko żyje. Musi tylko wiedzieć, dokąd iść.

– A więc nie wzięli ślubu, bo w Londynie nie da się tego zrobić od ręki, tak jak w Gretnie!

Pani Hill cały czas kiwała głową, zagryzając wargę.

– Pułkownik powiedział, że Lydia i Wickham zmienili powozy w Clapham, ale dalej ich już nie mógł wysledzić, chociaż pytał na każdej rogatce i we wszystkich gospodach w Barnet i Hatfield.

– I co potem? – zapytał pan Hill.

– Biedak, nie dość, że stracił tyle czasu i tyle kłopotu sobie sprawił, musiał jeszcze tyle się tutaj nasłuchać! Przywiózł wiadomość, jaką Lydia zostawiła pani Forster; pan i pani B. przeczytali ją wspólnie, a potem pani zaczęła krzyczeć i narobiła takiego rabanu, że wolałam stamtąd zmykać...

Nastała chwila ciszy, w czasie której Polly rozejrzała się, zadowolona, że uwaga wszystkich skupia się na niej.

– Szkoda, że nie widzieliście Kitty! Zobaczyłam ją, gdy zaniósłam herbatę. Wpadła w tarapaty, aż się skuliła, dosłownie się skuliła. A potem Jane zadzwoniła, żebym wzięła kolejny list na pocztę... – Zniżyła głos do teatralnego szeptu. – I wiecie co? Pan B. chyba słowa nie powiedział od czasu, gdy przeczytał wiadomość, którą Lydia zostawiła pani Forster.

– Pani Hill – powiedziała nagle Sara. – Zapytam pułkownika

o Jamesa.

Gospodyni zamarła i przygryzła usta.

– Nie rozumiem, co James miałby mieć wspólnego z pułkownikiem. – Polly czyściła paznokcie rogiem listu Jane. – Nienawidził żołnierzy.

– Cicho bądź, Polly. Powinam go mimo wszystko zapytać, prawda, pani Hill?

Gospodyni jeszcze przez chwilę trwała w bezruchu. Potem wyciągnęła rękę i zabrała Polly kopertę.

– Ja się tym zajmę. – Zawiązała chustę w ciasny węzeł pod brodą. – Saro...

– Tak?

– Powiesz mi później, jak ci poszło.

Na poczcie pani Hill podała list Jane, a kobieta przyjrzała mu się i zmarszczyła czoło.

– Źle go zaadresowano. Gdzie mamy go wysłać? To jest „l”? Czy to Derbyshire? Czy to znowu list do Lambton?

Gospodyni przytaknęła.

– Ledwo mogę to rozczytać. Nie mogę obiecać, że od razu trafi do adresata. Zresztą po co wysłać dwa listy tego samego dnia?

Pani Hill nie mogła ocenić charakteru pisma. Przyzwyczyła się jednak do tego, jak pracownica poczty lubi drobne sugestie zmieniać w potężne plotki, więc postanowiła od razu uciąć wszelkie spekulacje.

– Och, sama pani rozumie, jak to jest, gdy siostry są bardzo zżyte. – Wzruszyła ramionami. – Muszą ciągle się sobie zwierzać, prawda?

– Ach, sekrety.

– Nie! Żadnych sekretów. Nasze panienki to dobre dziewczęta.

– Ach tak – powiedziała kobieta, pochylając się nad ladą i opierając kościstą sylwetkę na skrzyżowanych rękach. – Tak, oczywiście, młode Bennetówny to dobre dziewczęta. Ale to tylko jedna strona monety, a druga to ci młodzi pankowie, ich nigdy nie

można być pewnym.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Nie wie pani? Nie słyszała pani o nieuregulowanych rachunkach w całym mieście? O długach hazardowych? Albo że niewiele kupieckich córek pozostało... – tutaj kobieta zniżyła głos do podstępного szeptu, nachylając się tak blisko, że pani Hill poczuła jej zgniły oddech – nietkniętych?

Pani Hill zeszywniała i zrobiła krok do tyłu.

– Takich rewelacji lepiej nie powtarzać...

– A Bennetówny najbardziej upodobały sobie niejakiego Wickhama...

– ...ponieważ tego rodzaju plotki nikogo nie stawiają w dobrym świetle: ani oficerów, ani kupców, z pewnością też nie ich córki, a już na pewno nie ludzi, którzy roznoszą takie wieści...

– Cóż, mam nadzieję, że nie sugeruje pani... – Kobieta się wyprostowała.

– ...ponieważ zawsze powtarzam, że kto jest bez grzechu, niechaj pierwszy rzuci kamień.

– Czyżby, pani Hill? – Pracownica poczty skrzyżowała ręce na mizernej piersi z manierą człowieka wygłaszającego argument wieńczący dyskusję. – To właśnie chciała pani powiedzieć, pani Hill?

Nie, nie przekaże tego dalej. Nikomu takie wieści się nie przysłużą; pogorszą tylko i tak złą sytuację. Dlatego pani Hill nie odzywała się cały dzień. Kobieta na poczcie uwielbiała plotki i nic o niczym nie wiedziała, z czego wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę. Ale mimo to plotki nadal rozsiewano, za każdym razem w udoskonalonej wersji, przez co wieści zdawały się zbierać patynę prawdy. Jedno było pewne: pani Hill nie przyłoży do tego ręki. Nie będzie plotkować.

Niestety do pewnego stopnia podzielała żale swojej pani, choć podchodziła do nich spokojniej. Pani Hill zmieniała Lyddie pieluszki, wycierała nosek i pielęgnowała w trakcie kolek i ospy wietrznej, dziecięcych chorób – a panienka wciąż jeszcze była dzieckiem, dziewczynką z brązowym znamieniem na łydce,

uwielbieniem do słodczy, śmiałym wzrokiem i zaraźliwym śmiechem. Pani Hill czuła jednocześnie żal i wściekłość: jakże tanio, tanio się sprzedawała.

Kiedy pani Bennet znowu zaczęła się wiercić i niepokoić, gospodyni dołała do jej wody dodatkową porcję laudanum, a potem jeszcze jedną, i pomogła jej wypić miksturę, po czym dama szybko znowu zamilkła. Gospodyni zgarnęła wyblakłe pukle z twarzy swojej pani, a potem wyszła usługiwać dżentelmenom. Pani B., męcząca i nerwowa, zawsze chętnie angażowała wszystkich w swoje cierpienie. Ale gdyby małżonek kochał ją tak, jak powinien – szczerze i bezgranicznie – czy uważałaby za konieczne ciągle domaganie się oznak miłości, wiecznie się rozczarowując?

Kiedy pani Hill odpowiedziała na wezwanie do biblioteki, znalazła pana Benneta zwiniętego na fotelu; pułkownik Forster stał przy kominku, z łokciem na gzymsie, wyraźnie rozgniewany.

– Spakuje mnie pani? – zapytał pan Bennet.

– A więc wyjeżdża pan do Londynu.

– Najpierw do Epsom, gdzie ostatni raz zmieniali konie.

Porozmawiam z pocztylionami, a potem... ruszę dalej.

– By odnaleźć Lydię.

– Muszą wziąć ślub. Zmuszę go, by ją poślubił.

Pani Hill pokiwała głową.

– Tygodniowy zapas bielizny?

– Jeśli wyprawa okaże się dłuższa, znajdę sobie praczkę.

Gospodyni poczuła guł w gardle, a potem powlokła się do garderoby i spakowała koszule, pończochy, krawaty, a potem dołożyła do nich gałązkę rozmarynu. W ten sposób, kiedy pan Bennet wyciągnie czystą koszulę w Londynie, pachnąca roślina wypadnie i przypomni mu, co był gotowy uczynić dla Lydii i jej honoru, a czego nie chciał uczynić dla innych, którym też wyznawał miłość, w innych trudnych czasach.

Kiedy pułkownik Forster wyszedł z biblioteki, Sara natychmiast do niego podbiegła, chowając do kieszeni ściereczkę do kurzu. Dżentelmen wydawał się zdziwiony, więc odważyła się odezwać pierwsza.

– Mogę w czymś pomóc, panie pułkowniku?
– Ach, tak. Szukałem, eee, wy...
– Za rogiem głównego budynku, panie pułkowniku, po drugiej stronie podjazdu. Tędy, pokażę panu.
– Nie trzeba, nie trzeba. Sam trafię.
Wyminął pokojówkę.
– Panie pułkowniku...
Zatrzymał się i obejrzał.
– Panie pułkowniku, pracował kiedyś u nas lokaj, może pan pamięta. Nazywał się James Smith... – Uniosła rękę i pomachała w powietrzu, jakieś sześć cali nad głową. I to przywołało wspomnienia: jego wysokość, łuk ramienia, rysy twarzy; nagle poczuła tak silne przyciąganie, że aż się zachwiała.
Pułkownik zmarszczył brwi.
– Słucham? – zapytał. – Co powiedziałaś?
Rozpromieniła się: zapłonęła iskierka nadziei.
– Nasz lokaj, James Smith, odszedł tej nocy, kiedy wyjechał pan do Brighton, a ja...
– O co dokładnie pytasz?
Stanął teraz bardzo blisko niej; widziała przed sobą czerwony mundur, połączane guziki, galon. Pachniał koniem, potem i tytoniem.
– Dziękuję, panie pułkowniku. Chciałam zapytać, czy go pan nie widział. Czy nie znalazł się... w pańskim towarzystwie albo...
– Za kogo mnie bierzesz?
– Panie pułkowniku, ja...
– Myślisz, że kiedy oddana pod moją opiekę dama staje w obliczu niebezpieczeństwa, miałbym czas albo chęć, żeby...
– Panie...
– Masz czelność prosić mnie o pomoc?
– Panie pułkowniku.
– Zapominasz się.
– Przepraszam, panie pułkowniku.
Mówiła do swoich stóp, żeby nie widział jej twarzy.
Kiedy wróciła do kuchni, sięgnęła po miskę ze śmietaną,

przytrzymała ją na wyciągnięcie ręki, a potem zrzuciła na podłogę. Naczynie rozbiło się na kawałki, które rozsypały się po kamiennych płytach. Potem Sara przyniosła szczotkę i szufelkę, żeby wszystko zamieść. Gdyby stary wariat coś wiedział, powiedziałby jej, prawda? Sprawiłoby mu to radość.

Sam pułkownik, równie zaskoczony, co urażony, pomaszerował korytarzem i wyszedł bocznymi drzwiami na letni dzień. Pokręcił się przez chwilę po podwórzu w poszukiwaniu wygodki, jednak jej nie znalazł: kilka minut później Polly wracała z ogrodu z koszykiem groszku i zobaczyła, jak pułkownik sika w krzakach.



Rozdział XII

*W tym zamęcie uczuć, nie mogąc dać spoczynku skołatany
myślom, zaczęła iść dalej.*

Na pokojach uciszano się nawzajem i wstrzymywano oddech; brakowało zbyt wielu domowników. Chociaż starali się, jak mogli, żeby dzieci Gardinerów tego nie odczuły, wyraźnie się domyślały, biedactwa: chodziły zdziwione i jakby ciągle wyczekiwały, że ktoś je zbeszta, choć nie rozumiały za co.

Siostra pani B., pani Philips, zostawała w niektóre dni, również pani Lucas przychodziła, żeby okazać wsparcie. Wszystkich innych gości pani Hill zatrzymywała w drzwiach.

Gardinerowie wrócili z podróży z bladą i zmęczoną Elizabeth; bez wątpienia cała sprawa bardzo ją poruszyła, ale Sara jakoś nie potrafiła znaleźć w sobie dość współczucia: Elizabeth nie miała nic do powiedzenia na temat lokaja, pana Smitha.

Przynoszenie i odnoszenie tac dla pani Bennet, bieganie do Meryton, by zostawić albo odebrać listy, mijanie na ulicy sąsiadów i ich służących, z których każdy chciał poznać choć szczyptę, okruszek z historii Lydii, żeby nakarmić plotkowego trolla, a oprócz tego męczący żal po stracie Jamesa: wszystko to stało się dla Sary normą.

– Nikt już o nim nie wspomina – powiedziała pewnego dnia do pani Hill. – Równie dobrze mogło go tu w ogóle nie być.

– Przecież to nieprawda.

– Ale on był kimś. Był.

– Wiem, Saro.

– A jednak nic z tym pani nie robi. – Sara odsunęła krzesło do tyłu. – Idę go poszukać.

– Nie wygłupiaj się.
– Ale to wcale nie jest głupie. Przejdę się po okolicznych wioskach, zapukam w każde drzwi...
– Nie, Saro.
– Ktoś na pewno go widział. Po prostu będę szła, aż w końcu znajdę tę osobę, a wtedy...
– Saro. Nie możesz.
– Muszę... – Głos jej się łamał. – Nie potrafię tego znieść...
– Nie bądź głupia! – Pani Hill uderzyła dłonią w stół, a Sara aż podskoczyła. – Nie masz pojęcia, co potrafisz znieść!

Sara patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Gospodyni oddychała głęboko, próbując się uspokoić.

– Zrozum, Saro. Masz tu dom. Masz pracę. Masz zapewnione bezpieczeństwo, ciepłe łóżko i strawę. A do tego jesteś rozpieszczona... Nie, wysłuchaj mnie! Gdybyś nie była, to byś to doceniła. Ale jeśli teraz odejdziesz, stracisz wszystko. Zasilisz szeregi młodych ludzi bez pracy, błakających się bez celu, a kto cię wtedy przyjmie? Tutaj już nie wrócisz, jeśli wcześniej złamiesz słowo i odejdziesz przed terminem. Nie dostaniesz nawet listu polecającego, żadnych rekomendacji. Wyrzucisz całe swoje życie w błoto.

– Ale – zapytała Sara – co z miłością?
– Ja cię kocham. Polly cię kocha. Pan Hill również.
Sara pokiwała głową. Odwróciła wzrok, gdy w oczach zebrały się łzy. Pani Hill wyciągnęła rękę i dotknęła jej dłoni.
– Zapominasz, kochanie, że mamy trudne czasy, chude lata. Problemy nie sięgają nas tutaj, a przynajmniej jeszcze nie dosięgły. Ale jeśli odejdziesz, moja droga, obawiam się, że po prostu... znikniesz.

Sara potarła czoło.

– Muszę coś zrobić.

– Zrób to, co ja.

– A cóż to takiego?

– Pracuj – odparła pani Hill. – I czekaj.

Sara skrzywiła się z żalu i schowała twarz w dłoniach. Nie

zniesie tego.

– Ale widzisz... Jeśli tu zostaniesz, on będzie wiedział, gdzie cię szukać. Napisze do ciebie, jestem tego pewna; albo wróci po ciebie... jeśli będzie mógł.

Jane i Elizabeth zwierzały się sobie nawzajem, przytulone niespokojnie i niewinnie, szepcząc nad listami, oburzone plotkami, które teraz do nich docierały, mimo wysiłków pani Hill i Sary.

– Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak źle oceniają pana Wickhama – powiedziała Polly, kiedy razem z Sarą zbierały maliny. – Był taki miły.

– Tak myślisz?

Polly skrzywiła się i włożyła owoc do ust.

– Przecież nie zamknął Lydii w skrzyni ani nic takiego! Chciała z nim jechać, bo był *miły*.

– Nie rozumiem, co masz na myśli, nazywając go „miłym”.

Polly zignorowała tę uwagę. Rozgarnęła gałązki malin, próbując dostać się głębiej.

– Obiecał kupić mi słodycze.

– Doprawdy?

– Chciał tylko, żebym najpierw pokazała mu, jaka mogę być słodka. – Moment ciszy, zamyślenie, a potem: – Jak myślisz, o co mu chodziło?

Sara patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, a potem wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, Polly.

Odwróciła się, uniosła gałązkę, a potem zaczęła zbierać maliny. Cokolwiek stanie się z Lydią, przynajmniej Wickham nie będzie mile widziany w Longbourn.

Pan Bennet wrócił z Londynu bez córki: Lydii jeszcze nie odnaleziono. Pani Gardiner zabrała dzieci do domu: jej mąż miał kontynuować poszukiwania z ich mieszkania na Gracechurch Street. Ale muszą się przygotować na najgorsze: Lydia zostanie porzucona, zbrukana i nadal nie będzie mieć męża albo będzie żyć pod ochroną innego mężczyzny. Biorąc pod uwagę jej życiowe wybory, w najlepszym przypadku czeka ją odesłanie na daleką

farmę.

Ale nie można zaniechać poszukiwań, choćby nie wiem jak były kłopotliwe i kosztowne. Dziecko trzeba odzyskać bez względu na to, w jakim się znajduje stanie. Najwyraźniej nie miało znaczenia to, że Lydia sama pościeliła sobie łóżko i wskoczyła do niego chętnie; nie będzie musiała w nim spać zbyt długo. Jeśli uda się ją odebrać z rąk rozpustnika, wciąż może liczyć na dom, towarzyszkę i kieszonkowe. Choć dla niej ciche i wygodne życie mogłoby okazać się torturą, dla innych wciąż pozostaje niedostępnym luksusem.

W domu słyszało się ściszone głosy i widziało zapuchnięte oczy, okna zasłonięte przed słońcem. Właśnie tak będzie to wyglądać po śmierci pana Benneta, pomyślała pani Hill, chociaż wtedy rodzina będzie mogła liczyć na współczucie sąsiadów, a nie marnie skrywaną pogardę.

A pan Bennet nagle bardzo się postarzał; wykończyły go niekończące się wyrzuty sumienia. Kiedy wrócił wieczorem, ukrył się w bibliotece i zadzwonił po panią Hill.

Chciał tylko potrzymać ją za rękę. Pozwoliła mu na to.

– Przepraszam – powiedział.

Kiwnęła głową. Po tych wszystkich latach, wreszcie coś.



Rozdział XIII

Wystarczy, byś wiedział, iż zostali znaleźieni.

Widziałem się z obydwójgiem.

Bennetowie wkrótce odetchnęli z ulgą. Lydię odnaleziono i zaraz po tym wzięła z Wickhamem w Londynie ślub: całą sprawę załatwiono na tyle szybko, by rodzina żywiła nadzieję, że ludzie porzucą plotki na temat ucieczki kochanków. W kuchni przygotowano miskę ponczu, którym świętowano to wydarzenie.

– Jak myślisz, ile kosztowało załatwienie czegoś takiego?

Pani Hill uniosła wzrok znad robótki. Jej mąż siedział po drugiej stronie paleniska, z filiżanką ponczu postawioną na oparciu fotela. Między kolejnymi łykami żuł skórzany pasek resztkami zębów, żeby go zmiękczyć, zanim potraktuje go przebijakiem.

– Zdaje mi się, że małą fortunę – powiedziała gospodyni.

– Słyszałem, że dziesięć tysięcy funtów.

Robótka spadła jej na kolana.

– Z takimi pieniędzmi...

– Nawet z połową tego. Ćwiartką. Jedną dziesiątą. Jedną setną.

Pokręciła głową.

– Moglibyśmy sobie wygodnie żyć – powiedział pan Hill. – Jak pączki w maśle.

Uśmiechnęła się, naturalnie i szczerze, a nie z udawanej uprzejmości. Nie widział, by uśmiechała się tak od... cóż, już sam nie wiedział. Odpowiedział jej swoim szczerbatym uśmiechem. Biedaczka musiała iść wyboistą i pełną kamieni drogą.

– Co byśmy z nimi zrobili? – zapytała. – Na co moglibyśmy wydać sto funtów?

Zagwizdał.

– Och, a na co nie? Wino i parmezan, i obite fotele dla każdego z nas. Jedwabny szal i karmelki dla ciebie, a dla mnie dwie uncje tytoniu w każdy piątek. – Zaśmiał się. – Mądrze byśmy je zainwestowali, nie tak, jak co niektórzy.

Polly zawołała od stołu kuchennego, gdzie razem z Sarą polerowały cynę:

– Czyli wszystko wróci teraz do normy!

– Słucham?

– Skoro panienka Lydia wyszła za mąż, wszystko wróci do normy.

– Tak – zgodziła się gospodyni. – Tak mi się wydaje.

Pani Hill czuła, jak fale wywołane przez postępek Lydii stają się coraz słabsze. Wszystko będzie tak, jak było wcześniej, zgodnie ze słowami Polly, a przynajmniej podobnie. Tak jak z Lydią, tak i z Jamesem, chociaż ich sytuacja diametralnie się różniła: wszyscy będą żyć dalej, udając, że nic wielkiego się nie stało, a potem udawanie przerodzi się w nawyk i wreszcie kłamstwo stanie się prawdą. Nie mają teraz lokaja i nie mieli od jakiegoś czasu; Sara miała rację – nikt już o nim nie wspominał i wkrótce będzie tak, jakby nigdy go nie było.

Kiedy pan Hill już zmiękczył skórę, zajął się reperowaniem obszycia szydłem i nicią. Okropnie mrużył przy tym oczy i wyteżał wzrok.

– A pan i pani Wickhamowie już nigdy tu nie wrócą, prawda?

– zapytała Sara.

– Och, wątpię – stwierdziła gospodyni. – Nie po takiej aferze. Pan B. nigdy na to nie pozwoli.



Rozdział XIV

*...nie mogę aprobować ich bezwstydných postępów,
przyjmując ich w Longbourn.*

Wyglądało na to, że niektórym ludziom się wybacza. Plamy na ich honorze można zmyć, a chociaż nie da się ich do końca wywabić, zauważą je tylko ludzie o sokolim wzroku albo ci, którzy wiedzieli o nich wcześniej i wiedzą, gdzie szukać. Niektórych ludzi można przywrócić do egzystencji w tłumie albo pośród obcych; mogą być znowu przydatni w codziennym życiu.

Lyddie wcisnęła nagą i zbrukaną dłoń w starą i wychudzoną rękę pana Hilla; błysnął złoty pierścionek z brylantem. Dama miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy, kiedy pomagano jej wysiąść z powozu, ale poza tym wyglądała tak samo jak kiedyś. Panu Hillowi przypomniały się kaczki hodowlane, ich kwakanie i trzepotanie skrzydłami oraz to, jak woda na ich piórach zbierała się w krople i zaraz spływała. Nie wiedział, co powiedzieć, ale i tak nie miało to znaczenia, skoro Lydia nie przerywała swojej paplaniny.

– I pomyśleć, panie Hill, że kiedy ostatni raz pana widziałam, byłam zaledwie niezamężną dziewczynką w wieku lat piętnastu, a teraz jestem panią Wickham. Wydaje mi się, jakby minęły całe wieki od tego czasu, a pan się nic nie zmienił! Zresztą nie tylko pan, stara gospoda też wygląda dokładnie tak, jak w czasie mojego wyjazdu, i jestem pewna, że Longbourn również...

– Nie spoufalaj się ze służbą, Lydio.

Z powozu wysiadł Wickham, ubrany w jasnoniebieski płaszcz, który bardzo dokładnie wygładził.

Odwróciła się do niego nerwowo.

– Kochanie?

– To nawyk ze wsi, który mi się nie podoba.

Spojrzała najpierw na swojego nowego, błyszczącego męża, a potem na pokrytą zmarszczkami twarz, którą знаła od dziecka.

– Ale czyż nie jest wspaniale mieć zaledwie szesnaście lat i już być mężatką?

Pani Hill wyjęła kilka halek, koszul i luźnych sukienek, które Lydia zabrała ze sobą z Brighton; gospodyni starała się im przy tym nie przyglądać i nie wdychać smrodu tanich pensjonatów, potu i seksu.

Zanurzyła bieliznę – krew, pot i kurz z podróży, a także błyszczący brud ubrań, które zbyt długo czekały na pranie – w ługu, dźgając ją szczypcami, mieszając w poszarzałej wodzie. I przez cały ten czas czuła zgorzknienie, wzbierające niczym żrący kwas ługu właśnie, chociaż próbowała z całych sił je zdusić i zabić deskami. Gdyby to zależało od pani Hill, Lydia ten jeden raz sama musiałaby się zająć praniem swoich brudów, żeby zobaczyła, jak ją widzą inni ludzie.

Na podwórzu Polly miała za zadanie wyczyścić kufry. Wytarła wnętrza pudełek i toreb kamforą, żeby pozbyć się szkodników; tak długo się tym zajmowała, że papier, którym były obłożone, rozmazał się i zwilgotniał na krawędziach. Kiedy Lydia zajmie się rozpakowywaniem swoich rzeczy w nowym domu w Newcastle, oburzy się nieostrożnością Polly. Ale za każdym razem, kiedy dziewczynka chciała przestać, Sara pokazywała, które miejsca jej zdaniem należało jeszcze poprawić.

Po obiedzie Lydia zbiegła do kuchni, żeby pochwalić się gospodyni i pokojówkom obrączką i faktem zamążpójścia. Polly patrzyła na biżuterię szeroko otwartymi oczami i z rozchylonymi ustami. Pani Hill zerknęła na małą, pulchną rączkę i kwiatek z maleńkich diamencików, a potem mruknęła coś i kiedy już nie mogła znieść paplaniny Lydii, dała jej cukierka, żeby wreszcie zamilkła, cały czas myśląc jednocześnie, że jeśli dziewczyna nie pobiegnie natychmiast z powrotem na górę, może zostać spoliczkowana. Sara ledwo zerknęła na pierścionek i chciała

zapytać: Co z panem Smithem, lokajem, czy widziała go w Brighton? Ale poczuła gulę w gardle: co, jeśli Lydia go widziała? Co, jeśli widziała go w kajdanach, ciągniętego przez obóz, a potem była świadkiem jego krwawej chłosty na oczach tłumu? Co, jeśli zastrzelono go za jego występki? A potem Lydia już biegła na górę, wiedziona kolejnym wybuchem podniecenia, a Sara nie zdążyła zadać swojego pytania.

Pani Wickham pokazała Sarze rysunek z modą.

Pokojówka położyła żelazka do kręcenia włosów przy kominku, żeby się nagrzały, a potem spojrzała na obraz kobiety o dziecińczych rysach twarzy i krępej budowie, która wcisnęła się w suknię z falbanami; włosy zostały splecione z tyłu, a grube pukle wisiały z przodu jak kielbaski albo kępkki wełny, które przyczepiają się do owczych zadków.

– Zrobię, co w mojej mocy, proszę pani.

I zaczęła rozczesywać grube włosy Lydii.

Dziewczyna krzywiła się, gdy Sara plotła i przypinała.

– Szkoda, że nie widziałaś Brighton.

To oznaczało, że Lydia chciałaby o tym pomówić, a więc może też wspomnieć o Jamesie.

– Och, tak, proszę pani. Z pewnością jest tam pięknie.

Sara włożyła papier do kręcenia włosów na miejsce, podniosła żelazko i ścisnęła nim pukiel. Skręciła mocno; w powietrze uleciała para, dało się wyczuć swąd przypalanych włosów.

– Co za widoki, doprawdy! – Lydia mówiła dziwnie, z głową przekrzywioną w stronę, w którą Sara ciągnęła włosy. – Obóz pełen żołnierzy, oficerów, a mój Wickham najwspanialszy z nich wszystkich.

– Jak cudnie.

– Pozwól, że ci zdradzę: to doskonałe miejsce, by znaleźć sobie męża. Powinnaś tam jechać, rozumiesz, bo tutaj żadnego nie zdobędziesz.

Sara wymieniła żelazko na gorące, a potem przesunęła papier na kolejny pukiel. W lustrze odbijał się absolutnie beztroski wyraz

twarży Lydii. Dziewczyna nie mogła się pochwalić wyobraźnią, więc nie potrafiła rozważać możliwości ani patrzeć w przyszłość; istniała dla niej tylko aktualna chwila, a ta przynosiła jej teraz radość, więc była szczęśliwa. A skoro jest szczęśliwa, po cóż ma doszukiwać się intryg i okazywać podejrzliwość, po cóż zatajać coś i kłamać? Lydia była szczera.

– A czy widziała pani... jakiegoś... naszego znajomego?

Sara odwinęła papier; lok opadł swobodnie, nieznacznie tylko zakręcony.

– Oficerów, oczywiście, wszystkich oficerów: Denny'ego, Prataa i Chamberlayne'a.

Wtedy do sypialni wkroczyła Polly, która powinna być bezpiecznie zamknięta w komórce i polerować srebro. Sara spojrzała na nią groźnie i powiedziała bezgłośnie: Wynoś się.

Polly udawała, że tego nie zauważyła.

– Była pani w sklepie ze słodyczami w Brighton?

– Och, obeszłam wszystkie, jestem tego pewna.

– Nie masz jakiegoś pilnego zajęcia? – zapytała Sara.

– Och, wszystko już skończyłam.

Musiała skłamać. Ale oto Polly siedziała już na podłodze, podciągając kolana do góry i wpatrując się wielkimi oczami w egzotyczny splendor nowej pani Wickham; pani Wickham podniosła słoiczek z toaletki, otworzyła go i nałożyła róż na policzki. Nie ominęła też ust, a potem spojrzała na swoje odbicie w lustrze i się uśmiechnęła. Nie wyglądała na całkiem zdrową: jej skóra błyszcziała i była gorąca. Widocznie z Brighton i Londynu przywiozła coś jeszcze prócz różu i męża.

– Widziała pani albo słyszała o naszym lokaju...? – zapytała Sara niepewnie. – Pan Smith od nas odszedł...

Lydia pochyliła głowę.

– Och, od wieków o nim nie myślałam. Mój Boże, czyżby nas zostawił?

Elizabeth nie napisała o nim. Albo Lydia nie przeczytała.

– Owszem, tego samego wieczoru, co pani i wojsko...

Sara nie zdążyła dokończyć.

– Piękny tworzyście widok.

Wszystkie odwróciły się jednocześnie i zobaczyły w progu pana Wickhama, przyglądającego się im z uśmiechem zadowolenia.

– Młoda żona – powiedział – i pokojówki pogrążone w cichej zadumie. Nazwano by ten obrazek: *Lojalność albo młoda kochanka*.

– Ach, to mój kochany, przystojny Wickham!

Lydia wstała, rozrzucając papiery i podbiegła, by rzucić się małżonkowi w ramiona. Sara odwróciła wzrok. Jego obecność tutaj była niemal nieprzyzwoita. Zebrała papierki i szybko uporządkowała toaletkę. W lustrze zobaczyła, jak Wickham, obejmując swoją szesnastoletnią żonę, uśmiecha się nad jej głową do Polly, a potem jak dziewczynka podnosi się, dyga i uśmiecha się w odpowiedzi, bezczelnie i niewinnie.

– Powinnaś zabrać jedną z nich do Newcastle.

– Jesteś naprawdę wspaniałomyślny, ale są potrzebne w domu.

– Tylko tę małą. Możesz ją włożyć do kufra.

Gdy tylko Sara włożyła papiery i spinki do pudełka, zebrała i odwiesiła żelazka, podeszła do Polly i chwyciła ją za nadgarstek.

– Chodź ze mną.

Polly szepnęła:

– Chcę się przekonać, czy dostanę słodycze.

– *Natychmiast*.

Przyciskając do siebie fryzjerskie utensylia, Sara pociągnęła Polly obok nowożeńców i wypchnęła na korytarz.



Rozdział XV

...jako że, oczywiście, miał się urodzić syn.

Pani Hill znalazła go tam, gdzie zawsze, w bibliotece, po tym, jak uciekł od towarzystwa. Był stary, zmęczony i pijany. Ledwo otworzył usta od czasu przyjazdu Wickhama i unikał, jak tylko mógł, uczestnictwa w różnego rodzaju czynnościach, jakie podejmowano dla uczczenia nowożeńców. Bardzo wyraźnie czuł wstyd, właśnie teraz, kiedy wszyscy inni zdawali się go już nie zauważać.

– Mam nadzieję, że przyniosłaś świeżą butelkę brandy.

Zamknęła za sobą drzwi i pokazała puste ręce. Pan Bennet w odpowiedzi powoli zamrugnął zaczerwienionymi oczami i pokiwał głową; potem, słysząc śmiech z sąsiedniego pokoju, wzdrygnął się. Gospodyni przysunęła krzesło do biurka, ale stała, trzymając rękę na ostatnim szczebelku drabiniastego oparcia.

– Nie wiem, co gorsze – powiedział pan Bennet. – Hańba córki czy ślepotą żony.

– Pani Bennet jest... – gospodyni się zawahała. – Może lepiej, że jest taka, jaka jest.

– Trudno szanować takie zachowanie.

– To jednak nie wszystko, prawda?

Uniósł niezdarnie kieliszek.

– Nie rozumiem, pani Hill.

– Aby kogoś szanowano – wyjaśniła – trzeba pokazać, czym jest szacunek. Budujemy siebie samych jak chruściki w rzece, z kawałków i szczątków, które pływają wokół nas.

Tym razem uniósł brwi. A potem przytaknął.

Wysunęła krzesło i usiadła.

– Teraz jest spokój – powiedziała. – Lydia wzięła ślub, a ja chciałabym zwrócić uwagę, choćby i tylko przed naszą dwójką, że tego, co zrobiłeś dla swojej córki, nie byłeś gotowy uczynić dla syna.

Otarł twarz dłonią. Nalał sobie jeszcze brandy.

– Gdybyś wiedziała, gdybyś wiedziała, ile wycierpiałem, Margaret...

Zażyłość, jaką niosło ze sobą jej imię w jego ustach: lata uleciały w mgnieniu oka. Pochyliła się do przodu i chwyciła jego rękę.

– Myślałem o tym każdej nocy – wyznał. – Przez cały czas, odkąd odszedł. Każdej nocy, aż w końcu wrócił.

Zacisnęła wargi.

– Od chwili, kiedy powiedziałaś mi o swoim stanie, pragnąłem tylko jednego: być praktycznym.

Pokiwała głową.

– Ale praktyczne rozwiązanie nie istniało, prawda? Praktyczne myślenie niczego nie rozwiązało.

Po chwili pani Hill znowu się odezwała:

– Zrozumiałam, dlaczego to zrobił. Dlaczego zapisał się do armii.

Pan Bennet popatrzył na nią piekącymi oczami; ruchem głowy zachęcił, by mówiła dalej.

– Nikt o niego nie dbał, więc on sam również. Nie wiedział, co to znaczy być kochanym. Dlatego nie zastanawiał się długo nad ryzykowaniem własnego bezpieczeństwa.

Pan Bennet wykrzywił usta. Sięgnął po drugi kieliszek, nalał do niego brandy i pchnął po biurku w stronę pani Hill. Złapała za nóżkę. Otarła łzy. Napili się.



Rozdział XVI

Przeszła już najbardziej niebezpieczny okres.

Zbierały słodkie śliwki w milczeniu. Sara stała na wysokim szczeblu drabiny, zrywając owoce z gałęzi, a Polly odbierała je na dole i delikatnie kładła do koszyka. Wickhamowie wyjechali, nie przekazując żadnych istotnych wieści, ale też nie pogłębiając wyrządzonych szkód. Młody oficer nie przywiózł Polly żadnych słodyczy i nie dawał jej już więcej monet – dlatego też dziewczynka miała go teraz za mężczyznę składającego puste obietnice i niegodnego zaufania, a do tego stał się o wiele mniej miły, niż to zapamiętała. Ostatecznie Wickhamowie nie prosili, by pokojówka pojechała z nimi do Newcastle. Dla dobra służących na północy lepiej, żeby jego młoda żona mu wystarczała, przynajmniej na jakiś czas.

Ze swojego miejsca wysoko na drabinie Sara zauważyła jakiś ruch. Odsunęła gałęzie, żeby mu się przyjrzeć. Dwóch dżentelmenów jechało konno; przeskoczyli ogrodzenie padoku, gdzie longbourńskie konie dołączyły do nich w małej pogoni, a potem jeszcze raz, blisko furtki, i ruszyli podjazdem w stronę domu państwa Bennetów.

– Pan Darcy i pan Bingley – powiedziała Sara.

Granatowy płaszcz, czarny koń – to pan Bingley. Wysoki mężczyzna w zielonym to pan Darcy. Minęli sad, nie dostrzegając pokojówek: Sara poczuła, jak znika. Widziała, jak liście i gałęzie prześwitują przez jej dłonie; promienie słoneczne nie odbijały się od jej skóry.

Słyszeli już plotki o powrocie pana Bingleya do Netherfield. Pani Philips dowiedziała się o tym od pani Nicholls i szybko

powtórzyła wieści pani Bennet. Sara i Polly miały przykazane, by wypatrywać powozu Bingleya, ponieważ pani Bennet musi się o jego przybyciu dowiedzieć jak najwcześniej. Sara pokiwała głową i powiedziała „Tak, proszę pani”, ale jej myśli krążyły wokół czegoś zupełnie innego – pani B. z pewnością będzie teraz brakowało lokaja, a ponieważ nie omieszkała wygłaszać wszelkich swoich myśli, Sara spodziewała się głośnych i licznych utyskiwań. Ale pani Bennet tylko machnęła ręką, żeby pokojówka wróciła do pracy, nie mówiąc przy tym nawet słowa o Jamesie. Najwyraźniej zupełnie już zapomniano, że Longbourn kiedykolwiek miał lokaja.

– To moja wina? – zapytała Polly, wołając z ziemi.

– Słucham?

– To moja wina, że James odszedł tamtej nocy? Miało to coś wspólnego z tym, że pan Wickham tak mnie polubił i dawał mi monety? Nie powinnam była ich brać? Czy to dlatego, że obiecał mi słodycze?

Sara zeszła z drabiny i kiedy znalazła się już na dole, objęła chudziutkie ciało dziewczynki. Koszyk owoców zachwiały się niebezpiecznie; dziecko położyło głowę na ramieniu Sary i zapłakało.

– To moja wina. Wiem o tym. Powiedział, że mam się trzymać z dala od oficerów, ale...

Gniew Sary – na Jamesa, na Polly, na Wickhama i Elizabeth, i Lydię i pułkownika Forstera, na Longbourn i Fortunę, i cały świat – rozproszył się w obliczu smutku małej dziewczynki. Sara pogładziła jej plecy, żeby ją uspokoić.

– To nie twoja wina, kochanie. Ani mi się waży tak myśleć.

Ptolemy Bingley pojawił się we wtorek, kiedy panowie przyszli na obiad do Longbourn. Został na podwórzu, pałac i grając w kości z towarzyszami, podczas gdy domownicy i goście posilali się na górze. Sarze nie przyszło do głowy, że czarnoskóry wciąż może być na służbie u Bingleyów.

Przy całej pracy, jaką trzeba było włożyć w przygotowanie dużego przyjęcia – ze względu na zwyczaje musieli zostać zaproszeni wszyscy sąsiedzi, a razem z nimi pożądanymi dżentelmeni,

a do tego należało upiec dużo sarniny, nagotować zup i udusić kuropatwy – nie mogła się oddalić za przyzwoleniem, jak kiedyś poinstruowała ją pani Hill, pół życia temu. Oprócz tego nie miała też powodu, żeby rozmawiać z Tolem, a za to Sara była wdzięczna.

Jednak od czasu do czasu Ptolemy spoglądał na nią; Sara raz po raz łapała go na tym w chwili, gdy już odwracał wzrok; nie można mu było odmówić urody. Dziewczyna czuła wstyd z powodu niedojrzałego egoizmu, jakim się wobec niego wykazała. A potem przypomniała sobie Jamesa, stojącego tamtej zimnej nocy na drodze, i zamarła, czując, jak pieką ją policzki. Musnęła kciukiem usta, wspominając pocałunek.

Powóz Bingleyów wezwano krótko po obiedzie, kiedy Sara wciąż jeszcze wносиła naczynia z jadalni. Nie śpieszyła się z zadaniem; właściwie poświęciła mu znacznie więcej czasu, niż to było potrzebne, żeby zdążyli odjechać.

Po czterech dniach obiadków, polowań, herbatek i kolacyjek, Jane się zaręczyła. Raban, jakiego narobiła jej matka, równał się uldze, jaką poczuła dziewczyna. Ale oczywiście, powiedziała sobie pani Hill, radość i hałas miały swoje powody, ponieważ teraz pani Bennet wiedziała, że jej córka jest bezpieczna. Po takim wydarzeniu można się spodziewać już samych dobrych wieści.

Pani Hill cieszyła się ich szczęściem. Pogratulowała swojej pani i ucałowała Jane, życząc jej wszelkiej pomyślności.

– Ona nie potrzebuje szczęścia! Będzie miała pięć tysięcy funtów rocznie!

– Cóż – stwierdziła pani Hill. – Odrobina szczęścia nikomu nie zaszkodzi.

Chociaż tak naprawdę Jane dostała po prostu to, na co zasługiwała. Była dobrą i ładną dziewczyną, więc zasługiwała na dobre i ładne rzeczy. Jak wszyscy doskonale wiedzieli, pomyślała pani Hill, wycierając kieliszki do wina przed toastem, dziewczynki, które nie dostają dobrych i ładnych rzeczy, same muszą mieć w tym względzie jakieś niedostatki.

Zaręczyny zorganizowano trzy dni przed świętym Michałem; Ptolemy Bingley często bywał w Longbourn. Towarzyszył

swojemu panu za każdym razem, gdy korzystano z powozu, albo przynosił listy, a potem siedział na dole, czekając na odpowiedź. Był niczym jastrząb na jesiennym niebie: daleki, nieruchomy, a jednak prowadził baczne obserwacje. I, podobnie jak w przypadku jastrzębia, ta nieruchomość została osiągnięta wyłącznie przez nieustanne dostosowywanie się do zmiennych prądów.

Przyszedł wreszcie ten nieunikniony moment, kiedy zostali sami, a Sara nie zdążyła wyjść z kuchni, nim Ptolemy zatrzymał ją wzrokiem. Powiedział:

– Zdaje mi się, że byłaś w Londynie.

– Och...

Najwyraźniej słyszał o wizycie Jane.

– Ale nie szukałaś mnie.

– Nie miałam okazji...

– Przykro mi z tego powodu.

Spojrzała na swoje buty, przeciągnęła czubkiem po kamieniach.

– Myślę, że dobrze byś wyglądała w Londynie – powiedział.

– Wystrojona, maszerująca na niedzielnym spacerze w parku.

– Nic mi o tym nie wiadomo, panie Bingley.

Odwróciła się. Weszła pani Hill, żeby zajrzeć do zupy, starając się z całych sił nie dać po sobie poznać, że coś zauważyła. Sara wykorzystała tę sytuację, żeby wymknąć się do stajni, gdzie złapała za zgrzebło i zaczęła czyścić koniom boki. Pomocnicy na roli nigdy nie robili tego tak, jak kiedyś James.

W dniu świętego Michała pan Bennet w bibliotece rozdał służbie zapłatę, zachowując zwyczajową ceremonię. Siedział za swoim starym, czarnym biurkiem z bukowego drewna, zapisywał każdą sumę w księgach, a potem wpuszczał po kolei służących, zarówno domowych, jak i rolnych, żeby się odznaczyli, a ci, którzy potrafili, podpisali. Sara, z monetami w dłoni, starannie wykaligrafowała swoje imię.

– Niestety nie wszyscy dotrwali do tego dnia – powiedział pan Bennet.

– Niestety.

– Ale czym jest życie, jeśli nie nieustanną zmianą? Jak to powiedział Heraklit... – zawahał się i zmienił zdanie. – Cóż. Dobra z ciebie dziewczyna, Saro; dziękuję za całą twoją ciężką pracę.

– Dziękuję, panie Bennet.

Dygnęła i zabrała pieniądze do pokoju, a potem odłożyła do drewnianego pudełka, gdzie leżała już zapłata za poprzedni kwartał. Gdyby udało jej się znaleźć w bibliotece Heraklita po angielsku, wypożyczy go przy następnej okazji, ponieważ w końcu nie dowiedziała się, co takiego powiedział. Zamknęła pudełko i wsunęła pod łóżko, a potem wstała i podeszła do okna. Na niebie wisiał księżyc, niczym blady opłatek. Minął już ponad rok od czasu, kiedy James po raz pierwszy pojawił się w Longbourn, i cztery miesiące od jego odejścia. Jak długo ma jeszcze na niego czekać bez choćby krztyny wieści?

W sobotę rano dom pogrążył się w panice, kiedy na podjeździe pojawił się czterokonny powóz. Pani Hill poszła otworzyć drzwi. Ze środka wysiadła dama i natychmiast zażądała informacji o miejscu, w którym aktualnie zebrana była rodzina, a potem minęła gospodynię, nie czekając na zapowiedź. Oniemiała pani Hill pobiegła z powrotem do kuchni, żeby zagotować wodę na herbatę, ponieważ należało wykazać się gościnnością bez względu na nieuprzejmość przybysza.

Kiedy Sara usłyszała opis damy, wyjaśniła, że to patronka pana Collinsa, lady Catherine de Bourgh, która zagląda do robótek i wytyka błędy.

Jakiś czas później starsza z pokojówek szła przez podwórze z kubłem pełnym jedzenia dla świń i zobaczyła Elizabeth przechodzącą obok domu w towarzystwie lady Catherine. Zniknęły w lasku. Sara przełożyła wiadro z prawej ręki do lewej i wytarła obolałą dłoń o fartuch, a potem podeszła do koryta, gdzie stała chwilę i patrzyła, jak prosięta bawią się uszami maciory. Chwilę później usłyszała chrzęst kół powozu na podjeździe i zyskała pewność, że lady Catherine już odjechała.

Pieniądze czasem działały jak magia i potrafiły zmienić

myśli w rzeczy, a chęć w skutek: lady Catherine z jakiegoś powodu chciała tu przyjechać, więc tylko potrząsnęła dzwonkiem, powiedziała kilka słów i od tej chwili wszystko potoczyło się samo. Ile kwartałów musiałaby pracować Sara, żeby odłożyć sumę wystarczającą na zamianę jakiegokolwiek swojego pragnienia w czyn?

Pani Hill patrzyła, jak dziewczyna wlecze się z pustym wiadrem z powrotem przez podwórze, i zrobiło jej się żal pokojówki. Praca nie leczyła, nigdy tak nie było: po prostu zbierała się na rozpacz i otaczała ją skórka. A Sara wciąż była bardzo młoda, młodsza nawet niż gospodyni wtedy, gdy straciła swoje szczęście. Sara miała przed sobą jeszcze wiele lat życia ze złamanymi skrzydłami.

Coś musi się dla niej znaleźć, coś trzeba dla niej zrobić.

Koszula nocna pani B. grzała się przy kominku w garderobie, a w sąsiedniej sypialni pani Hill włożyła do łóżka szkandele. Pani B. wyciągnęła ręce, żeby pomóc jej z guzikami i troczkami. Wypiła wcześniej kilka toastów bordo. Poczuli się spokojniejsza niż zazwyczaj.

Wtedy ktoś cicho zapukał do drzwi i do środka wślizgnęła się Elizabeth. Pani Hill dygnęła i wyszła do sypialni, zostawiając matkę – trochę tylko rozpiętą na plecach – i córkę sam na sam.

Z początku pani B. nie rozumiała, co Lizzy ma jej do przekazania, ale gospodyni, cicho szykując sypialnię, nie miała z tym najmniejszych problemów. Elizabeth dobiła niezwykłego targu, a rodzina miała na nim zyskać jeszcze więcej. Kiedy trzy dziewczęta wyjdą za mąż, a dwie najstarsze staną się dzięki temu doskonałymi przyzwoitkami dla młodszych, wkrótce w domu nie zostanie już żadna panienka. Longbourn kurczył się w okamgnieniu.

Gospodyni i jej małżonek byli bezpieczni: to była część jej własnej umowy. Mogli się tu zestarzeć i umrzeć, nie martwiąc się, że ktoś ich stąd przepędzi. Ale dziewczęta nie zostaną w Longbourn, na pewno nie obie, skoro nie będą już potrzebne.

– Za pana Darcy’ego? – zapytała Sara, gdy przekazano jej

wieści.

Pani Hill zaprowadziła ją do komórki.

– Zgadza się.

– A czy jest z tego powodu szczęśliwa?

– Jej matka mówi, że będzie mieć dom na wsi i dom w mieście, a do tego powozy i Bóg wie co jeszcze. Małżeństwo Jane to przy tym nic.

– Ale czy jest szczęśliwa?

– Chyba tak. A przynajmniej tak powiedziała.

Sara pokiwała głową.

– No to dobrze.

Dziewczyna wróciła do pracy, zaciskając zęby. Jej szczęście niewiele by kosztowało. Wystarczyłoby tylko jego towarzystwo.

Kiedy Ptolemy Bingley pojawił się znowu w kuchni pewnego ranka przed śniadaniem i rozejrzał się dokoła swoimi pięknymi oczami, nie znajdując jednak Sary, stracił od razu całe zainteresowanie, a pani Hill po raz pierwszy nie zważała na jego pochodzenie, którego przecież sam sobie nie wybrał, i spojrzała na niego z pewnym współczuciem. Wypyta go trochę dokładniej o jego plany i intencje. Z pewnością nie zaszkodzi. Należało rozważyć wszelkie możliwości. Trzeba być – choć poczuła gorycz tego słowa, nawet go nie wypowiadając – praktycznym.

Ku jej zaskoczeniu, lokaj otworzył się przed nią jak stokrotka w słoneczny dzień.

– Traktowała ją pani niemal jak córkę, widzę to. Chciałaby pani ją ochronić, co jest godne podziwu. Miałem nadzieję zdobyć pani zaufanie.

Wyznał, że tęsknił za Sarą bardziej, niż się spodziewał. Londyn i jego rozrywki niewielką mu sprawiły przyjemność po krótkiej wizycie w Netherfield. Myśli Ptolemy'ego zawsze wracały tutaj, do Hertfordshire, do Sary. Uroczej, niewinnej Sary. W Londynie nie ma drugiej takiej dziewczyny.

Naprawdę się tego nie spodziewał. Nie taki był plan.

Pani Hill naalała mu herbaty do filiżanki, a potem podała mleko i cukier. Lokaj powoli sączył napar i opisywał gospodyni,

jak silnie był przywiązany, jak wielkie miał nadzieje, jak dalekosiężne plany, a także jak wysokiego awansu społecznego można się po nim spodziewać.

Ponieważ on nie będzie całe życie lokajem, och, na pewno nie.

Pani Hill przyglądała mu się bacznie. Miał maniery dżentelmena, jak często bywało na tym szczeblu hierarchii służby. Nie miała wątpliwości, że poradzi sobie w życiu. Dlatego w czysto praktycznym wymiarze, w kwestii bezpieczeństwa, stanowił dla Sary doskonałą partię. Z takim urokiem i przedsiębiorczością właściciela, mały interes z pewnością będzie prosperował; odłożą sobie jakieś pieniądze; przy odrobinie wysiłku i szczęścia staną się poważanymi ludźmi, a ich nazwiska będą wypisane nad drzwiami sklepu: pan i pani Bingley, właśc. Jak to pięknie brzmi. Sami zatrudnią służbę. Biorąc pod uwagę, w jakim położeniu znajduje się teraz Sara, Ptolemy to dla niej wcale nie gorsza partia niż pan Darcy dla Elizabeth.

Pani Hill przekazała to wszystko Sarze przy śniadaniu, niczym prezent.

– Całkiem jest w tobie zadurzony.

Polly zatrzymała się w połowie smarowania masłem bułeczki, a potem popatrzyła na gospodynię i pokojówkę.

Pan Hill przestał przeżuwać. Przełknął.

– Sklep? – zapytał.

– Zapewne wszystko już sobie zaplanował – stwierdziła Sara.

– Ten chłopak ma sklep? – powtórzył pan Hill.

– Jeszcze nie, ale będzie miał. Już ci to powiedział, prawda, Saro?

– Przy swojej ostatniej wizycie, zanim zabroniła pani mi się z nim spotykać.

– Ma już oko na konkretne miejsce – odparła pani Hill, ignorując uwagę dziewczyny.

– Zapomniałam gdzie.

– W Spitalfields.

Polly nabrała trochę masła i się skrzywiła.

– Spittle!
– *Spital*, moja droga. Nie *spittle*.
– Och.
– Odłożył już pieniądze... – ciągnęła dalej pani Hill.
– Czyżby? – zdziwił się pan Hill, mówiąc z pełną buzią.
– Dwanaście funtów! – Gospodyni odsunęła się od stołu i skrzyżowała ręce, patrząc na Sarę, jakby to przesądzało sprawę. – Dokładnie dwanaście funtów, trzy szylingi i sześć pensów.
– Dwanaście funtów, trzy szylingi i sześć pensów?
– Będzie miał więcej w Dniu Zwiastowania Pańskiego. Wtedy planuje opuścić Bingleyów i założyć własny interes. Pan Hill zagwizdał, plując mokrymi okruszkami.
Polly, popatrując na skupione twarze, dyskretnie sięgnęła po drugą bułeczkę.
– To ambitny człowiek – powiedziała pani Hill. – Człowiek, który wie, czego chce. Ma dwanaście funtów, trzy szylingi i sześć pensów, a chce ciebie, Saro.
Pani Hill wyciągnęła rękę przez stół, między filiżankami i talerzami, i ujęła dłoń starszej pokojówki.
– Zrozum, jak wielką sprawi mi przyjemność zobaczyć cię bezpieczną i dobrze ustawioną w życiu. Pomyśl, proszę, jakby to było mieć własny dom i nie wykonywać rozkazów innych ludzi ani nie polegać na ich dobrej woli.
– Prócz dobrej woli mego męża.
– Tak, oczywiście, prócz twego męża.
Zadzwoił dzwonek z biblioteki. Wszyscy się wzdrygnęli i spojrzeli na kawałek blaszki podskakujący na sznurku. Pan Hill otarł usta i odsunął krzesło. Gospodyni także się podniosła, ale on wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.
– Zostań, odpocznij jeszcze.
Powłókł się powoli do drzwi i zamknął je za sobą. Polly, niezauważona, sięgnęła po dżem śliwkowy. Pani Hill zwróciła się do Sary:
– Moja droga, zastanów się przynajmniej. To byłoby bardzo praktyczne rozwiązanie całej sytuacji.

Praktyczne. Znowu to gorzkie słowo; pani Hill poczuła, że ma nieczyste usta.

Polly włożyła głębiej łyżkę do słoika i wyjęła ociekającą grudkę przezroczystego zielonozłotego dżemu. Umieściła ją na bułeczce i rozsmarowała wybrzuszoną częścią łyżki, którą potem oblizwała.

Sara skrzyżowała ramiona na piersi, odchyliła się do tyłu, naśladując panią Hill.

– A pani zrobiłaby to na moim miejscu? – zapytała. – Wyszłaby pani za niego, z moją wiedzą i moimi doświadczeniami?

Gospodyni zawahała się na chwilę, a potem zacisnęła usta i przytaknęła.

– Nie...

– Tak, zrobiłabym to.

– Nie! – Sara się zawahała. – Ale co z...

– Z miłością? – Pani Hill spojrzała na zbolałą i zdeterminowaną twarz dziewczyny. Skłamała: – Byłabyś zaskoczona, jak niewiele ostatecznie znaczy.

– Nie mówi pani poważnie.

– On cię kocha. Czy to nie wystarczy? Dobrze by cię traktował. To porządny człowiek.

– Ale nie jest Jamesem.

Pani Hill zamknęła oczy i wypuściła powietrze, bo nie mogła już dłużej się spierać. Jej syn, James, stracony i odzyskany, a teraz znowu stracony: skarb zbyt wielki, by mogła go zatrzymać. Wszelkie nadzieje, jakie wyznania Ptoleme'ego w niej obudziły, teraz zupełnie przepadły.

– Zrezygnują z jednej z was – powiedziała pani Hill. – Wiecie o tym, prawda? Nie możemy zawsze tak żyć. Wkrótce nie starczy pracy dla wszystkich.

Polly wgrzyła się w zbyt grubo posmarowaną bułeczkę, spoglądając na towarzyszące jej kobiety. Wcisnęła kęs w policzek i zapytała:

– To prawda?

Sara zerknęła na nią.

– Ubrudziłaś się dżemem.
Polly nieudolnie wytarła buzię i przełknęła.
– Ty zostań. Czekał tu na Jamesa. Ja mogę iść pracować dla Wickhamów.
– Nie, kochanie, nie możesz.
– Będzie mi tam dobrze.
– Nie, nie będzie.
Siedziały w milczeniu, każda sama.



Rozdział XVII

...musi się dopiero nauczyć, iż można z niego

kpić, ale teraz za wcześnie jeszcze na tę naukę.

Teraz codziennie pojawiały się jakieś paczki dla Jane i Elizabeth. Polly i Sarze przypadł obowiązek zabierania ich z poczty – szły razem, kiedy tylko mogły; w ciszy, w miłej atmosferze, przez wiszącą nisko mgłę i fruujące jesienne liście.

Wiele z tych pakunków zawierało wyszukane materiały na wyprawki ślubne dla pańienek – jedwab, muślin i aksamit, zamówione przez matkę z londyńskich magazynów. Dwa nowe czepki nadeszły w eleganckich pudełkach od pani Gardiner, która zakupiła je za ich poleceniem u londyńskiej modystki. Jedno małe kwadratowe pudełeczko, zaadresowane do panny Elizabeth, przyszło prosto z Nottingham. Szybko rozerwano papier, a niecierpliwe palce podniosły wieczko; w środku znalazł się piękny welon z jedwabnej koronki, z wzorem z opadłych liści i z krawędzią delikatnie wyciętą w półokrągłe ząbki.

– Od pana Darcy’ego – powiedziała Elizabeth.

Koniecznien trzeba go było przymierzyć od razu. Papier spadł na podłogę. Sara rozłożyła welon na łóżku i zawiązała troczki wokół korony czepka, a potem przełożyła je przez czubek.

– Jest dość ciężki – ostrzegła, podnosząc czepkę z welonem, z troczkami na ramieniu.

– Wszystko, co najlepsze, jest ciężkie.

Sara włożyła czepkę na głowę Elizabeth i opuściła welon; zajęła się układaniem jego fałdek. Elizabeth zeszywniała.

- Jest piękny.
- Pan Darcy jest bardzo hojny – stwierdziła panienka.
- Owszem.

Sarze zdawało się, że skryta pod welonem Elizabeth znajduje się w innym, lodowatym świecie. Przyszła panna młoda musiała mieć podobne myśli, widząc swoje odbicie w lustrze, ponieważ wyciągnęła rękę i zaczęła zdejmować ozdobę. Potem się zawahała, zdając sobie sprawę, że ryzykuje jej zniszczenie.

– Zrobisz to za mnie? Zdejmij go, proszę. – Elizabeth złożyła ręce na kolanach, żeby je uspokoić. – Nie chcę, żeby się zmarnował.

- Oczywiście.

Sara podniosła czepek, odgarniając welon na jedną stronę, a Elizabeth siedziała bez ruchu.

- Jak myślisz, Saro, jak to jest mieć męża?

Sara spojrzała w lustrzane odbicie oczu Elizabeth. Zobaczyła tam siebie samą, stojącą za młodą panienką, z szorstką dłonią na delikatnym ramieniu, a drugą trzymającą welon; swoją mysią sukienkę, nieświeże i wciśnięte pod roboczy czepek włosy.

- Z pewnością bardzo przyjemnie.

Elizabeth pokiwała głową, a jedwabiste pukle podskoczyły na jej karku.

Ludzie gadali, że pan Darcy popełnia megalomanię, ale Sara tak tego nie widziała. W jej oczach wszystko dobrze się ułożyło, jak rubryczki w schludnie prowadzonej księdze: jego bogactwo i pozycja stanowiły idealną zapłatę za jej urodę. Kiedy tak się spojrzało na ich małżeństwo, nie dostrzegało się żadnego megalomaniusza. I z takiej perspektywy trudno się było dziwić, że Sara nie miała nikogo.

– Widzę już tego przebłąski – powiedziała Elizabeth. – Małżeństwa, znaczy; widzę siebie w Pemberley; potrafię sobie wyobrazić Boże Narodzenie, a na wiosnę może odwiedzą nas Jane i pan Bingley. I widzę siebie, siedzącą przy klawikordzie z jego siostrą.

- Bardzo przyjemnie się tego słucha.

– Ale nie widzę i nie potrafię sobie wyobrazić tego codziennego życia, tylko ja i on. Nie jestem tej codzienności pewna i trochę nawet... niepokoi mnie to.

Mięciutkie opuszki palców Elizabeth spoczęły na zaczerwienionej dłoni Sary.

– Chcę, żebyś pojechała ze mną.

– Słucham, panienko?

– Do Pemberley. Chcę, żebyś pojechała tam ze mną.

Zgodzisz się, prawda?

– Nie wiem, doprawdy...

Elizabeth zaczęła mówić prędko:

– Widzisz, chcę zabrać coś z domu. Przyniesie mi to ogromną ulgę. Pan Darcy nie ma nic przeciwko, a mama mówi, że kiedy Jane i ja wyjdziemy za mąż, nie będziesz już tu potrzebna.

Sara odłożyła czepek i odwiązała troczki, rozluźniając wyszukane fałdy koronki. Najwyraźniej już o wszystkim zdecydowano.

– Praca będzie lekka w porównaniu z tym, do czego jesteś przyzwyczajona tutaj; Pemberley ma już dość liczną służbę. Nie będziesz musiała taszczyć wiader i rozpalać w kominkach. Nie będziesz musiała cerować pończoch, a przynajmniej nie dla wszystkich domowników. Tylko swoje własne, być może, i zapewne moje.

Sara złożyła welon i wsunęła go z powrotem do pudełka.

– Obawiasz się tęsknoty za przyjaciółmi, oczywiście, w końcu do nich przywykłaś. Ale gospodyni Pemberley, pani Reynolds, na pewno cię polubi; będzie dla ciebie miła, kiedy zobaczy, jaka jesteś dobra, porządna i wyszkolona. A sama zobaczysz trochę więcej świata. Wiem, że zawsze tego chciałaś.

Welon leżał w pudełku jak arkusz niezapisanego papieru. Sara nałożyła wieczko.

– A więc zgadasz się?

Sara odwróciła się w stronę toaletki. Elizabeth przyglądała się jej odbiciu. Dziewczyna powoli pokiwała głową.

– Och, tak się cieszę! Spodoba ci się tam, nie mam co do tego

żadnych wątpliwości.

Sara poprawiła pukle panienki. Elizabeth przed chwilą cała się rozpromieniła, ale teraz znowu miała marsową, zamyśloną minę. Może taka pełnia szczęścia wcale nie jest łatwa. Może taki stan – wiedza, że się odniosło całkowity sukces – jest przerażający.

W kuchni popłynęły łzy, kiedy powiedziała pozostałym. Nawet pan Hill musiał chrząknąć i się odwrócić i czymś zająć, skubiąc wosk ściekający po świecy. Może i spodziewali się takiego obrotu spraw, ale to wcale nie oznaczało, że się nań przygotowali.

– Jeśli coś usłyszycie – powiedziała Sara. – Jeśli dostaniecie od niego jakąś wiadomość... jeśli wróci...

– Napiszę ci o tym natychmiast.

– Zajmijcie się też Polly. Musi mieć czas na naukę. I na zabawę z dziećmi ze wsi.

Pani Hill przytaknęła, czując gulę w gardle.

– Jest bardzo młoda – stwierdziła Sara.

– Wiem.

– I do tego zbzikowana.

– Hej!

Podniosła Polly, ścisnęła i przytuliła mocno twarz do jej szyi.

– Jesteś taka słodka, że mam ochotę cię schrupać.

– Nie rób tego – powiedziała Polly i wytarła oczy wierzchem dłoni. – Napisz do mnie z Pemberley. Już całkiem dobrze mi idzie czytanie.



Rozdział XVIII

Pojechali zatem do Pemberley.

Dyliżans zostawił Sarę oraz kufry i walizki Elizabeth przed gospodą w Lambton, a potem ruszył dalej. Dziewczyna widziała kilka oświetlonych okien, iglicę kościelną na tle rozgwieżdżonego nieba i ciemność zieleni w oddali – a potem przywitał ją starszy mężczyzna ze świecą. Kazał jej iść do wozu, gdzie służba gospody ładowała rzeczy pani Darcy. Wspięła się do środka i czekała, podczas gdy nieznajomy szarpał się z płótnem, które miało wszystko przykryć.

Kiedy wreszcie do niej dołączył, mówił coś niezrozumiale. Pachniał whisky oraz koniem. A potem wyruszyli w ciemność; koła toczyły się po porządnie ułożonych drogach. Po chwili zamilkł, a Sara poczuła ulgę; kiwała głową i uśmiechała się, ale nie miała pojęcia, z czym się przez cały ten czas zgadzała. Chwilę później – ciężko było ocenić mijający czas po tak długiej podróży – trafili na skrzyżowanie, a mężczyzna zwolnił i skręcili. Droga zawiodła ich między drzewa; znowu zmienili kierunek; tym razem w oddali majaczył błyśki kształt. Woźnica wymienił kilka słów ze stróżem, który otworzył dla nich bramę. Sara nic z ich rozmowy nie zrozumiała.

Lampa kołysała się na swoim haczyku, oświetlając ostre rysy twarzy mężczyzny i splot koca na kolanach Sary, a także zady i ogony dwóch wałachów, ale niewiele więcej. Zdążyła się już przyzwyczaić do bólu; akceptowała jego obecność; długa podróż do Derbyshire pozwoliła jej pogodzić się z ogromem straty. Wszystko, co do tej pory znała i wszystkich, których kochała, każde miłe przywiązanie zabrano, a w zamian zostawiono tylko jej

delikatną i surową postać. Oczywiście marzyła o tym, odkąd tylko pamiętała: żeby któregoś dnia zobaczyć coś poza Longbourn. Powinna dokładniej definiować swoje marzenia. Powinna życzyć sobie szczęśliwych okoliczności takiej podróży.

Wóz przez jakieś pół mili jechał pod górę, a Sara już czuła, jak głowa jej opada, lecz natychmiast wybudziło ją dżgnięcie kościstego łokcia. Mężczyzna uniósł brodę, pokazując, gdzie powinna patrzeć. Spojrzała.

Wyjechali spomiędzy drzew; przed nimi rozpościerało się niebo, a na nim biały i lodowaty księżyc. Dom stał na wzniesieniu po drugiej stronie doliny, za nim zaś rysowały się pokryte drzewami wzgórza. Fasada wyglądała na srebrną w księżycowej poświacie; jej odbicie błyszczało w jeziorze u podnóża. Pemberley. Piękne, ogromne i nieznane. Wóz jechał dalej, ale Sara nie potrafiła odwrócić wzroku od rezydencji; wyciągała głowę, byle nie stracić jej widoku. Była niezwykła: jak rozpoczyna się tworzenie tak wspaniałego bogactwa i piękna? Kto wbił słupki ogrodzenia i przeciągnął między nimi liny, mówiąc: „Ta ziemia należy do mnie i do nikogo więcej; te łąki są moje, te lasy są moje; ta woda, w której odbija się księżyc, jest moja; a wszystkie pływające w niej ryby też są moje i wszystkie ptaki fruujące po niebie i śpiewające w lesie są moje; nawet powietrze jest moje, gdy znajduje się nad moją ziemią; to wszystko będzie moje, a kiedy ja odejdę, przejdzie w ręce mojego syna; i nigdy nie stracimy tej własności, dopóki starczy synów do dziedziczenia”. Ponieważ kiedyś musiał istnieć czas, kiedy ryby pływały i ptaki fruwały wolne, świat był młody, a Adam i Ewa wyszli z Edenu zadziwieni i zawstydzeni.

A potem straciła rezydencję z oczu, kiedy wóz wjechał w smoliste cienie i zniknęła poświata księżycy, zostawiając ich na pastwę niewielkiej lampy, długiego tunelu utworzonego przez drzewa i nagłego trzepotu wystraszonego ptaka. Ze swojego miejsca Sara widziała, jak droga wiję się w stronę mostka i wielkiej bramy. Nie jechali tamtędy: spojrzała na woźnicę z krótkim zarostem na policzkach i o skrytych w cieniu oczach.

- Dlaczego jedziemy tędy?
- Chrząknął i odpowiedział powoli:
- To ścieżka dla służby i dostawców.

Opatuliła się mocniej starą pelisą. Już trzy dni spędziła w podróży, ale zdawało jej się, że ostateczny jej cel ciągle ucieka. Sara pragnęła ją wreszcie zakończyć, ale jednocześnie nie chciała dojechać na miejsce.

Pokonali strumień, jadąc po wąskim drewnianym mostku, ledwo mieszczącym wóz; znowu na krótką chwilę zamajaczył w oddali dom, odbijając się w jeziorze jak w lustrze. A potem wrócili do lasu, wóz skręcił i dotarli do rezydencji od strony przeznaczonej dla służby.

Wjechali na podwórze. Stajenny podszedł do koni, a dwóch ubranych w liberie lokajów do wozu, niosąc w rękach lampy. W środku dało się zauważyć niewyraźne sylwetki w wąskich oknach. Do ich uszu dobiegł hałas, kiedy ktoś wyszedł na zewnątrz: drzwi się zatrzasnęły i nagle wszystko ucichło. Jeden z lokajów wyciągnął do Sary dłoń w rękawiczce. Złapała ją i zeszła z wozu, cała zeszywniała po podróży.

Woźnica położył jej drewniane pudełko na kocie łby; lokaje wyładowywali bagaże Elizabeth. Sara zeszła im z drogi, chowając się za wypiętrzającą się górą toreb i kufrów. Przycisnęła dłonie do oczu, chłodnymi palcami dotykając czoła. Co teraz? Gdzie ma się udać? Cały świat był szeroki, ciemny i pusty, a ona nie miała w nim swojego kąta.

Podeszła jakaś kobieta; Sara wyprostowała rękawy sukienki, przestała się garbić i spróbowała się uśmiechnąć.

Gospodyni miała może pięćdziesiąt lat, na głowę założyła batystowy czepek, a niżej widać było czysty i elegancki kołnierz. W ręku niosła lampę. Najpierw powiedziała lokajom, gdzie mają zanieść bagaże. Później poprosiła woźnicę, by wszedł do środka i się odświeżył, proponując mu nocleg w łóżku dla służby, inaczej musiałby wracać długą drogą do miasta zimną nocą. Stajenny odpiął konie, by najadły się i odpoczęły. Każde działanie, każde polecenie pokazywało, że mają do czynienia z ogromną

rezydencją, a jej domownicy są nie tylko gościnni, lecz także zdają sobie sprawę z obowiązków wynikających z wysokiej pozycji.

Sara stała przy pudełku, podczas gdy wokół zapanował wreszcie spokój i porządek: bagaż wniesiono do środka, konie zniknęły w stajni, a drzwi zamknięto i tylko z kuchni, gdzie kontynuowano pracę, dobiegał cichy szum. Dopiero wtedy gospodyni poświęciła jej swoją uwagę.

– A więc ty jesteś pokojówką pani Darcy?

– Zgadza się, proszę pani.

– Rozmawiasz z panią Reynolds, tutejszą gospodynią.

Sara dygnęła.

– Chodź zatem – powiedziała. – Zapraszam do środka.

Dziewczyna przykucnęła, żeby podnieść pudełko.

– Mogłaś powiedzieć, kazałabym to zanieść na górę.

– Przepraszam.

Ruszyła za panią Reynolds i jej świecą do środka, przeszły przez korytarz, gdzie każdy dźwięk odbijał się echem, a Sara niosła ze sobą cały swój dobytek. Ogarnęło ją takie zmęczenie, że ledwo mogła dotrzymać kroku gospodyni i słuchać, co się do niej mówi.

Pani Reynolds podawała nazwy pomieszczeń, które mijaly. Pokój z butami. Pokój z bronią. Spiżarnia, pokój kredensowy, magazynek z serem. Potem pchnęła jakieś drzwi i natrafiły na ścianę gorąca. Kuchnia, a w niej wielkie poruszenie: kucharz wykrzykujący polecenia, służki i służący migiem je wykonujący, krojąc, mieszając, polewając i pocąc się.

Gospodyni patrzyła na to ze spokojną obojętnością, mijając zajętą służbę i kiwając głową do kucharza, a potem uśmiechnęła się do pokojówki. Sara szła o krok za nią i co chwilę ktoś ją poganiał albo przeganiał, przez co dziewczyna zaczęła się rumienić.

Szły przez korytarz; świece płonęły w kinkietach rozmieszczonych na ścianie w równych odstępach. Sara przepływała przez plamę światła, by wpaść w kałużę ciemności, a potem znowu wynurzyć się z niej, idąc za migoczącym

płomieniem świecy pani Reynolds. Dziewczyna czuła, jak hipnotyzuje ją szeleszcząca spódnica gospodyni, ale starała się słuchać potoku słów na temat prac i hierarchii panującej w domu, a także rozmieszczenia pokoi. Musi zapamiętać drogę, inaczej nie odnajdzie kuchni, ale niczego nie potrafiła zanotować w głowie – mijala tylko długie ściany i plamy to światła, to cienia – wszystko rozmazywało się w jej oczach.

Weszły po schodach z nagich kamieni, pokonały pobielane korytarze, potem kolejne schody, tym razem drewniane, pnące się wysoko; Sarze zaczęło ciążyć drewniane pudełko, musiała podnieść spódnicę, w głowie jej się kręciło. Wyszły na wąską kładkę na stryszku; na podłodze leżał dywanik, a wzdłuż niego widać było szereg małych, drewnianych drzwi, ciągnących się przez cały korytarz, ginących na końcu w mroku.

– Tędy.

Stryszek dla służby rozciągał się – jak poinformowała ją pani Reynolds, kiedy kolejne pary drzwi pokazywały się i ginęły w świetle świecy – na całą długość skrzydła. Potem gospodyni nagle się zatrzymała, więc Sara też stanęła w pół kroku; znalazły się przed drzwiami niczym niewyróżniającymi się od pozostałych.

Pani Reynolds przekręciła gałkę i pchnęła.

– I oto jesteśmy na miejscu.

Sara ruszyła za nią do środka. Wąskie drewniane łóżka stały po obu stronach pokoju; na podłodze między nimi leżał wysłużony dywanik. Niewiele więcej się tam mieściło, poza toaletką na końcu pomieszczenia, pod spadzistym oknem, ze świecą i ceramiczną misą oraz dzbanem. Pod łóżkiem po prawej leżało pudełko nieznajomej pokojówki.

– Masz tam wodę do mycia. A tutaj leżą twoje ubrania.

Pokazała na równiutko złożoną czarną flanelę i białe płótno na łóżku po lewej.

– Możliwe, że będziesz musiała je trochę dopasować; zajmij się tym, kiedy będziesz chciała. Pod toaletką znajdziesz przybory do szycia. Wydaje mi się jednak, że masz podobne wymiary, co pokojówka panny Darcy.

Sara wsunęła swoje pudełko pod łóżko, podniósłszy narzutę. Pani Reynolds sięgnęła po świecę z toaletki i zapaliła ją płomieniem własnej.

– Będziesz dzielić pokój z Anne, pokojówką panny Darcy; zajmowała się też panią Darcy, zanim tu przyjechałaś, i może opowiedzieć ci o tym, jak się pracuje w Pemberley. A jeśli przyjdiesz do mnie po tym, jak się już umyjesz i przebierzesz, dam ci kolację, a potem pokażę garderobę pani Darcy. Do tego czasu Anne zacznie już rozpakowywać bagaże, więc jej pomożesz.

– Dziękuję, proszę pani.

– Wydaje mi się, że będziesz tu pasować – stwierdziła. – Wyglądasz na porządną, dobrą dziewczynę.

– Dziękuję, pani Reynolds.

Gospodyni najwyraźniej miała już wyjść, ale się zawahała.

– Jak zapewne rozumiesz, trochę obawialiśmy się twojego przyjazdu. Nic o tobie nie wiedzieliśmy, za to słyszeliśmy, skąd pochodzisz. Longbourn to małe miejsce, a tutejsze standardy mogą się okazać zupełnie inne. Ale myślę, że będziesz się nadawać.

Potem wyszła, zabierając ze sobą świecę.

Sara musiała przetrwać jeszcze długie godziny. Długie, długie godziny.

Usiadła i zdjęła czepek, a potem położyła go na narzucie. Miała własne łóżko. Rozpięła pelisę i ściągnęła z ramion, a potem spojrzała na stare, znajome buty na obcym dywaniku, zrobionym przez nieznane ręce ze szmatek, których nie rozpoznawała: w Longbourn mogłaby dojrzeć kawałki starego spencera, płaszcza albo koca, rozprutych, by zdobyć niezbędny materiał.

Ale nie było sensu teraz o tym rozmyślać.

Podniosła się i namoczyła ściereczkę, a potem wyżęła ją, wytarła szyję i twarz, wyczyściła paznokcie. Kiedy była już czysta i sucha, wyjęła klucz z woreczka wiszącego pod spódnicą i otworzyła pudełko. Wyjęła swój najlepszy czepek, który pani Hill obszyła nową wstążką. Włożyła go i schowała wszystkie włosy do środka. Ubrała się w strój pokojówki, który wisiał luźno w talii i na ramionach. Zawiązała chustę. Żałowała, że nie może zmienić

butów, bo bardzo bolały ją stopy, a samo obuwanie miało już lepsze czasy za sobą, ale nic nie dało się z tym zrobić. Sięgnęła po świecę i zamknęła za sobą drzwi, a potem policzyła wszystkie kolejne, aż do schodów, żeby odnaleźć te właściwe.

Sara naprawdę starała się być w Pemberley szczęśliwa. Tak, jak jej obiecano, pracę miała lekką w porównaniu z tym, do czego przyzwyczaiła się w Longbourn. W Pemberley pracowała cała armia służących od noszenia wody, drewna i węgla; od gotowania, czyszczenia i polerowania; nigdy nie widziała wiadra z resztkami dla świń ani nawet samej świni, chociaż oczywiście nie mogło ich zabraknąć nawet w Pemberley. Do jej obowiązków należało tylko zajmowanie się panią Darcy, ubieraniem jej i upiększaniem.

Elizabeth mogła się pochwalić naturalną urodą, więc dawniej wykazywała raczej zdrową dozę zainteresowania swoim wyglądem; warto było się wystroić na bal, ale na co dzień nie przejmowała się szczególnie i chętnie zjawiała się na śniadaniu z ubłoconym brzegiem sukni, rumieńcami i błyszczącym nosem, a herbatę z sąsiadami mogła wypić w wyblakłej sukience po siostrze. Jednak teraz musiała podchodzić do toalety równie skrupulatnie, co do modlitwy.

- Jak wyglądam?
- Bardzo dobrze.
- Naprawdę tak myślisz?

Sara właśnie wplatała wstążkę w loki Elizabeth, szykując ją na śniadanie.

- Oczywiście. Wygląda pani ślicznie.
- Elizabeth nawet się nie uśmiechnęła.
- Ciągle się boję, że nie spełniam jego oczekiwań.
- Jestem pewna, że niesłusznie.
- Nie rozumiesz, Saro. Naprawdę nic a nic nie rozumiesz.

Tamtego popołudnia Sara wróciła do garderoby pani Darcy, żeby przygotować ją do obiadu. Okazało się, że była tam już Anne, uzbrojona w pachnącą pomadę i perły; Sara nie była potrzebna. Pokójówka panny Darcy oczywiście posiadała lepsze rozeznanie w aktualnej modzie, ponieważ, pracując dla rodziny, spędziła dużo

czasu w Bath, Londynie i Ramsgate.

Pemberley było piękne, co do tego nie miała wątpliwości. Zbliżało się Boże Narodzenie, więc na drzewach i ziemi na terenie posiadłości pojawiły się drobinki szronu, a gdy wyszło się na zewnątrz, żeby zebrać ostrokrzew na gzymsy kominków, bluszcz do ozdobienia ram obrazów oraz jemiołę do zawieszenia na żyrandolach – cudowny musiał to być spacer. Cóż miała jednak począć Sara, zamknięta w garderobie pani Darcy z robótką? Nie mogła wyjść. Kiedy pani Darcy ubrała się rano i usiadła z Anne, by zająć się włosami, Sara została odesłana i nie widziała żywej duszy aż do obiadu.

Niemal natychmiast okazało się, że można jej zlecić jedynie najprostszą pracę. Kiedy nadesłano materiał na suknie, Sara odwinęła go i sprawdziła, czy nie ma wad, wdychając zapach londyńskich sklepów – egzotyczny, ostry, odrobinę nieświeży – a potem zwinęła z powrotem i odłożyła, żeby ktoś inny zaniósł go do krawcowej w miasteczku; dziewczyna nie miała z nim nic wspólnego aż do czasu, kiedy gotową suknię musiała zawiesić w szafie. Pozostawało jej szycie i naprawianie bielizny. W jej ręce trafiał doskonały biały batyst i jedwab, co uznałaby za przyjemność, gdyby nie był tak cieniutki i nieporęczny, że bolały od niego palce i oczy, a do tego niezmiernie nudny: zszywała wstążki i troczki, przyszywała na nowo rozdarte lamówki, poprawiała rozprute szwy koszul i halek. To była praca dobra dla nowicjuszki i przynosiła jej niewiele satysfakcji. Często łapała się na tym, że wygląda bezmyślnie przez okno i wpatruje się w trawniki oraz krajobraz w oddali. Robótka leżała porzucona na jej kolanach, a dziewczyna wolała patrzeć na oprószony szronem park, porośnięte drzewami wzgórze i szeroki pas nieba.

Jej dłonie zrobiły się miękkie od lekkiej pracy. Godziny się dłużyły. Dni mijały.

Z Londynu przywożono kolejne tkaniny, małe, leciutkie zawiniątka. Zacerowane pończochy i naprawione koszule wciskano na dno szuflady.

Jej ciało również zmiękło: nigdy wcześniej się tak dobrze nie

odżywiała. Jajka na śniadanie, mięso albo ryba na obiad, coś słodkiego i przyjemnego na kolację. Pani Hill gotowała dobrze i prosto, ale tutaj sprawy miały się inaczej, cały posiłek serwowano w jadalni dla służby, gdzie Sara pożywiała się powoli i bez słowa, nie rozumiejąc nic z akcentu z Derbyshire. Herbatę przynosiła jej pokojówka, z tacą w ręku i paskudnym wyrazem twarzy, bo nikt nie chciał być służącym dla służby. Sara, zdając sobie z tego sprawę, rumieniła się za każdym razem, kiedy dziewczyna stawiała jej herbatę. Mówiła wtedy: „Bardzo ci dziękuję, Lucy”, chociaż tak naprawdę nie wiedziała, czy właśnie tak brzmiało jej imię.

Nieco pocieszenia przynosił jej fakt posiadania własnego czajniczka gorącej herbaty, kubka mleka i nawet malutkiego spodka z trzema grudkami cukru. Wsunęła dwie do kiszeni, żeby wysłać je Polly razem z następnym listem, starannie zawinięte w papier.

Na Boże Narodzenie przyjechali Gardinerowie. Sara usiadła przy oknie garderoby pani Darcy i szyła, nasłuchując dalekich odgłosów rodziny zebranej w salonie piętro niżej. Słyszała ich rozmowy i dźwięki klawikordu, a także śmiech dzieci Gardinerów, kiedy ganiały się po ogromnej posiadłości. Gdy wychodziła z garderoby pani Darcy, dom wydawał się przyjazny i wygodny: przestronne pokoje oferowały komfortowe i różnorodne wyposażenie, a oprócz tego ciepło i całe mnóstwo obrazów, muzyki, rozmów i książek. A za murami rezydencji roztaczały się włości państwa Darcych, doskonale zadbane park, zagajnik i pola, a wszystko to zapewniało komfort i dobrobyt. Sara zaś tylko siedziała tutaj, na tym fotelu, w tym oknie, doszywając wstążkę do halki, która równie dobrze mogła nigdy już nie zostać użyta.

Gdyby tylko odłożyła robótkę i wyszła na korytarz, otworzyła kilka par drzwi i zajrzała do środka; gdyby zeszła do tych niewidzianych jeszcze pokoi na dole, żeby przyjrzeć się miniaturom i marmurowym rzeźbom; gdyby wyszła przez francuskie okna na zewnątrz, ruszyła wyłożoną żwirem ścieżką, wzdłuż przyprószonych szronem żywopłotów, a potem między krzewy; gdyby pomaszerowała przez trawniki nad rzekę, żeby

popatrzeć na leniwe pstrągi w zimowym słońcu, a potem prześlizgnęła się przez bramę i wyszła w las, wspięła się po ścieżkach na wzgórza – jak długo dałaby radę iść, jak daleko mogłaby zajść, zanim nie zostałaby odesłana z powrotem do tego kąta?

Tutaj było jej miejsce: widok na bezlistne wiązy, robótka nowicjuszki, fotel i taca z herbatą.

To więcej niż się mogła spodziewać. A jednak nie dość.



Rozdział XIX

...mujesz być bardzo szczęśliwa.

Prawdziwym szokiem – niemal fizycznym, jak upadek albo utrata równowagi czy uderzenie o kant stołu – okazał się dla niej widok Ptolemy’ego Bingleya, który zajechał do parku pewnego rzeńskiego poranka, dzień przed Zwiastowaniem Pańskim.

Sara upuściła igłę, która wisiała przez chwilę na nici, a potem spadła na podłogę. Dziewczyna wstała. Powóz Bingleyów wtoczył się na podjazd; okno zaparowało od oddechu Sary. Nie mogła się pomylić, nawet z takiej odległości. Nie chodziło o kolor skóry, ale postawę, sylwetkę na tle innych ludzi. Widziała też, jak wiatr rozgarniał żonkile, nagie gałęzie przecinały niebo, a chmury kłębiły się i rozrywały. Minął rok, a ona tego nie zauważyła.

W pokoju za jej plecami zegar wybił półgodzinę.

– Przyjechali?

Sara się obejrzała. Pani Darcy siedziała przy toalecie, zwrócona w jej stronę.

– Tak mi się wydaje, proszę pani.

Elizabeth wstała i podeszła do okna. Sara odsunęła się, żeby zrobić jej miejsce. Razem patrzyły, jak zbliża się powóz. Sara wiedziała, że Bingleyowie zapowiedzieli wizytę – długo jej wyczekiwano – ale w jej myślach Ptolemy prowadził już swój sklep z tytoniem w Spitalfields; wymyśliła mu nawet ładną, pulchną żonę: założyła, że odnalazł szczęście, i nie spodziewała się go więcej widzieć.

– Podaj mi mój indyjski szal, Saro.

Odeszła od okna i wysunęła szufladę.

– Który, proszę pani?

– Jeden z tych nowych.

Sara wyjęła kremowy, kaszmirowy szal, z brzegami obszytymi wijącymi się listkami i kwiatami; w jej głowie kłębiły się myśli. Bingleyowie mieli gościć przez dwa tygodnie: a więc czekało ją aż czternaście dni nerwowych obiadów w jadalni dla służby i równie niespokojnego poruszania się po rezydencji. Ptolemy również będzie jej unikał – z pewnością spotkanie okazałoby się krępujące dla obojga, ale też nie będzie trwało wiecznie. A przynajmniej skończy się za dwa tygodnie... Ale kto wie, co wydarzy się później, w przyszłych latach?

– Cieszę się, że Jane do mnie przyjechała.

Sara wygładziła kaszmir na ramionach pani Darcy. Jakaś kobieta daleko stąd pracowała nad tym kawałkiem tkaniny, a potem przeciągnęła się i wyszła na ciepłe powietrze, by pospacerować wśród liści i kwiatów, zupełnie takich jak te na lamówce, pod gałęziami pełnymi ptaków.

Elizabeth odwróciła się od okna, cała rozpromieniona.

– Chodź ze mną.

– Słucham?

– Chodź na dół, pośpiesz się. Z pewnością chętnie powitasz Jane.

Kiedy pani Bingley zauważyła Sarę, stojącą razem z innymi służącymi na silnym marcowym wietrze, przywitała ją ciepło, pocałowała w policzek i wyraziła nadzieję, że dziewczyna jest szczęśliwa, po czym wspięła się dalej na schody i weszła do domu pod rękę z mężem z jednej strony i siostrą z drugiej, nie czekając na odpowiedź Sary.

Pokojówka zebrała drobne rzeczy pozostawione w powozie – rękawiczki, damską torebkę i książki – i zaniósła je do środka; kiedy wchodziła po schodach, kątem oka zauważyła Ptolemy'ego. Zajął się bagażem i rozmawiał tylko z innymi lokajami, a ona nawet raz nie przyłapała go na zerkaniu w jej stronę. Nie miała pojęcia, czy się jej tu spodziewał. Dopóki z nim nie porozmawia, będzie czuła skrępowanie, które zapewne i później jej nie opuści.

W końcu okazało się, że cała ta sprawa została załatwiona

szybciej i bardziej gładko, niż miała nadzieję. Sara rozmawiała z Tolem wieczorem tego samego dnia, ponieważ w Pemberley, zgodnie z modą, jadano obiady dość późno; była już prawie osiemnasta, kiedy rodzina zasiadła do stołu, a kiedy podano im posiłek, służba mogła zająć się swoim, i wyszło tak, że znalazła się obok Bingleya przy stole. Doskonale zdawała sobie sprawę, że pani Reynolds bacznie jej się przygląda, pilnując idealnego prowadzenia się służby. Pilnowali także inni: Anne oczekiwała intryg i pasji, Lucy (jeśli naprawdę tak się nazywała) zawsze zdawała się szukać kłopotów, stajenny zazwyczaj pojawiał się na dole akurat wtedy, gdy Sarze zdarzało się tam zawędrować, a uśmiechał się przy tym i nieustannie zagadywał, wywołując na jej policzkach rumieńce, gdy dziewczyna nie rozumiała nic z jego akcentu, a on jej.

Kiedy wreszcie zdobyła się na odwagę, by wejść do jadalni dla służby, Ptolemy właśnie stawiał krzesło obok jednej z najładniejszych pokojówek; jedyne wolne miejsce znajdowało się po jego lewej stronie. Sara, wahając się w progu, przez chwilę rozważała, czy nie zawrócić i nie schować się w garderobie pani Darcy, ale uznała, że wszyscy ją zobaczą i będą wiedzieć, więc musi stawić temu czoła. Wzięła głęboki oddech i pomaszerowała po nagich kamieniach w jego stronę. Uniósł wzrok i zeszywniał, gdy ją zobaczył, a potem popatrzył na swoją piękną sąsiadkę i powiedział coś, w odpowiedzi na co dziewczyna otworzyła szerzej oczy i pokazała dołeczki w policzkach.

I tak oto Sara zasiadła obok niego, widząc jego koszulę, kołnierz, kanarkową kamizelkę, kark i tył głowy, odwrócił się bowiem i całą swoją uwagę poświęcał młodej kobiecie po prawej, która teraz się zarumieniła i wyjąkała kilka niezgrabnych słów. Sara zdała sobie sprawę, że zachowywała się dokładnie tak samo – zakłopotana i podniecona uwagą, jaką poświęcał jej taki mężczyzna – gdy Ptolemy po raz pierwszy pojawił się w Longbourn.

Po chwili ich rozmowa ucichła, co musiało przecież nastąpić, skoro tak niewiele łączyło go z taką dziewczyną ze wsi. Sara

musiała czasem odpowiadać stajennemu, który siedział niedaleko niej, co również było dla niej męką, ponieważ chłopak mówił wyłącznie o sobie, swoim starym ojcu i koniach, a ona potrafiła zrozumieć co trzecie słowo. Potem i oni zamilkli, chociaż wszędzie dokoła słychać było paplaninę, szczęknięcie sztućców, przeżuwanie i szuranie krzesłami, kiedy ktoś musiał odpowiedzieć na dzwonek. Sara dotknęła gorącego policzka, nie tknąwszy nawet jedzenia.

Ptolemy przemówił cicho, żeby zagłuszył go panujący wokół hałas; nie patrzył na nią.

– Jak ci się wiedzie?

– Całkiem nieźle – odparła. – Dziękuję. – A potem po chwili: – A tobie?

Pokiwał głową.

Później odwrócił się z powrotem do młodej pokojówki i zapytał, czy brała udział w pieczeniu mięsa, ponieważ smakowało doskonale, a on nigdy wcześniej nie jadł tak wspaniałej wołowiny, nawet w samym Londynie. Była to śmiała próba nawiązania rozmowy, ale i ona spełzała na niczym, i wkrótce Ptolemy tylko patrzył w przestrzeń i przekładał sztućce.

– Nie spodziewałam się ciebie tutaj – powiedziała cicho Sara. – Myślałam, że do tego czasu będziesz już miał swój sklep.

– Och, znasz mnie przecież.

Spojrzała na niego. Wzrok utkwiał w szeregu zajęcy wiszących na ścianie po drugiej stronie pomieszczenia, z których krew ściekała do podstawionych misek.

– Rozważam różne opcje – powiedział. – Trzymam rękę na pulsie.

– Życzę ci powodzenia, panie Bingley.

Prychnął i pokręcił lekko głową: myślała, że oskarży ją o okrucieństwo, o zniszczenie jego nadziei i szczęścia. Ale on tylko odwrócił się i spojrzał na nią. Jego oczy wciąż były piękne, czarne jak kawa, ale teraz wezbrały w nich łzy. Kiedy się odezwał, zdobył się ledwo na szept.

– Nie chciałem... – zaczął. – Kiedy usłyszałem o twojej

obecności tutaj, myślałem, że gdy cię zobaczę, wzbudzę w tobie jakieś uczucia. Zranię cię. Ale to...

– Panie Bingley, tak mi przykro...

Wzruszył ramionami.

– Ale to nie twoja wina.

Złożyła ręce na kolanach. Spuściła wzrok.

– Chodzi o tego lokaja – odparł. – Smitha.

Przełknęła ślinę, spróbowała chrząknąć, ale udało jej się tylko przytaknąć.

– A ty się na niego uparłaś. Nikim innym się nie zadowolisz.

Poczuła, że pieką ją policzki; nie mogła na niego spojrzeć.

– Porzuciłam już nadzieję.

Zaczął szarpać swoje białe rękawiczki.

– Doprawdy?

Powoli opuściła powieki i pokiwała głową.

– A gdybyś wiedziała, gdzie jest? Gdybyś miała szansę go odnaleźć?

– Panie Bingley. Ptolemy. Proszę.

– Znaczyłoby to dla ciebie o wiele więcej niż to wszystko – machnął ręką, pokazując na jadalnię służby i cały dom – więcej niż cokolwiek...

– Wydaje mi się... – powiedziała, a potem przełknęła ślinę i uspokoiła głos. – Wydaje mi się, że on nie żyje. Ale nie jestem pewna.

– A co, jeśli ja bym ci powiedział, że jestem pewien?

Spojrzała na niego. Cały hałas i rozgardiasz, pozostali służący, kuchnia, Pemberley – wszystko – zniknęło i została tylko cisza. Tylko spojrzenie jego ciemnych oczu.

– Powiedz.

– Żyje.

– Widziałeś go?

– A przynajmniej żył kilka dni temu.

– Gdzie go widziałeś?

Zacisnął szczęki i patrzył na nią dłuższą chwilę, a potem się odwrócił. Kiedy mówił, zgarniał dłonią okruszki z obrusa w stosik,

a potem znowu rozgarniał.

– Jechaliśmy właśnie wzdłuż brzegu od Ulverston. Ledwie kilka dni temu, kiedy Bingleyowie wracali z jezior. A lokaj z Longbourn, Smith, przechodził tamtędy, ale w drugą stronę, na północ...

– Widziałeś go.

– Tak, widziałem go. Towarzyszył budowniczym dróg; był ich tam cały oddział, razem ze sprzętem, długi ogon wozów. Zobaczyłem go tylko przez chwilę, gdy ich mijaliśmy, ale go rozpoznałem, a on mnie. Trwało to zaledwie moment, a potem już się rozłączyliśmy.

Podniósł rękę i zakrył nią usta.

– Cóż – powiedział. – Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

Po chwili Sara dotknęła jego ramienia.

– Jesteś pewien, że to on?

Spojrzał na jej marszczące białą bawełnę palce.

– Tak. Poznałem go. Jestem pewien.

Potem uniósł ramię, żeby jej dłoń się z niego zsunęła.

Odwrócił się i chrząknął, a potem odezwał się do swojej drugiej sąsiadki i więcej już na Sarę nie spojrzął ani z nią nie rozmawiał.

Dzień Zwiastowania Pańskiego. Dzień przyjmowania nowej służby i odsyłania starej, dzień końców i początków; dzień, w którym zmiany wplecione są w tkaninę mijających godzin; dzień wymagający sumowania rachunków i roztrząsania wszystkich wpływów i wydatków; dzień, kiedy każdy jest zobowiązany do zastanowienia się, czy zapłacił słuszną cenę za to, co dostał.

Biurko pani Darcy zostało odsunięte od okna i postawione na środku jej pokoju. Usiadła za nim w dziennej sukni i drapowanym szalu. Służący czekali na swoją kolej przed drzwiami, stojąc w szeregu i zachowując ciszę. Pani domu wydawała się piękna, zdenerwowana i zmęczona. Miała przed sobą otwartą księgę. Pani Reynolds stała w pobliżu, w razie gdyby potrzebna była jej pomoc. W końcu to dopiero pierwsza próba.

Rachunki z poprzednich kwartałów zapisane zostały

starannym pismem pani Reynolds: literki pani Darcy nie były tak schludne, ale świadomie nad nimi pracowała, wystawiając czubek języka. Zapisywała sumy i imiona; uśmiechała się do każdego służącego, który odznaczał się na liście i zabierał swój stosik monet. Sara widziała, że Elizabeth stara się, jak może. Robiła to, czego od niej wymagano.

Sara poczuła na dłoni ciężar swojej wypłaty; dygnęła.

Elizabeth posłała jej jeden ze swoich uroczych uśmiechów; drogie kamienie błyszcząły na palcach młodej pani, kiedy pióro przesunęło się, by postawić ptaszka w kolumnie „Zapłacone”. Już zrobiła jedną kreseczkę, kiedy Sara rozchyliła usta i przemówiła:

– Proszę mi wybaczyć, pani.

Pani Darcy nadal uśmiechała się cierpliwie.

– Tak, Saro?

– Mam nadzieję, że nie sprawię zbyt wiele kłopotu, ale chciałabym to zakończyć.

– Zakończyć?

– Zakończyć moje zatrudnienie.

– Ale... – Uśmiech pani Darcy stał się sztywny. – Dlaczego?

– Jakiś problem, proszę pani? – Pani Reynolds podeszła bliżej.

Pani Darcy uniosła rękę.

– Ona chce odejść!

Gospodyni zwróciła się do Sary:

– Czyżbyś była źle traktowana? Nie okazujemy ci uprzejmości?

– Ach, wszyscy są tu dla mnie dobrzy.

Pani Darcy odchyliła się i pokręciła głową.

– Czyżby praca była za ciężka? – zapytała gospodyni. – Z pewnością nigdy nie pracowałeś lżej i raczej lepszej sytuacji sobie nie znajdziesz.

Sara pokiwała głową. Wszystko to prawda.

Pani Darcy wydawała się zbита z tropu.

– Czyżbyś chciała powrócić do Longbourn? Matka chce cię z powrotem? Albo pani Hill?

– Nawet jeśli, najpierw powinni przedstawić swoją prośbę pani.

– A może... – przy tych słowach fizjonomia pani Darcy nabrała bardziej posępnych rysów, dama pochyliła się do przodu i zniżyła głos, jakby nawet mówienie o tym było karygodne – jesteś nieszczęśliwa? Czyżbyś... tęskniła za domem?

– Tak – potwierdziła Sara. – Wydaje mi się, że jestem nieszczęśliwa.

Przekonała stajennego, żeby wymienił jej drewniane pudełko na torbę, żeby łatwiej mogła nieść swój dobytek. Biedaczyna nie potrafił pogodzić się z jej odejściem, ale ucieszył się, że prosi go o pomoc. Mruknął coś niezrozumiale, kiedy podawał jej torbę, a ona pocałowała go w gładki policzek, żeby mu podziękować.

Ścieżka okalała posiadłość za tyłami domu; potem wznosiła się w stronę zachodniej części parku. Stamtąd wspinała się między drzewa, gdzie łączyła się z wąską dróżką dla koni jucznych, a razem z nią biegła wzgórzami w kierunku ogólnie uważanym za północno-zachodni. Sara mogła iść tamtędy, z jednego miasteczka do drugiego, aż do Chester. A z Chester mogła wybrać długą, płaską drogę do Lancaster, by później trafić nad piaskowe brzegi, które mogłaby przejść pieszo do ziemi znajdującej się dalej na północy. Lokaj Bingleyów podał jej ten ostatni strzępek informacji, ponieważ sam nie tak dawno tamtędy jechał. Patrzył na nią jednak jak na wariatkę: młoda dziewczyna wybiera wędrówkę, puste i zimne drogi ze wszystkimi ich niebezpieczeństwami, zamiast łatwego życia w Pemberley.

Kiedy znalazła się sama w pokoju, spróbowała założyć torbę na ramiona. Bez drewnianego pudełka jej dobytek wydawał się nie ważyć prawie nic.

Na drodze znajdzie innych ludzi. Zawsze tam są w tym okresie, gdy zwalnia i zatrudnia się pracowników; po kraju przelewa się fala służby, poszukująca sobie nowych miejsc. Sara znajdzie sobie towarzyszkę podróży i pójdzie z nimi tak daleko, jak tylko się będzie dało.

Pani Reynolds otworzyła drzwi na stryszek bez pukania.

– Pani Darcy prosi na słówko.

W pokoju porannym pani Darcy zszywała coś maleńkiego i białego. Odesłała panią Reynolds, ale nie wstała z jednego z foteli stojących przy kominku. Wydawała się trochę blada i zdenerwowana – w rękach trzymała robótkę i przez chwilę tylko bez słowa patrzyła na Sarę, a potem odwróciła wzrok i powiedziała coś tak cicho, że pokojówka tego nie usłyszała. Sara czekała niepewnie na środku dywanu o skomplikowanym wzorze. Potem zobaczyła, do kogo odezwała się pani Darcy: jej mążonek siedział w fotelu obok, ale dało się go zauważyć dopiero wtedy, gdy pochylił się do przodu i odpowiedział żonie; wcześniej skrywały go skrzydła fotela. Teraz się podniósł, niczym posąg, w który wstąpiło życie.

Sara skuliła się. Jego wzrok, po raz pierwszy skupiony na niej, sprawił, że poczuła się malutka. Podszedł do niej szybkim krokiem i zatrzymał się odrobinę zbyt blisko; musiała zwalczyć chęć odsunięcia się do tyłu, żeby powiększyć dzielący ich dystans. Została jednak na swoim miejscu i podniosła głowę; utkwiała wzrok w jego wykrochmalonym krawacie – w Pemberley bardzo dokładnie je wybielali – kiedy on przyglądał się jej z zaskoczonym, nieco poirytowanym wyrazem twarzy, jakby Sara była jakimś wcześniej nieistotnym domowym sprzętem, który nagle przestał działać, a teraz on musi się nim zająć.

– Moja żona spodziewała się, że zostaniesz z nią w tym trudnym momencie.

Sara odpowiedziała krawatowi:

– Przykro mi, proszę pana, że zawiodłam oczekiwania.

– Ja również spodziewam się, że z nią zostaniesz.

– Obawiam się, że nie mogę.

– *Nie możesz?*

Sara potwierdziła ruchem głowy.

– Czyżbym nie był dobrym panem? Czyżby ona nie była dobrą panią?

– Ależ skąd.

– W takim razie logika podpowiada, że musisz zostać.

– Nie.

Pochylił się do przodu.

– Taka jest twoja odpowiedź?

Sara skuliła ramiona.

– Już odpowiedziałam, proszę pana: nie mogę zostać.

– Ale jesteś tu *potrzebna*.

To powiedziała już Elizabeth, która właśnie wstała i ruszyła w ich stronę. Poruszała się powoli, nie tak gibko jak kiedyś.

Wydawała się ociężała.

– Tak świetnie radzisz sobie z najmniejszymi, Saro. Zawsze doskonale zajmowałaś się moimi młodszymi siostrami, nawet gdy sama jeszcze byłaś dziewczynką.

Sara jeszcze raz spojrzała na robótkę, którą ścisnęła w dłoni Elizabeth. Maleńka czapeczka niemowlaka. Od kilku miesięcy nie trzeba było po niej namaczać kawałków płótna. Jeśli już o tym myślała, to raczej podejrzewała, że ktoś inny się nimi zajął. Ale teraz stało się jasne, że pani Darcy spodziewała się swojego pierwszego dziecka – jej suknia wybrzuszała się na środku, piersi wystawały znad gorsetu, pełne i poznaczone sinymi żyłkami. Czekala na pierwszy połóg z typowymi obawami. Sara poczuła przypływ współczucia, ale...

– Mój pobyt tutaj pani nie pomoże.

Elizabeth będzie musiała po prostu to przecierpieć, jak każda inna kobieta. Jeśli przetrwa ten pierwszy raz, pozostanie jej tylko zrobić to po raz wtóry, znając już całą grozę – i jeszcze raz, i jeszcze, ponieważ taki dżentelmen jak pan Darcy potrzebuje synów.

Zaciskać zęby i modlić się – tylko tyle można zrobić.

– Nie mogę pomóc, panienko. Przykro mi.

– Pani – powiedział pan Darcy.

– Pani, oczywiście.

– Zatem jesteś zdeterminowana?

Sara zaryzykowała spojrzenie na jego przystojną twarz: zarys kości policzkowych, błyszczące oczy, gładką miękkość wygolonego lica. Wywodził się z rasy gigantów; nie mogło być

inaczej.

– Tak, proszę pana.

– Cóż – powiedział – naprawdę nas zaskoczyłaś. – Odwrócił się od Sary i odezwał do swojej żony: – Obawiam się, że nic już się nie da w tej sprawie zrobić. Jeśli dziewczyna chce odejść, choćby głupio postępowała, choćby wybierała niebezpieczny i ciężki żywot, a do tego niepewność jutra, ma do tego pełne prawo. W końcu jesteśmy w Anglii, a ona nie jest niewolnicą.

Elizabeth podeszła bliżej i złapała Sarę za rękę, wciąż ściskając robótkę; igła wbiła się w skórę dziewczyny, więc kiedy pani Darcy znowu spojrzyła na niedokończoną czapeczkę, zobaczyła na niej krew.

– Ale gdzie się udasz, Saro? Co może uczynić samotna kobieta bez wsparcia?

– Pracować – odpowiedziała Sara. – Zawsze mogę pracować.

Opuściła Pemberley po cichu, bez towarzystwa, wyjściem dla służby. Z torbą na ramieniu przeszła obok stajni i ruszyła ścieżką prowadzącą na tyły posiadłości, a potem przez park. Droga zawiodła ją wzdłuż strumienia i wkrótce Sara zaczęła mijać kępy białych żonkili, by potem wspiąć się na porośnięte drzewami wzgórze. Dotarła na kraniec parku, gdzie w kamiennym ogrodzeniu zbudowano stopnie, wygładzone przez lata. Weszła na nie.

Stamtąd mogła zobaczyć, jak ścieżka wybiega na spotkanie z dróżką dla jucznych koni. Kiedy obróciła głowę, wciąż widziała Pemberley, stojące cicho i samotnie, z oczami srebrzącymi się w chłodnym, wiosennym słońcu.

Uniosła spódnice i zrobiła krok do przodu. Znalazła się po drugiej stronie.



Epilog

Być może zdobycie tego, czego się pragnęło przez długie lata, wcale nie jest do końca szczęśliwe. Osiągnięty cel może wydawać się inny, niż się spodziewano. Możliwe, że z czasem traci na swojej atrakcyjności i wszystkie jego wady, ignorowane przez długi czas, nagle stają się wyraźne. I nie wiadomo, co z tym zrobić.

Nie miało to jednak zastosowania w przypadku pani Bennet. Jej szczęście było czyste, idealne i nieskażone. Kiedy jej starsze córki znalazły sobie doskonałe partie, a najmłodsza przynajmniej nie najgorszą, pani Bennet nie miała już na co narzekać; wręcz przeciwnie, tak wiele dobrych wieści przekazywała nad kartami albo przy herbacie, że znużyła tym niektóre swoje towarzyszki. Damom, które wcześniej tak skwapliwie pocieszały ją w chwilach niedoli, trudniej było podzielać radość pani Bennet, do tego trzeba bowiem prawdziwej przyjaźni. Na szczęście pani Bennet tego nie zauważała, a nawet gdyby, tylko by prychnęła i machnęła ręką, śmiejąc się, że nie obchodzi jej to ani trochę: dla niej całe nieszczęście się skończyło, a skoro nabrała pewności co do bezpieczeństwa swoich dzieci, mogła teraz trwać w zadowoleniu.

Kitty również była szczęśliwa; teraz spędzała wiele czasu ze starszymi siostrami i miało to dobry wpływ na jej maniery i poczucie smaku.

Mary jako jedyna z sióstr została w domu i z dnia na dzień zdobyła to, o co zawsze walczyła, czyli po prostu uwagę. To właśnie towarzystwa Mary domagała się matka; jej opinie liczyły się w każdej sprawie. A kiedy pozostałe córki nie wyciągały już rąk po kieszonkowe, pani Bennet upierała się, że Mary potrzebuje sukien, czepków, wstążek, a nawet nowych utworów na klawikord, jeśli już tak bardzo ich pragnie. Pani Bennet nagle odkryła, że

Mary to mądre i utalentowane dziecko i postanowiła dzielić się tym spostrzeżeniem z każdą napotkaną osobą. Mary z kolei żaliła się Polly, która pomagała jej teraz w codziennej toalecie, że odciąga się ją tak często od nauki, żeby piła herbatkę, oglądała rysunki najmodniejszych strojów albo jechała na poranne odwiedziny do sąsiadów.

– Ale chyba nie przeszkadza to panience aż tak okrutnie, prawda?

Mary się uśmiechnęła.

– Przyznaję, że już się z tym pogodziłam.

I tak oto Mary rozkwitła w ciepłym blasku uwagi własnej matki. A rozkwitać i być szczęśliwą to dobra droga do piękna. A już rozkwitać i być przy tym szczęśliwą i piękną to doskonały sposób, by stać się obiektem zauroczenia – w przypadku Mary wydawało się to przynajmniej możliwym, a to sprawiało, że jej świat rozpromienił się na nowo. Warto było mieć nadzieję na drugiego pana Collinsa.

Pan Hill zmarł, tak jak mu obiecano, w Longbourn – a do tego śmiercią, jakiej by sobie życzył, w objęciach kochanka, pracowitego wyrobnika w średnim wieku, z sąsiedniej farmy. Człowiek ten, niemy z szoku i żalu, przyprowadził panią Hill do miejsca ich schadzki w małym zagajniku. Udało im się we dwojkę nałożyć panu Hillowi z powrotem bryczesy. Oboje zapłakali, a pani Hill starała się pocieszyć biednego mężczyznę. Zanieśli staruszka z powrotem do domu, aż na stryszek, i położyli go w małżeńskim łóżku, żeby mógł umrzeć tak przyzwoicie, jak żył, a jego tajemnica pozostała tajemnicą.

Nie mieli jednak żadnych wieści o Sarze. Po tym, jak odeszła z Pemberley, słuch po niej zaginął. Równie dobrze mogła już nie żyć, leżeć gdzieś przy drodze. A może znalazła Jamesa i gdzieś wspólnie osiedli? A może nawet teraz wędruje jeszcze w jego poszukiwaniu? Jednak Sara musiała wiedzieć, że pani Hill z radością powitałaby jakikolwiek list. Nietrudno jest zdobyć kawałek papieru i trochę atramentu; mogli wybłagać je u pracodawcy albo u kapłana; duchowny z pewnością nie

odmówiłby tego rodzaju pomocy porządnej dziewczynie, której nie powiodło się w ciężkich czasach i która tęskniła za domem.

Ale listy w tym niespokojnym i trudnym okresie często otwierano; wszyscy wiedzieli, że szuka się w nich oznak dywersji, knucia i groźby rewolucji. Jedno nierozważne słowo, wskazówka, mogłoby ujawnić miejsce pobytu dezertera: nie można było podejmować takiego ryzyka. Dlatego jeśli Sara była z Jamesem, nie wysłałaby listu. I z czasem w pani Hill zaczęło rosnać przekonanie, że właśnie brak korespondencji stanowił wyraźny znak: najwyraźniej wszystko u nich dobrze.

Pod nieobecność Sary Polly stała się kuchennym uczonym. Regularnie pożyczala książki od pana Benneta, żeby czytać je wieczorami pani Hill i jednocześnie zapełnić te ciche chwile, gdy zostawały na dole tylko we dwie. Do tego rosła jak na drożdżach i zdawało się, że z dnia na dzień stała się kobietą. Pomocnicy rolni – a przynajmniej ci, którzy gustowali w płci pięknej – zatrzymywali się i gapili na Polly z otwartymi ustami, kiedy mijała ich w pięknych sukniach po Mary.

Polly jednak nie chciała żadnego z nich; nie interesowali jej mężczyźni, miłość ani żaden tego typu nonsens. Zamierzała zostać nauczycielką, powiedziała kiedyś Mary, a panienka przyklasnęła temu pomysłowi i zaoferowała wszelką pomoc.

– Francuski! Geometria! Mam *wszystkie* potrzebne książki. Może pouczymy się razem łaciny?

Po latach Polly w końcu zaczęła uczyć tego wszystkiego dzieci ze wsi, które pojawiały się w dziennej szkole z tabliczkami i kredą pod pachami. Szkołę ufundował pan Long, który, jak się okazało, podzielał nowoczesny pogląd, że dzieci uczyć trzeba pięć dni w tygodniu, a nie tylko w niedziele, zaś Polly została pierwszą – i przez długi czas jedyną – nauczycielką. Do tego czasu też wróciła do swojego prawdziwego imienia i stała się znaną i szanowaną, a dla niektórych nawet surową, panną Mary.

Na razie jednak przyszli ojcowie nieistniejących jeszcze dzieci mogli się na nią gapić, ile tylko chcieli: nic nie mogło odwrócić jej uwagi.

Okazało się również, że po tych wszystkich długich latach pani Hill wreszcie zyskała obiekt swojego pożądanego: miała pana Benneta praktycznie całkowicie dla siebie. W niektóre wieczory, kiedy damy wyjeżdżały w odwiedziny, a Polly siedziała po uszy w nauce, pani Hill zanosila butelkę madery i kawałek ciasta do biblioteki. Pan Bennet, który wtedy najczęściej pochylał się nad jakąś książką, wyęzając słabnący z dnia na dzień wzrok i umysł, patrzył na nią kaprawymi oczami i mówił:

– Dziękuję, droga Margaret.

Pokazywał ręką na sąsiedni fotel, a gospodyni siadała. On odkładał książkę na bok, nalewał sobie kieliszek wina i odłamywał kawałek ciasta, a ona patrzyła na ruchy jego sflaczałej skóry, pedantycznie wyszczotkowane klapy i usta przypominające ślimaka, gdy sączył maderę. Okazało się, że po niemal ćwierćwieczu trzymania języka za zębami, nie było już o czym mówić.

A potem, pewnego dnia, pan Bennet zapytał:

– Żałujesz czasami, moja droga, że tak to się potoczyło?

Zastanowiła się. Gdyby było inaczej... Gdyby zostali małżeństwem... Może ona też napiłaby się wina. Może zjadłaby kawałek ciasta przyniesionego przez kogoś innego. Może nie miałyby zgrubiałej skóry na dłoniach i boleśnie spuchniętych nóg, a także gorzkiego, nieutulonego żalu w sercu po stracie Jamesa. Może miałyby go przy sobie; może mogłaby doglądać go w dzieciństwie i patrzeć, jak rośnie; może urodziłyby inne dzieci, które mogłaby kochać i bawić, dziś już dorosłe, z własnymi potomkami. A Longbourn – który kiedyś był dla niej wszystkim, a teraz nie znaczył już nic – rozplynąłby się wiele lat temu, przy urodzinach Jamesa.

Jednak mimo wszystko, czyż nie skończyliby dokładnie tak samo? W bibliotece, gdzie pan Bennet, stary i zgrzybiały, siedział i popijał wino, zagryzając je ciastem, gdy oboje muszą zadbać o siebie nawzajem?

Ostatecznie nie ma znaczenia, jak tu dotarli. Koniec pozostał ten sam.

Oczywiście to nie jedyny koniec, zaledwie jeden z wielu. Nić życia pani Hill może i zaplątała się w trudny do rozplątania węzeł, ale inne dopiero się rozwijały. Jedna przetoczyła się przez dzikie wzgórza Derbyshire, a potem przez łagodniejsze łąki Cheshire, by na końcu dotrzeć przez równiny nad morze.

Morze. Kiedy pierwszy raz je zobaczyła, słyszała wielkanocne dzwony, gwałtowne podmuchy wiatru, ciche beczenie owiec i rozmowy towarzyszy podróży. Do jednej dłoni przyczepiła jej się trawa ze słonego bagna, a drugą podniosła do oczu. Słodkie, rozpromienione powietrze sprawiło, że mimo zmęczenia – po nocach płytkiego snu w stodółach i żywopłotach, kiedy budziło ją zimno, albo całkiem bezsennych, kiedy szła bez końca w mroku, dając się wieść drodze pod jej stopami – poczuła się bardziej rozbudzona niż kiedykolwiek. Jakby płachta czystego blasku gładko się zsunęła, ściągnięta przez jakieś niemożliwe do odparcia przekonanie, pozostawiając za sobą długie mile srebrzystego błota, poprzecinanego błyszczącymi strumykami i poznaczonego kałużami. W oddali majaczyły wzgórza krainy jezior, wyraźnie rysujące się na niebie. Miały granatowy kolor, a w niektórych miejscach widać było na nich śnieg.

– To już czas?

Przewodnik z oczami zaciemnionymi brzegiem czapki pokiwał głową. Podniosła się, zarzuciła torbę na ramię i wręczyła mu należną monetę. Piasek osuwał się spod jej nóg, nasiąkając wodą; na plaży odciski stóp wypełniały się i ginęły. Musiała maszerować szybko, ponieważ jej stopy krwawiły.

Po drugiej stronie zmieniła rajstopy i napchała do butów mchu.

Kupiła bułeczkę i kubek mleka w piekarni w miasteczku. Wspomniała – niby zupełnie mimochodem – że słyszała o wędrowcach przechodzących tędy niedawno. Właściciel potwierdził, że rzeczywiście tu byli. Kubek zamarł tuż przy jej ustach; gdzie się udali, czy wiedział?

Na północ. Do Kirkstone. Za wzgórza, aż za Windermere. Niezwykły był to obszar, gdzie deszcz nie tyle padał, co

wisiał w powietrzu i ograniczał pole widzenia; drogi wiły się po wzgórzach niczym schody, a każdy szczyt okazywał się fałszywym, a każde jezioro albo mokradło, leżące pod niskim niebem niczym szare głązy, trzeba okrążyć. I żadnej odległości nie dało się pokonać na wprost, lecz co chwilę trzeba było skręcać i zbaczać, by poczynić w istocie niewielki postęp.

Dlatego nie potrafiła ocenić, jak daleko jeszcze musiała iść i jak dużo czasu jej to zajmie. Coraz trudniej można było odmierzyć upływający czas; noce zmieniały się stopniowo w dzień, a Sara sypiała godzinkę na kamiennej ławce, gdzie nagle pokazywało się słońce, albo zwinęta w kłębek między korzeniami drzew, z policzkiem na ramieniu. Gdy tylko się budziła, od razu ruszała w drogę, bo stanie w miejscu nie przybliżało jej do celu. Jednak pewnego dnia znalazła się na nowej drodze, wychodzącej zza linii drzew, wysypanej świeżymi kamykami wapiennymi, od których jej buty pokrywały się kredowym osadem; grunt po lewej stronie opadał, by po prawej strzelać w górę, a pastwisko najeżone było kamieniami, pośród rumowiska rosły kępki orlicy; droga zaprowadziła Sarę przez torfowiska wododziału, przy akompaniamencie wołań kulików, w obłoki.

Wtedy usłyszała głosy, dochodzące z kłębow mgły: mężczyźni śpiewali przy ciężkiej, hałaśliwej pracy. Pokonała zakręt, pełna nadziei, ale nic nie znalazła – ścieżka okrążyła wystające skały, a ziemia się osunęła i otwierała się za nią zielona dolina z błyszczącym w słońcu jeziorem. I na tej nagle objawionej połąci światła ukazały się cienie postaci. Kilofty unosiły się i opadały, młoty waliły w skały, szpadle wbijały się w pokruszone kamienie. Mężczyźni znajdowali się może pięćdziesiąt jardów dalej, gdzie kończyła się zwirowa droga.

Wyciągnęła rękę do przodu i dotknęła nicości. Jej głowa pofrunęła jak nasionko dmuchawca, ponieważ *on tam był*. Zamachnął się kilofem wysoko ponad ramieniem; uderzył nim w głąz i znowu uniósł, i znowu, i znowu, a potem spojrział na nią. Sara widziała, w którym momencie ją poznał: zupełnie wtedy zamarł.

Ostrożnie ruszyła w jego stronę; straciła równowagę, kamienie obruszyły się pod jej stopami.

James rozebrał się do brudnej, przesiąkniętej potem koszuli. Praca go wysuszyła, słońce spaliło. Sara zauważyła to wszystko, gdy podeszła bliżej: jak na jego twarzy pojawiły się zmarszczki, jakby przybyło mu naraz wiele lat. Wydawał się przy tym zdystansowany, schowany w sobie, jakby akceptował wreszcie, że niczego więcej nie może się od życia spodziewać.

Była już tak blisko. Wyciągnęła rękę, opuszkami palców dotknęła jego piersi. Poczowała unoszenie się i opadanie, wilgoć, ciepło. Widziała pulsowanie tętnicy na szyi, rozpromienione oczy. Chciał jej dotknąć, ale ona odepchnęła jego rękę i złapała go za koszulę. Potrząsnęła nim.

– Nigdy więcej mi tego nie rób. *Nigdy.*

Nici dryfujące samotnie czasami po prostu splatają się ze sobą i nie potrzebują do tego wrzeciona czy kądzieli: kiedy znajdują się blisko, łączą się siłą własnego skrętu. A siła ta potrafi zwinąć powstały w ten sposób sznurek, tworząc motek i wracając do miejsca, w którym wszystko się zaczęło.

Minęło kilka lat – pan Hill rozpadł się już w grobie, ale Polly jeszcze nie osiągnęła satysfakcji, jeszcze targało ją poczucie niespełnienia – kiedy wędrowcy zeszli z drogi do wyprowadzania bydła na ścieżkę biegnącą przez wysoki żywopłot. Lata te wypełnione były pracą i powrotem na szlak, gdy się kończyła, szukaniem przyjaciół i zostawianiem ich, pożyczaniem książek i przekazywaniem ich dalej, zachowywaniem ciszy i niewychylaniem głów, i staraniem się, by nikt ich nie zauważał, w oczekiwaniu, aż przyjdzie spokój; i nieustannym ruchem.

Na ziemi malowały się długie, sine cienie, a drzewa zrzucały liście. Na łąkach krowy stały nieruchomo; zające przemykały przez trawę, a potem zatrzymały się i zniknęły. Z wysokich kominów leciał dym; Sara wyczuła zapachy dnia opierunku. Wciągnęła głęboko powietrze.

– Wiesz, co powiedział Heraklit?

Przechodząc obok, zerwał z krzaka orzech laskowy, a potem

zgniółł go w palcach.

– Nie pamiętam.

– Powiedział – kopnęła kamień – że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.

Kiwnął głową i rozgarnął łuski orzecha, kątem oka obserwując jej postać, słysząc szelest jej spódnicy; jej obecność wciąż uważał za cud. Wyciągnął rękę z orzechem, zielono-białym i mlecznym, pierwszym tego roku.

– Proszę.

Sięgnęła i podziękowała, a potem, potem jej uwagę odwrócił jakiś ruch; owinęła palce wokół orzecha, a knykciami potarła ramię Jamesa – biała bielizna rozwieszona na sznurkach i Polly, o mój Boże, czy to była *Polly*? – młoda kobieta zawahała się przy przypinaniu halki, widząc jakieś postaci na ścieżce. Przyjrzała im się, a potem upuściła halkę na ziemię i od razu na nią nastąpiła; podniosła spódnicę i pobiegła przez padok ile sił w nogach.

Sara roześmiała się i sama również pośpieszyła jej na spotkanie. Ale nagła zmiana prędkości okazała się niepokojąca; pod ciasno zawiniętym szalem mały kłębek zaczął się wiercić i kwilić. Sara zatrzymała się i zajrzała między fałdki. Dziecko, dopiero co rozbudzone, spojrzało na nią szeroko otwartymi, zdziwionymi oczkami.

Sara dotknęła opuszką palca idealnej brwi.

– Już dobrze, kochanie. Jeszcze kawałeczek.

Przysunęła główkę dziecka do piersi i obejrzała się na Jamesa. Podbiegł kilka kroków, żeby ją dogonić, jego stara płócienna torba podskakiwała na plecach. Uśmiechnęła się do niego, a on złapał ją za rękę. Razem ruszyli ścieżką w kierunku Longbourn.



Od autorki

Główne postaci *Dworku Longbourn* przenikają *Dumę i uprzedzenie* niczym duchy; istnieją, żeby służyć rodzinie i opowiadanej historii. Przynoszą listy i powożą bryczkami; udają się po sprawunki, gdy nikt inny nie chce wychodzić z domu – to im zleca się zakup rozetek na bal w Netherfield, gdy zaczyna deszcz. Jednak, przynajmniej dla mnie, oni są równie ważni...

Niniejsza powieść sięga do przeszłości tych postaci, a później wychodzi poza szczęśliwe zakończenie *Dumy i uprzedzenia*. Jednak w momentach, w których spotykają się obie książki, wydarzenia z *Longbourn* idealnie odwzorowują te z utworu Jane Austen. Kiedy w *Dumie i uprzedzeniu* podaje się jakiś posiłek, został on przygotowany w *Longbourn*. Kiedy Bennetówny wchodzi do sali balowej w powieści Austen, wysiadają z powozu z niniejszej książki. Pozwoliłam sobie nadać imiona tym, dla których ich zabrakło w oryginale – kamerdynerowi, lokajowi i drugiej pokojówce – a pani Hill powierzyłam rolę kucharki oraz gospodyni, ponieważ właśnie taki podział obowiązków często spotykano w podobnych domach. Jednak to, co służba robi w kuchni, gdy Elizabeth i Darcy zajęci są zakochiwaniem się w sobie na górze, wydaje się zależeć wyłącznie od ich woli.

Ostatnia uwaga: w *Dumie i uprzedzeniu* lokaj pojawia się tylko raz, kiedy przynosi list do Jane (strona 31 w pierwszym tomie mojego wydania z serii „Penguin Classics”). Nigdzie więcej się o nim nie wspomina[6].



[6] Zdanie to można odnaleźć w siódmym rozdziale, a w polskim przekładzie brzmi tak: *Wejście lokaja z bilecikiem do najstarszej panny Bennet nie pozwoliło matce udzielić odpowiedzi.* (tłum. Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej, wyd. PIW).

Podziękowania

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz przeczytałam *Dumę i uprzedzenie*. Czuję, jakbym uwielbiała tę powieść od zawsze. Książka Jane Austen była pierwszą dorosłą lekturą w moim życiu i sprawiała mi przyjemność całym latami: do żadnej innej książki nie wracałam tyle razy. Nawet po tych wszystkich latach i wywinięciu tej powieści na lewą stronę, wciąż ją uwielbiam. Wciąż ją podziwiam. A zamieszkanie w niej w ten szczególny sposób przyniosło mi czystą radość.

Znalazły się jednak również inne książki, które wyjątkowo mi pomogły. *A Taste of History* Maggie Black oraz *Książka kucharska Jane Austen* napisana wspólnie z Deirdre Le Faye pomogły mi w doborze dań obiadowych; *The Peninsular War* Charlesa Esdaile'a, *War of Wars* Roberta Harveya i *Redcoat* Roberta Holmesa stanowiły źródło wszystkich szczegółów – zarówno militarnych, jak i osobistych – przeżyć Jamesa w Hiszpanii i Portugalii. Listy Jane Austen, w wyborze Deirdre Le Faye, *Labours Lost: Domestic Service and the Making of Modern England* Caroline Steedman, *Behind Closed Doors: At Home in Georgian England* Amandy Vickery, *Life in Georgian Lancaster* Andrew White'a oraz *Decency and Disorder 1789–1837* Bena Wilsona zawierały cenne informacje na temat życia codziennego i towarzyskiego tego fascynującego i niestabilnego okresu.

Muszę również podziękować pewnym osobom, nie tylko książkom. Daraghowi za skrócenie mi ręki. Saleelowi za stanie na czatach. Dianie, Jane i Marianne za zachęcanie mnie do dalszej pracy. Clare za spokój. A także rodzicom za brak oporów przed tym, by pozwolić mi na cały dzień zabawy, kiedy byłam dzieckiem, w zrujnowanym domu z okresu georgiańskiego, gdzie znalazłam wielką kuchnię, nieużywaną już wygodkę i puste stajnie

z drabiną prowadzącą na oświetlony słońcem stryszek.



JO BAKER urodziła się w Lancashire w północno-zachodniej Anglii. Studiowała w Oksfordzie i Queen's University w Belfaście, gdzie obroniła pracę doktorską o angielsko-irlandzkiej pisarce Elizabeth Bowen. Zadebiutowała w 2001 roku powieścią *Offcomer*. Jo Baker pisała słuchowiska dla BBC Radio 4, a jej opowiadania opublikowano w kilku antologiach. Od roku 2001 do 2003 była dyrektorką artystyczną Festiwalu Literackiego w Belfaście, gdzie mieszka wraz z mężem, dramaturgiem i scenarzystą Daraghem Carville'em oraz synem Danielem.

Sama o swoim pisarstwie mówi tak: „pisanie oczyszcza mi głowę, porządkuje myśli, upycha mi je. Dzięki niemu wiem, że moje bycie tutaj ma sens”.



© Michael Lionstar



Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział I

Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Epilog
Od autorki
Podziękowania
Jo Baker
Polecamy również

Polecamy również:

Åsa Hellberg

OSTATNIA WOLA SONJI

Wyobraź sobie, że w Twoim życiu pojawia się dobra wróżka, która zna wszystkie Twoje niespełnione marzenia, lęki i troski. I nie spocznie dopóki nie zaczniesz uśmiechać się do siebie w lustrze. Brzmi nierealnie?

Sonja Gustavson nigdy nie była zwykłą kobietą, niezwykle był też jej testament. Jej przyjaciółki są zaskoczone zarówno jej niespodziewaną śmiercią, jak i ostatnią wolą. Czy zaryzykują i wyruszą w podróż po marzenia? Susanne, Rebeca i Maggan prowadziły dotąd spokojne życie w Sztokholmie, jednak Sonja miała co do nich zupełnie inne plany. Wykwintna restauracja w Paryżu, luksusowy hotel w Londynie i malowniczy dom na Majorce to miejsca, które po śmierci przyjaciółki stają się ich codziennością. Na kobiety czeka również miliardowy spadek, jednak najpierw muszą wykonać niełatwe zadania, które na zawsze odmienią ich życie.

Trzy kobiety, trzy różne charaktery i trzy wyjątkowe miejsca w Europie, w cieplej i przezabawnej opowieści.

ÅSA HELLBERG

Ostatnia wola Sonji

*Nigdy nie jest
za późno,
żeby zmienić
swoje życie.*



1

Nieczęsto się zdarza, żeby przed wejściem do domu towarowego Åhléns leżała martwa kobieta, ale Sonja Gustavsson zawsze wiedziała, jak zwrócić na siebie uwagę.

Nie planowała umrzeć na samym środku centrum handlowego w Farsta; gdyby jednak wiedziała, że tak się stanie, pewnie nie miałyby nic przeciwko temu.

Myśl o nagłej śmierci towarzyszyła jej od tylu lat, że zdążyła się do niej przyzwyczaić. Lekarz ostrzegał ją już w osiemdziesiątym trzecim, ale dla Sonji życie bez palenia, picia i dobrego jedzenia byłoby nie do wytrzymania i na dłuższą metę znacznie gorsze od rozległego zawału serca w centrum handlowym.

Zanim w wieku pięćdziesięciu czterech lat wydała ostatnie tchnienie, pomyślała jeszcze z ulgą, że na szczęście udało jej się wprowadzić kilka drobnych poprawek do testamentu.

Tak jak teraz było *dużo* zabawniej.

2

W drodze na Arlandę Susanne przyglądała się w skupieniu swoim paznokciom i z niezadowoleniem stwierdziła, że choć pomalowała je dwukrotnie, z jednego z nich zdążył już odprysnąć kawałek czerwonego lakieru. Cholera jasna! Nie miała teraz czasu, żeby je znów malować, zresztą w autobusie mogłoby się to skończyć katastrofą, a przecież spieszyła się na zebranie, na które była spóźniona już wtedy, gdy wsiadała do tego pojazdu o w pół do siódmej rano. Załoga samolotu miała być na miejscu za godzinę; już teraz wiedziała, że będzie musiała przyspieszyć kroku, żeby się nie spóźnić.

Boże, żeby go tylko nie było, powtarzała w myślach, gdy autobus pędził E4 w kierunku lotniska. Uśmiechnęła się do siebie. Ile to razy siedziała tu z nadzieją, że będzie na odwrót i że Anders zostanie ściągnięty na zastępstwo, jeśli nie miał zaplanowanego lotu!

Choć minęły już trzy tygodnie od kiedy z nim zerwała, wciąż

modliła się o to, żeby nie lecieli tym samym rejssem. Dobrze wiedziała, jak łatwo potrafi ulec jego zalotom, które stawały się bardziej nachalne, jeśli po drodze mieli zaplanowany nocleg w hotelu.

Zgodnie z dzisiejszym grafikiem leciała do Oslo i dlatego wolała, żeby Anders Schulz nie znajdował się w sali, do której właśnie zmierzała.

Widać nie wszystkie modlitwy trafiają jednak do Boga, bo już zza drzwi dobiegł ją niski głos Andersa. Żołądek skurczył jej się ze stresu, ale zdążyła jeszcze przybrać profesjonalny wyraz twarzy. Spojrzała ku górze z wdzięcznością, że została przynajmniej ostrzeżona, otworzyła drzwi i weszła do środka...
